

**CLIVE
CUSSLER**
GRAHAM BROWN

SZTORM

Przekład

MACIEJ PINTARA



Redakcja stylistyczna
Izabella Sienko-Holewa

Korekta
Barbara Cywińska
Hanna Lachowska

Ilustracja na okładce ©
Larry Rostant

Zdjęcie autora
Rob Greer

Druk
Wojskowa Drukarnia w Łodzi Sp. z o.o.

Tytuł oryginału
The Storm

Copyright © 2012 by Sandecker, RLLLP
By arrangement with Peter Lampack Agency, Inc. 350 Fifth Avenue,
Suite 5300, New York, NY 10118 USA.
All rights reserved.

For the Polish edition
Copyright © 2012 by Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.

ISBN 978-83-241-4429-7

Warszawa 2012. Wydanie I

Wydawnictwo AMBER Sp. z o.o.
02-952 Warszawa, ul. Wiertnicza 63
tel. 620 40 13, 620 81 62

www.wydawnictwoamber.pl

PROLOG

**Ocean Indyjski
Wrzesień 1943**

S/s „John Bury” dygotał od dziobu do rufy, przedzierając się przez wzburzone wody Oceanu Indyjskiego. Szybki frachtowiec towarzyszył zazwyczaj okrętom wojennym i utrzymywał przy tym przyzwoite tempo. Teraz ze wszystkimi kotłami pod pełną parą poruszał się z prędkością, jakiej nie rozwijał od czasu testów morskich. Uszkodzony, płonący i dymiący, „John Bury” walczył o przetrwanie.

Statek pokonał trzymetrową falę, pokład opadł w dół i dziób zarył w następną ścianę wody. Rozbryzgi wystrzeliły ponad reling, zalały pokład i zatrzęsły tym, co pozostało ze zniszczonego mostka.

W części nadwodnej „John Bury” był wrakiem. Rakiety porozrywały nadbudowę i dym wydobywał się spomiędzy pogiętego metalu. Szczątki zaścielały pokład, martwi marynarze leżeli wszędzie. Uciekający statek doznał uszkodzeń powyżej linii wodnej i tylko dlatego nie poszedł jeszcze na dno.

Na ciemnym horyzoncie za nim dymiły jednostki, które miały mniej szczęścia. Pomarańczowa kula ognia wystrzeliła z jednej z nich, rozbłysła nad morzem i oświetliła na krótko pobojewisko.

W jej blasku ukazały się cztery płonące okręty - trzy niszczyciele i jeden krążownik - eskorta „Johna Bury'ego”. Japoński okręt podwodny i eskadra bombowców nurkujących zaatakowały

konwój jednocześnie. W zapadającym zmroku wokół tonących okrętów płonąła plama ropy, długa na milę morską. Zasnuwała niebo gęstym czarnym dymem. Żaden z nich nie miał doczekać świtu.

Okręty eskorty szybko zniszczono i posłano na dno, ale „Johna Bury'ego” tylko ostrzelano rakietami i pozostawiono na powierzchni. Mógł być tylko jeden powód takiej litości. Japończycy wiedzieli o jego ściśle tajnym ładunku i chcieli go zdobyć.

Kapitan Alan Pickett był zdecydowany do tego nie dopuścić, choć połowa jego załogi zginęła, a on sam dostał odłamkiem w twarz. Chwycił megafon i krzyknął w dół do maszynowni:

- Więcej mocy!

Nikt nie odpowiedział. Według ostatniego meldunku pod pokładem szalał pożar. Pickett kazał ludziom zostać i ugasić ogień, ale teraz cisza przepełniła go obawą.

- Zera na lewo od dziobu! - zawołał obserwator ze skrzydła mostka. - Pułap sześćset metrów i opadają.

Pickett zerknął przez wybitą szybę przed nim. W gasnącym świetle dnia zobaczył cztery czarne punkty na szarym niebie. Opadały w kierunku statku. Na ich skrzydłach pojawiły się błyski.

- Padnij! - wrzasnął.

Za późno. Pociski kaliber 12,7 milimetrów posiekały statek, przecięły obserwatora na pół i roztrzaskały resztki mostka. Kawałki drewna, szkła i metalu rozprysły się wokół.

Pickett padł na pokład. Fala gorąca przeszła przez mostek, kiedy kolejna rakietą trafiła tuż przed sterówką. Uderzenie zakłócało statkiem, wybuch zerwał metalowy dach niczym olbrzymi otwieracz do konserw.

Gdy zapanował spokój, Pickett podniósł wzrok. Ostatni z jego oficerów leżał martwy, mostek był zdemolowany. Nawet koło sterowe zniknęło, tylko metalowy kikut pozostał na wale. Ale frachtowiec jakimś cudem parł naprzód.

Pickett wstał i zauważył coś, co dodało mu otuchy. Ciemne chmury i strugi deszczu - szkwał na prawo od dziobu. Gdyby zdołał wpłynąć tam statkiem, ukryłby go w nadchodzącej ciemności.

Przytrzymał się przegrody i sięgnął do resztek koła sterowego. Napał na nie z całej siły. Wykonał pół obrotu i upadł, ale nie puścił steru.

Statek zmienił kurs.

Przyciśnięty do pokładu kapitan pchnął koło w górę, a potem znów pociągnął w dół i zrobił nim pełny obrót.

Frachtowiec skręcał i pozostawiał za sobą zakrzywiony biały kilwater na powierzchni oceanu. Ustawił się dziobem do szkwału.

Przed nim kłębiły się chmury. Padający z nich deszcz przesuwiał się po morzu jak olbrzymia miotła. Po raz pierwszy od początku ataku Pickett poczuł, że mają szansę. Ale gdy frachtowiec brnął w stronę szkwału, przerażające wycie skręcających i pikujących ku niemu bombowców pozbawiło kapitana nadziei.

Przez zięjące dziury w metalu dostrzegł źródło hałasu.

Dokładnie przed nim opadały z nieba dwa bombowce nurkujące Aichi D3A o alianckim kodzie Val, takie same, jakich Japończycy użyli z zabójczym skutkiem w Pearl Harbor i miesiąc później przeciwko brytyjskiej flocie w pobliżu Cejlonu.

Pickett obserwował, jak pikują. Słyszał, jak narasta gwizd ich skrzydeł. Przeklął je i wyciągnął pistolet.

- Wara od mojego statku! - krzyknął i otworzył ogień z colta 45.

Poderwały się w ostatniej chwili i przeleciały nad nim, zasypując frachtowiec kolejnym gradem pocisków kaliber 12,7 milimetrów. Pickett upadł na pokład. Pocisk trafił go w nogę, zgruchotał kość i przeszedł na wylot. Kapitan otworzył oczy i spojrzał w górę. Nie mógł się ruszać.

Zobaczył fale dymu przetaczające się na tle szarego nieba. Pomyślał, że już po nim. Statek i tajny ładunek wpadną w ręce wroga.

Pickett przeklinał się za to, że nie zatopił statku. Pozostała mu tylko nadzieja, że frachtowiec sam pójdzie na dno. I to zanim wróg rozpocznie abordaż.

Wzrok mu się zamglił, ale usłyszał następne bombowce nurkujące. Ryk silników narastał, potężniejsze wycie skrzydeł zwiastowało straszliwy i nieuchronny koniec.

A potem niebo w górze pociemniało. Powietrze stało się zimne i mokre, kiedy S/s „John Bury” zniknął w sztormie, pochłonięty przez ścianę mgły i deszczu.

Ostatni meldunek japońskiego pilota mówił, że frachtowiec się pali, ale płynie pełną parą. Statek przepadł bez wieści.

ROZDZIAŁ 1

Jemen Północny, tui przy granicy z Arabią Saudyjską, sierpień 1967

Tariq al-Khalif ukrywał twarz za chustą z miękkiej białej bawełny. Kefija zasłaniała mu głowę, usta i nos; chroniła ogorzałe oblicze mężczyzny przed słońcem, wiatrem i piaskiem. A jego samego przed światem.

Spod chusty widać było tylko oczy Khalifa. Po sześćdziesięciu latach na pustyni spojrzenie miał twarde i bystre. Nie mrugał ani nie odwracał wzroku, gdy patrzył na trupy leżące na piasku.

W sumie osiem ciał. Dwóch mężczyzn, trzy kobiety, troje dzieci - rozebrani do naga, pozbawieni ubrań i całego dobytku. Większość zastrzelono, część zasztyletowano.

Wielbłądzia karawana za plecami Khalifa czekała, ale jeden z jeźdźców zbliżył się wolno do niego. Khalif rozpoznał silną, młodą postać w siodle. To Sabah, jego najbardziej zaufany pomocnik z rosyjskim AK-47 zawieszonym na ramieniu.

- Bandyci, to pewne - odezwał się Sabah. - Już się zapadli pod ziemię.

Khalif przyjrzał się uważnie nierównemu piaskowi u swoich stóp. Zauważył ślady znikające na zachodzie. Prowadziły prosto do jedynej źródła wody na przestrzeni stu sześćdziesięciu kilometrów, oazy nazywanej Abi Quzza, czyli „aksamitna woda”.

- Nie, mój przyjacielu - zaprzeczył. - Ci ludzie nie czekają, aż ktoś ich znajdzie. Ukrywają, ilu ich jest - trzymają się twardego

gruntu, nie zostawiając odcisków stóp, albo idą po najbardziej miękkim piasku, na którym ślady szybko znikają. Ale tu widzę, że zmierzają do naszego domu.

Abi Quzza należała do rodziny Khalifa od pokoleń. Dostarczała życiodajnej wody i odrobiny bogactwa. Wokół źródeł rosło mnóstwo palm daktylowych i trawy dla wielbłądów i owiec.

Co prawda przybywało ciężarówek i innych nowoczesnych środków transportu, więc liczba karawan, które płaciły za dary oazy, zaczynała topnieć. Rola Beduinów, którzy tak jak Khalif i jego rodzina hodowali wielbłądy, malała. Ale jeszcze istnieli. Khalif wiedział, że aby klan miał jakiegokolwiek perspektywę, muszą chronić oazę.

- Twoi synowie będą bronić obozu - stwierdził Sabah.

Oaza leżała trzydzieści dwa kilometry na zachód. Strzegli jej synowie Khalifa i jego dwóch bratanków - pół tuzina namiotów, dziesięciu mężczyzn z karabinami. Niełatwe miejsce do ataku. A mimo to Khalif poczuł straszliwy niepokój.

- Musimy się pospieszyć - powiedział i wsiadł z powrotem na wielbłąda.

Sabah skinął głową. Przesunął AK-47 do przodu, aby w razie czego łatwiej mu było strzelać, i popędził wielbłąda.

Trzy godziny później zbliżyli się do oazy. Z daleka widzieli tylko małe ogniska. Żadnych oznak walki, żadnych porwanych namiotów ani błąkających się zwierząt, żadnych ciał leżących na piasku.

Khalif rozkazał karawanie stanąć. Zsiadł z wielbłąda. Wziął Sabaha i dwóch innych i ruszyli dalej pieszo.

Wokół panowała taka cisza, że słyszeli trzask drewna w ogniskach i własne kroki na piasku. Gdzieś w oddali szakał zaczął skowyczeć. Był daleko, ale odgłos niósł się na pustyni.

Khalif przystanął i czekał, aż szakał umilknie. Gdy zwierzak ucichł, Beduin usłyszał coś przyjemniejszego. Śpiew. Tradycyjna pieśń dochodziła z głównego namiotu.

Khalif się odprężył. To był głos jego najmłodszego syna, Jinna.

- Przyprawdźcie karawanę - polecił. - Wszystko w porządku.

Kiedy Sabah i inni wrócili po wielbłądy, Khalif ruszył na przód. Dotarł do swojego namiotu, odrzucił połać materiału przy wejściu i zamarł.

Bandyta w łachmanach stał w środku i przyciskał zakrzywione ostrze do szyi jego syna. Drugi siedział obok ze starym karabinem w rękach.

- Jeden ruch i poderżnę mu gardło - ostrzegł ten z nożem.

- Kim jesteście?

- Nazywam się Masiq - odparł bandyta.

- Czego chcecie? - zapytał Khalif.

Masiq wzruszył ramionami.

- A czego możemy chcieć?

- Wielbłądy mają wartość. - Khalif domyślił się, o co im chodzi. - Oddam je, tylko oszczędźcie moją rodzinę.

- Twoja oferta jest dla mnie bez znaczenia - odrzekł Masiq z pogardliwą miną. - Sam mogę sobie wziąć, czego chcę... - Chwyć mocniej chłopca. - A twoja rodzina, poza nim, już nie żyje.

Khalifowi ścisnęło się serce. Pod tuniką miał samopowtarzalny rewolwer Webley-Fosbery. Broń nie wymagała odwodzenia kurka, była niezawodna i zabójczo celna. Nie zacinała się nawet po miesiącach w pustynnym piasku. Tylko jak ją wyciągnąć?

- Więc oddam wam wszystko - zaproponował - za niego. I będziecie mogli odejść wolni.

- Masz tu złoto - oznajmił Masiq, jakby to był znany fakt. - Powiedz, gdzie je ukryłeś.

Khalif pokręcił głową.

- Nie mam złota.

- Kłamiesz - wtrącił się drugi bandyta.

Masiq zaczął się śmiać. Spomiędzy jego krzywych zębów, z pełnych zgnilizny ust, wydobywały się przerażające dźwięki. Opasał chłopca mocno jednym ramieniem, uniósł drugie, jakby chciał poderżnąć mu gardło. Ale dzieciak się wywinął i zatopił zęby w jego palcach.

Bandyta zaklął z bólu. Odrzucił głowę do tyłu, jakby się oparzył.

Ręka Khalifa odnalazła rewolwer i Beduin strzelił dwa razy przez tunikę. Niedoszły morderca upadł na plecy z dwiema dymiącymi dziurami w piersi.

Drugi bandyta nacisnął spust i pocisk drasnął Khalifa w nogę, ale Beduin trafił przeciwnika ze swojej broni prosto w twarz. Mężczyzna runął bez słowa na ziemię.

Walka dopiero się zaczęła.

W nocnej ciszy na zewnątrz namiotu rozległy się odgłosy wymiany ognia, kule fruwały tam i z powrotem. Khalif rozpoznał huk ciężkich karabinów powtarzalnych, takich jak ten w ręku martwego zbira, i terkot automatu Sabaha.

Chwycił syna, wcisnął mu rewolwer do ręki i podniósł stary karabin jednego z bandytów. Porwał też z ziemi zakrzywiony nóż i wszedł głębiej do namiotu.

Jego starsi synowie leżeli obok siebie, jakby spali. Ich ubrania były przesiąknięte ciemną krwią i podziurawione.

Fala bólu ogarnęła Khalifa - bólu, goryczy i gniewu.

Na dworze trwała strzelanina. Wbił nóż w bok namiotu i wyciął mały otwór. Wyjrzał na zewnątrz.

Sabah i trzech inni strzelali ukryci za ciałami wielbłądów. Grupa zbirów ubranych tak samo jak dwaj nieżywi bandyci ukrywała się w oazie za palmami daktylowymi. Stali w wodzie do kolan.

Wydawało się, że jest ich za mało, żeby mogli opanować obóz siłą.

Khalif odwrócił się do Jinna.

- Jak się tutaj dostali?

- Poprosili o gościnę - odrzekł chłopiec. - Napoiłszy ich wielbłądy.

To, że bandyci wykorzystali tradycyjną szczodrość Beduinów i uprzejmość jego synów, by ich potem zabić, rozwścieczyło Khalifa jeszcze bardziej. Przeszedł na drugą stronę namiotu. Tym razem rozciął tkaninę aż do ziemi.

- Zostań tu - polecił Jinnowi.

Wydostał się przez otwór i zagłębił w ciemność. Zatoczył szeroki łuk i podszedł przeciwników od tyłu.

Zajęci Sabahem i jego ludźmi bandyci nie zauważyli Khalifa. Kiedy znalazł się tuż za nimi, otworzył ogień.

Trzech padło szybko, a potem czwarty. Piąty próbował uciec i zginął od kuli Sabaha, ale szósty, ostatni zbir odwrócił się w porę i strzelił.

Khalif dostał w ramię. Odrzuciło go do tyłu i ból przeszył mu ciało. Wpadł do wody.

Bandyta rzucił się ku niemu, zapewne w przekonaniu, że go zabił lub tak ciężko zranił, że wyłączył go z walki.

Khalif wycelował do niego ze starego karabinu i nacisnął spust. Nabój zablokował się w komorze. Szarpnął zamek, by przywrócić broni sprawność, ale miał za mało siły w rannym ramieniu.

Bandyta wziął go na muszkę, żeby wypalić mu w pierś, i wtedy wystrzał z webleya zabrzmiał jak grom.

Bandzior runął na palmę daktylową z zaszokowaną miną. Osunął się w dół, broń wypadła mu z rąk do wody.

Jinn stał za martwym mężczyzną, trzymał rewolwer w trzęsących się dłoniach, oczy miał pełne łez.

Khalif rozejrzał się wokół w poszukiwaniu następnych przeciwników, ale nie zobaczył żadnego. Strzelanina umilkła. Sabah zwoływał ludzi. Walka się skończyła.

- Podejdz tu, Jinn - poprosił Khalif.

Jego syn ruszył ku niemu, rozdygotany. Khalif chwycił go za ramię i przytrzymał.

- Spójrz na mnie.

Chłopiec nie zareagował.

- Spójrz na mnie, Jinn!

W końcu Jinn się odwrócił. Khalif trzymał go mocno.

- Jesteś za młody, by to zrozumieć, mój synu, ale dokonałeś wielkiej rzeczy. Ocaliłeś życie swojemu ojcu. Uratowałeś swoją rodzinę.

- Ale moi bracia i matka nie żyją - zapłakał Jinn.
- Nie - zaprzeczył Khalif. - Są w raj, a my pozostaniemy tutaj, dopóki nie spotkamy się z nimi pewnego dnia.

Jinn milczał, patrzył na ojca i szlochał.

Jakiś odgłos na prawo od Khalifa zwrócił jego uwagę. Jeden z bandytów żył i próbował się odczołgać.

Khalif uniósł zakrzywiony nóż, gotów dobić mężczyznę, ale się powstrzymał.

- Zabij go, Jinn.

Drżący chłopiec wlepił w niego wzrok. Khalif przyglądał mu się twardo, nieustępliwie.

- Twoi bracia zginęli, Jinn. Przyszłość klanu spoczywa na tobie. Musisz się nauczyć, jak być silnym.

Jinn nadal się trząsał, ale Khalif wiedział, że nie może ustąpić. Uprzejmość i szczodrość omal ich nie zniszczyły. Jego jedyny ocalały syn musi się wyzbyć słabości.

- Nie wolno ci okazać litości - nalegał. - To wróg. Jeśli nie znajdziemy w sobie siły, by zabijać naszych wrogów, zabiorą nam wodę. A bez wody zostanie nam tylko tułaczka i śmierć.

Khalif wiedział, że mógłby zmusić syna do zabicia bandyty, że chłopiec wykonałby rozkaz. Ale chciał, żeby Jinn sam zdecydował, co należy zrobić.

- Boisz się?

Chłopak pokręcił głową. Odwrócił się i uniósł rewolwer.

Bandyta spojrział na niego, ale Jinnowi ręka przestała się trząść. Spojrział bandziorowi w oczy i nacisnął spust.

Huk wystrzału poniósł się po pustyni. Kiedy ucichł, łzy już nie płynęły z oczu chłopca.

ROZDZIAŁ 2

**Ocean Indyjski,
czerwiec 2012**

Słońce zachodziło. Dwudziestosiedmioipółmetrowy katamaran sunął po spokojnych wodach Oceanu Indyjskiego. Rozwijał trzy lub cztery węzły w lekkiej bryzie. Błyszczący biały żagiel wystawał nad szerokim pokładem. Półtorametrowe turkusowe litery tworzyły w jego środkowej części napis NUMA - skrót oznaczał Narodową Agencję Badań Morskich i Podwodnych.

Kimo A'kona stał blisko jednego z dwóch dziobów katamaranu. Miał trzydzieści lat, kruczoczarne włosy, posągową budowę ciała i wytatuowane na ramieniu tradycyjne polinezyjskie zawijasy. Stał boso na dziobie i balansował ciałem, jakby płynął na desce surfingowej.

W rękę miał coś w rodzaju długiej tyczki. Trzymał ją z przodu i nieco w bok od siebie i zanurzał w wodzie sensor przymocowany do końca tyczki. Dane na małym wyświetlaczu świadczyły o tym, że urządzenie działa.

- Poziom tlenu trochę za niski - podał wyniki Kimo. - Temperatura dwadzieścia jeden stopni Celsjusza, siedemdziesiąt i cztery dziesiąte stopnia Fahrenheita.

Za plecami miał dwie inne osoby. Perry Halverson, szef zespołu i najstarszy członek załogi, stał przy sterze. Nosił szorty khaki, czarny T-shirt i stary oliwkowoszary kapelusz połowy.

Obok niego Thalia Quivaros - nazywana przez wszystkich T - stała na pokładzie w białych szortach i czerwonej górze od bikini. Strój tak podkreślał jej opaleniznę, że rozpraszało to obu mężczyzn.

- To najniższe wskazanie, jak dotąd - zauważył Halverson. - O trzy stopnie mniejsze, niż powinno być o tej porze roku.

- Tym od globalnego ocieplenia się to nie spodoba - przyznał Kimo.

- Może nie - stwierdziła Thalia, kiedy wpisywała wartości do małego tabletu. - Ale widać jakiś wzorzec. Dwadzieścia dziewięć z trzydziestu ostatnich odczytów dowodzi, że woda jest chłodniejsza o co najmniej dwa stopnie.

- Mógł tu przejść sztorm? - zapytał Kimo. - Może padał deszcz lub grad? Zdarzyło się coś, czego nie bierzemy pod uwagę?

- Nic, od tygodni - zaprzeczył Halverson. - To jakaś anomalia, a nie lokalne przekłamanie.

Thalia przytaknęła.

- Potwierdzają to wskazania podwodnych sensorów. Temperatura odbiega od normy aż do termokliny. Tak, jakby ciepło słoneczne w jakiś sposób omijało ten rejon.

- Wątpię, żeby to była kwestia słońca - odrzekł Kimo. Temperatura powietrza od kilku godzin utrzymywała się na poziomie trzydziestu siedmiu stopni Celsjusza. Słońce prażyło z bezchmurnego nieba cały dzień. Nawet teraz, kiedy zachodziło, ostatnie promienie grzały mocno.

Kimo wciągnął przyrząd kołowrotkiem, sprawdził go i zamachnął się tyczką jak wędkarz muchowy. Rzucił sensor dwanaście metrów od łodzi, pozwalając mu się zanurzyć i podryfować z powrotem. Odczytał na wyświetlaczu to samo co poprzednio.

- Przynajmniej mamy coś do zakomunikowania tym w Waszyngtonie - oznajmił Halverson. - Wiecie, oni wszyscy myślą, że jesteśmy tu w rejsie wycieczkowym.

- Przypuszczam, że to upwelling, chłodna woda wędrująca z głębi oceanu na jego powierzchnię - powiedział Kimo. - Albo jakaś anomalia pogodowa podobna do El Nino czy La Nina. Choć, ponieważ to Ocean Indyjski, pewnie nazwą to jakoś w języku hindi.

- A może od naszych nazwisk - podsunęła Thalia. - Efekt Quivaros-A'kony-Halversona. W skrócie QAH.

- Zauważ, że postawiła siebie na pierwszym miejscu - zwrócił się Kimo do Halversona.

Thalia przytaknęła z uśmiechem.

- Panie mają pierwszeństwo.
Halverson się roześmiał i poprawił kapelusz.

- Wy się dogadajcie w tej sprawie, a ja pójde do mesy przy gotować kolację. Ktoś chce taco z latającą rybą?

Thalia spojrzała na niego podejrzliwie.

- Jedliśmy ją wczoraj.

- Dziś nic nie złowiliśmy - odparł Halverson.

Kimo zastanowił się nad tym. Im dalej zapuszczali się w zimną strefę, tym mniej było flory i fauny morskiej. Jakby ocean stawał się jałowy.

- Lepsze to niż konserwy - stwierdził.

Thalia skinęła głową i Halverson dał nura do kabiny, żeby przyrządzić dla nich wieczorny posiłek. Kimo stał i patrzył na zachód.

Słońce schowało się w końcu za horyzontem i odcień nieba zaczął wpadać w indygo z wyjątkiem ognistocie pomarańczowej linii tuż nad wodą. Powietrze było łagodne i wilgotne, temperatura spadła do około trzydziestu stopni Celsjusza. Wieczór był przyjemny, tym bardziej że odkryli coś niezwykłego.

Nie mieli pojęcia, co powoduje anomalie, ale wydawała się ona zakłócać cykl pogodowy w całym regionie. Jak dotąd niewiele deszczu spadło w południowych i zachodnich Indiach, a przecież o tej porze powinny się tworzyć monsuny.

Niepokój narastał. Miliard ludzi czekał na sezonowe ulewę, które nawodnią uprawy ryżu i pszenicy. Kimo słyszał, że wielu puszcza nerwy. A ponieważ rok temu zbiory były naprawdę kiepskie, obawiano się głodu, jeśli coś się wkrótce nie zmieni.

Choć Kimo zdawał sobie sprawę, że jego badania nie zmienią pogody, to miał nadzieję, że przynajmniej ustali przyczynę obecnego stanu rzeczy. Kilka ostatnich dni sugerowało, że on i jego zespół są na właściwym tropie. Zamierzali sprawdzić wskazania za godzinę, parę mil morskich dalej na zachód. Na razie czekała na nich kolacja.

Kimo wyciągnął sensor z wody. Nagle coś dziwnego zwróciło jego uwagę. Zmrużył oczy. W odległości stu metrów ocean miał osobliwy czarny kolor, jakby padał tam cień.

- Sprawdź to - polecił Thalii.
- Przestań mnie wabić na dziób. - Uśmiechnęła się.
- Mówię poważnie - odrzekł. - Coś tam jest.

Odłożyła tablet, podeszła i oparła rękę na ramieniu Kima, żeby nie stracić równowagi na wąskim bukszprycie. Kimo wskazał cień, który rozpościerał się na powierzchni wody niczym plama ropy albo zbiorowisko alg. Miał dziwną fakturę.

- Widzisz to?

Powiodła wzrokiem za jego spojrzeniem, a potem uniosła lornetkę do oczu.

- Po prostu gra światła - stwierdziła.
- To nie światło.

Patrzyła jeszcze chwilę przez lornetkę, po czym wręczyła mu ją.

- Mówię ci, że nic tam nie ma.

Kimo zmrużył oczy w zapadającym zmierzchu. Wzrok go zawodzi? Wziął lornetkę i przyjrzał się uważnie tamtemu miejscu. Opuścił ją, uniósł z powrotem i znów opuścił.

Sama woda. Żadnych alg, żadnej ropy, żadnej dziwnej faktury powierzchni oceanu. Rozejrzał się, żeby się upewnić, że przyglądał się właściwemu miejscu, ale morze znów wyglądało normalnie.

- Mówię ci, że coś tam było - upierał się.
- Świetny żart - odparła Thalia. - Chodźmy jeść.

Odwróciła się i ruszyła ostrożnie z powrotem na główny pokład katamaranu. Kimo ostatni raz spojrział na ocean, nie uważał nic dziwnego. Pokręcił głową i poszedł w ślady Thalii.

Kilka minut później siedzieli w głównej kabinie, pożerali taco z rybą roboty Halversona, śmiali się i dyskutowali o przyczynie anomalii temperaturowej.

Kiedy jedli, katamaran sunął z wiatrem na północny zachód. Dwa gładkie kadłuby wykonane z włókna szklanego przecinały spokojny ocean, woda opływała je cicho.

A potem coś się zmieniło. Woda zaczęła się robić lepka. Drobne fale rosły i poruszały się nieco wolniej. Błyszczące białe kadłuby katamaranu ciemniały na linii wodnej, jakby przybierały inną barwę.

Trwało to kilka sekund. W pewnej chwili antracytowa plama rozprzestrzeniła się wzdłuż burty i wspięła na górę wbrew grawitacji, jakby coś ją przyciągało.

Faktura plamy przypominała grafit lub ciemną nieco rozrzedzoną rtęć. W krótkim czasie plama dosięgnęła dziobu katamaranu, miejsca, gdzie wcześniej stał Kimo.

Gdyby ktoś przyglądał się uważnie, dostrzegłby, że pojawia się pewien wzór. Substancja na chwilę przybierała kształty odciśniętych stóp, po czym znów się wygładziła i popęzła ku rufie, do głównej kabiny.

W środku grało radio, odbierało na falach krótkich muzykę klasyczną. Pasowała do kolacji. Kimo był zadowolony z wieczoru, towarzystwa i jedzenia. Ale kiedy Halverson za nic na świecie nie chciał zdradzić swojego przepisu na taco, Kimo zauważył coś dziwnego.

Coś zaczynało pokrywać szerokie przyciemniane okna kabiny, zasłaniać niebo i blask światła wysoko na maszcie katamaranu. Substancja posuwała się w górę szybciej jak nawiewany przez wiatr i gromadzący się na płaskiej powierzchni śnieg lub piasek, ale dużo, dużo szybciej.

- Co to, na Boga...

Thalia spojrzała w okno. Halverson popatrzył w drugą stronę, na pokład rufowy. Na jego twarzy malował się niepokój.

Kimo odwrócił głowę. Szara substancja wpływała przez otwarte drzwi. Poruszała się wzdłuż pokładu i... wznosiła.

Thalia też to zobaczyła. To coś pełzło prosto do niej.

Zerwała się z miejsca i strąciła talerz ze stołu. Resztki kolacji wylądowały przed nadciągającą masą. Gdy szara substancja dotarła do jedzenia, załapała je, przykryła całkowicie i spiętrzyła się na nich.

- Co to? - zapytała Thalia.
- Nie wiem - odrzekł Kimo. - Nigdy...

Nie musiał kończyć zdania. Żadne z nich nigdy nie widziało czegoś takiego. Z wyjątkiem...

Kimo zmrugał oczy. Dziwna substancja płynęła jak ciecz, ale miała ziarnistą fakturę. Wyglądała bardziej jak przesypujący się metaliczny proszek, jak najdrobniejszy piasek przemieszczający się na wietrze.

- Właśnie to widziałem na wodzie - wyjaśnił Kimo, cofając się. - Mówiłem, że tam coś jest.

- Co robi to coś? Wszyscy odsunęli się do tyłu.

- Chyba je rybę - odparł Halverson.

Kimo przyglądał się temu z mieszaniną strachu i podziwu. Zerknął przez otwarte drzwi. Pokład rufowy pokrywała taka sama szara substancja.

Rozejrzał się, szukając wyjścia. Na dziobie mieściły się koje, więc znaleźliby się w pułapce. Ewakuacja w stronę rufy oznaczałaby, że muszą przejść po dziwnej substancji.

- Chodźcie - powiedział i wdrapał się na stół. - Cokolwiek to jest, lepiej tego nie dotykać.

Kiedy Thalia do niego dołączyła, sięgnął do świetlika i go otworzył. Podsadził ją. Podciągnęła się przez otwór na dach kabiny.

Halverson wspiał się na stół za nimi, ale się ześliznął. Trafił stopą w metaliczny pył i rozchlapał go jak kałużę. Część substancji opryskała mu łydkę.

Jęknął, jakby się oparzył. Sięgnął w dół i spróbował oczyścić nogę, ale masa przywarła do jego dłoni.

Potrząsnął ręką i wytarł ją o szorty.

- To mnie szczypie! - zawył i skrzywił się z bólu.

- Chodź, Perry! - krzyknął Kimo.

Halverson wszedł na stół, miał resztkę szarej substancji na dłoni i nodze. Błat zarwał się pod ciężarem dwóch mężczyzn.

Kimo złapał się krawędzi świetlika i zawisł na rękach, ale Halverson spadł. Wylądował na plecach i uderzył się w głowę. Wydawał się ogłuszony. Jęknął, przetoczył się i podparł, żeby wstać.

Szara substancja pokryła mu dłonie, ramiona i plecy. Zdołał się podnieść i przytrzymać przegrody, ale część masy dotarła do jego twarzy. Halverson opędzał się, jakby wokół niego roило się od pszczoł. Zacisnął powieki, ale dziwne drobiny wciskały mu się do oczu, wdzierały do nozdrzy i uszu.

Odsunął się od przegrody i opadł na kolana. Zaczął grzebać w uszach i wrzeszczeć. Substancja otoczyła mu usta i zaczęła się wlewać do gardła. Jego krzyki zamieniły się w charczenie duszącego się człowieka. Upadł na twarz. Rozprzestrzeniająca się masa cząstek zaczęła go pokrywać niczym chmara mrówek w dżungli.

- Kimo! - zawołała Thalia.

Jej głos wyrwał go z transu. Podciągnął się i wydostał przez otwór na dach kabiny. Zatrzasnął świetlik i zaryglował szczelnie. W blasku reflektorów z masztu zobaczył, że szara chmara rozprzestrzeniła się już na cały pokład dziobowy i rufowy. Wspiniała się też po bokach kabiny.

Tu i tam zdawała się piętrzyć na czymś tak, jak wcześniej na straconej ze stołu kolacji i Halversonie.

- Włazi tu! - krzyknęła Thalia.

- Nie dotykaj tego!

Po jego stronie inwazja chmary postępowała wolniej. Kimo szukał pod ręką czegokolwiek, co mogłoby pomóc. Natrafił na wąż pokładowy, otworzył zawór i skierował strumień wody na szarą masę.

Struga odrzuciła cząstki do tyłu, zmyła je ze ściany kabiny niczym błoto.

- Tutaj!

Przeszedł na drugą stronę kabiny i splukał substancję.

- Stań za mną! - wrzasnął do Thalii, poruszając węzem.

Strumień wody trochę pomagał, ale to była przegrana bitwa. Chmara otaczała ich i zbliżała się ze wszystkich stron. Kimo robił, co mógł, ale nie nadążał.

- Powinniśmy skoczyć - stwierdziła Thalia.

Kimo spojrzął na ocean. Chmara ciągnęła się od katamaranu daleko w głąb oceanu, skąd przybyła.

- Nie sądzę - odparł.

Rozejrzał się po pokładzie. Dwa dwudziestolitrowe kanistry benzyny stały blisko rufy. Dał pełne ciśnienie wody i zaczął przesuwając strumień z boku na bok, by utorować sobie drogę przez chmurę.

Rzucił wąż, pobiegł naprzód i skoczył. Wylądował na mokrym pokładzie, przeciął go poślizgiem i wpadł na pawęż.

Uczucie szczypania - jakby ktoś polewał mu spirytusem salicylowym podrażnioną skórę - świadczyło o tym, że ma na rękach i nogach część substancji. Zignorował ból, chwycił pierwszy kanister i zaczął rozlewać paliwo po pokładzie.

Szary osad cofał się przed benzyną, ale szukał nowej drogi naprzód.

Na dachu kabiny Thalia zmywała strumieniem wody wciąż malejący krąg wokół siebie. Nagle krzyknęła i upuściła wąż, jakby została ukąszona. Odwróciła się i zaczęła wspinać na maszt, ale Kimo widział, że chmara pokrywa jej nogi.

Wrzasnęła i spadła.

- Kimo! - zawołała. - Pomóż mi. Pom...

Chlusnął resztą benzyny na pokład i złapał drugi kanister. Był lekki i prawie pusty. Strach przeszył mu serce niczym włócznia.

Tylko bulgot i odgłosy walki dochodziły z miejsca, gdzie upadła Thalia. Kimo widział jej rękę wystającą spod masy cząstek. Przed nim ta sama masa szukała drogi do jego stóp.

Spojrzał jeszcze raz na powierzchnię morza. Chmara pokrywała ją jak warstwa płynnego metalu aż do granic światła. Kimo stanął w obliczu straszliwej prawdy. Nie było ucieczki.

Nie chciał zginąć tak jak Thalia i Halverson. Podjął decyzję.

Wylał resztę paliwa na pokład, zmuszając chmurę do kolejnego odrotu, wyciągnął z kieszeni zapalniczkę i opadł na jedno kolano. Przyłożył zapalniczkę do mokrego od benzyny pokładu, przygotował się i pstryknął.

Iskry zapaliły opary. Ogień buchnął do przodu z rufy kataramaranu. Płomienie pomknęły przez nadciągającą chmurę aż do kabiny i zawróciły w kierunku Kima. Otoczyły go i zapłonął.

Cierpienie było nie do zniesienia nawet przez krótkie sekundy życia, jakie mu pozostały. Niezdolny do krzyku z wypalonymi płucami Kimo Akona zatoczył się do tyłu i wpadł do czekającego oceanu.

ROZDZIAŁ 3

Kurt Austin stał w półmroku warsztatu na dolnym poziomie przystani. Minęła północ.

Barczysty i dość przystojny Kurt miał raczej surową męską urodę niż rysy amanta. Jego stalowoszare włosy nie pasowały do trzydzistopięciolatka, za to wydawały się wprost stworzone dla człowieka, jakiego znali wszyscy jego przyjaciele. Miał wyraźnie zarysowaną szczękę, proste, ale nie idealne zęby, twarz opaloną i pobrużdżoną po latach spędzonych na wodzie i wśród żywiołów.

Nabity i mocnej budowy - tak go opisywano. Ale z jego surowej twarzy spoglądały oczy o przenikliwym szczerym spojrzeniu. Ta bezpośredniość i blask niebieskich tęczy często sprawiały, że ludzie zatrzymywali się zaskoczeni.

Teraz te oczy przyglądały się uważnie wykonanej z zamiłowaniem pracy.

Kurt budował skul wyścigowy. Myśli o osiągnięciach rządziły jego umysłem. O współczynnikach oporu i tarcia oraz mocy, jaką może wygenerować istota ludzka.

Powietrze wokół niego pachniało lakierem do drewna, podłogę zaścielały wióry, drzazgi i inne śmiecie, które się gromadzą przy ręcznym wyrobie łodzi.

Po miesiącach przerywanej pracy Kurt uznał, że osiągnął wynik bliski perfekcji. Sześć metrów długości. Wąski i smukły.

Miodowy kolor drewnianego skula lśnił spod dziewięciu warstw szelaku blaskiem, który zdawał się oświetlać pomieszczenie.

- Cholernie fajna łódka - stwierdził Kurt, podziwiając produkt końcowy.

Szkliste wykończenie skula wydobywało z koloru głębie, jakby drewno znajdowało się kilka kilometrów pod lakierem. Wystarczyło spojrzeć nieco inaczej, żeby dostrzec odbite w lakierze pomieszczenie.

Po jednej stronie odbicia leżał nowy nietknięty komplet narzędzi w jaskrawoczerwonej skrzynce. Po drugiej, na perforowanej tablicy warsztatowej, wisały starannie rozmieszczone stare młotki, piły i heble z popękkanymi i odbarwionymi ze starości drewnianymi trzonkami.

Nowe narzędzia kupił sam, stare dostał od dziadka - prezent i przesłanie jednocześnie. A pośrodku, jakby między dwoma światami, Kurt widział siebie.

Wydawało się to właściwe. Kurt przez większość czasu obcował z nowoczesną techniką, ale uwielbiał stare rzeczy - dawną broń, domy sprzed wojny secesyjnej i z epoki wiktoriańskiej, a nawet zapomniane listy i dokumenty. Wszystkie te rzeczy przykuwały jego uwagę z jednakową siłą. Ale to łódzie, łącznie z tą, którą właśnie skończył, dawały mu najwięcej radości.

Na razie smukły skul spoczywał w kołysce, ale nazajutrz Kurt zamierzał zdjąć go ze stojaka, zaopatrzyć w wiosła, zwodować i odbyć nim dziewiczy rejs. Napędzana siłą mięśni jego nóg, ramion i pleców łódź prulaby po spokojnej powierzchni Potomacu z zadziwiającą prędkością.

Ale, pomyślał, lepiej przestanę na nią patrzeć i podziwiać, bo jutro rano będę za bardzo zmęczony, żeby wiosłować.

Opuścił drzwi warsztatu i podszedł do wyłącznika światła.

Zanim zdążył je zgasić, zaskoczyło go denerwujące buczenie. To komórka wibrowała na stole warsztatowym. Chwytał telefon i rozpoznał nazwisko na ekranie. Odebrał.

Dzwonił Dirk Pitt, dyrektor NUMA, szef i dobry przyjaciel Kurta. Zanim Pitt został dyrektorem, przez kilkadziesiąt lat ryzy-

kował życie i zdrowie podczas specjalnych zadań wykonywanych na zlecenie agencji. Okazjonalnie nadal to robił.

- Przepraszam, że przeszkadzam ci w środku nocy - zaczął Pitt. - Mam nadzieję, że jesteś sam.

- Właściwie - odparł Kurt, oglądając się na łódź - jestem w towarzystwie pięknej blondynki, pełnej wdzięku i gładkiej jak aksamit. I widzę siebie spędzającego z nią sam na sam mnóstwo czasu.

- Niestety musisz to odłożyć i życzyć jej dobrej nocy.

Poważny ton w słowach Pitta zabrzmiał głośno i wyraźnie.

- Co się stało?

- Znasz Kima A'konę? - zapytał szef.

- Pracowałem z nim przy Hawajskim Projekcie Ekologicznym. - Kurt zdawał sobie sprawę, że Pitt nie zaczynałby rozmowy w ten sposób, gdyby nie wydarzyło się coś złego. - Facet pierwsza klasa. Dlaczego pytasz?

- Wykonywał dla nas zlecenie na Oceanie Indyjskim. Razem z Perrym Halversonem i Thalią Quivaros. Straciliśmy z nimi kontakt dwa dni temu.

Kurtowi nie spodobało się to, co usłyszał, ale radia nawalały, czasem zawodzą całe instalacje elektryczne, a załogi często okazują się całe i zdrowe.

- Co się stało?

- Nie wiemy, ale dziś rano ich dryfujący katamaran zauważono pięćdziesiąt mil morskich od miejsca, gdzie powinien się znajdować. Samolot z Malediwów przeleciał nad nim nisko dziś po południu. Zdjęcia pokazują poważne uszkodzenia kadłuba przez ogień. Ani śladu załogi.

- Nad czym pracowali?

- Analizowali temperatury, zasolenie i poziomy tlenu w lokalnych wodach - odpowiedział Pitt. - Nic niebezpiecznego. Takie zadania rezerwuję dla ciebie i Joego.

Kurt nie wyobrażał sobie, żeby zwykle badania mogły komuś przeszkadzać.

- A jednak podejrzewasz przestępstwo?

- Nie wiemy, co zaszło - podkreślił Pitt. - Ale coś jest nie tak. Z powietrza widać pojemniki z tratwami ratunkowymi. Są spalone, ale nie ruszone. Halverson miał dziesięcioletnie doświadczenie, przedtem służył osiem lat w marynarce handlowej. Kimo i Thalia byli młodszy, ale dobrze wyszkoleni. Nikt z nas nie potrafi znaleźć przyczyny pożaru na żagłowie. A nawet gdybyśmy potrafili, nikt nie umie wyjaśnić, dlaczego troje doświadczonych żeglarzy nie zwodowało tratw ratunkowych i nie wezwało pomocy w takich okolicznościach.

Kurt milczał. On też nie miał pojęcia, dlaczego tego nie zrobili, chyba że zostali w jakiś sposób pozbawieni możliwości działania.

- Reasumując, zaginęli - ciągnął Dirk. - Może ich odnajdziemy. Ale obaj żyjemy wystarczająco długo, by wiedzieć, że nie wygląda to dobrze.

To prawda. Troje członków NUMA zaginęło i przypuszczalnie już nie żyło. Dla Dirka Pitta i Kurta Austina to była sprawa osobista.

- Co mam zrobić?

- Ekipa ratunkowa wyrusza z Malediwów - odrzekł Pitt. - Chcę tam mieć ciebie i Joego jak najszybciej. To oznacza, że jesteście w samolocie za cztery godziny.

- Nie ma problemu - odparł Kurt. - Czy ktoś ich nadal szuka?

- Samolot poszukiwawczo-ratowniczy z Malediwów, dwie maszyny P-3 naszej marynarki wojennej i eskadra dalekiego zasięgu z południowych Indii przeczesują strefę, odkąd zauważono katamaran. Na razie bez skutku.

- Więc to nie jest akcja ratunkowa.

- Chciałbym, żeby była - powiedział Pitt. - Ale dopóki nie dostaniemy jakiejś dobrej wiadomości, na co nie liczę, waszym zadaniem jest ustalenie, co się stało i dlaczego.

Kurt skinął głową, choć Pitt nie mógł tego widzieć.

- Jasne.

- Zostawię ci przyjemność obudzenia pana Zavali - oznajmił Pitt. - Informujcie mnie na bieżąco.

Dirk Pitt się rozłączył.

Kurt odłożył komórkę i pomyślał o czekającym go zadaniu. Mimo wszystko miał nadzieję, że troje członków NUMA zostanie odnalezionych na morzu w kamizelkach ratunkowych, zanim on przemierzy Atlantyk, ale biorąc pod uwagę stan katamaranu i to, że zaginęli dwa dni temu, szczerze w *to* wątpił.

Wsunął telefon do kieszeni i popatrzył na lśniąca łądz.

Bez wahania sięgnął do wyłącznika światła, zgasił je i wyszedł.

Jego randka musiała poczekać do innego poranka.

ROZDZIAŁ 4

Środkowy Jemen

Postać w bieli stała na skale, która wyrastała ponad piaski rozległej jemeńskiej pustyni. Wiatr szarpał kaftanem mężczyzny, strój powiewał w podmuchach z przytłumionym trzepotem.

Z tyłu, tuż nad skrajem urwiska, widać było lśniący biały helikopter. Zielone logo - dwie palmy daktylowe ocieniające oazę - zdobiło bok śmigłowca. Trzy piętra niżej leżało wejście do szerokiej jaskini.

W przeszłości grotę strzegłoby kilku Beduinów ukrytych wśród turni, ale tego dnia tuzin ludzi z karabinami automatycznymi stał na widoku, zaś około dwudziestu innych czekało w ukryciu.

Jinn al-Khalif uniósł lornetkę do oczu i popatrzył, jak trzy humvee toczą się przez pustynię w jego stronę. Wznosiły się i opadały na wydmach jak małe łodzie na morskich falach.jechały w trójkątnej formacji.

- Podążają starym szlakiem - zwrócił się do swego towarzysza. - W czasach mojego ojca byłaby to karawana kupców korzennych, Sabah. Teraz tylko bankierzy nas odwiedzają.

Opuścił lornetkę i spojrzał na starszego brodatego mężczyznę. Sabah był najwierniejszym sługą ojca. Miał na sobie ciemniejszą szatę i trzymał radiotelefon.

- Znasz ich motywy - odrzekł Sabah. - Nie obchodzą ich ani my, ani nasza walka. Przyjeżdżają, bo obiecujesz im bogactwo. Musisz dotrzymać słowa, zanim będziemy mogli zrobić to, co postanowiliśmy.

- Xhou jest z nimi?

Sabah przytaknął.

- Przyjadą wszyscy członkowie konsorcjum. Nie powinniśmy kazać im czekać.

- A co z generałem Azizem z Egiptu? - zapytał Jinn. - Nadal wstrzymuje obiecane fundusze?

- Spotkamy się za trzy dni - odparł Sabah. - W bardziej odpowiednim dla niego czasie.

Jinn al-Khalif odetchnął głęboko, wciągając do płuc czyste pustynne powietrze. Aziz obiecał konsorcjum wiele milionów w imieniu grupy egipskich biznesmenów i wojskowych, ale nie wpłacił jeszcze ani grosza.

- Drwi sobie z nas - stwierdził.

- Porozmawiamy z nim i przywołamy go do porządku - zapewnił Sabah.

- Nie. Będzie nadal z nami igrał, bo może to robić bezkarnie. Bo uważa, że jest poza naszym zasięgiem.

Sabah popatrzył na niego pytająco.

- Oto rozwiązanie zagadki życia - powiedział Jinn. - Nie liczą się pieniądze, majątek, żądza ani nawet miłość. Żadna z tych rzeczy nie wystarczyła, żeby mnie uratować, kiedy bandyci zajęli nasz obóz. Tylko jedno jest teraz ważne, tak samo jak było wtedy. Władza. Pełna, absolutna władza. Kto ją ma, ten rządzi. Kto jej nie ma, ten błaga. Aziz zmusza nas do błagania, ale niedługo odwrócę sytuację. Niedługo zdobędę taki rodzaj władzy, jakiego jeszcze nigdy nie miał żaden człowiek.

Sabah z uśmiechem pokiwał głową.

- Dużo się nauczyłeś, Jinn. Więcej niż miałem nadzieję. Przerosteś swojego nauczyciela, naprawdę.

Poniżej nich humvee zwolniły i zatrzymały się przed jaskinią.

- Byłeś moją gwiazdą przewodnią - odrzekł Jinn. - Dlatego mój ojciec powierzył mnie twojej opiece.

Sabah skłonił się lekko.

- Przyjmuję twoje uprzejme słowa. A teraz powitajmy naszych gości.

Kilka minut później znaleźli się w grocie cztery poziomy niżej. Temperatura w środku wynosiła dwadzieścia siedem stopni Celsjusza, co mocno kontrastowało z czterdziestostopniowym wiatrem na dworze.

Mimo prymitywnych wykutych w skale ścian zebrani goście siedzieli w wygodnych biurowych fotelach przy czarnym stole konferencyjnym. Salę urządzono w jaskini, ale wystrojem przypominała wielki pokój konferencyjny w nowoczesnym biurowcu.

Wszyscy mieli przed sobą małe ekrany wpuszczone w blat. Komputery ciągnęły się wzdłuż ścian. W ukrytych pomieszczeniach otaczających salę mieściły się kwatery mieszkalne i stojaki z bronią.

Jinna wiele kosztowała przeróbka dawnego miejsca spotkań Beduinów w zakurzonej szczelinie na nowoczesną kwaterę główną. Proces okazał się równie długi i skomplikowany, jak ewolucja jego rodziny, która przeistoczyła się z grupy handlujących wielbłędami i tradycyjnymi towarami koczowników w nowoczesne przedsiębiorstwo działające w branży technologicznej, naftowej i żegludze.

Wielbłądy, od wieków hodowane przez jego rodzinę, i należąca do niej oaza dawno zniknęły, zamienione na udziały w nowoczesnych firmach. Pozostały tylko słowa ojca: „Nie wolno ci okazać litości... Jeśli nie znajdziemy w sobie siły, by zabijać naszych wrogów, zaberą nam wodę. A bez wody zostanie nam tylko tułaczka i śmierć”.

Jinn nigdy nie zapomniał tej przestrogi i zawsze bezwzględnie się do niej stosował. Z pomocą Sabaha i dzięki pieniądзом

ludzi zgromadzonych teraz w jaskini był o krok od zapewnienia sobie takiej kontroli nad połową światowych zasobów wody, jaką jego ojciec miał kiedyś nad oazą.

Pan Xhou wszedł ze swoimi asystentami. Sabah go powitał i zaprowadził do miejsca przy stole. Zebrało się tam dziewięciu ważnych ludzi. Pan Xhou z Chin, Mustafa z Pakistanu, szejk Abin da-Alhrama z Arabii Saudyjskiej. Suthar przybył z Iranu, Attakari z Turcji, a kilku mniej znaczących gości z Afryki Północnej, dawnych republik radzieckich i innych krajów arabskich.

Nie byli przedstawicielami rządów, lecz biznesmenami, ludźmi zainteresowanymi planem Jinna.

- Z łaski Allaha znów jesteśmy razem... - zaczął Jinn.

- Daj sobie spokój z religijnymi oświadczeniami - odezwał się pan Xhou. - Opowiedz o postępach. Wezwałeś nas tutaj, żeby poprosić o więcej funduszy, a jeszcze nie widzimy wyników, które obiecałeś.

Obcesowość Xhou dotknęła Jinna, ale Chińczyk najwięcej inwestował. Finansował Jinna, lecz także stawiał na obiecanie przez niego kokosy. Dlatego Xhou niecierpliwił się od samego początku. Nie mógł się doczekać przejścia z etapu inwestycji do etapu zysków. A w sytuacji, gdy Aziz ich kiwał, Jinn potrzebował wsparcia Xhou bardziej niż kiedykolwiek.

- Jak wiecie, generał Aziz nie widzi możliwości uruchomienia środków, które obiecał.

- I może nic dziwnego - odparł Xhou. - Jak dotąd, wydajemy miliardy i niewiele z tego mamy. Jestem właścicielem ośmiuset tysięcy hektarów bezwartościowej mongolskiej pustyni. Jeśli twoje przechwałki nie staną się wkrótce rzeczywistością, stracę cierpliwość.

- Zapewniam cię - uspokoił go Jinn - że postępy będą wkrótce widoczne.

Włączył pilotem małe ekrany przed swoimi gośćmi. Większy monitor na ścianie wyświetlał taki sam kolorowy obraz Morza Arabskiego i Oceanu Indyjskiego. Czerwone, pomarańczowe

i żółte sektory przedstawiały gradienty temperatury. Krążące strzałki wskazywały kierunki i szybkości prądów.

- Oto standardowy wzorzec prądu w Oceanie Indyjskim według przeciętnych z ostatnich trzydziestu lat - wyjaśnił Jinn. - Zimą i wiosną prąd płynie ze wschodu na zachód, odwrotnie do ruchu wskazówek zegara, poruszany zimnymi, suchymi wiatrami wyzłowymi znad Indii i Chin. Ale latem wzorzec się zmienia. Ląd nagrzewa się szybciej niż woda. Powietrze się unosi i wiatr wieje od morza. Prąd się zmienia, płynie zgodnie z kierunkiem ruchu wskazówek zegara i sprowadza monsun do Indii.

Jinn nacisnął przycisk na pilocie, żeby pokazać zmianę wzorca.

- Jak wicie, gradienty temperatury i ciśnienia powodują wiatry. Wiatry poruszają prądy oceaniczne i razem z nimi osuszają powietrze albo wywołują deszcze monsunowe. W tym wypadku przynoszą wilgoć nad Indie i Azję Południowo-Wschodnią, wywołując deszcze monsunowe, które nawadniają tamte obszary i zapewniają żywność ich ogromnym populacjom.

Nowa animacja na wyświetlaczu pokazywała chmury płynące nad Indiami do Bangladeszu, Wietnamu, Kambodży i Tajlandii.

- Wiemy to wszystko - wtrącił nagle Mustafa z Pakistanu. - Widzieliśmy już tę demonstrację. Kiedy oni mają obfite zbiory, w naszych krajach panuje susza. Piaski są spalone. Przyjechalibyśmy tu zobaczyć, czy uda ci się to zmienić, bo zainwestowaliśmy fortunę w twój plan.

- Właśnie - przytaknął ktoś inny.

- Czy wzywałbym was tutaj, gdybym nie miał dowodu?

- Jeśli go masz, to pokaż - zażądał Xhou.

Jinn znów zmienił pilotem obraz na ekranie.

- Trzy lata temu zaczęliśmy wpuszczać chmurę do wschodniego kwadrantu Oceanu Indyjskiego.

Mały, nieregularny trójkąt pojawił się na monitorze w pobliżu równika.

- Co roku, dzięki waszym funduszom, zapęłniamy kolejne sektory. Co roku chmara, zgodnie z obietnicą, sama się rozrasta. Dwa lata temu zajmowała dziesięć procent docelowego obszaru.

Nieregularny trójkąt wydłużył się i rozciągnął z prądem. Drugi zaokrąglony sektor rozprzestrzenił się w jego stronę od zachodu.

- Rok temu osiągnęliśmy trzydzieści procent nasycenia.

Następny obraz. Dwie ciemne plamy połączyły się i nakładały na południową pętlę prądu w Oceanie Indyjskim.

- Wiemy już, że opady stały się mniej obfite w Indiach. W zeszłym roku zbiory były najgorsze od dziesięcioleci. W tym roku będą czekali na chmury, które nie napłyną.

Użył pilota po raz kolejny. Nieliczne czarne miejsca się zmniejszyły, ale większy i ciemniejszy wzór w środkowej części Oceanu Indyjskiego się rozrósł. Dzięki naturalnej działalności prądów morskich i manipulacji Jinn nastąpiła wysoka koncentracja chmury w rejonie nazywanym przez oceanografów strefą obrotu, środkiem Wielkiego Wiru. Skupiona w ten sposób, mogła wywierać dużo silniejszy wpływ na temperaturę wody i wynikającą z tego pogodę.

- Temperatura wody spada, ale temperatura powietrza nad rejonami oceanicznymi rośnie, co przypomina wahania odczuwalne na lądzie - powiedział Jinn. - Wzorce pogody się zmieniają. Już pada intensywniej niż kiedykolwiek w górach Etiopii i Sudanu. Po latach suszy Jezioro Namera grozi przepełnieniem.

Grupa była pod wrażeniem. Wszyscy z wyjątkiem Xhou.

- Głód w Indiach niczego nam nie da - stwierdził. - Może tylko Mustafie, który postrzega je jako starego wroga. Zamierzamy uprawiać zboże, żeby je sprzedawać, kiedy silosy innych krajów będą puste. Co nie nastąpi, dopóki to u nas nie zmieni się klimat.

- Oczywiście - zgodził się Jinn. - Ale nie można uzyskać drugiego efektu bez wcześniejszego osiągnięcia pierwszego. Deszcz popada, wasza bezwartościowa sucha ziemia wyda plony i zbijecie jeszcze większe majątki, niż robicie teraz na sprzedaży ryżu i zboża miliardowi głodujących ludzi.

Xhou odchrząknął głośno na znak irytacji, rozparł się wygodnie i zaplótł ręce na piersi. Nie wydawał się usatysfakcjonowany.

- To proste - ciągnął Jinn. - Sześć tysięcy lat temu Bliski Wschód, Półwysep Arabski i Afryka Północna były żyzne, nie

suche. Miały trawiaste obszary, sawanny i zadrzewione równiny. Potem klimat się zmienił i pojawiły się pustynie. Spowodowała to zmiana prądów morskich i gradienty temperatury. Chyba każdy naukowiec to potwierdzi. Jesteśmy w trakcie odwracania tego procesu. Pierwszą oznakę postępu mieliśmy w zeszłym roku. W tym już nie będzie żadnych wątpliwości.

Szejk Alhrama z Arabii Saudyjskiej zabrał głos.

- Jak to się dzieje, że nikt nie zauważył twojej chmury? Przecież czegoś tak wielkiego nie mogą przeoczyć satelity.

- Chmara w ciągu dnia pozostaje pod powierzchnią wody. Powstrzymuje przenikanie ciepła w głąb oceanu, pochłaniając je. Kiedy zapada noc, chmara się wynurza i oddaje ciepło z powrotem do atmosfery. Niczego nie widać. Na normalnym zdjęciu satelitarnym będzie tylko ocean. Obraz termowizyjny pokaże dziwne promieniowanie.

- A co z próbkami wody? - zapytał Xhou.

- O ile chmara nie wejdzie w najbardziej agresywny tryb, nawet w próbce wody zobaczy się gołym okiem najwyższe zanieczyszczenie, może zanieczyszczenie. Tylko pod wyjątkowo silnym mikroskopem można dostrzec pojedyncze nanoboty. Nic nas nie zdradzi. Ale na wszelki wypadek obserwujemy statki badawcze. Chmara je omija.

- Nie wszystkie.

Jinn był zaskoczony. Domyślał się, co Xhou zaraz powie, ale skąd miał tę informację? Z drugiej strony, Xhou nie dotarłby na szczyt, gdyby nie wiedział, jak zdobywać informacje.

- O czym on mówi? - spytał Mustafa.

- Mała jednostka badawcza nas zaskoczyła - odrzekł Jinn. - Amerykanie. Zajęliśmy się nimi.

Xhou pokręcił głową.

- Ci Amerykanie byli z NUMA. Z Narodowej Agencji Badań Morskich i Podwodnych.

Szmer przebiegł przez grupę. Jinn zrozumiał, że musi szybko opanować sytuację. Potrzebował następnego zastrzyku pieniędzy, żeby cała operacja nie zakończyła się fiaskiem.

- Nie mogliśmy temu zapobiec - oznajmił. - Nie mieliśmy powodu podejrzać żaglówki z trzyosobową załogą. Nie wystąpili o żadne pozwolenia, niczego nie zgłosili. Zanim się zorientowaliśmy, co robią, byli o krok od odkrycia chmury. Zdążyli już wysłać dane o gradiencie temperatury do swojej centrali.

- I co się stało? - zapytał szejk.

- Chmura ich pochłonęła.

- Pochłonęła ich?

Jinn przytaknął.

- W trybie pożywania się chmura może pożreć wszystko na swojej drodze. Tak jest zaprogramowana, tego wymaga jej reprodukcja i samoobrona. Po prostu aktywowaliśmy ten tryb.

Słyszac to, Xhou rozzłościł się jeszcze bardziej.

- Jesteś głupcem, Jinn. Każda akcja wywołuje reakcję. NUMA przeprowadzi dochodzenie. Zirytuje ich strata załogi i będą chcieli ustalić, co zaszło. Mają opinię nieustępliwych. Obawiam się, że udało ci się tylko obudzić psy.

Jinn zakipiał z gniewu. Nie tolerował takiego traktowania.

- Nie mieliśmy wyboru. Teraz, kiedy chmura się skoncentrowała, jest bardziej bezbronna. Gdyby Amerykanie ją znaleźli, to możliwe, choć mało prawdopodobne, że podjęliby działania, zanim rozpoczęlibyśmy ostatnią fazę naszego planu. Gdybyśmy na to pozwolili, wszystkie nasze wysiłki poszłyby na marne.

- A co zapobiegnie temu w przyszłości?

Jinn wypiął pierś.

- Kiedy zmienimy wzorzec klimatu, chmurę znów będzie można rozproszyć. Dzięki procesowi naturalnej reprodukcji rozrośnie się i rozprzestrzeni na tyle, że nawet wspólne wysiłki wszystkich państw świata nie wystarczą, by ją zniszczyć.

- Dokąd dotrze? - spytał Mustafa.

- Wszędzie - odrzekł Jinn. - W końcu opanuje wszystkie oceany i morza świata. Będziemy mieć wpływ na pogodę nie tylko na naszych kontynentach, lecz na każdym skrawku lądu na kuli ziemskiej. Bogate kraje będą nam płacić za dostarczanie tego, co kiedyś dostawały za darmo.

- A jeśli zaatakują chmurę? - zapytał Xhou.
- Musieliby podpalić całą powierzchnię oceanu, żeby zagrozić chmurze w jakikolwiek sposób. A nawet, gdyby to zrobili, ocalałe nanoboty zreprodukowałyby się i chmura by odżyła jak las po pożarze.
- Członkowie konsorcjum popatrzyli na siebie i pokiwali głowami. W pełni rozumieli, jaką bronią dysponuje Jinn. Mieli udział w jej stworzeniu.
- Jinn postąpił słusznie - orzekł szejk, by wesprzeć swojego arabskiego brata.
- Zgadzam się z tym - przytaknął Mustafa.
- Xhou nie wyglądał na przekonanego.
- Zobaczmy. O ile się orientuję, specjaliści z NUMA są w drodze na Male, żeby rozpocząć dochodzenie. Jeśli chmura nadal jest bezbronna z powodu jej koncentracji, to proponuję ją rozproszyć.
- Teraz nie czas na to - sprzeciwił się Jinn. - Ale bez obaw, wiemy, kto był na katamaranie i komu zlecieli dochodzenie. Zajmiemy się nimi.

ROZDZIAŁ 5

Male to najgęściej zaludniona wyspa ze wszystkich dwudziestu sześciu atoli, które tworzą Malediwy. W minionych wiekach należała do króla, a obywatele państwa mieszkali na innych wysepkach, rozrzuconych na przestrzeni dwustu mil morskich. Teraz Male jest stolicą Malediwów. Żyje na niej ponad sto tysięcy ludzi, sfoczonych na niecałych ośmiu kilometrach kwadratowych. W przeciwieństwie do wysp wulkanicznych - takich jak Hawaje czy Tahiti - na Malediwach nie ma szczytów ani skalnych wypiętrzeń. Najwyższy naturalny punkt na Male znajduje się

zaledwie dwa metry nad poziomem morza, choć wielopiętrowe kondominia i inne budynki wyrastają na każdym skrawku ziemi aż do samej krawędzi wody.

Lot z Waszyngtonu trwał cały dzień. Czternaście godzin do Ad-Dauhy w Katarze, trzy godziny postoju - co w porównaniu z czasem spędzonym w samolocie wydawało się mgnieniem oka - a potem następny pięciogodzinny lot. Samo wejście na pokład wymagało ogromnego samozaparcia po tylu godzinach w powietrzu. Wreszcie pasażerowie wylądowali w punkcie docelowym. Tak jakby.

Małe jest tak mała i tak zabudowana, że nie wystarczyło miejsca na port lotniczy. Żeby na nią dotrzeć, trzeba najpierw wylądować na sąsiedniej wyspie Hulhule, która kształtem przypomina lotniskowiec. Pas startowy zajmuje niemal całą jej powierzchnię.

Na pokładzie czterosilnikowego Airbusa A380 Kurt obserwował, jak pasażerowie zaciskają ręce na podłokietnikach, aż bieleją im knykcie, gdy samolot opada coraz bliżej wody. Kiedy wydawało się, że zawadzi podwoziem o fale, pojawił się ląd i wielka maszyna usiadła na betonie.

- Au! - rozległo się obok niego.

Kurt spojrzął w bok. Joe Zavala obudził się gwałtownie przy lądowaniu. Krótkie czarne włosy miał trochę potargane, ciemnobrązowe oczy szeroko otwarte, jakby ktoś szturchnął go ościeniem do poganiania bydła. Spał smacznie, dopóki koła nie dotknęły ziemi.

- Może byś mnie uprzedził następnym razem?

Kurt się uśmiechnął.

- I zmarnował niespodziankę? Mały zastrzyk adrenaliny na początek dnia to dobra rzecz.

Joe popatrzył na Kurta podejrzliwie.

- Przypomnij mi, żebym ci nie pozwolił wybrać dla mnie dzwonek ani budzika w komórce. Pewnie ustawiłbyś klakson albo coś podobnego.

Kurt się roześmiał. On i Joe mieli za sobą dziesięć lat wspólnych przygód. Wiele razy wpadali w tarapaty, walczyli i stawia-

li w obliczu nieuniknionej katastrofy, dopóki jakoś nie wyszli z opresji, zwykle w ostatnim momencie.

Kurt wielokrotnie ryzykował życie, żeby uratować Joea. Joe robił dla niego to samo. W jakiś sposób dawało im to prawo do bezlitosnego dokuczania sobie nawzajem w chwilach spokoju.

- Tak chrapiesz - odparł Kurt - że nie wiem, czy klakson by się sprawdził.

Pół godziny później, po szybkim odebraniu bagażu i przejściu odprawy celnej, Kurt i Joe znaleźli się w odkrytej łodzi, znanej skądinąd jako taksówka wodna, przecinającej wąską cieśninę między Hulhule i Male.

Kurt przyglądał się uważnie morzu. Joe siedział z nosem w krzyżówce, którą rozwiązywał przez pół lotu.

- Afrykański kot na sześć liter? - zagadnął Joe.

Kurt się zawahał.

- Nie wpisałbym tygrysa.

- Naprawdę? - zapytał Joe. - Na pewno?

- Na pewno. Wyglądasz na zmęczonego.

Joe normalnie dobrze znosił podróże. Kurt często się zastanawiał, czy pokolenia odkrywców w jego rodzinie przekazywały sobie nawzajem jakiś sekret, który pozwalał przekraczać tuzin stref czasowych bez żadnych konsekwencji dla samopoczucia. Ale teraz Joe miał podkrążone oczy i mimo szczupłej, atletycznej budowy wydawał się skonany.

- Ty byłeś w Waszyngtonie, kiedy odebrałeś telefon od Pita - odparł Joe. - Dziesięć minut drogi od lotniska. Ja pojechałem do Wirginii Zachodniej z piętnastoma dziećmi z programu młodzieżowego. Biegaliśmy na przełaj i po sprawnościowych ścieżkach zdrowia przez cały weekend.

W wolnym czasie Joe prowadził program dla dzieci z podupadłej części miasta. Kurt często pomagał organizować podobne wycieczki, choć w tej nie brał udziału.

- Starasz się dotrzymać kroku nastolatkom, co?

- To mnie odmładza - odrzekł Joe.

Kurt skinął głową. Obaj byli wysportowani. Musieli dbać o kondycję, żeby wytrzymać rygor pracy w Wydziale Projektów Specjalnych NUMA. Nigdy nie wiedzieli, co ich czeka, ale mogli w ciemno powiedzieć, że będzie to coś trudnego, wymagającego i prawdopodobnie maksymalnie wyczerpującego psychicznie i fizycznie.

Aby temu sprostać, obaj utrzymywali doskonałą formę. Kurt był wyższy, szczuplejszy i zwinniejszy. Wiosłował na Potomacu lub biegał prawie co dzień. Podnosił ciężary i trenował taekwondo, sztukę walki wyrabiającą zręczność i równowagę.

Joe był niższy, szerszy w barach i zbudowany jak bokser. Grał w amatorskiej lidze piłki nożnej i przysięgał, że mógłby się dostać do zawodowej, gdyby tylko poćwiczył szybkość. W tej chwili wydawał się opętany chęcią dokończenia krzyżówki.

Kurt wyrwał mu gazetę i wrzucił do kosza na śmieci.

- Oszczędzaj oczy. Będą ci potrzebne.

Joe popatrzył ze smutkiem na złożony kawałek gazety, wrzucił ramionami i oparł głowę na zagłówek. Zamknął oczy i zaczął się wygrzewać w słońcu. Rejs przez cieśninę miał trwać raptem dziesięć minut.

- Na wakacjach? - zapytał sternik taksówki wodnej, żeby nawiązać rozmowę.

W białej lnianej koszuli z podwiniętymi rękawami i ciemnych okularach przeciwsłonecznych Kurt wyglądał na turystę, który nie może się doczekać pierwszego dnia na plaży. Sternik nie miał powodu przypuszczać, że jest inaczej.

- W interesach - zaprzeczył.

- To dobrze - stwierdził mężczyzna. - Mnóstwo firm na Male. Jaka branża?

Kurt się zastanowił. Nie dało się dokładnie wyjaśnić, czym się zajmuje Zespół Projektów Specjalnych NUMA, bo zasadniczo robili po trosze wszystko. Nagle go olśniło, przecież to proste.

- Rozwiązujemy problemy - odrzekł w końcu.

- To nie tutaj - powiedział sternik. - Malediwy są rajem. Tu nie ma problemów.

Kurt się uśmiechnął. Żałował, że mężczyzna się myli.

Płynęli dalej, wolno i spokojnie, dopóki nie zaczęły się pojawiać przed nimi budynki Male. Taksówka wodna dotarła za falochron i zwolniła. Turkusowe morze ustąpiło miejsca przezroczyściej płytkiej wodzie o odcieniu błękitu.

Kiedy łódź dobiła do nabrzeża, sternik cofnął przepustnicę i rzucił cumę mężczyźnie na brzegu.

Kurt wstał, dał napiwek sternikowi i wyszedł z małej łodzi. Przed nim, na lądzie, turyści spacerowali w słońcu i odwiedzali sklepy przy porcie. Grupa mężczyzn w jaskrawych odbłaskowych kamizelkach naprawiała uszkodzony kawałek nabrzeża. Przerwali pracę, oparli się na łopatach i zagapili na przechodzącą dość atrakcyjną Polinezyjkę.

Kurt wcale się im nie dziwił. Jej gęste, czarne jak atrament włosy opadały na biały top bez rękawów, opalona twarz, wystające kości policzkowe i pełne wargi lśniły w słońcu. I choć była w szarych długich spodniach, Kurt nie wątpił, że nogi ma tak samo opalone jak resztę ciała.

Weszła do sklepu jubilerskiego. Kurt i robotnicy wrócili do swoich zajęć.

- Gotowy?

- Jak zawsze - odrzekł Joe.

Kurt zarzucił plecak na ramiona i pomaszrowali nabrzeżem. Czekali na nich dwie osoby - wysoki, ponaddwumetrowy mężczyzna o poważnym, skupionym wyrazie twarzy i kobieta z uprzejmą, ale szelmowską miną, niebieskozielonymi oczami i lekko kręconymi włosami koloru czerwonego wina. Miała prawie metr osiemdziesiąt wzrostu, ale wydawała się niska przy swoim towarzyszu.

Kurt wskazał ich Joemu.

- Wygląda na to, że Troutowie zdążyli tu przed nami.

Paul i Gamay Troutowie należeli do ich najbliższych przyjaciół i nieocenionych członków Zespołu Projektów Specjalnych. Jej żywiołowy charakter i szelmowska natura były jin dla jego poważnego, rozsądnego jang.

- Witajcie w raju - rzuciła Gamay. Pochodziła z Wisconsin i wciąż mówiła z miękkim środkowo-zachodnim akcentem.

- Jesteś już drugą osobą, która nazwała to miejsce w taki sposób - odrzekł Kurt.

- Wzięłam to z prospektu.

Kurt ją przytulił, potem uściśnął dłoń Paulowi. Joe zrobił to samo.

- Jakim cudem dostaliście się tutaj tak szybko?

Gamay się uśmiechnęła.

- Mieliśmy przewagę czasową. Byliśmy w Tajlandii i próbowaliśmy najbardziej fantastycznych potraw, o jakich kiedykolwiek słyszałam.

- Szczęściarze.

- Chcecie się zameldować w hotelu? - spytał Paul.

Kurt pokręcił głową.

- Chcę obejrzeć katamaran? Ściągnęli go już?

- Łódź ratownicza Malediwskich Narodowych Sił Obronnych przyholowała go przed godziną. Zabezpieczyli go na naszą prośbę.

To była dobra wiadomość.

- Więc chodźmy. Zobaczymy, co znajdziemy.

Po siedmiu minutach doszli przez port do mołu, gdzie dyżurowało kilku marynarzy. Dwie szybkie łodzie patrolowe cumowały kawałek dalej, spalony katamaran NUMA stał przywiązany do knag z boku nabrzeża.

Kurt wypełnił formularze przy małej budce i wręczył kopie swojej legitymacji służbowej i paszportu. Kiedy czekali na pieczętkę, rozejrzał się i zauważył coś dziwnego. Zatrzymał to chwilowo dla siebie, odebrał dokumenty i zwrócił się do mężczyzny w mundurze.

- Mówi pan po angielsku?

- Jak najbardziej - przytaknął z dumą młody człowiek.

- Niech pan mi powie bez patrzenia, czy ładna brunetka w białej bluzce obserwuje nas z chodnika.

Strażnik zaczął odwracać głowę, żeby sprawdzić.

- Bez patrzenia - przypomniał mu Kurt.
Tym razem mężczyzna był ostrożniejszy.

- Tak, jest tam. Jakiś problem?

- Nie, jeśli nie ma się nic przeciwko temu, żeby być śledzo-
nym przez piękne kobiety - odparł Kurt. - Niech pan wyświadczy
nam przysługę i ma ją na oku.

Mężczyzna się uśmiechnął.

- Chętnie. - Po czym dodał, zanim Kurt zdążył to zrobić: -
Bez patrzenia.

- Właśnie.

Kurt odszedł od budki. Potem on, Joe i Troutowie weszli na
pokład katamarana.

- Ale pobjowisko - odezwała się Gamay z rękami na bio-
drach.

Miała rację. Ogień zwęglił i osmałił pół łodzi, stopił włókno
szklane blisko rufy, gdzie musiała być najwyższa temperatura
podczas pożaru. Sprzęt i zapasy walały się wszędzie.

- Czego szukamy? - zapytał Paul.

- Czegokolwiek, co da nam jakieś pojęcie o tym, co się sta-
ło - oznajmił Kurt. - To był wypadek, czy czyjaś robota. Mieli
stałe problemy czy może nagle coś poszło nie tak.

- Znajdę dziennik pokładowy i GPS - zaproponował Paul.

- Sprawdź kabiny - zaoferowała się Gamay.

Joe podszedł do stanowiska sternika. Przetastował kilka prze-
łączników. Nic się nie wydarzyło.

- Brak zasilania.

Kurt się rozejrzył. Katamaran miał dwa panele słoneczne na
dachu kabiny. Wydawały się nietknięte. W dodatku mały wiatra-
czek wysoko na maszcie obracał się swobodnie. System powinien
dostarczać prądu, nawet jeśli nikt go nie używał.

- Sprawdź kable - polecił.

Joe wdrapał się na dach kabiny i znalazł rozwiązanie za-
gadki.

- Przepalone tu na górze. Chyba uda mi się je połączyć.

Kiedy zabrał się do pracy, Kurt zaczął oglądać pojemniki z tratwami ratunkowymi. Nie tylko nie zostały odczepione, ale nikt ich nawet nie otworzył.

- Są ślady wody na dole? - spytał. Pomyślał, że jakaś monstrualna fala mogła uderzyć w katamaran i zmyć załogę z pokładu, choć nadal nie wyjaśniałoby to przyczyny pożaru.

- Nie! - odkrzyknęła Gamay. - Wszystko suche jak pieprz.

Kurt przykucnął, żeby zbadać pozostałości po pożarze. Osad był dziwny i gęsty, bardziej jak szlam niż sadza.

Łódź miała silnik pomocniczy - na wypadek sytuacji awaryjnych lub braku wiatru - ulokowany pod pokładem blisko rufy. Kurt uniósł pokrywę, żeby go obejrzeć.

- Brak śladów ognia w komorze silnikowej - oznajmił, trzy mając osłonę w górze i zerkając ponad nią.

Ciemnowłosa Polinezyjka zbliżyła się do nich. Stała na głównym chodniku przy małym drzewie blisko krańca nabrzeża. Trzymała dziwnie komórkę, jakby fotografowała nią katamaran.

Reporterka?

Spalona łódź nie wydawała się Kurtowi ciekawym materiałem dziennikarskim, chyba że kobieta wiedziała coś, o czym on jeszcze nie miał pojęcia.

Gamay wróciła spod pokładu.

- I co? - zapytał Kurt. Wyciągnęła

ku niemu garść rzeczy.

- Dziennik Thalii, notatki Halversona i laptop.

- Nic podejrzanego?

- Stół w głównej kabinie jest połamany, a naczynia i talerze potłuczone. Ale szafki są zamknięte, więc przypuszczam, że to, co się roztrzaskało, było wyjęte i pewnie akurat używane. Poza tym zniknęło całe jedzenie oprócz konserw.

Po słowach Gamay nadzieja wstąpiła na moment w Kurta. Gdyby załoga katamaranu musiała się ewakuować, to przede wszystkim zabrałaby jedzenie, nie zostawiłaby konserw. Bardziej prawdopodobne, że wzięłyby tylko je, a zostawiła resztę zapasów.

Paul wrócił z dziobu. Przyniósł GPS i przyrządy do pobierania próbek.

- Nic podejrzanego - zameldował - tyle że zawór węża pokładowego zostawili otwarty.

- Może gasili nim pożar - podsunęła Gamay.

Kurt w to wątpił. Dwie czerwone gaśnice tkwiły nietknięte w swoich uchwytych przy obu burtach łodzi.

- Więc dlaczego ich nie użyli? - Wskazał je.

Brakowało mu pomysłów. Popatrzył na Gamay.

- Dirk wspominał, że chodziłaś na zajęcia z kryminalistyki.

Przytaknęła.

- W zeszłym roku doktor Smith uświadomił mi, że drobiazgi mogą nam wiele powiedzieć. Zwłaszcza kiedy wydaje się, że nic nie ma sensu.

- Tak to właśnie widzę - odparł Kurt. - Kilka brakujących pojemników z jedzeniem nie oznacza, że napadli ich piraci, bo komputery i inne wartościowe rzeczy zostały. Połamany stół i potłuczone naczynia mogłyby sugerować walkę, ale to nie wystarczy, żebym pomyślał, że dostali obłądu i pozabijali się nawzajem. Więc jedyne niebezpieczeństwo, jakie widzę, to ten pożar, ale jeśli ugasili go węzem, to chyba zapomnieli, że mają gaśnice.

- Może pożar spowodował, że stracili orientację - zasugerował Paul. - Może wybuchł w nocy? Albo powstały jakieś toksyczne opary i nie mieli innego wyjścia, niż wyskoczyć za burtę.

To zabrzmiało dość prawdopodobnie. I mogło wyjaśniać obecność dziwnego osadu, być może jakiegoś akceleratoru lub żelu. Ale skąd by się tu wziął?

- Zacznijmy od tego - powiedział - że pożar nie wybuchł w komorze silnikowej, więc coś innego musiało go wywołać. Pobierzmy próbki tego szlamu i wszystkiego innego, co wygląda dziwnie.

- Zajmę się tym - odrzekła Gamay.

- A ja pomogę Joemu przywrócić zasilanie - dodał Paul.

Kurt się uśmiechnął.

- Dobra. Nie pozostaje mi nic innego, jak tylko przedstawić się pewnej atrakcyjnej młodej kobiecie.

ROZDZIAŁ 6

Gamay popatrzyła na niego, jakby żartował.

- No oczywiście. Co innego mógłby zrobić Kurt Austin?

Mimo drwiny i podejrzliwych spojrzeń pozostałych Kurt się nie odezwał. Zszedł po trapie na molo, ale przyglądał się strażnikowi przy budce. Udawał, że do niego idzie.

W ostatniej chwili się odwrócił, przeniósł wzrok na kobietę przy drzewie i pomaszerował prosto do niej.

Stawiał energiczne długie kroki. Patrzyła na niego przez chwilę, potem zaczęła się cofać. Kurt szedł dalej.

Kobieta zmierzała w stronę ulicy. Zrobiła ledwie kilka kroków, gdy jakiś samochód dostawczy nadjechał pełnym gazem. Partner przyjechał ją zabrać, domyślił się Kurt.

Ale kobieta przystanąła, jakby zdezorientowana. Popatrzyła na zbliżającą się furgonetkę, potem spojrzała na Kurta i znów na samochód, kiedy zahamował z piskiem opon tuż przy niej.

Drzwi otworzyły się gwałtownie i dwóch mężczyzn wyskoczyło na ulicę. Kobieta rzuciła się do ucieczki, ale ją złapali.

Kurt nie miał pojęcia, co się, do diabła, dzieje, ale wiedział, że nic dobrego. Zaczął biec.

- Hej! - krzyknął do mężczyzn.

Kobieta wrzeszczała, gdy wlekli ją do wozu. Walczyła, ale wepchnęli ją w otwarte drzwi i władowali się za nią do środka. Zanim Kurt dotarł do ulicy, odjechali. Strażnik z budki dobiegł do Kurta, dmuchając w gwizdek, jakby to mogło coś zmienić.

- Ma pan samochód?!

- Tylko skuter - odrzekł mężczyzna, wyciągnął kluczyki i wskazał małą pomarańczową vespę.

Kurt porwał kluczyki i pobiegł do skutera. Musiał mu wystarczyć.

Wskoczył na siedzenie, włożył kluczyk do stacyjki i przekręcił. Silnik o pojemności pięćdziesięciu centymetrów sześciennych ożył z pełną mocą wentylatora łazienkowego.

- Kto dziś nie ma samochodu?! - zirytował się. Złożył stopkę i obrócił pokrętko gazu.

- Wyspa ma tylko trzy kilometry długości - odkrzyknął strażnik. - Po co komu samochód?!

Kurt nie mógł zaprzeczyć, że to logiczne. Zresztą nie miał na to czasu. Otworzył szeroko przepustnicę i vespa wystartowała za uciekającym vanem, warcząc jak podkaszarka.

Chwilę wcześniej Kurt zastanawiał się, czy kobieta jest reporterką, potem zaczął podejrzewać, że może być kimś niebezpiecznym. Teraz starał się uwolnić ją z rąk porywaczy. Bardzo interesujący poranek.

Van pruł ulicą dwieście metrów przed nim. Rozbłyły światła stopu i skręcił w lewo w głąb wyspy.

Kurt zrobił to samo, o mało nie potrącając rowerzysty i ulicznego sprzedawcy ryb. Odbił w bok, wpadł na chodnik i omal się nie wyłożył. Po chwili wrócił na jezdnię.

Furgonetka oddaliła się i Kurt się obawiał, że może jej nie dogonić.

- Super! - mruknął pod nosem, gdy poczuł owady na twarzy. - Od lat słucham opowieści Dirka o tym, jak pożyczał duesenbergi i packardy, i kończę na skuterze o mocy czterech koni mechanicznych.

Pochylił się, żeby zredukować opór powietrza, wdzięczny, że vespa nie ma frędzli na końcach kierownicy ani koszyka z przodu.

Na wprost grupa pieszych przechodziła przez jezdnię. Kurt znalazł kciukiem klakson.

Pi-pip.

Denerwujący przenikliwy sygnał wystarczył, by ludzie się rozstapili. Kurt przemknął przez lukę jak szalenciec i skupił uwagę na furgonetce.

Pędzili w głąb wyspy ulicą o tylu literach i samogłoskach w nazwie, że Kurt nawet się nie starał jej przeczytać ani zapamiętać. Liczyło się tylko to, żeby nie stracić vana z oczu.

Nie miał pojęcia, jaką prędkość rozwijają inne skutery, ale mała vespa wyciągała maksymalnie około sześćdziesięciu pięciu kilometrów na godzinę. Kiedy zaczynał myśleć, że jego zadanie jest niewykonalne, uśmiechnęło się do niego szczęście.

Wbrew retorycznemu pytaniu strażnika, po co komu samochód, wyglądało na to, że mnóstwo ludzi je ma. Zapęłniały wąskie ulice, może nie aż tak jak na Wschodnim Wybrzeżu w godzinach szczytu, ale wystarczająco, by jezdnie przypominały tory przeszkód.

Kiedy Kurt wyprzedził jakiegoś sedana i dostał się między dwa inne, które jechały obok siebie, zobaczył, że zbliża się do furgonetki. Usiłowała się przepchnąć przez ruchliwe skrzyżowanie.

Gdy wyskoczył zza kolejnego wolniejszego samochodu, usłyszał jej głośny klakson. Dotarła do rogu i skręciła w prawo.

Kurt łatwo pokonał zakręt i śmignął między dwoma stojącymi autami, mając nadzieję, że nikt nie otworzy drzwi.

Jechali teraz na zachód i Kurt zmniejszał dystans do vana, nagle zachwycony swoim małym pomarańczowym rumakiem. Dojeżdżali do wody. W jakiś sposób znaleźli się już po drugiej stronie wyspy.

Furgonetka wypadła na otwartą przestrzeń, po czym minęła kontenery i urządzenia portu handlowego. Zatrzymała się z poślizgiem przy czekającej motorówce. Drzwi się otworzyły.

Dwaj mężczyźni, którzy uprowadzili tajemniczą kobietę, wyciągnęli ją na zewnątrz. Van ruszył.

Kurt zignorował samochód i gnał prosto na Polinezyjkę i jej porywaczy. Dogonił ich i zeskoczył ze skutera.

Pozbawiona kierowcy vespa się przewróciła i sunęła po betonie. Kurt poszybował w powietrzu i runął na całą trójkę.

Upadli i potoczyli się po ulicy. Austin otarł sobie kolano i biodro o jezdnię, przeszył go znajomy ból. Mimo to poderwał się i zaatakował napastników.

Jeden z nich pobiegł do łodzi. Drugi wstał i wyciągnął nóż. Patrzył przez chwilę na Kurta, potem cofnął się i rzucił nożem.

Austin się uchylił, ale przeciwnik zyskał cenną sekundę lub dwie. Popędził za kompanem i wskoczył do motorówki. Silnik zaryczał i łódź wystartowała. Kurt nie zauważył na niej żadnych numerów ani oznaczeń identyfikacyjnych.

Pokręcił głową. Rozgrywka zakończyła się remisem. Bandyci zostawili ofiarę, ale uciekli.

Skupił uwagę na kobiecie. Kucała na ziemi, trzymała się za krwawiący łokieć. Krzywiła się z bólu.

Podszedł do niej.

- Jest pani cała? - zapytał szorstko.

Podniosła wzrok, twarz miała we łzach, tusz do rzęs rozmażany. Skinęła głową, ale nadal ścisnęła ramię.

- Chyba złamałam rękę - powiedziała po angielsku.

W Kurcie odezwał się instynkt opiekuńczy, ale męczyzna szybko przypomniał sobie, że kilka minut wcześniej ta kobieta szpiegowała jego i jego przyjaciół i nawet fotografowała katamaran. Uznał, że jest mu winna jakieś wyjaśnienie.

- Zabiorę panią do szpitala - obiecał i pomógł jej wstać - ale najpierw muszę wiedzieć, kim pani jest, dlaczego pani mnie śledziła i czemu tak panią interesował zniszczony katamaran.

- Pan się nazywa Kurt Austin - odparła zdecydowanym, pewnym tonem - i pracuje pan w NUMA.

- Zgadza się - przytaknął. - A skąd pani to wie?

- Nazywam się Leilani Tanner - odrzekła.

To mu coś mówiło. Wytłumaczyła, zanim sobie przypomniał.

- Kimo Akona był moim przyrodnim bratem.

ROZDZIAŁ 7

Kilka tysięcy kilometrów od Male pan Xhou z Chin i Mustafa z Pakistanu jechali prywatnym wagonem w składzie szybkiego pociągu z Szanghaju do Pekinu. Xhou miał na sobie garnitur, Mustafa - plemienny strój Pasztunów. Pół tuzina towarzyszących im podróżnych wyglądało podobnie.

Prędkość i płynność jazdy bezsprzecznie robiła wrażenie, podobnie jak wystrój salonki. Dyskretne oświetlenie miało łagodny białolawendowy kolor. Anatomiczne skórzane siedzenia zapewniały wygodę pasażerom, filtry powietrza i klimatyzacja utrzymywały we wnętrzu uczucie świeżości i przyjemną temperaturę dwudziestu trzech stopni Celsjusza.

Chińskie i pakistańskie przysmaki wypełniały tace, o co dbali dwaj kucharze. Z szacunku dla religii Mustafy nie podawano alkoholu, ale herbaty ziołowe gasiły pragnienie i odświeżały podniebienie.

Mimo przepychu było to spotkanie biznesowe.

- Musisz zrozumieć, w jakiej sytuacji się znaleźliśmy - powiedział z naciskiem Xhou.

- W jakiej ty się znalazłeś - poprawił Mustafa.

- Nie ja - zaprzeczył Xhou. - My wszyscy. Popełniliśmy poważne błędy. I dopiero teraz zdajemy sobie w pełni sprawę, jak wygląda rzeczywistość. Technika kontrolowana przez Jinna stała się jedną z największych potęg, jakie kiedykolwiek stworzył człowiek. Przeobrazi świat, ale my mamy w tym przedsięwzięciu ograniczony udział. Zainwestowaliśmy w wynik bez żadnych roszczeń do maszyny, która go zapewni. Jesteśmy tylko ostatecznymi użytkownikami tego, co Jinn sprzedaje. Jak ci, co kupują energię od zakładu użyteczności publicznej, zamiast zbudować własną elektrownię.

Mustafa pokręcił głową.

- Technika Jinna do niczego nam się nie przyda. W moim kraju nikt nie byłby w stanie jej wykorzystać. Chcemy tylko, żeby Jinn dotrzymał obietnic i przekierował monsun z Indii do Pakistanu. Zmienił pogodę na naszą korzyść. Pogoda może stworzyć imperium lub je zniszczyć. Moi rodacy mają nadzieję, że wykorzystamy ją odpowiednio.

Przez twarz Xhou przemknął protekcyjny wyraz. Znał Mustafę jako przebiegłego, ale prostego człowieka. Proste pragnienia, zemsta na wrogu. Proste myśli, brak wizji wykraczającej poza krótkotrwały zysk.

- Tak - odrzekł - ale musisz zrozumieć, że pogoda nie zmienia się raz na zawsze, na stałe. Ten dar od Jinna szybko może być odebrany wedle jego woli. Kiedy deszcze zaczną padać w naszych krajach, staniemy się od nich zależni jak ci w Indiach, którzy teraz z nadzieją obserwują niebo. Nic nie powstrzyma Jinna przed zmianą zdania i klimatu. - Xhou urwał, żeby jego słowa zapadły Mustafie w pamięć, po czym dodał: - Jinn stanie się zaklinaczem deszczu, jeśli zechce, i będzie go sprzedawać tym, którzy zaoferują najwięcej.

Mustafa uniósł swoją herbatę, ale nie wypił ani łyka. Prawda dotarła do niego i odstawił filiżankę z powrotem na spodek.

- Indie są bogatsze od mojego kraju - stwierdził.

Xhou przytaknął.

- Nie przeliczujecie ich.

Pakistańczyk się zamyślił.

- Jinn jest Arabem, muzułmaninem, nie wybierze indyjskich sikhów i hinduistów zamiast nas.

- Jesteś tego pewien? - zapytał Xhou. - Mówiłeś, że rodzinę Jinna nazywano lisami pustyni. Jak inaczej wytłumaczyć fakt, że doszli do takiego bogactwa? Wybierze to, co będzie korzystne dla jego klanu.

Wciąż rozważając słowa Xhou, Mustafa odstawił filiżankę i spodek z powrotem na stół. Zerknął na jedzenie i odwrócił się z niesmakiem. Wyglądało na to, że stracił apetyt.

- Możesz mieć rację - przyznał. - Co więcej, podejrzewam, że Jinnowi przyszło to do głowy dużo wcześniej niż komukolwiek z nas. Bo dlaczego się uparł, żeby zostawić produkcję w jego maleńkim kraju?

- Więc się zgadzamy - odparł Xhou. - Mamy tylko obietnice Jinna bez żadnej możliwości zmuszenia go do ich dotrzymania. Wszyscy jesteśmy w niebezpiecznej sytuacji.

- Nie w tak niebezpiecznej jak ja - zauważył Mustafa. - W moim kraju nie mamy takich luksusów jak wy tutaj. Ani szybkich pociągów, ani nowych miast z lśniącymi budynkami i szerokimi ulicami. Brakuje nam zagranicznych rezerw na wypadek krachu.

- Ale macie coś, czego my nie mamy - skontrował Xhou. - Ludzi, którzy mają dobrą pamięć i współpracowali już z Jinnem. A on prędzej zaufa tobie niż mojemu wysłannikowi.

- Jinn nigdy nie da nam dostępu do swojej technologii.

Xhou uśmiechnął się szeroko.

- Nie potrzebujemy jej natychmiast.

- Nie rozumiem. Myślałem... - zdziwił się Mustafa.

- Musimy go tylko pozbawić możliwości sterowania chmarą. A jeszcze lepiej byłoby go wyeliminować i sterować nią samemu. Jeśli Jinn nie będzie mógł odwołać poleceń, chmara zrobi to, co obiecał. Deszcze nawodnią dzisiejsze pustynie.

Końce wąsów Mustafy wygięły się wolno do góry, gdy zło-wrogi uśmiech pojawił się na jego twarzy. Zdawał się pojmować, do czego zmierza Xhou.

- Podaj warunki - poprosił. - I wiedz, że nie mogę zagwa-rantować sukcesu. Ale na pewno spróbuję.

Xhou skinął głową. Wiedział, że nikt nie może zagwaranto-wać powodzenia tego, co zaproponował.

- Dwadzieścia milionów dolarów za potwierdzenie śmierci Jinna i następne osiemdziesiąt milionów za dostarczenie kodów poleceń.

Mustafa prawie się oblizał, ale potem jakby przeszedł go dreszcz, który ostudził jego chciwość.

- Z Jinnem nie ma żartów - zastrzegł. - Na pustyni roi się od kości tych, którzy weszli mu w drogę.

Xhou rozsiadł się wygodnie. Miał Pakistańczyka w garści. Wiedział, że jeśli polechce jego dumę, sprawa będzie załatwiona.

- Nie ma nagrody bez ryzyka. Jeśli nie chcesz być tylko marionetką Jinna, musisz to zrozumieć.

Tamten wciągnął głęboko powietrze, gotów stawić czoło przeciwnościom losu.

- Spróbujemy - oznajmił zdecydowanie. - Po otrzymaniu dziesięciu milionów z góry.

Xhou skinął głową i przywołał gestem jednego ze swoich ludzi. Neseser postawiono na podłodze. Mustafa sięgnął po niego. Kiedy dotknął rączki, Xhou znów się odezwał.

- Pamiętaj, w moim kraju też są miejsca, gdzie roi się od kości. Jeżeli mnie zdradzisz, nikomu nie zrobi różnicy, jeśli gdzieś przybędzie kilka pakistańskich szkieletów.

ROZDZIAŁ 8

Po krótkiej rozmowie z malediwską policją Kurt zabrał Leilani do głównego szpitala na wyspie, nowoczesnego budynku dedykowanego Indirze Gandhi. Czekali na wynik prześwietlenia. Kurt wysłał esemes do Joego, żeby zawiadomić przyjaciela, gdzie jest i jak zakończył się pościg. Potem znów skupił uwagę na Leilani.

- Nie chcę być obcesowy, ale co pani tu, u diabła, robi? Rękę miała na temblaku, ranę nad okiem zszytą i posmarowaną jodyną.

- Przyjechałam się dowiedzieć, co się stało z moim bratem.

To rozumiałe, pomyślał, tyle że Dirk Pitt nie skontaktował się jeszcze z członkami rodzin zaginionych. To Kurt wiedział na pewno.

- A skąd pani wiedziała, że coś się stało?
- Mój brat badał prądy - odrzekła, patrząc na niego smutno - a ja to, co w nich pływa. Rozmawialiśmy lub mejlowaliśmy do siebie co dzień. W kilku swoich ostatnich mejlach wspominał, że mieli bardzo dziwne odczyty temperatury i zawartości tlenu. Chciał wiedzieć, jaki wpływ te zmiany mogą mieć na życie w morzu. Mówił, że obserwują drastyczny spadek ilości kryła i planktonu i znajdują dużo mniej ryb, jakby morze stawało się zimne i jałowe.

Kurt wiedział z ostatniego raportu Halversona, że to prawda.

- Kiedy przestał mejlować, zaniepokoiłam się - dodała. - Nie odpowiadał na telefony przez satelitę, więc skontaktowałam się z NUMA. A ponieważ nikt nie potrafił mi wyjaśnić, co się dzieje, przyleciałam tutaj i odszukałam kapitana portu. Dowiedziałam się od niego o akcji ratunkowej. Powiedział mi, że w drodze są ludzie z NUMA, którzy sprawdzą, co zaszło. Pomyślałam, że może wy tu jesteście jako grupa poszukiwawcza, ale potem zobaczyłam katamaran i...

Urwała i utkwiała wzrok w podłodze. Kurt spodziewał się łez i kilka zdawało się napływać, ale panowała nad sobą.

- Co się stało z moim bratem? - zapytała w końcu.

Milczał.

- Nasi rodzice nie żyją, panie Austin. On jest wszystkim, co mam... co miałam.

Kurt ją rozumiał.

- Nie wiem. Staramy się to ustalić. Orientuje się pani, kim byli tamci mężczyźni?

- Nie - zaprzeczyła. - A pan?

- Też nie - przyznał, choć nie miał już wątpliwości, że to co spotkało katamaran, nie było zwykłym wypadkiem. - Kiedy Kimo kontaktował się z panią po raz ostatni?

Znów patrzyła w podłogę.

- Trzy dni temu, rano.

- Nic nie zwróciło pani uwagi?

- Nie - odrzekła. - A dlaczego?

Kurt się rozejrzył po małej wniecie na izbie przyjęć - zajęty personel, czekający pacjenci, od czasu do czasu jakieś elektroniczne odgłosy lub brzęczenie dzwonka. Cisza, spokój, porządek. A jednak Kurt wyczuwał czające się gdzieś niebezpieczeństwo.

- Bo zastanawiam się, co tamci ludzie mogli zyskać, porywając panią. Wcześniej tylko podejrzewaliśmy przestępstwo. Teraz możemy być tego prawie pewni. I jeśli pani nie wie więcej od nas...

- Kimo przysłał mi tylko podstawowe dane. Wy też na pewno je dostaliście. A nawet jeśli nie, to uprowadzenie mnie nie zapewniłoby ich ukrycia.

Miała rację. Ale to oznaczało, że ktoś ją napadł z zupełnie innego powodu.

- Zamierza pan ich znaleźć?

- Policja ich szuka - odparł Kurt - choć na pewno dawno zniknęli. Ja mam za zadanie ustalić, co się stało z katamaranem i jego załogą. Domyślam się, że odkryli coś, co chciano zachować w tajemnicy. Coś więcej niż anomalie temperaturowe. Jeśli doprowadzi nas to do ludzi, którzy panią zaatakowali, to zajmujemy się nimi.

- Pomogę wam - zaproponowała.

Spodziewał się tego. Pokręcił głową.

- To nie jest projekt naukowy. I na wypadek, gdyby pani nie wiedziała, to może być niebezpieczne.

Zacisnęła usta, jakby dotknięta tą uwagą, ale zamiast ostro zaoponować, odezwała się spokojnie.

- Mój brat zginął, panie Austin. Oboje to wiemy. Kiedy się dorasta na Hawajach, zna się potęgę oceanu. Jest piękny. I niebezpieczny. Straciliśmy wcześniej przyjaciół, surferów, żeglarzy i nurków. Jeśli morze pochłonęło Kima, mogę się z tym pogodzić. Ale jeśli go zamordowano, nie zostawię tego tak.

- Przeżywa pani ciężkie chwile - zauważył. - I prawdopodobnie będzie gorzej, zanim zyska pani spokój.

- Dlatego muszę coś zrobić - powiedziała. - Zająć czymś myśli.

Kurt nie miał wyboru, musiał być obcesowy.

- Z doświadczenia wiem, że będzie się pani zachowywać w nie zrównoważony sposób bez względu na to, czy znajdzie sobie pani jakieś zajęcie, czy nie. To może mieć wpływ na cały zespół. Przykro mi, ale nie mogę się zgodzić, żeby ktoś taki przyłączył się do nas.

- W porządku - odrzekła. - Ale niech się pan przygotuje na to, że i tak będzie mnie pan stale widział, bo nie zamierzam siedzieć i płakać.

- To znaczy?

Tym razem ona była obcesowa.

- Jeśli nie pozwoli mi pan pomóc, będę kontynuować własne dochodzenie. I jeśli moje poszukiwania pomieszą panu szyki, to trudno.

Kurt westchnął. Trudno było się złościć na kogoś, kto stracił członka rodziny, choć ta kobieta wyraźnie go prowokowała. Domyślał się, że mówiła poważnie. Problem polegał na tym, że nie miała pojęcia, w co się pakuje.

Przyszedł lekarz ze zdjęciami rentgenowskimi.

- Wszystko będzie dobrze, panno Tanner. To tylko stłuczenie, nie złamanie.

- Widzi pan - zwróciła się do Kurta. - Jestem twarda.

- I ma pani szczęście - dodał.

- Nic w tym złego, że ma się szczęście.

Lekarz przyglądał im się, zdeorientowany rozmową, którą prowadzili.

- Ja też uważam, że szczęście to dobra rzecz.

- Nie pomaga mi pan - mruknął Kurt.

Znalazł się w potrzasku. Nie mógł jej zostawić własnemu losowi po tym, co się właśnie wydarzyło. Nie mógł też kazać jej zamknąć dla jej dobra ani deportować na Hawaje, gdzie może byłaby bezpieczna. Pozostało mu tylko jedno.

- Okej - zgodził się.

- Nie będę sprawiać kłopotu - obiecała.

Uśmiechnął się do niej z zaciśniętymi zębami.

- Już pani sprawa - zapewnił.

Dwadzieścia minut później, ku przerażeniu personelu medycznego, Kurt pomógł Leilani wsiąść na uszkodzoną vespę. Z dużo większą ostrożnością, niż jechał poprzednio, zawiózł ją z powrotem na drugą stronę wyspy.

Dojechali cało. Kurt obiecał zmartwionemu strażnikowi, że jego skuter zostanie naprawiony lub wymieniony na nowy przez NUMA i dał mu swój zegarek jako zabezpieczenie.

Strażnik obejrzał podejrzliwie zastaw. Kurt zastanawiał się, czy zdaje sobie sprawę, że ten zegarek jest wart dwa razy więcej, niż będzie kosztował nowy skuter.

Z Leilani u boku Kurt wszedł z powrotem na pokład kataranu i przedstawił ją Troutom.

- A to jest Joe Zavala - dodał, kiedy Joe wyłonił się spod pokładu. - Twój nowy najlepszy przyjaciel i opiekun.

Uścisnęli sobie dłonie.

- Nie, żeby narzekał - powiedział Joe - ale dlaczego jestem jej nowym najlepszym przyjacielem?

- Zadbasz, żeby nic jej się nie stało - wytłumaczył Kurt. - I co ważniejsze, żeby nie sprawiała kłopotów reszcie z nas.

- Jeszcze nigdy nie byłem opiekunem - zaprotestował Joe.

- Zawsze musi być ten pierwszy raz - odparł Kurt. - Jak stoimy?

- Zasilanie przywrócone - zameldował Joe. - Akumulator prawie zupełnie siadł, ale panele słoneczne i turbinka wiatrowa dają prąd.

- Mamy coś?

Paul pierwszy się odezwał.

- Kiedy Joe włączył z powrotem zasilanie, sprawdziłem w GPS-ie ich trasę. Utrzymywali kurs na zachód do ósmej tego wieczoru, kiedy ostatni raz się zameldowali. Potem kierunek i prędkość stają się zmienne.

- Wiesz dlaczego?

- Uważamy, że właśnie wtedy zdarzył się wypadek - odrzekł Paul. - Żagiel częściowo spłonął. Stracił swój kształt, co zmieniło sylwetkę i szybkość łodzi. Wygląda na to, że zaczęła dryfować.

- Gdzie byli, kiedy to się stało?

- Około czterystu mil morskich na zachód południowy zachód stąd.

- Co jeszcze?

- Nic nie rzuca się w oczy w dzienniku pokładowym, ich notatkach i plikach komputerowych. Ale Gamay znalazła coś interesującego, jak zwykle.

Kurt odwrócił się do niej.

Uniosła szklaną zlewkę z dwoma centymetrami ciemnofitowej wody.

- To osad pozostały po pożarze. Zmieszałam go z wodą de stylowaną. W większości wypadków sadza to głównie węgiel. I choć jest jej mnóstwo w tym szlamie, zawiera on również dziwną mieszankę metali: cyny, żelaza, srebra, a nawet śladowych ilości złota. I dziwne plamki, które dość trudno dostrzec.

Kurt przyjrzał się uważnie wodzie w zlewce. Miała dziwny, niemal opalizujący połysk.

- Dlaczego to się tak błyszczy?

Gamay pokręciła głową.

- Mój sprzęt nie wystarczy do dokładnych badań. Ale znalazłam mikroskop na pokładzie katamaranu. Po tym jak Joe włączył jego zasilanie, sfotografowaliśmy próbki. Cokolwiek to jest, rusza się.

- Rusza się? - powtórzył Kurt. - Co masz na myśli?

- Nie jest bezwładne - wyjaśniła. - Węgiel i osad są, ale coś na lub w osadzie wciąż pozostaje aktywne. Cokolwiek w tym znaleźliśmy, jest tak małe, że nie możemy tego zobaczyć pod mikroskopem.

Wiadomość wyraźnie zaniepokoiła Leilani. Kurt pomyślał, że warto odłożyć tę dyskusję na później, ale przecież umawiali się, że będzie nieprzyjemnie, i jeśli Leilani nie potrafi sobie z tym poradzić, to teraz jest czas, żeby to sobie uświadomiła.

- Mówimy o jakiejś bakterii lub innym mikroorganizmie? - spytał Kurt.

- To możliwe - przyznała Gamay. - Ale dopóki nie przyjrzymy się temu bliżej, możemy tylko zgadywać.

Zamyślił się. To, co znaleźli, było dziwne, ale tak naprawdę niczego nie wyjaśniało. Wiedzieli tylko tyle, że to, co odkryli w tym osadzie, pozostało na katamaranie po pożarze.

- Czy to coś mogło wywołać pożar? - zapytał.

- Próbowałam to zapalić - odrzekła Gamay. - Osad jest niepalny. To utleniony węgiel i metale.

- Jeśli nie to wywołało pożar, to co?

Gamay spojrzała na Paula, a ten na Joego. Nikt nie chciał przekazać złej wiadomości. W końcu zrobił to Joe.

- Benzyna - odparł ponuro. - Nie możemy znaleźć żadnego z kanistrów wymienionych w ich manifeście okrętowym.

- Załoga wywołała pożar. - Kurt szybko połączył fakty. Joe skinął głową.

- Tak pomyśleliśmy.

Gamay odwróciła się do Leilani, jakby chciała sprawdzić, czy dobrze się czuje.

- Bardzo mi przykro - powiedziała.

- Wszystko w porządku - zapewniła Leilani. - Nic mi nie jest.

- Dlaczego ktoś miałby podpalić własną łódź? - zapytał Kurt.

- Widzimy tylko dwie możliwości - oznajmiła Gamay. - Albo to był wypadek, albo coś na łodzi wydawało się niebezpieczniejsze od rozpalenia ognia.

- Osad - domyślił się Kurt. - I cokolwiek w nim jest. Waszym zdaniem oni z tym walczyli?

- Sama nie wiem, co myśleć - zastanawiała się Gamay. - Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia, jakim cudem to mogło być tak niebezpieczne, ale Paul i ja jesteśmy umówieni za godzinę z pewną profesorką z tego uniwersytetu, żeby przyjrzeć się lepiej temu, co jest w tej próbce. Może dowiemy się więcej.

- Dobra - skwitował Kurt. Spojrzał na swój nadgarstek, żeby sprawdzić, która godzina, i przypomniał sobie, że zastawił zegarek.

- Która godzina?

- Czwarta trzydzieści - odrzekła Gamay.

- Okej - odparł. - Joe i ja zabierzemy Leilani do hotelu. Zamykamy się Dirkowi i poczekamy na was. Idźcie się zobaczyć z waszą profesorką, ale bądźcie ostrożni.

ROZDZIAŁ 9

Paul i Gamay dojechali z portu do Malediwskiego Uniwersytetu Narodowego autobusem, który zatrzymał się na przystanku Billabong, gdzie dwoje Amerykanów wysiadło razem z grupą studentów, jakby uczęszczało na kursy wieczorowe.

- Chciałabyś znów chodzić na uniwersytet? - spytała Gamay.

- Pod warunkiem że z tobą i że pozwalałabyś mi nosić swoje książki - stwierdził Paul.

Uśmiechnęła się.

- Można by to rozważyć.

Weszli do środka. Uniwersytet Narodowy prowadził nauczanie w zakresie od szariatu do inżynierii, budownictwa i opieki zdrowotnej. Szeroko znany Wydział Inżynierii Morskiej cieszył się doskonałą opinią, być może dlatego, że nisko położony kraj chciał zapobiec zatopieniu go przez podnoszące się morze.

Paula i Gamay przyjął kolega po fachu, który znał NUMA. Przedstawił im kobietę w purpurowym sari, doktor Alyihę Ibrahim, członka rady naukowej wydziału.

- Dziękujemy, że zgodziła się pani spotkać z nami - oświadczyła Gamay.

Profesor ujęła jej rękę w dłonie.

- Na oceanie, podobnie jak na pustyni, podróźnych w potrzebie się nie odprawia. A jeśli to, co znaleźliście, zagraża Male, byłabym nie tylko samolubna, gdybym was zignorowała, lecz również głupia.

- Nie wiemy, czy zagraża - uściśliła Gamay. - Wiemy tylko, że coś poszło źle i zbadanie tego osadu może nam pomóc w ustaleniu przyczyny.

Doktor Ibrahim się uśmiechnęła, fioletoworóżowy kolor jej stroju podkreślał zielony odcień oczu.

- Więc nie traćmy czasu.

Zaprowadziła ich do laboratorium. Elektronowy mikroskop skaningowy był przygotowany do użycia. Wszystkie kontrolki świeciły się na zielono.

- Mogę? - zapytała doktor Ibrahim.

Gamay wręczyła jej fiolkę i kobieta wydobyła próbkę. Z precyzją umieściła ją na specjalnej tacy i wsunęła do komory skaningowej.

Kilka minut później pierwsze zdjęcia pojawiły się na ekranie.

Obraz był tak dziwny, że wszyscy zaniemówili. Gamay zmrużyła oczy, Paul stał z lekko otwartymi ustami, a doktor Ibrahim poprawiła okulary i przysunęła się bliżej.

- Co to jest? - zapytał Paul, patrząc na monitor.

- Wyglądają jak roztocza - zauważyła Gamay.

- Nie wiem, co to jest - oznajmiła doktor Ibrahim. - Spróbuję zrobić powiększenie.

Wielki mikroskop elektronowy zawarczał i wykonał następny skan. Drugi obraz, który ukazał się na ekranie, zaskoczył ich jeszcze bardziej.

Doktor Ibrahim odwróciła się do Paula i Gamay.

- Nie wiem, co państwu powiedzieć. Nigdy w życiu nie wi działam czegoś takiego.

W czasie nieobecności Paula i Gamay Joe pilnował Leilani, a Kurt przeglądał rzeczy osobiste zaginionych załogantów. Czuł

się niezręcznie, jakby przekładał kości zmarłych, ale musiał to zrobić, choćby dlatego, że mógł się natknąć na jakąś wskazówkę.

Po godzinie skończył. Nie znalazł nic, co mogłoby mu pomóc, ale przynajmniej natrafił na coś dla Leilani - wydrukowane zdjęcie załogi z jej bratem na pierwszym planie, przepelnionym radością, jakby świat się przed nim otwierał.

Odłożył rzeczy załogi na bok i wyszedł na korytarz ze zdjęciem w ręku. Jedne drzwi dalej znalazł apartament, który zarezerwował dla Joego i Leilani. Składał się z dwóch połączonych pokoi, ale do drugiego wchodziło się przez pierwszy.

Zapukał. Cisza. Zastukał jeszcze raz.

W końcu klamka się obróciła. Twarz Leilani ukazała się w drzwiach i uderzyła go jej niezwykła uroda.

- Gdzie twój goryl?

Otworzyła drzwi szerzej. Joe spał smacznie na swoim łóżku, chrapiąc cicho, nadal w ubraniu i nawet w butach.

- Maksymalna ochrona - powiedziała. - Mysz się nie prześliźnie obok niego.

Starał się nie roześmiać. Joe miał za sobą trzydziestogodzinny dzień. Nawet jeśli jego zwierzęcy magnetyzm się nie wyłączył, to reszta najwyraźniej tak.

Kurt wsunął się do środka. Leilani zamknęła delikatnie drzwi i przeszła cicho po dywanie na bosaka w czarnych spodniach do jogi i zielonym T-shircie.

Podążył za nią do sąsiedniego pokoju. Zastony były zaciągnięte, światło przyćmione.

- Medytowałam - wyjaśniła. - Nie mogę się pozbierać. Raz jestem wściekła, raz chce mi się płakać. Miałeś rację, jestem niezrównoważona.

Zabawne, ale nie wyglądała na taką.

- Całkiem nieźle się trzymasz.

- Mam się czym zająć - odrzekła. - Próbuję się dowiedzieć, co zaszło. Muszę ci podziękować, choć niechętnie się zgodziłeś na moją obecność tutaj. Jest jakiś trop?

- Jeszcze nie - zaprzeczył. - Na razie brak w tym wszystkim jakiegokolwiek sensu.

- Czyli?

- Kimo i pozostali szukali anomalii temperaturowych - odparł. - I znaleźli je, ale nie takie, jakich się spodziewali. Temperatury oceanów rosną na całym świecie, a oni odkryli obniżone temperatury w strefie tropikalnej. To pierwsze dziwne dane.

- Co jeszcze?

- Może to dziwne, ale obniżone temperatury oceanów normalnie są korzystnym zjawiskiem. Powodują wzrost zawartości tlenu w wodzie i rozwój życia w morzu. Dlatego ciepłe, płytkie wody, takie jak Morze Karaibskie, są stosunkowo jałowe, podczas gdy ciemne, zimne części północnego Atlantyku są uczęszczanymi łowiskami.

Skinęła głową i Kurt uświadomił sobie, że przedstawia podstawowe dane i wnioski, które łatwo sama mogłaby wyciągnąć, ale wiedzieli tak mało, że lepiej było niczego nie pomijać.

- Ale Kimo mówił mi, że rejestrują niższy poziom rozpuszczonego tlenu i znajdują mniej krylu, planktonu i ryb w wodzie wraz ze spadkiem temperatury - zdziwiła się.

- Właśnie - przytaknął Kurt. - Dokładnie na odwrót. Jakby coś pochłaniało ciepło i zużywało tlen.

- Ale co? - zapytała. - Toksyczne odpady? Jakiś beztlenowy związek chemiczny?

Odkąd Kurt dwukrotnie sprawdził liczby, szukał w głowie możliwej przyczyny. Działalność wulkaniczna, czerwone przypływy, kwitnienie alg - wiele rzeczy mogło powodować tworzenie się martwych stref i niedotlenienie wód, ale żadna nie wyjaśniała spadku temperatury. Chyba że upwelling, ale wówczas mnóstwo pożywienia i tlenu docierało do powierzchni, co wywoływało lokalną eksplozję życia w morzu.

Trafili na nie lada problem. Być może nawet taki, że Kimo i pozostali przypłacili życiem jego odkrycie. Ale nadal nie tłumaczyło to zniszczenia katamaranu, nie bezpośrednio.

- Nie wiem - odrzekł. - Przejrzeliśmy wszystko, co wysyłali, łącznie z mejlami Kima do ciebie, żeby sprawdzić, czy czegoś nie przeoczyliśmy. Jak dotąd, na nic się nie natknęliśmy.

Na jej twarzy pojawił się niepokój.

- Przeglądaliście jego mejle do mnie?

- Musieliśmy - skwitował Kurt. - Mógł niechcący wysłać ci jakieś ważne dane.

- Znaleźliście coś?

- Nie - zaprzeczył. - I tak naprawdę na to nie liczyłem. Ale nie możemy niczego zaniedbać.

- Może to nas przerasta. - Westchnęła i zgarbiła się. - Może powinniśmy zostawić to śledztwo jakiejś organizacji międzynarodowej .

- Gdzie się podziła ta determinacja sprzed paru godzin?

- Byłam zła. Czułam przyływ adrenaliny. Teraz staram się myśleć bardziej racjonalnie. Może ONZ lub Malediwskie Narodowe Siły Obronne mogłyby przeprowadzić dochodzenie. Może powinniśmy po prostu wrócić do domu. Teraz, kiedy poznałam ciebie i twoich przyjaciół, nie mogę znieść myśli, że komuś jeszcze mogłoby się coś stać.

- Nic z tego - odpowiedział Kurt. - Nie zostawimy tej sprawy jakiejś agencji, która tak naprawdę nie będzie zainteresowana wyjaśnieniem, co się wydarzyło.

Skinęła głową.

Odezwał się telefon Kurta. Wyjął komórkę z kieszeni i odebrał.

Dzwoniła Gamay.

- Robicie jakieś postępy? - zapytał.

- Tak jakby - odparła.

- Co macie?

- Wysłałam ci zdjęcie z mikroskopu. Obejrzyj je.

Wszedł w wiadomości i wyświetlił czarno-białe, ale bardzo wyraźne zdjęcie. Obiekt wyglądał dziwnie - jak owad, a jednocześnie jak coś mechanicznego. Miał ostre krawędzie i idealnie równe kąty.

Kurt zmrużył oczy i przyjrzał się uważnie. Obiekt przypominał pająka z sześcioma długimi odnóżami wysuniętymi do przodu i dwoma z tyłu, które przechodziły w płaskie płetwy w kształcie wielorybich ogonów. Każde z przednich odnóży było zakończone innym rodzajem kleszczy, natomiast przez środek wierzchu obiektu biegł grzbiet oznaczony różnymi występami o wyglądzie nie tyle kolców czy szpiców, ile nadrukowanych przewodów mikroczypa.

Całość zdecydowanie sprawiała wrażenie maszyny.

- Co to jest?
- Mikroskopijny robot - oznajmiła Gamay.
- Co?

- To, na co patrzysz, ma wielkość roztocza - wyjaśniła. - Ale nie jest organizmem, tylko maszyną. Nanomaszyną. I jeśli pobrana przeze mnie próbka jest miarodajna, to takich samych maszyn jest mnóstwo w osadzie pozostałym po pożarze.

Spojrzał na zdjęcie, myśląc o słowach Gamay. Przechylił telefon, żeby Leilani mogła zobaczyć wyświetlacz.

- „Dwadzieścia cztery kosy zapieczone w cieście” - mruknął.
- Raczej dwadzieścia cztery miliony - poprawiła Gamay.

Kurt przypomniał sobie ich wcześniejszą rozmowę i teorię, że załoga podpaliła katamaran, żeby pozbyć się czegoś niebezpiecznego.

- Więc te maszyny opanowały łódź i załoga usiłowała je spalić - powiedział. - Ale jak się dostały na pokład?
- Nie mam pojęcia - oświadczyła Gamay.
- Do czego one służą? - zapytał. - Co robią?
- Nie mam pojęcia - powtórzyła.
- Skoro to są maszyny, ktoś musiał je wyprodukować.
- Też tak uważamy - przytaknęła. - I chyba wiemy, kto to mógłby być.

Komórka Kurta znów zadzwięczała i pojawiło się następne zdjęcie. Tym razem była to strona z ilustrowanego magazynu.

Zdjęcie w rogu pokazywało biznesmena wysiadającego z rolls-royce'a w jarmarcznym pomarańczowym kolorze. Mężczyzna miał mahoniowe włosy związane z tyłu w długi koński ogon i bujną brodę. Miał na sobie granatowy garnitur z dwurzędową marynarką, zapewne od Armaniego lub innego włoskiego projektanta mody.

- Kto to jest? - spytał Kurt.

- Elwood Marchetti - odparła Gamay. - Miliarder, elektroniczny geniusz. Lata temu opracował stosowaną dziś przez wszystkich metodę drukowania obwodów na mikroczypach. Jest też gorącym orędownikiem rozwoju nanotechnologii. Kiedyś stwierdził, że w przyszłości nanoboty będą robić wszystko, od czyszczenia naszych żył z cholesterolu do pozyskiwania złota z wody morskiej.

- I te rzeczy to nanoboty? - zapytał Kurt.

- Właściwie są większe - odrzekła. - Jeśli wyobrazisz sobie zwykłego nanobota jako ciężarówkę zabawkę, to te nasze są dużymi maszynami do robót ziemnych. Taka sama koncepcja, mikroskopijna wielkość, ale wymiary jakiś tysiąc razy większe.

Leilani przyglądała się uważnie zdjęciu.

- Więc ten facet, Marchetti, jest problemem - zawyrokowała stanowczo.

Kurt wstrzymał się z osądem.

- Jak możemy powiązać z nim te nanoboty?

Tym razem odezwał się Paul.

- Zgodnie z międzynarodowym patentem w aktach są bardzo podobne do jednej z jego konstrukcji.

Kurt poczuł, jak wzbiera w nim słuszny gniew, i zauważył, że Leilani załamuje ręce.

- Używa ich do czegoś? - spytał. - Eksperymentuje z nimi?

- Nic nam o tym nie wiadomo.

- Więc jak się znalazły w morzu? - zastanawiał się. - A co ważniejsze, jak się znalazły na katamaranie?

Paul przedstawił swoje domysły.

- Albo uciekły z laboratorium jak tamte zabójcze pszczoły czterdzieści lat temu, albo Marchetti wykorzystuje je do czegoś w tajemnicy przed całym światem.

- Musimy złożyć wizytę temu facetowi. - Kurt napiął mięśnie szczęki i zacisnął zęby.

- Niestety mieszka na prywatnej wyspie - zauważył Paul.

- To mnie nie powstrzyma. Gdzie to jest?

- Dobre pytanie - wycedziła Gamay.

Miała dziwny głos i Kurt nie bardzo ją zrozumiał.

- Chcesz powiedzieć, że nikt nie wie, na jakiej wyspie on mieszka?

- Nie - zaprzeczyła. - Tylko to, że nikt dokładnie nie wie, gdzie ona teraz jest.

Kurt miał wrażenie, że on i Troutowie prowadzą dwie różne rozmowy.

- O czym wy mówicie?

- Marchetti buduje sztuczną wyspę - wytłumaczył Paul. - Nazywa ją Aqua-Terra. W zeszłym roku zwodował jądro i od tamtej pory ją wyposaża. Ale ponieważ wyspa jest ruchoma, a właściciel trzyma ją na wodach międzynarodowych, nikt nie jest całkiem pewien, gdzie znaleźć Marchettiego w danej chwili.

Kurt przypomniał sobie nagle, że o tym słyszał.

- Myślałem, że to tylko chwyt reklamowy.

- Nie - wtrąciła Leilani. - To prawda. Czytałam coś o tym. Pół roku temu wyspa cumowała u wybrzeży Male. Kimo mówił, że chciałby ją zobaczyć, gdyby miał okazję.

- Okej - powiedział Kurt. - Dowiedzcie się, ile zdołacie, o tych nanobotach. Dzwonię do Dirka. Jak tylko wytropimy Marchettiego, złożę mu wizytę. Pływającą wyspę na pewno nie-trudno namierzyć.

ROZDZIAŁ 10

Jinn al-Khalif szedł przez pustynię pod oświetlonym księżycem niebem z Sabahem u boku. Piaski, które znał od dzieciństwa, połyskiwały niczym srebro pod jego stopami. Przypominały mu o nocy, kiedy jego rodzina została zaatakowana w oazie ponad czterdzieści lat temu. O nocy, gdy bandyci udający przyjaciół przybyli z pustyni i zamordowali jego braci i matkę. To była lekcja, której nigdy nie zapomniał. I którą co jakiś czas ktoś próbował mu zaserwować na nowo.

- Aziz się nie odezwał? - spytał. Miał na myśli egipskiego generała, który obiecał wesprzeć jego plan.

Sabah ze spokojem i powagą kroczył obok w chłodnym nocnym powietrzu.

- Tak jak podejrzewałeś, Aziz nie dotrzymał obietnic. Nie ma już żadnego interesu we wspieraniu nas.

Błysnęło gdzieś daleko. Na horyzoncie, blisko wybrzeża, zaczął się tworzyć front burzowy. Chmury jeszcze nie przemieściły się w głąb lądu, ale wkrótce pustynia miała odczuć ulgę dzięki nieoczekiwanej ulewie; ostatecznemu dowodowi jego geniuszu. A jednak przedsięwzięciu groziło fiasko u progu zwycięstwa.

- Aziz to zdrajca - stwierdził Jinn z kamienną twarzą.

- Ma swoje interesy - uspokoił go Sabah. - Jak wszyscy ludzie, kieruje się chęcią zysku. Nie traktuj tego jako osobistej obrazy.

- Ci, co łamią przyrzeczenia, obrażają mnie osobiście - odparł Jinn. - Czym się tłumaczy?

- Sytuacją polityczną w Egipcie - odpowiedział Sabah. - Wojsko kontroluje tam wszystko od pięćdziesięciu lat, łącznie z najbardziej dochodowymi interesami. Ale wciąż panuje chaos. Bractwo Muzułmańskie rośnie w siłę i dla wojska niebezpieczne jest teraz wspieranie czegoś świeckiego. Zwłaszcza z zewnątrz.

- Ale nasz program im pomoże - nie ustępował Jinn. - Ożywi ich pustynie tak jak nasze.

- Tak - zgodził się Sabah. - Ale oni mają tamę w Asuanie i wodę w Jeziorze Namera. Nie potrzebują tego, co oferujemy, tak bardzo jak inni. Poza tym, Aziz jest mądry. Zna prawdę. Możesz sprowadzić deszcz lub go przegnać. Ale jeśli sprowadzisz go dla sąsiadów, którzy płacą, deszcz i tak będzie padać w jego kraju.

Jinn to rozważył. Sabah miał rację.

- Aziz nie ma pojęcia, kim jestem - oznajmił. - Przycisnę go.

- Uprzedzam cię, on się nie złamie.

- Więc się zemszczę.

Sabah nie wydawał się zadowolony.

- To chyba nie pora, żeby robić sobie nowych wrogów. Przy najmniej dopóki nie zajmimy się Amerykanami. Wiesz, że znaleźli pozostałości chmury na zniszczonej żaglówce.

- Owszem - przytaknął Jinn, niezadowolony z wiadomości. - Szukają teraz Marchettiego. Jest ich głównym podejrzanym.

- Zlokalizują go bez trudu - odrzekł Sabah. - Ludzie z NUMA są zdeterminowani. Nie zawahają się przed konfrontacją z nim.

- A co to nas obchodzi? - Słowa Jinn ociekały arogancją i pewnością siebie.

Sabah znów skrzywił się niezadowolony.

- Nie lekceważ ich.

- Zapewniam cię, mój dobry, wierny sługo, że podejrzenia nie padną na nas. - Jinn próbował uspokoić towarzysza. - Kiedy znajdą Marchettiego, dotrą do końca swojej drogi. Do tego, co czeka w zaświatach wszystkich niewiernych. Tymczasem przed nami poważniejsza sprawa.

Grupa ludzi Jinna stała na straży wokół dwóch mężczyzn. Obaj siedzieli na ziemi, związani plecami do siebie, przy starej wyschniętej studni. Jej przepastna czeluść czekała, ciemna i ziejąca, otoczona tylko ceglany murkiem o wysokości niecałych trzydziestu centymetrów. Po obu stronach wznosiły się żelazne ramy w kształcie litery „A”, kiedyś zapewne podpierające poprzeczkę, z której opuszczano wiadro na linie.

Więżniowie patrzyli na Jinna ze strachem, tak jak powinni.

- Przyznali się do winy? Dowódca
straży pokręcił głową.

- Upierają się, że tylko wykonywali rozkazy.

- Kazałeś nam zaatakować tamtą kobietę - odezwał się jeden z więźniów. - Zrobiliśmy to.

- Mieliście ją zaatakować po to, żeby odciągnąć tamtego człowieka i zwabić go w pułapkę. On był celem. Trzeba go było pojmać, a nie uciekać jak tchórze, kiedy was ścigał. A najważniejsze, że wszystko miało się odbyć po cichu! Teraz w telewizji i gazetach krążą wasze rysopisy, nawet zdjęcia z kamery monitorującej port. Jesteście już nieprzydatni.

- Wyspa jest taka mała, że nie mieliśmy się gdzie ukryć. Musieliśmy uciekać.

- Przyznajecie się do tego - odparł Jinn. - Okazaliście się tchórzami, wybraliście najłatwiejszą drogę.

- Nie - zaprzeczył więzień. - Przysięgam, że to nie tak. Zasadzka się nie udała. Pokonał nas. Nie mieliśmy broni.

- On też nie. - Jinn odwrócił się do Sabaha. - Co proponujesz?

Sabah spojrział na więźniów i tłumek ludzi wiernych Jinnowi wokół.

- Należy ich wychłostać - odrzekł - posmarować miodem i wkopać w ziemię. Jeśli przetrwają do południa, powinno się im wybaczyć.

Jinn się zastanowił. Taka kara zadowoliłaby pozostałych, ale mogliby ją źle zrozumieć. Jako słabość.

- Nie - oznajmił. - Nie wolno nam okazać litości. Zawiedli nas z braku woli. Nie można pozwolić, żeby to się rozpowszechniło. - Podeszedł bliżej do więźniów. - Zajmę się waszymi rodzi nami. Oby okazały się szlachetniejsze od was.

Cofnął się i wymierzył potężnego kopniaka pierwszemu mężczyźnie. Więzień przewrócił się na bok i spadł za krawędź wyschniętej studni. Zawisł tam, utrzymywany przez ciężar swojego towarzysza, do którego był przywiązany.

- Nie, Jinn! - zawołał drugi więzień. - Błagam! Miej litość!

Jinn kopnął go jeszcze mocniej niż pierwszego. Zęby rozprysły się wśród krwi i śliny. Mężczyzna poleciał do tyłu i obaj więźniowie runęli do studni, ich wrzaski odbijały się echem, gdy spadali. Po chwili przyprawiający o mdłości chrzest uciszył obu. Nie usłyszeli nawet okrzyków bólu.

Jinn odwrócił się do pozostałych mężczyzn. Grymas wściekłości wykrzywił mu twarz.

- Zmusili mnie do tego! - krzyknął. - Niech to będzie na uczka dla was wszystkich. Przykładajcie się do swoich zadań. Następni, którzy mnie zawiodą, będą umierać wolniej i cierpieć dłużej, zapewniam.

Mężczyźni się skulili, pomni jego gniewu i władzy. Popatrzył na nich i odszedł. Sabah ruszył za nim, dotrzymując mu kroku.

- Nie wiem, czy to było...

- Nie kwestionuj moich decyzji!

- Ja tylko doradzam - łagodził spokojnie Sabah. - I radziłbym ci mieć litość dla swoich i zwracać gniew przeciwko wrogom.

Jinn kipiał z wściekłości.

- Ci, co mnie zawodzą, są moimi wrogami. I ci, co mnie zdradzają i łamią przyrzeczenia jak Aziz. Przez to, że wstrzymał fundusze, balansujemy na krawędzi. Musimy prosić Chińczyków i Saudyjczyków o więcej. Ale to się zmieni. Chcę, żeby Aziz płaszczył się przed nami i błagał nas o pomoc.

- I jak to zrobisz?

- Tama w Asuanie daje mu władzę - ocenił Jinn. - Bez niej Egipt nie zdołałby się sam wyżywić i Aziz potrzebowałby nas bardziej niż cała reszta. Znajdź sposób, żeby ją zburzyć.

Sabah zamilkł, najwyraźniej kalkulował możliwości. Uniósł brwi.

- Może go znalazłem.

- Zajmij się tym - polecił Jinn. - Chcę, żeby tamta tama leżała w gruzach.

Nie dokończył, kiedy grzmot przetoczył się nad pustynią. Błyskawica przecięła niebo w oddali. Jinnowi wydała się znakiem z góry.

Sabah też ją zauważył, ale w jego oczach można było dostrzec jedynie niepokój.

- Wielu ludzi zginie - powiedział. - Być może setki tysięcy. Większość Egipcjan mieszka nad brzegami Nilu.

- Zapłacą za zdradę Aziza - skwitował Jinn. - On ma ich krew na rękach.

Sabah skinął głową.

- Jak sobie życzysz.

ROZDZIAŁ 11

Czy podczas tego lotu dostaniemy coś do jedzenia? - zapytał Joe. Kurt zachichotał. Joe narzeka! Obaj siedzieli z Leilani w przedziale pasażerskim bella jetranglera. Tysiąc pięćset metrów pod helikopterem przesuwała się lśniąca powierzchnia Oceanu Indyjskiego. Rozróżniali kształty fal, ale nie czuli ruchu, jakby patrzyli na błyszczący obraz.

- Poważnie - dodał Joe. - Umieram z głodu.

Pilot, Brytyjczyk imieniem Nigel, zerknął na niego przez ramię.

- A co ty myślisz, kolego, że to jakieś cholerne British Airways?

Joe przeniósł uwagę na Kurta.

- Chciałbym złożyć skargę na ręce kierownika tej ekspedycji.

- Trzeba było zdążyć na śniadanie - odparł Kurt.

- Nikt mnie nie obudził.

- Wierz mi, że próbowaliśmy - powiedział Kurt. - Może powinienś pozwolić mi ustawić twój budzik na dźwięk gwizdka parowego. Albo zabierać ze sobą prawdziwy.

Joe rozparł się wygodnie.

- To straszne. Najpierw nie wolno mi spać, a teraz muszę głodować. Co będzie dalej? Chińska tortura wodna?

Kurt wiedział, że przyjaciel narzeka bardziej dla zabicia czasu, choć przez lata podróżowania z nim przekonał się, że Joe może jeść za dwóch i nie przytyje nawet o kilogram. Było całkiem możliwe, że z takim metabolizmem może zmarnieć po jednym dniu o pustym żołądku.

Spojrzał na wprost.

- Nakarm tym wzrok. Aqua-Terra w dole na godzinie drugiej.

Z odległości ośmiu kilometrów wyspę łatwo było zobaczyć, rzucała się w oczy jak jakaś ogromna platforma wiertnicza. Kiedy podlecieli bliżej, stało się jasne, że projekt Marchettiego jest naprawdę genialny.

Szeroka na sto pięćdziesiąt i długa na sześćset metrów Aqua-Terra stanowiła niezapomniany widok. Przede wszystkim nie była okrągła - jak wiele pływających miast szkicowanych przez architektów futurystów - lecz miała kształt kropli; zwężała się w szpic na jednym krańcu, a na drugim kończyła szeroką półkolistą krawędzią.

- Niesamowite - szepnęła Leilani.

- Cholernie wielka - stwierdził pilot.

- Mam tylko nadzieję, że jest tam część gastronomiczna - rzucił Joe.

Kurt się roześmiał i zerknął na Leilani.

- Wszystko w porządku?

Wydawała się zamyślona i zdeterminowana, jakby za chwilę czekała ją walka. Skinęła głową, ale sprawiała wrażenie, że wolałaby być gdzie indziej. Postanowił ją rozerwać rozmową o wyspie.

- Widzisz ten krąg wokół wyspy?

- Tak.

- To falochron zrobiony ze stalowo-betonowych barier. Spoczywają na potężnych tłokach hydraulicznych. Czytałem, że kiedy uderza duża fala, cofają się i przyjmują na siebie impet jak amortyzatory. Gdy fala się rozprasza, wracają do poprzedniej pozycji.

- A co to jest? Tamto po drugiej stronie?

Kurt spojrział w kierunku, który wskazywała. Sztuczna plaża sąsiadowała z półokrągłym wycięciem. W tej części falochrony zachodziły na siebie, ale nie tworzyły zwartej szeregu. Kilka małych łodzi i dwusilnikowy hydroplan cumowały przy molo.

- Wygląda na zatoczkę - powiedział.

- Każda wyspa musi mieć port - dodał Joe. - Może mają kilka restauracji nad wodą...

- Nikt nie mógłby ci zarzucić, że nie jesteś skoncentrowany na temacie - zauważył Kurt.

Helikopter skręcił i zaczął schodzić w dół. Kurt usłyszał, jak Nigel rozmawia przez radio z kontrolerem ruchu powietrznego. Znowu spojrział w stronę wyspy.

Dużą jej część najwyraźniej jeszcze budowano, potwierdzała to odsłonięta stal i rusztowania. Inne miejsca wydawały się bliższe ukończenia, a tył wyglądał na prawie gotowy. Wyrastały tam dwie dziesięciopiętrowe piramidy, między nimi wisiało niczym most lądowisko dla śmigłowca.

- Czy ktoś taki naprawdę mógłby mieć udział w tym, co spotkało mojego brata?

- Trop prowadzi tutaj - przypomniał Kurt.

- Ale ten Marchetti ma wszystko - odparła. - Dlaczego miałby robić coś tak strasznego?

- Postaramy się tego dowiedzieć.

Skinęła głową i Kurt znowu wyrzwał przez okno. Kiedy helikopter zaczął skręcać, Kurt skupił uwagę na rzędzie strzelistych białych konstrukcji ciągnących się wzdłuż brzegów wyspy. Najszersze były u podstawy i zwężały się łagodnym skosem ku szczytowi.

Kojarzyły mu się z ogonami wyłączonych z czynnej służby boeingów 747. Szybko sobie uświadomił dlaczego. Patrzył na profile lotnicze, mechaniczne żagle do łapania wiatru. Obserwował, jak wszystkie jednocześnie lekko się obracają.

Pośrodku wyspy zobaczył prostokąt zieleni z drzewami, trawą i pagórkami podobny do nowojorskiego Central Parku. Po obu

stronach ciągnęły się długie i szerokie pasy ziemi, gdzie zdawała się rosnać pszenica.

Na przednim krańcu panele słoneczne odbijały światło, a duże wiatraki obracały się z wdziękiem.

Nigel odwrócił się do Kurta.

- Nie dają nam pozwolenia na lądowanie.

Kurt spodziewał się tego. Sięgnął do przetącznika. Z pojemnika, który przymocował do belki ogonowej, zaczął się wydobywać czarny dym. Kurt wątpił, żeby na dłuższą metę ktoś dał się nabrać na tę sztuczkę, ale uznał, że nie zaszkodzi spróbować.

- Chyba mamy problem - oznajmił. - Powiedz im, że musimy lądować, bo inaczej się rozbijemy.

Kiedy pilot przekazywał wiadomość, Kurt uśmiechnął się szeroko do Leilani.

- Teraz muszą nam dać pozwolenie.

- Zawsze jesteś taki niesforny? - zapytała.

Odpowiedział jej Joe.

- Z tego, co słyszałem, Kurt opuszczał szkołę, sam wystawiał sobie oceny i zmuszał wszystkich nauczycieli do litowania się nad nim, kiedy wracał z „choroby”.

Leilani się uśmiechnęła.

- Ja nazywam coś takiego zaradnością.

Ciągnąc za sobą smugę dymu, jetranger obrał kurs na lądowisko, które spinało przestrzeń między dachami piramidowych budowli. Schodził w dół płynnie, za płynnie.

- Postaraj się, żeby to dobrze wyglądało - polecił Kurt.

Pilot skinął głową, poruszył drążkiem i zatrząsł śmigłowcem, żeby upozorować kłopoty, po czym ustabilizował maszynę, gdy dotarli bliżej, i posadził ją bezpiecznie na wielkiej żółtej literze H.

Kurt zdjął słuchawki, otworzył drzwi i wysiadł. Rozprostował nogi i popatrzył wokół. Miał wrażenie, że znalazł się w restauracji na dachu, gdzie dostał miejsce z najlepszym widokiem.

Żagle, które zobaczył wcześniej, miały co najmniej trzydzieści metrów wysokości, jasnoniebieski pas i napis „Aqua-Terra”. Jakiś

zapach unosił się w powietrzu, ale tak nie pasował do otoczenia, że Kurt dopiero po chwili rozpoznał woń świeżo skoszonej trawy.

Drugi element kompletnie niepasujący do otoczenia zbliżał się do niego w pomarańczowych spodniach, szarej koszuli i powiewającej purpurowej szacie w zielono-niebieskie tureckie wzory. Mężczyzna bardzo przypominał Elwooda Marchettiego i trochę pawia.

Gęsta brązowa broda i okrągłe czerwone okulary przeciwsłoneczne dopełniały przyprawiającą o zawrót głowy całości.

Szedł za nim chudy jasny blondyn w garniturze. Wyglądał na zdenerwowanego.

- Panie Marchetti, nie powinien pan witać tych ludzi - powiedział. - Nie mieli prawa tutaj lądować.

Kurt spojrzał na blondyna za Marchettim.

- Mamy problem z silnikiem.

- W dobrym momencie.

Kurt się uśmiechnął.

- Tak się złożyło. Na szczęście dla nas wasza wyspa była akurat tutaj.

- To kłamstwo - odparł mężczyzna. - Przylecieli tu na przespiesi albo na audyt.

Marchetti pokręcił głową i odwrócił się do asystenta. Położył mu ręce na ramionach i ścisnął go jak niegdyś robili to kaznodzieje nawracający kogoś z tłumu.

- To mnie zasmuca - zaczął. - Naprawdę zasmuca. Pomyśleć, że zrobiłem z ciebie takiego paranoika, a jednak nie dałem ci mądrości, której potrzebujesz, by wyraźnie widzieć. - Blake'u Matsonie - ciągnął, nakierowując uwagę asystenta z powrotem na Kurta. - To nie jest taki człowiek. Ten gość nawet nie przypomina takiego człowieka. Taki człowiek przybywa łodzią lub statkiem, uzbrojony, z prawnikami i księgowymi. A ten nie nosi buciorów i towarzyszy mu piękna młoda kobieta.

Marchetti przyglądał się Leilani, kiedy to mówił.

- Przepraszam - odezwał się Kurt - ale o czym pan gada, do diabła?

- O fiskusie, przyjacielu - odrzekł Marchetti. - O amerykańskim urzędzie skarbowym, jego różnych europejskich odpowiednikach i wyjątkowo denerwujących ludziach z pewnego południowoamerykańskiego kraju, którzy uważają, że jestem im coś winien.

- O amerykańskim urzędzie skarbowym? - powtórzył Kurt. - Dlaczego miałby się pan ich obawiać?

- Bo zdaje się nie docierać do nich, że jestem teraz poza ich światem, a więc zostałem wyłączony z ich systemu podatkowego.

Marchetti położył dłoń na ramieniu Kurta i poprowadził go naprzód.

- To jest moje królestwo. Kosztowało mnie dotąd miliard dolarów. Moja terra firma. Tyle że nie jest tak do końca firma - ciągnął, zacinając się na kolejnych słowach - bo to aqua. Terra-aqua. A właściwie Aqua-Terra. Ale rozumie pan, o co mi chodzi.

- Nie bardzo - zażartował Kurt z udawaną powagą.

- Fiskus nazywa to statkiem. Twierdzą, że muszę płacić cło, stawki rejestracyjne i ubezpieczenie. Przestrzegać przepisów Urzędu Bezpieczeństwa i Higieny Pracy i umożliwiać inspekcje. Mówią mi, że to dziób. A ja im odpowiadam, że to wyspa i tam jest kraniec lądu.

Kurt popatrzył na Marchettiego.

- Dla mnie może pan to nazywać Marsem. Nie jestem z urzędu skarbowego ani z żadnej innej instytucji, która chce pana opodatkować lub zakwestionować pańską suwerenność, albo poczytalność, jeśli o to chodzi. Ale mam problem i uzasadniony powód, by przypuszczać, że to pan jest jego przyczyną.

Marchetti osłupiał.

- Ja? Problem? Te dwa słowa nieczęsto występują razem.

Kurt świdrował go wzrokiem, dopóki Marchetti nie przestał się wiercić.

- Jaki problem? - zapytał.

Kurt wyjął z kieszeni na piersi zamkniętą fiolkę od Gamay. Zawierała breję złożoną z sadzy, wody i nanobotów.

- Te maleńkie maszyny - odparł. - Skonstruowane przez pana, przeznaczone do Bóg wie czego i znalezione na spalonej łodzi, której trzyosobowa załoga zaginęła.

Marchetti wziął fiolkę i opuścił różowe okulary.

- Maszyny?

- Nanoboty - uściślił Kurt.

- W tej fiolce?

Kurt przytaknął.

- Pańskiej konstrukcji. Chyba że ktoś zgłosił patent w pańskim imieniu.

- Ale to niemożliwe.

Marchetti wydawał się szczerze zdumiony. Kurt zdecydował, że będzie musiał udowodnić swoje podejrzenia.

- Ma pan na pokładzie sprzęt, przez który można się temu przyjrzeć?

Marchetti przytaknął.

- Więc chodźmy sprawdzić, co to jest, i pozbadźmy się wszelkich wątpliwości.

Pięć minut później Kurt, Joe i Leilani zjechali windą na poziom nazywany przez Marchettiego zerowym, bo kondygnacje pod nim miały numery ujemne, a te nad nim - dodatnie. Podeszli do rzędu zaparkowanych wózków golfowych, wsiedli do największego z sześcioma miejscami i ruszyli w stronę najwęższego krańca wyspy. Matsona nie zabrali ze sobą, a Nigel został na lądowisku i udawał, że pracuje przy helikopterze.

Przemierzali wyspę, która wydawała się niemal opuszczona.

- Ilu ma pan ludzi? - spytał Kurt.

- Zwykle pięćdziesięciu, ale w tym miesiącu jest tylko dziesięciu.

- Pięćdziesięciu? - Kurt spodziewał się tysiąca. Rozejrzał się dookoła. Odgłosy budowy dochodziły do nich z różnych stron,

ale Kurt nie widział ani jednego robotnika i nie słyszał żadnych odgłosów.

- Kto wykonuje całą pracę?
- Automaty - odrzekł Marchetti.

Zatrzymał się i wskazał część wyspy znajdującą się w budowie.

Kurt zobaczył iskry, gdzie spawano elementy, usłyszał odgłosy nitowania i wkręcania śrub, ale nikogo nie zauważył. W końcu coś się poruszyło. Obiekt wielkości odkurzacza, z trzema ramionami i spawarką łukową na czwartym wysięgniku, pomknął ku drabinie.

Maszyna wykonywała takie same nagłe i niezgrabne ruchy jak roboty na linii montażowej - nerwowe, ale dokładne. Roboty mogą być precyzyjne, pomyślał Kurt, ale jednak brak im wyczucia stylu.

Kiedy maszyna zakończyła spawanie, złożyła dwa ramiona i przyczepiła się do jednego słupa drabiny. Trzymając się go wyposażonym w silnik zaciskiem, zaczęła się wznosić. Dotarła na pokład kilkadziesiąt centymetrów od Kurta, puściła się i pomknęła drogą.

Jakaś mniejsza maszyna podążyła za nią.

- Moi robotnicy - wyjaśnił Marchetti. - Mam tysiąc siedemset robotów różnej wielkości i konstrukcji, które wykonują większość prac budowlanych.

- Roboty na wolności - zauważył Kurt.
- O tak, mogą się przemieszczać po całej wyspie - pochwalili się Marchetti.

W połowie trasy do dwóch robotów dołączyło kilka innych. Uformowały mały konwój zdążający w sobie tylko znane miejsce.

- Chyba mają przerwę - odezwał się Joe, chichocząc.
- Zgadza się - przytaknął Marchetti. - Inną niż ludzie, ale są tak zaprogramowane, że pilnują swojego poziomu mocy. Kiedy spada, wracają do węzłów zasilania i podłączają się do prądu. Po naładowaniu przystępują ponownie do pracy. Tak jest praktycznie dwadzieścia cztery godziny na dobę przez siedem dni w tygodniu.

- A jeśli zdarzy się wypadek? - zapytał Joe.
- Jeśli się zepsują, wysyłają wezwanie pomocy, i pojawiają się inne roboty. Zabierają je do warsztatu, gdzie zostają naprawione i skierowane z powrotem do swoich prac.

- Kto im mówi, co mają robić? - spytał Kurt.

- Główny program steruje nimi wszystkimi. Dostają instrukcje przez Wi-Fi. Meldują o postępach centralnemu komputerowi, w którym są wszystkie specyfikacje i plany Aqua-Terry. Śledzi on również postęp i dokonuje korekt. Drugi zespół mniejszych robotów sprawdza jakość.

- Roboty nadzorcy - powiedział Kurt, prawie nie mogąc powstrzymać chichotu.

- Owszem - zgodził się z nim Marchetti - w pewnym sensie, ale bez tych wszystkich konfliktów na linii siła robocza-kierownictwo.

Marchetti ponownie uruchomił wózek golfowy i chwilę później wchodzili do laboratorium trzy kondygnacje poniżej. W rozległym pomieszczeniu o stalowych ścianach, na których utrzymywała się warstewka skroplonej pary, stały wygodne kanapy obite lakierowaną skórą w jaskrawych kolorach, komputery i monitory. Całe mnóstwo monitorów.

Łagodny niebieski blask sączył się przez duże okrągłe okno. Za szybą pływały ryby i płąsało światło.

- Jesteśmy poniżej linii wodnej - zauważył Kurt, patrząc na bulaj.

Marchetti przytaknął.

- Sześć metrów. Ten blask mnie uspokaja i bardzo pomaga w myśleniu.

- Ale najwyraźniej nie w utrzymywaniu porządku - stwierdził Kurt na widok bałaganu wokół.

Śmiecie, ubrania i tace po jedzeniu walały się wszędzie. Parę tuzinów książek leżało na stole, jedne otwarte, inne zamknięte i spiętrzone pochyło jak krzywa wieża w Pizie. W rogu stały trzy roboty spawalnicze.

- Czyste biurko oznacza chory umysł - odparł Marchetti. Pobrał ostrożnie z fiolki kroplę wody i umieścił ją na szkiełku. Przeniósł próbkę do dużej kwadratowej maszyny, która ją wchłonięła i zaczęła buceć.

- Jeśli tak, to byłby pan jednym z najzdrowszych ludzi na świecie - mruknął Kurt, zdjął stos papierów z krzesła i usiadł.

Marchetti go zignorował i odwrócił się z powrotem do maszyny. Kilka sekund później obraz kropli wody ukazał się na płaskim ekranie nad jego biurkiem.

- Powiększenie - przykazał Marchetti, najwyraźniej do maszyny.

Obraz zmienił się kilkakrotnie, w końcu zaczął przypominać jakiś archipelag widziany z satelity.

- Jeszcze - polecił komputerowi Marchetti. - Zbliżenie sektora sto czterdzieści dwa. Powiększenie tysiąc sto.

Maszyna zahuczała i pojawił się nowy obraz. Tym razem pokazywał cztery z małych mechanicznych pajęczków sfalczonych wokół czegoś.

Marchetti aż otworzył usta.

- Bliżej - odezwał się Kurt.

Wyraźnie zaniepokojony Marchetti usiadł przed terminalem. Używając myszy i klawiatury, zrobił najazd. Jeden z pajęczków zdawał się ruszać.

- To po prostu niemożliwe - wymamrotał Marchetti.

- Wyglądają znajomo?

- Jak dawno niewidziane dzieci - odrzekł Marchetti. - Jakby żywcem wyjęte z mojego projektu, tyle że...

- Tyle że co?

- Tyle że nie mogą być moje.

'- Zaczyna się. - Kurt spodziewał się zaprzeczeń i zapewnień o środkach zapobiegawczych, które powinny były zadziałać. - Dlaczego nie?

- Bo nigdy żadnych nie wyprodukowałem.

Tego się nie spodziewał.

Leilani wskazała ekran.

- Ruszają się.

Marchetti odwrócił się i znów powiększył obraz.

- Pożywiają się.

- Jak to pożywiają? Czym?

Marchetti podrapał się w głowę i ponownie przybliżył obraz.

- Proteinami.

- Po co mikroskopijny robot miałby zjadać cząstkę organiczną?

- Bo jest głodny - oznajmił Marchetti i odwrócił się od maszyny.

- Pan wybaczy, że zapytam - niecierpliwił się Kurt - ale dlaczego robot miałby być głodny?

- Tutaj, na mojej wyspie, większe roboty podłączają się do prądu - wyjaśnił Marchetti. - Ale jeśli chce się skonstruować niezależne roboty, to muszą one być zdolne do pobierania energii w ten czy inny sposób. Te maluchy mają kilka możliwości. Linie na ich grzbietach, które wyglądają jak mikroczipy, są w rzeczywistości maleńkimi kolektorami solarnymi. Ale ponieważ niezależny robot ma inne potrzeby, musi być zdolny do czerpania pożywienia z otoczenia. Jeśli te nanoboty są skonstruowane według mojego projektu, to powinny być zdolne do wchłaniania organicznych substancji odżywczych z wody morskiej i rozkładania ich. Powinny być też zdolne do przetwarzania rozpuszczonych metali, plastików i innych rzeczy znajdujących się w morzu, żeby móc funkcjonować i się reprodukować.

- Ta rozmowa staje się coraz bardziej niepokojąca - stwierdził Kurt. - Niech pan wytłumaczy, jak one się reprodukują. I nie chcę wykładu o ptaszkach i pszczołkach. Po prostu nigdy nie słyszałem o tym w odniesieniu do maszyn.

- Prokreacja robotów to fundamentalna potrzeba, jeśli się chce, żeby robiły coś pożytecznego.

Kurt odetchnął głęboko. Przynajmniej otrzymywał odpowiedzi, nawet jeśli mu się nie podobały.

- A do czego pożytecznego zaprojektował pan te rzeczy?

- Moja pierwotna koncepcja była taka, żeby je wykorzystywać jako broń przeciwko zanieczyszczeniom w morzach - zaczął Marchetti.

- Miały zjadać zanieczyszczenia - zgadł Kurt.

- Nie tylko je zjadać - odparł Marchetti - lecz również przetwarzać w zasoby. Niech pan spojrzy na to w ten sposób. W wodzie jest tyle zanieczyszczeń, że morza i oceany dosłownie duszą się nimi. Problem polega na tym, że nawet w takich miejscach jak Wielka Pacyficzna Plama Śmieci zanieczyszczenia są zbyt rozproszone, żeby je ekonomicznie usuwać. Chyba że urządzenie usuwające śmieci pożywia się nimi i przerabia je na źródło energii, które umożliwia sprzątanie.

Wskazał ekran.

- Żeby to osiągnąć, zaprojektowałem samowystarczalne go i samoreplikującego się nanobota, który mógłby przebywać w wodzie morskiej, pływać dopóki nie znajdzie jakiegoś plastiku czy innego odpadu i pochłonać go, kiedy na niego natrafi. Gdy tylko te mikroroboty znajdują źródło pożywienia, wykorzystują produkty uboczne i metale w wodzie morskiej do kopowania się. *Voilà!* Reprodukacja bez jej wszystkich przyjemnych aspektów.

Kurta zawsze zdumiewała niechęć całego świata do zrobienia czegoś z zanieczyszczeniem mórz. Oceany wytwarzają trzy czwarte tlenu na kuli ziemskiej, jedną trzecią pożywienia jej mieszkańców. A jednak truciele zachowują się tak, jakby to była drobnostka. I dopóki nie zostanie już nic do złowienia albo nie będzie czym oddychać, wątpliwe, żeby ktoś z tym coś zrobił, bo to po prostu nieekonomiczne.

W rozwiązaniu Marchettiego była pewna, choć dziwaczna elegancja. Ponieważ nikt nie chciał zająć się problemem, on zaproponował wyjście, które nie wymagało od nikogo kiwnięcia palcem.

Joe wydawał się z tym zgadzać.

- Pomysłowe.

- I szalone - dodał Kurt.

- Bylibyście zaskoczeni, jak często jedno idzie w parze z drugim - odrzekł Marchetti. - Ale prawdziwe szaleństwo to bezczynność. Lub wrzucanie miliardów ton plastiku i innych śmieci do mórz, które żywią połowę naszej planety. Możecie sobie wyobrazić krzyki oburzenia i lamentsy, gdyby złociste łany zboża dusiły się od zapalniczek, plastikowych butelek, żyłek wędkarskich i połamanych kawałków dziecięcych zabawek? Właśnie to robimy oceanom. I jest coraz gorzej.

- Nie da się zaprzeczyć - przyznał Kurt. - Ale wpuszczanie samopas do morza samoreplikującej się maszyny i liczenie na to, że wszystko się uda, nie jest najbardziej rozsądnym posunięciem.

Marchetti usiadł. Wydawał się z tym zgadzać.

- Wszyscy tak uważali. Toteż jak wspomniałem, nie wytworzyliśmy żadnej.

- Więc skąd się wzięły na łodzi mojego brata? - zapytała ostro Leilani.

Kurt obserwował Marchettiego i czekał na odpowiedź, ale miliarder milczał. Wpatrywał się w Leilani z przerażeniem w oczach. Kurt odwrócił się i zrozumiał dlaczego.

Leilani trzymała w rękach rewolwer. Celowała z niego prosto w środek piersi Marchettiego.

ROZDZIAŁ 12

Marchetti odruchowo podniósł ręce do góry.

- Przysięgam, że nie wiem, jak się znalazły na łodzi pani brata.

Kurt wszedł między Leilani a miliardera.

- Odłóż broń - rozkazał.

- Dlaczego? - spytała.

- Bo on jest naszym jedynym podejrzanym - odparł Kurt. - jeśli go zabijesz, nigdy się nie dowiesz, co się stało. I przykro mi to mówić, ale dopilnuję, żebyś trafiła za to do więzienia.

- Ale to on zbudował te maszyny - powiedziała. - Przyznał się. Nie musimy dalej szukać.

Kurt spojrzał jej w oczy. Miał nadzieję zobaczyć w nich strach, wątpliwości i zdenerwowanie, ale dostrzegł tylko chłód i gniew.

- Odsuń się.

- „Mam dość samotności” - powtórzył słowa, które wypowiedziała tamtej nocy w hotelu. - Jeśli naciśniesz spust, będziesz bardziej samotna, niż jesteś w stanie sobie wyobrazić.

- Zabił mojego brata, i jeśli nie wyjaśni, dlaczego to zrobił, wyrównam rachunki - upierała się. - A teraz proszę cię, zjedź mi z drogi.

Kurt nawet nie drgnął.

- Niech pani posłucha - odezwał się nerwowo Marchetti - nie miałem nic wspólnego ze śmiercią pani brata. Ale może uda mi się pomóc znaleźć winnego.

- Jak? - zapytał Kurt.

- Wskażę, kto ma odpowiednią wiedzę i zna cały proces - zaofiarował się Marchetti. - Nie wystarczy wziąć śrubokręt i lutownicę i złożyć te maszyny w całość, to wyjątkowo skomplikowane przedsięwzięcie. Ktoś powiązany z początkowym projektem musiał być w to zamieszany.

Marchetti mówił, a Joe zaczął zachodzić Leilani z tyłu, cicho jak kot.

- Słuchamy dalej - ponaglił Kurt.

- Może dziewięć czy dziesięć osób zna główne plany - wyjął Marchetti - ale tylko jeden facet wie tyle co ja. Nazywa się Otero i jest tu na wyspie.

- Kłamie! - krzyknęła Leilani. - Po prostu próbuje zwalić winę na kogoś innego.

Gdy Leilani wybuchła, Joe skoczył. Wytrącił jej rewolwer, złapał za nadgarstek i wykręcił jej rękę za plecy.

Usłyszeli głośny trzask. Kurt myślał przez chwilę, że broń wypaliła.

- Wszyscy cali?

Marchetti przytaknął, Joe też, Leilani wyglądała na wściekłą, ale nie ranną.

- Co to za hałas? - zapytał Kurt.

Nikt nie wiedział, ale kiedy kolejny szczęk dotarł do nich z głębi mrocznego laboratorium, Kurt dostrzegł tam ruch. Drażniący zapach wyładowania elektrycznego wypełnił powietrze. Roboty spawalnicze ożyły. Przewracały wszystko przed sobą i wystrzeliwały niebieskie łuki plazmy z wysięgników.

Kurt się odwrócił do Marchettiego.

- Niech zgadnę. Otero to pański główny programista.

Marchetti przytaknął.

- Miałem wrażenie, że nas obserwuje.

Roboty spawalnicze ruszyły w kierunku ludzi. Dwa z nich toczyły się na małych gąsienicach niczym czołgi. Trzeci miał podobne do szponów stopy, które drapały metalowy pokład.

Joe puścił Leilani. Odwróciła się do Kurta i zaczęła usprawiedliwiać.

- Bardzo przepraszam, po prostu...

- Daruj sobie teraz - odrzekł Kurt ze wzrokiem utkwionym w groźnych maszynach.

Marchetti podbiegł do drzwi w przegrodzie. Obrócił i pociągnął klamkę, ale nie ustąpiły.

- Uwaga! - krzyknął Joe.

Jedna z maszyn ruszyła na miliardera. Jechała naprzód na gąsienicach, jedno ramię wyciągała po niego, z drugiego wypuszczała płonącą białą plazmę.

Marchetti schylił się i dał nura w inne miejsce. Maszyna wytopiła go i znów zaczęła się do niego zbliżać.

Kurt poszukał wzrokiem rewolweru i zobaczył go na drugim końcu pomieszczenia. Zanim zdążył się ruszyć, czwarta maszyna weszła do akcji i zagroziła mu drogę.

Cofnął się i odgrodził kanapą od nacierającego robota. Joe i Leilani też byli w odwrocie.

- Jak one działają?! - zawołał Kurt, gdy jedna z maszyn dotarła do stołu i przecięła go na pół piłą tarczową.

- Albo autonomicznie, albo są zdalnie sterowane - odpowiedział Marchetti. - Minikamery pełnią funkcję oczu.

Roboty poruszały się jak senne zwierzęta. Ilekroć napotykały jakąś przeszkodę, wysuwały chwytaki. Krzesło poszybowało na bok, kanapa stanęła w ogniu, podpalona spawarkami.

Kurt zauważył, że maszyny dziwnie się poruszają. Jakby za każdym razem tylko jedna z nich miała jakiś określony cel i wiedziała, co robić.

- Czy Otero może nimi teraz zdalnie sterować? - Marchetti przytaknął. Kurt odwrócił się do Joego. - To dobry moment na jakąś sugestię.

- Zaproponowałbym wyciągnięcie wtyczki - odparł Joe - ale domyślam się, że mają akumulatory.

Po tych słowach porwał krzesło i cisnął nim w najbliższego robota. Odbiło się od maszyny i zakotłowało ją do tyłu, ale poza tym rzut nie odniósł żadnego skutku.

Kurt został zmuszony do zajęcia pozycji bliżej Marchettiego. Joe i Leilani ulokowali się dalej. Ale zamiarem maszyn, czy też Otera, wydawało się stłoczenie ich razem.

Kurt próbował zrobić wypad w prawo, ale plazma ze spawarki go zatrzymała. Rzucił się w przeciwną stronę, licząc na swoją szybkość.

Maszyna obróciła się i znów nastąpił oślepiający błysk, ale Kurt był już gdzie indziej. Poczul gorąco na plecach, ale nie oparzenie. Chwytał pierwszą rzecz, jaka wpadła mu w ręce, szarpnął i złamał ją. Potem natrafił na drugi wysięgnik, który wyglądał jak kamera, i odepchnął go w bok.

Spawarka znów zionęła plazmą nad jego ramieniem i jakiś inny manipulator zaczął się poruszać.

- Czy one mają wyłącznik?! - krzyknął.

- Nie - zaprzeczył Marchetti. - Nawet nie potrafię sobie wyobrazić, jak je ręcznie unieruchomić.

- To teraz będzie pan musiał.

Kurt sięgnął do czegoś, co wyglądało jak trzy przewody hydrauliczne i zainkasował cios w klatkę piersiową, który odrzucił go od maszyny. Młot do wbijania nitów wysunął się i uderzył go w żebra.

Kurt upadł na plecy i zobaczył, jak opada ku niemu ostrze piły drugiej maszyny. Przetoczył się w bok i znalazł przy dużym okrągłym oknie, za którym było turkusowe morze.

Marchetti też zajmował tam pozycję, a Joe i Leilani zostali zagonieni przez roboty w pobliże.

- Mam pomysł - rzucił Kurt.

Natarł na tę samą maszynę, co przed chwilą, unikając spotkania z jej wysięgnikami. Spawarka rozbłysła i prawie go oślepiła. Hydrauliczny młot ponownie uderzył, ale Kurt uskoczył i cios go minął.

Maszyna ruszyła naprzód z trzymającym się jej kurczowo Kurtem. Odepchnęła go od siebie i walnęła nim w okno niczym kapitan drużyny futbolowej nieudolnym nowicjuszem w szafkę. Spawarka znów błysnęła i wyłobowała linię w akrylowej szybie. Potem drugą.

Kurt próbował odepchnąć maszynę, ale przypierała go do okna. Miał wrażenie, że od nacisku pękają mu żebra.

- Mam nadzieję... że te roboty... nie są wodoszczelne - zdołał wykrztusić.

Znów sięgnął do przewodów hydraulicznych. W tym samym momencie młot uderzył po raz kolejny. Ale Kurt wygiął się i cios trafił w wielką owalną szybę.

Upiorny trzask pękającego akrylu przykuł uwagę wszystkich. Odwrócili się, gdy wypukłe okno, zaprojektowane do wytrzymywania ciśnienia na zewnątrz, puściło od wewnątrz.

Woda wdarła się do środka, porywając wszystkich i wszystko. Poniosła ludzi, meble i maszyny przez pomieszczenie i rzuciła na przeciwległą ścianę.

Kurt poczuł kilka wstrząsów. Starał się uwolnić od spawarki. Ledwo się oswobodził, gdy wirująca woda przygwoździła go do ściany i uwięziła w dole jak zdradliwa fala surfera. Odepchnął się od podłogi i wypłynął na powierzchnię.

Piana i śmiecie pływały dokoła niego. Kurt czuł, jak woda się podnosi i unosi go w zalewanym pomieszczeniu. Kiedy zbliżył się do sufitu, uwięzione powietrze spowolniło proces, ale musiało uchościć w jakimś miejscu, bo powietrzna kieszeń kurczyła się z każdą chwilą.

Rozejrzał się. Joe podtrzymywał Marchettiego jedną ręką, a drugą trzymał się kurczowo ściany.

Leilani wynurzyła się i chwyciła rury pod sufitem, której teraz łatwo było dosięgnąć.

- Co z robotami?

- Nie nauczyłem ich pływać - odrzekł Marchetti.

- Pierwsza rzecz, którą pan zrobił dobrze - stwierdził Kurt. -

Jak głęboko jesteśmy?

- Na sześciu metrach.

- Musimy się dostać na powierzchnię.

- Dam radę - zapewnił Marchetti, kaszłąc, jakby połknął kilka litrów wody.

- Leilani?

- Oczywiście - odparła.

- Okej. Zdejmijcie buty - polecił Kurt, potem odwrócił się do Marchettiego i dodał: - I niech pan się pozbędzie tej głupiej szaty. Nie dość, że pan w niej utonie, to te kolory przyprawiają mnie o ból głowy, odkąd tu jestem.

Rozwiązali i ściągnęli buty, Marchetti uwolnił się z mokrej szaty i popłynęli ku ziejącej dziurze, która pozostała po oknie.

Zanim się zanurzyli, żeby wypłynąć na zewnątrz, Kurt spojrział w oczy Marchettiemu.

- Gdzie znajdę Otera?

- W centrum sterowania, w głównym budynku, z tyłu przy lądowisku helikopterów.

- Może pan unieważnić jego dostęp, żebym po drodze nie został pospawany, zastrzelony z pistoletu do wbijania gwoździ ani w żaden inny sposób załatwiony przez pańskie roboty?

Marchetti postukał się w głowę, jakby miał jakiś pomysł.

- To pierwsza rzecz, którą zrobię.

- Świetnie - pochwalił Kurt. Zerknął na Joego, determinacji w jego oczach towarzyszył przyływ energii spowodowany przejściem do ofensywy.

- Mam nadzieję, że jesteś wypoczęty - powiedział. - Kolej na nasz ruch.

ROZDZIAŁ 13

W zaciemnionym centrum sterowania blisko szczytu najwyższej ukończonej budowli Aqua-Terry Martin Otero przeniósł wzrok z jednego ekranu na drugi. Trzy duże monitory stały przed nim. Na dwóch nie było widać nic, trzeci pokazał coś ruchomego, po czym obraz się spikselował i też zniknął.

- Co jest?

Otero zignorował pytanie. Blake Matson, prawnik Marchettiego, przysunął się bliżej.

- Co jest? Co ze starym?

Otero wskazał ekrany bez obrazu.

- Skąd mam wiedzieć? Widzę tyle, ile ty.

Matson gapił się na monitory, a Otero ponownie załadował program w nadziei, że odbierze sygnał od robotów budowlanych. Wtem rozbłysnął alarm na wyświetlonym planie wyspy.

- Woda w przednim laboratorium - oznajmił Otero. Nagle zrozumiał, co się stało. - Tamten przedział jest zalany. Okno widokowe Marchettiiego musiało popękać.

- A to znaczy...?

Otero odwrócił się na obrotowym krześle. Poczł się lepiej, pewniej.

- Źe mamy szczęście. Chyba już po nich. I teraz to wygląda na wypadek.

- „Chyba” to za mało - odparł Matson. - Musimy mieć pewność.

- Są sześć metrów pod powierzchnią - wyjaśnił Otero. - Ciśnienie wdzierającej się do środka wody prawdopodobnie ich zgniecie, a jeśli nie, to utoną.

- Postuchaj - przypomniał Matson. - Obaj zarobiliśmy miliony na sprzedaży projektu Marchettiiego Jinnowi. Ale jeśli się nie upewnimy, że ci ludzie są martwi, nie pożyczemy wystarczająco długo, by wydać te pieniądze. Więc wyślij tam więcej robotów, żeby znalazły ciała i wyłowiły je jak śnięte ryby.

Otero wrócił do klawiatury. Znalazł spis aktywnych robotów i przewinął go w dół do części oznaczonej „Hydro”. Nacisnął strzałkę w dół i zlokalizował dwie łodzie podwodne, które powinny być teraz w pobliżu laboratorium Marchettiiego.

- Co to za maszyny?

- Oczyszczarki kadłuba - odrzekł Otero. - Krążą wokół i usuwają algi i pąkle z jego powierzchni.

- Są zabójcze?

- Tylko dla pąkli - odpowiedział Otero. - Ale dadzą nam obraz sytuacji.

Przełączył oczyszczarkę kadłuba na sterowanie ręczne i skierował ją do sektora 171 A, laboratorium Marchettiiego. Maszyna nie poruszała się szybko, ale miała do przebycia niewielką odległość.

- To pokład obserwacyjny - wytłumaczył, gdy oczyszczarka mijala długie prostokątne okno. - Laboratorium Marchettiiego jest obok.

Chwilę później ukazało się okno laboratorium.

Zniszczenia były widoczne na pierwszy rzut oka. Wielkie, niegdyś piękne okrągłe okno, w którym kiedyś często błyszczało światło, teraz wyglądało jak ciemna jaskinia. Szyba się rozprysła.

Kilka kawałków grubego akrylu tkwiło w ramie niczym połamane zęby w ogromnych ustach. Żaden blask nie padał ze środka.

- Wprowadź maszynę - polecił Matson.

Otero już chciał to zrobić, kiedy jego uwagę zwrócił ruch z prawej strony ekranu. Posłał jedną z oczyszczarek w tamtą stronę. Kamera pokazała grupkę pływaków. Zmierzali ku powierzchni.

- Łap ich!

Otero wysunął szczytce maszyn i pospieszył do ostatniej pary bosych stóp. Należały do kobiety.

Oczyszczarka kadłuba chwyciła ofiarę za nogi. Rozgorzała wałka. Kamera dygotała, pęcherze powietrza uciekały z ust kobiety. Otero pchnął dźwójstik w dół, żeby maszyna zanurkowała.

Oczyszczarka wykonała zwrot, ale utknęła w miejscu. Nagle twarz otoczona jak wieńcem srebrzystymi włosami pojawiła się w kadrze. Maszyna poszła w bok. Trzask pękającego ramienia siłownika rozległ się w słuchawkach.

Obraz wrócił na ekran. Kobieta się uwolniła i twarz mężczyzny ukazała się ponownie. Trzymał się oczyszczarki kadłuba i patrzył w kamerę. Otero czuł ciężar tego spojrzenia. Mężczyzna wycelował palec prosto w kamerę, prosto w niego, a potem przeciągnął kantem dłoni po gardle i roztrzaskał obiektyw. Maszyna stała się bezużyteczna.

Przesłanie było jasne. Ludzie z NUMA zamierzali dobrać się im do skóry. I nie planowali nic przyjemnego.

Otero nacisnął kilka klawiszy, a potem enter - zaprogramował ostatnią sztuczkę, która mogła go ocalić. Potem wstał i chwycił małą walizkę z gotówką, jego ostatnią wypłatą.

- Co ty robisz? - zapytał Matson.

- Wynoszę się stąd - odparł. - Możesz zostać, jeśli chcesz.

Wyjął rewolwer z szuflady biurka i wypadł na korytarz. Po chwili usłyszał, jak Matson go dogania.

Na prawej burcie Aqua-Terry Kurt natrafił na drabinę, która biegła w górę kadłuba. On i Joe wspięli się pierwsi i ukryli za

małym dębem, na stercie drewnianych wiórów. Kurt rozglądał się dookoła ponad polem pszenicy, kiedy Leilani wdrapała się na górę i osunęła obok nich. Wyglądała na wykończoną.

- Co teraz? - spytał Joe.

- Musimy znaleźć najlepszą drogę do centrum sterowania - odrzekł Kurt i pomyślał, że dobrze by było dostać jakieś wskazówki od projektanta wyspy.

Zerknął przez ramię za siebie. Na dole Marchetti wspinał się w żółwym tempie. Jeden szczebel, odpoczynek, następny szczebel i znów odpoczynek. Zakaszła i wypluła wodę.

- Szybciej - przynaglił go szeptem. - Nie mamy całego dnia.

- Obawiam się, że dalej nie dojdę - uznał miliard. - Tutaj się to skończy, na tej drabinie. Powinniście mnie zostawić.

- Z chęcią - mruknął Kurt - ale jest mi pan potrzebny do wyłączenia maszyn.

- Racja - przyznał Marchetti, jakby zapomniał. - Już idę.

Znów zaczął się wspinać. Kurt dostrzegł dwie postacie schodzące po schodach z drugiego piętra piramidy przy sterburcie. Wydało mu się, że w jednym z mężczyzn rozpoznał aroganckiego doradcę Marchettiego. Drugiego widział po raz pierwszy.

- Jak wygląda Otero? - zapytał.

Marchetti wystawił głowę ponad szczyt drabiny.

- Średniego wzrostu i budowy, ciemna cera, krótko ostrzyżony, bardzo mała okrągła głowa.

Postacie były za daleko, żeby Kurt mógł mieć pewność, ale wydawało się, że zauważony przez niego mężczyzna odpowiadał opisowi. Po chwili dwie postacie pobiegły jedną z dróg Aqua-Terry. Co jakiś czas zerknęły za siebie, co wskazywało, że uciekają.

- Jak się można wydostać z tego statku, eee... to znaczy wyspy? - chciał się dowiedzieć Kurt.

- Helikopterem - rzucił Marchetti. - Albo przez marinę łodzią lub hydroplanem.

Marina. Jeśli Kurt dobrze się domyślał, uciekinierzy tam się kierowali.

- Zdaje się, że Otero i pański prawnik biegną w tamtą stronę - oznajmił. - Leilani, pomóż Marchettiemu znaleźć jakiś terminal komputerowy i postaraj się nie zabić go przy tej okazji. Jest irytujący, owszem, ale chyba musimy go oczyścić z wszelkich zarzutów z wyjątkiem zbrodni przeciwko modzie.

- Przepraszam - powiedziała. - I daję słowo, że nic mu nie zrobię.

Kurt odwrócił się do Joego.

- Gotowy?

Joe skinął głową. Wystartowali sprintem przez pole pszenicy, torując sobie drogę między kłosami sięgającymi szyi. Dotarli na drugą stronę i puścili się pędem przez park. W połowie drogi Kurt usłyszał odgłos uruchamianego silnika.

- Brzmi to jak łódź?

Joe zaprzeczył.

- Bardziej jak chłodzony powietrzem lycoming. Zamierzają odlecieć hydroplanem.

- To lepiej się pospieszmy.

Leilani i Marchetti potruchtali naprzód i w końcu dali nura do warsztatu. Na widok pięćdziesięciu ładujących akumulatory robotów kobiecie dreszcz przeszedł po plecach, ale żadna maszyna nawet nie drgnęła.

Marchetti znalazł terminal i się zalogował.

- Przykro mi, że próbowałam pana nastraszyć - odezwała się Leilani.

- Mnie też - odrzekł, stukając gorączkowo w klawiaturę. - Ale nie dziwi mnie pani złość.

Skinęła głową.

- Wszedłem - rzucił Marchetti. Przez chwilę wydawał się uszczęśliwiony, a potem zamarł z otwartymi ustami, jakby zaskoczony tym, co widzi. Zmrużył oczy i zapatrzył się w coś na ekranie.

- Otero - wymamrotał - coś ty zrobił?!

Nagle maszyny wokół nich zaczęły się uruchamiać. Silniki warczały, diody zmieniały barwę z pomarańczowej na zieloną.

- Co się dzieje? - zapytała Leilani.

- Zmienił kod - odparł Marchetti. - Kiedy się zalogowałem, nastąpiła reakcja. Ustawił roboty na tryb przeciwko intruzom.

- Tryb przeciwko intruzom? Co to takiego?

- Zwracają się przeciwko każdemu na wyspie, kto nie ma przy sobie identyfikatora z czipem RFID. To moja obrona przed piratami.

Leilani uświadomiła sobie natychmiast, że ona nie ma identyfikatora, ale kiedy maszyny zaczęły się odłączać od gniazdek zasilających, pomyślała o Marchettim.

- Gdzie pan ma swój?

- W kieszeni szaty, którą Kurt kazał mi zdjąć - odpowiedział.

Kurt i Joe przebiegli przez park i wpadli w następne pole pszenicy po drugiej stronie. Na prawo od nich, gdzieś daleko, rozległ się odgłos silnika i na końcu pola mały kombajn ruszył w ich stronę, kosząc zboże.

- Trochę za wcześnie na żniwa - zauważył Joe.

- Chyba że plonem mamy być my.

Kurt przyspieszył i wy dostał się po drugiej stronie na wąską ścieżkę w kierunku mariny. Biegł, mając Joego tuż obok siebie. Dostrzegł inne maszyny, które wyłaniały się z tartaku i kierowały ku nim.

- Marchetti najwyraźniej jeszcze nie przeprogramował robotów.

- Miejmy nadzieję, że pamięta hasło - stwierdził Joe.

Wciąż mieli przewagę nad maszynami - byli szybsi i zwinniejsi. Przebiegli ścieżką trzydzieści metrów, przeskoczyli przez mur i oddalili się od robotów. Kilka sekund później zbiegali po schodach do portu. Przed nimi hydroplan kołował na pełne morze, właśnie mijał falochron. Musieli się pospieszyć.

Kurt dobiegł do łodzi, która wyglądała na najszybszą - ponad sześćoipółmetrowej donzi. Wskoczył do niej i dopadł konsoli sterowniczej, gdy Joe odwiązywał cumy. Nacisnął przycisk rozrusznika i uśmiechnął się, kiedy widlasta ósemka ożyła.

- Straszylła się zbliżają - ostrzegł Joe.

- Bez obaw - uspokoił go Kurt, gdy zerknął na grupę nadciągających maszyn. Pchnął przepustnicę i obrócił koło sterowe.

Motorówka wystrzeliła naprzód, skrzyła i pomknęła łukiem przez marinę. Gdy tylko znaleźli się na kursie, Kurt wyprostował i wycelował dziób w lukę w falochronie. Hydroplan już ją pokonał.

Kurt liczył na to, że dogoni uciekinierów, może ich przewróci, ale wiedział, że ten plan ma małe szanse powodzenia.

Wskazał radio na tablicy przyrządów.

- Połącz się z Nigelem. Niech się zbiera. Nie chcę ich zgubić.

Joe włączył aparat, ustawił właściwą częstotliwość i zaczął wywoływać pilota helikoptera.

- Nigel! - krzyknął. - Tu Joe. Jesteś nam potrzebny!

Z głośnika dobiegł brytyjski akcent Nigela, w jego głosie brzmiało wszystko, tylko nie wesołość.

- Cześć, Joe, co jest?

- Poderwij maszynę w powietrze! - zawołał Joe. - Ścigamy hydroplan motorówką i nie powalczymy tak długo.

- Strasznie mi przykro - odrzekł Nigel. - Rozebrałem silnik.

- Co? - Kurt podsłuchiwał rozmowę.

- Po co? - zapytał Joe.

- Kurt kazał mi się postarać, żeby to wyglądało autentycznie. Osłona jest zdjęta, kilka części leży na ziemi, a moja tępa mina robi jak najlepsze wrażenie.

- Nie mówiłem, że to ma wyglądać aż tak autentycznie - mruknął Kurt.

- To tyle, jeśli chodzi o plan - stwierdził Joe.

Pozostało im tylko uderzyć w samolot w nadziei, że go uszkodzą lub przewrócą i nie zginą przy okazji.

Przemknęli przez lukę w falochronie. Hydroplan był dwieście metrów przed nimi i skręcał pod wiatr, żeby wystartować.

Kurt trzymał przepustnicę otwartą do oporu i przeciął drogę samolotowi. Pilot odruchowo zmienił kierunek, ale maszyna pozostała w pionie.

Kurt skręcił w lewo i zawrócił. Hydroplan przyspieszał. Kurt wziął kurs na latającą maszynę, płynąc w jej kilwaterze.

- Dawaj - przynaglił łódź, wyciskając pełną moc z silnika.

Skacząc po falach, odbił w lewo, wyprzedził samolot i znów wszedł mu przed dziób.

Joe schylił się i krzyknął ostrzegawczo. Hydroplan poderwał się do góry, jego metalowe śmigło minęło motorówkę, ale stery na końcach pływaków zawadziły o nią, kiedy przeskakiwał nad łodzią, zanim opadł z powrotem.

Kurt podniósł wzrok.

- Cieszę się, że nikt nie stracił głowy.

- Nie próbuj tego znowu - poprosił Joe. - Nie mam ochoty sprawdzać, jak się czuje margarita w mikserze.

Kurt spodziewał się, że samolot skręci, a nie przeskoczy nad nimi. Ale coś działo się. Hydroplan wylądował niezgrabnie i pilot zwolnił, żeby go ustabilizować. Kiedy samolot znów zaczął przyspieszać, był skierowany w złą stronę.

- Ustawili się z wiatrem - powiedział Joe. - Będzie im o wiele trudniej wystartować, kiedy wieje im w ogon niż pod wiatr.

- Trudniej nie oznacza, że się im nie uda - odparł Kurt. Prowadził łódź z dużą wprawą. Dogonił hydroplan, opadł w dolinę kilwateru i uderzył w jeden z pływaków. Samolot się przechylił i obrócił, ale pilot szybko odzyskał kontrolę nad nim.

- Uważaj! - krzyknął Joe.

Seria pocisków podziurawiła dziób motorówki, gdy jeden z uciekinierów opróżnił magazynek pistoletu maszynowego. Kurt i Joe musieli skręcić, a hydroplan zmienił kurs i znów ustawił się pod wiatr.

W warsztacie Leilani patrzyła ze zgrozą na armię robotów, które budziły się do życia i ruszały naprzód. Trzy maszyny atakujące

w laboratorium na dole wystarczyły, by ją przerazić, ale pięćdziesiąt urządzeń to był absolutny koszmar. Poczła gniew i pomyślała, że tego już za wiele.

- Niech pan coś zrobi! - krzyknęła do Marchettiiego.

- Próbuję - odpowiedział. - Cwaniak z tego Otera. Gdybym wiedział, że jest taki sprytny, płaciłbym mu więcej.

Leilani rozejrzała się w poszukiwaniu pomocy. Zobaczyła tylko roboty i szafki.

- Co jest w szafkach?

- Kombinezony robocze.

- Z identyfikatorami?

- Tak - potwierdził Marchetti z podnieceniem. - Niech pani działa!

Leilani przebiegła przez pomieszczenie, dała nura pod ramieniem jednej z maszyn i dopadła szafek. Szarpnęła drzwi jednej z nich i porwała kombinezon roboczy. Miał biały identyfikator. Ścisnęła go mocno.

Roboty przystanąły i odwróciły się od niej, a potem wszystkie skierowały się w stronę Marchettiiego, który nadaremnie stukał w klawiaturę.

- Nie mogę złamać kodu! - zawołał. Maszyny już do niego dotarły i jedna powaliła go na ziemię. Inna wycelowała w niego elektryczną wkrętarce z wirującym wiertłem Philipsa.

Leilani rzuciła się naprzód, przepchnęła między robotami i przykryła Marchettiiego własnym ciałem. Objęła go mocno w nadziei, że maszyny wezmą źródło ich połączonego ciepła za jedną osobę i jednocześnie odczytają identyfikator.

Wkrętarce wyła i się zbliżała. Leilani przywarła do Marchettiiego i zamknęła oczy.

Nagle hałas umilkł. Elektryczne narzędzie zostało wyłączone. Drugi robot puścił Marchettiiego i mała armia maszyn zaczęła się oddalać w poszukiwaniu innej ofiary.

Leilani obserwowała roboty, nadal trzymając Marchettiiego na podłodze.

Kiedy maszyny opuściły budynek warsztatu, spojrzęła na niego twardo i zimno. Chciała, żeby dobrze zrozumiał.

- Jest pan moim dłużnikiem - oświadczyła.

Skinęła głową i wtedy go puściła. Oboje nie odrywali wzroku od drzwi.

Pół mili morskiej od pływającej wyspy Kurt i Joe próbowali uniknąć ostrzału z hydroplanu. Samolot zawrócił, ustawił się pod wiatr i przyspieszał. Kiedy zwiększył prędkość, Kurt znów został za nim.

- Teraz albo nigdy.

- Mam pomysł - oznajmił Joe, wdrapał się na dziób i chwycił kotwicę. - Mój znajomy w Kolorado nauczył mnie łąpać konie na lasso - wyjaśnił i zaczął kręcić dziewięciokilogramową kotwicą w powietrzu.

Kurt odgadł, co planuje przyjaciel, i pchnął przepustnicę do oporu po raz ostatni. Zaczęli zmniejszać dystans. Strzelec znów otworzył ogień, ale Kurt skręcił na stronę pilota i wprowadził łódź pod hydroplan.

Joe się obrócił i wypuścił kotwicę niczym młociarz na olimpiadzie w momencie, gdy samolot oderwał się od powierzchni wody. Kotwica poszybowała naprzód. Lina owinęła się wokół rozpórek pływaka i naprężyła.

Dziób hydroplanu uniósł się i wyciągnął przód motorówki z morza. Ciężar i opór okazały się za duże. Lewe skrzydło opadło, samolot przekoziółkował i jego kawałki rozprysły się na wszystkie strony.

Łodzią szarpnęło w bok, wyrwało knagę kotwiczną, ale Kurt zdołał zapobiec wywrotce. Skręcił w lewo, cofnął przepustnicę i zawrócił, żeby obejrzeć skutki katastrofy.

Hydroplan stracił jeden pływak, skrzydła miał zgięte i złożone, część ogona odpadła. Woda wlewała się do środka i wyglądało na to, że tonie.

- Udało się! - krzyknął Joe i wyrzucił pięść w powietrze.

- Musimy cię zgłosić do rodeo - stwierdził Kurt, obrócił łódź i skierował ją w stronę rozbitego hydroplanu.

Podpłynął do niego. Samolot szybko szedł na dno, dwaj pasażerowie próbowali rozpaczliwie wydostać się na zewnątrz. Matson zdołał to zrobić pierwszy i złapał się kurczowo łodzi. Otero poszedł w jego ślady.

Zaczęli się wdrapywać do środka, ale ilekroć się wspięli, Kurt dodawał gazu.

- Proszę! - zawołał Otero. - Słabo pływam!

- To może nie powinieneś mieszkać na pływającej wyspie - odparł Kurt i pchnął przepustnicę. Kiedy odpadli od burty, zmniejszył obroty silnika. Dotarli pieskiem do motorówki i złapali się relingu.

Kurt znów się ich pozbył.

- To był jego pomysł! - krzyknął Otero, próbując pływać w miejscu.

- Jaki? - zapytał Kurt.

- Żeby ukraść nanoboty - odpowiedział Otero.

- Zamknij się - warknął Matson.

- Komu przekazaliście plany? - spytał Joe.

Dwójka półtopielców uczepiła się motorówki i Otero znów zamilkł.

- Panie Austin - zaczął Joe - chyba mamy sposób na abor dażystów i intruzów.

Kurt skinął głową z uśmiechem.

- Zgadza się, panie Zavala. Zgadza się.

Przesunął przepustnicę trochę dalej tym razem. Dwaj morderzy usiłowali się utrzymać, ale szybko odpadli od łodzi. Kurt powoli zostawiał ich z tyłu.

- Zaczekajcie! - wrzasnął Otero, rozchlapując gorączkowo wodę. - Powiem wam!

Kurt przyłożył dłoń do ucha.

- Zaraz będziemy za daleko.

- Jinn! - wykrztusił Otero. - Jinn al-Khalif!

Kurt przymknął przepustnicę i motorówka powoli się zatrzymała.

- Gdzie go znajdę?

Otero spojrzął na Matsona, który kręcił głową.

- Mieszka w Jemenie - wyrzucił z siebie Otero. - Tylko tyle wiem.

ROZDZIAŁ 14

Na podwórzu domu w marokańskim stylu, rzut kamieniem od Zatoki Adeńskiej, człowiek znany jako Sabah rozkoszował się wieczorem. Kiedy zmierzch okrywał świat zasłoną mroku, Sabah delektował się jagnięciną ze świeżo upieczoną pitą i krojonymi pomidorami. Wokół niego moskitiery powiewały na lekkim wietrze, szum fal rozbijających się o pobliskie klify brzmiał jak uspokajająca muzyka.

Zjawił się służący i szepnął mu coś do ucha.

Sabah wysłuchał go i skinął głową. Wyraz lekkiej irytacji zmarszczył mu czoło.

Służący zabrał talerz i Sabah wyciągnął się wygodnie ze szklanką czarnej herbaty. Odgłos zbliżających się kroków umilkł w łukowym wejściu.

- Proszę o audiencję - odezwała się postać w cieniu.

- Rzekłbym, że już ją uzyskałeś - odparł Sabah - skoro stoisz tu w mojej obecności, zaproszony czy nie.

- Nie chciałem przeszkadzać - powiedział mężczyzna. - Czekałem, aż zjiesz.

Sabah wskazał mu miejsce.

- Wejdz i usiądź ze mną, Mustafo. Jesteśmy starymi przyjaciółmi, znamy się od pierwszej wojny z Izraelem. Dostarczona przez ciebie broń nie pomogła nam zwyciężyć, ale pozwoliła mi

podtrzymać na duchu al-Khalifa i jego rodzinę. Od tamtej pory szczęście mi dopisuje.

Mustafa podszedł i usiadł naprzeciwko Sabaha. Gospodarz wyczuł jego niepokój. Ponieważ Mustafa był najodważniejszy z ludzi, arogancki i zadziorny, Sabah zastanawiał się, o co chodzi.

- Właśnie o szczęściu chciałem porozmawiać - wyjaśnił Mustafa - twoim i moim. I tych, którzy biorą lwią część dla siebie.

Sabah wypił jeszcze łyk herbaty i odstawił szklankę. Na talerzyku obok niej leżały świeżo pokrojone liście czuwalniczki jadalnej, rośliny o właściwościach stymulujących. Działała podobnie do łagodnej amfetaminy. Sabah wziął jeden z liści, zgiął go i włożył do ust. Zaczął go wolno żuć, wysysając sok.

- Lwy biorą największą część, bo są lwami - wytłumaczył. - Nikt nie rzuci im wyzwania.

- A co, jeśli lew jest słaby i arogancki? - zapytał Mustafa. - Albo ślepy na potrzeby ludzi? Wtedy inny wstaje i zajmuje jego miejsce.

- Dajmy temu spokój - odrzekł Sabah. - Nie musisz używać metafor. Mówisz o Jinnie i projekcie. Uważasz, że nas zawodzi w jakiś sposób.

Mustafa się zawahał i załamał ręce, jakby w wielkim zderzeniu nerwowaniu.

Sabah podsunął mu talerzyk z liśćmi.

- Poczęstuj się. To ci rozwiąże język.

Mustafa wziął jeden z liści i zgiął go w palcach podobnie, jak to zrobił Sabah. Włożył go do ust.

- Jakie działania Jinna wydają ci się niewłaściwe? - spytał Sabah.

- Trzy lata obietnic - zaczął Mustafa - i ani jednej nowej kropli deszczu.

- Zmiany wymagają czasu. Zostałeś o tym uprzedzony.

- Nasz czas się kończy - odpowiedział Mustafa - tak jak i twój. Jemen umiera. Ludzi wysiedla się z miast siłą, bo nie wystarczy wody dla wszystkich.

Sabah wypluł zieloną ślinę i resztki liścia do miseczki. Wypił łyk herbaty, żeby odświeżyć podniebienie. Mustafa miał rację. Uważano, że w stolicy państwa będzie tak mało wody w przyszłym roku, że żadne racjonowanie nie uratuje sytuacji. Wymuszona migracja była jedynym wyjściem, ludzi kierowano w inne regiony, ale reszta kraju zapewniała im niewiele lepsze warunki życia.

- Padało tu trzy razy w zeszłym tygodniu - zauważył Sabah. - Normalnie nie ma tutaj tyle deszczu. Nawet teraz chmury zbierają się nad górami na północy. Zmiany następują. Jinn dotrzyma obietnic.

- Być może - przyznał Mustafa - ale co go powstrzyma przed złamaniem danego słowa?

Sabah poznał po błysku w oczach Mustafy, że jego gość przechodzi do sedna.

- Honor - rzucił.

- Jinn nie ma honoru - ocenił Mustafa. - Jako dowód, wskażę cię samego. Wiadomo powszechnie, że to tobie Jinn zawdzięcza sukces. Majątek i władzę zdobył dzięki twojej mądrości. Szczęście uśmiecha się do jego rodziny dzięki twoim wysiłkom, twojej pracy i twojej lojalności. Jinn ma miliony; firmy, pałace i żony. A co daje tobie? - Mustafa rozejrzał się dookoła. - Masz ładny dom i paru służących. Dobrze jadasz. Byłeś mu wierny przez całe życie. To wszystko, na co zasługujesz? Nie, to drobnostka, i z pewnością należy ci się więcej. Powinieneś zostać księciem.

- Jestem lojalnym sługą - odparował Sabah.

- Nawet słudzy są wynagradzani przez swojego pana - stwierdził Mustafa. - Na dawnych dworach nawet niewolnik mógł zostać zaufanym doradcą.

Sabah usłyszał dość.

- Być może za bardzo rozwiązał ci się język, Mustafu.

- Nie - zaprotestował gość z podnieceniem - w sam raz. Znam prawdę. Jinn wykorzystuje cię tak jak nas. Bierze dużo i daje tylko tyle, ile musi. Jesteśmy na każde jego zawołanie. Jeśli

wstrzyma realizację projektu, zginiemy. Jeśli poprosi o więcej, nie będziemy mieli innego wyjścia, niż dać mu to.

- Więc chodzi ci o pieniądze.

- Nie - zaprzeczył Mustafa - o władzę. Wkrótce przestaniemy mieć możliwość kontrolowania Jinna czy nawet negocjowania z nim. Tworzy magię jak dżinny w zamierzonych czasach. Ale jeśli sam będzie nią władał, reszta z nas nie będzie już potrzebna. Nie bez powodu dżinny przekłeto. Były czarownikami, którym nie można było ufać. Nieskrępowane, czyniły z siebie bogów. Taki cel ma Jinn.

Sabah przyglądał się staremu przyjacielowi i próbował wyczuć, jak daleko się posunie. Na razie Mustafa nie proponował zdrady, ale najwyraźniej do tego zmierzał. Jeśli Sabah się nie mylił, namówiono go do tego.

- Więc odbyła się narada inwestorów - odgadł. - Kto ją zwołał?

- Nieważne - odparł Mustafa.

- Dla mnie ważne.

- Ważna powinna być dla ciebie twoja pozycja - odrzekł Mustafa. - Proszę cię, żebyś się zastanowił, dlaczego jesteś tutaj, w Adenie, zamiast z Jinnem w jego jaskini dżinnów na pustyni.

- Bo nie jestem mu tam teraz potrzebny.

- Zdaje się, że tak jest coraz częściej - zauważył Mustafa. - A co zrobisz, jego wierny sługo, kiedy Jinn w ogóle przestanie cię potrzebować?

Słowa Mustafy zaskoczyły Sabaha. W jego uszach zabrzmiało to zupełnie szczerze.

- Kiedy był mały - ciągnął Mustafa - kontrolowałeś go siłą. Gdy dorósł, robiłeś to mądrością. Co ci zostało? Dałeś mu wszystko, Sabahu. Teraz jest czas, by brać. Wziąć to, na co zasłużyłeś.

- Co to ma być, rodzaj przewrotu pałacowego? To ci chodzi po głowie?

- Ty zbudowałeś to imperium - szepnął Mustafa - bardziej ty niż on. Ty powinieneś mieć klucze do niego, a nie stać za murami jak drugorzędny członek klanu, którym zawsze byłeś.

Słowa Mustafy podziały na głęboko skrywaną ambicję Sabaha. Nie należał do klanu Khalifów Wiedział, że mimo lojalności, ciężkiej pracy i bezwzględności zawsze pozostanie tylko zaufanym parobkiem. Gdy synowie i córki Jinn dorosną, partnerstwo się skończy. Więzy klanowe i rodzinne staną się dominujące. On zostanie odsunięty na bok, jego potomstwo nie będzie zbierać tego, co zasiał.

W pewnym sensie to się już zaczęło. Od roku czy dwóch Jinn spędzał coraz mniej czasu w jego towarzystwie. Zmienił zwyczaje. Wydawał się zmęczony słuchaniem rad Sabaha, podczas gdy wcześniej je chłonał.

Ale tylko to nie dawało powodu do zdrady. Sabah sięgnął po następny liść czuwaliczki, złożył go w palcach i wsunął do ust. Musiał wiele rozważyć przed podjęciem decyzji.

Kiedy żuł, substancje zawarte w soku rośliny sprawiły, że poczuł przyływ energii.

Wiedział, że Mustafa nie zmieni zdania. Przedstawił swój plan i jeśli Sabah nie przystanie do niego, może wpaść w kłopoty. Ludzie Mustafy zapewne czekali w pobliżu. Choć może uważał, że sam potrafi go zabić.

Sabah nie zamierzał dać mu szansy.

- Masz jakąś strategię?

Mustafa przytaknął.

- Musimy zobaczyć chmarę w działaniu, choćby na małą skalę.

- Przez „my” rozumiesz również pozostałych?

- Ja będę świadkiem, razem z Alhramą z Arabii Saudyjskiej.

Jinn najbardziej nam ufa. Zdamy relację pozostałym.

- Rozumiem. A jak mam to zorganizować?

- Jinn musi nam umożliwić przeprowadzenie inspekcji w dyspozytorni i zakładzie produkcyjnym oraz udostępnić program i kody.

Sabah zastanowił się i podrapał w brodę.

- A kiedy już wszystko zobaczycie?

- Dam ci sygnał - odparł Mustafa. - Zabijesz Jinna i przejmiesz kontrolę nad operacją jako pełnoprawny partner w tym przedsięwzięciu i chief konsorcjum Oaza.

ROZDZIAŁ 15

Kurt Austin kierował się do supernowoczesnego biura Marchettiego na szczycie jednego z dwóch ukończonych budynków Aqua-Terry. W ciągu dwudziestu czterech godzin, które upłynęły od chwili, kiedy on i Joe zatrzymali hydroplan i uniemożliwili Matsonowi i Oterowi ucieczkę, wiele się wydarzyło.

W Waszyngtonie Dirk Pitt i reszta szefostwa NUMA zgromadzili informacje o Jinnie al-Khalifie.

Pilot Nigel skończył składać z powrotem helikopter i na zaproszenie Marchettiego przywiózł Paula i Gamay Troutów.

Marchetti spędził piętnaście godzin na odpuszkowaniu komputera, starając się upewnić, że Otero nie zastawił na nich żadnych dodatkowych pułapek. Nie znalazł ani jednej, ale setki programów zawiadywały jego zautomatyzowaną wyspą. Oznajmił, że nie może być pewien wszystkich.

Pod naciskiem Kurta skoncentrował się na najważniejszych i całkowicie unieruchomił roboty budowlane. Na wszelki wypadek.

Z powodu zapowiedzianego raportu z centrali NUMA wszyscy zbierali się w biurze Marchettiego, żeby poczekać na transmisję i przedyskutować następne posunięcie.

Kurt właśnie wszedł do środka. Joe i Troutowie byli już na miejscu. Marchetti siedział naprzeciwko nich, a Leilani obok niego.

- Niezłą ciupę ma pan tam na dole - zwrócił się Kurt do Marchettiego. - Jest lepsza od pięciogwiazdkowych hoteli, w których mieszkałem.

Marchetti się rozpromienił.

- Po ukończeniu Aqua-Terry spodziewamy się gościć milionerów i miliardarów na pokładzie. Gdybym musiał uwięzić któregoś z nich, nie chciałbym popsuć wrażeń z pobytu tutaj.

Kurt zachichotał.

- Udało ci się zmusić ich do mówienia? - zapytała Leilani.

- Nie, milczą jak zakłęci - odrzekł Kurt, zerknął na Joego i z powrotem przeniósł wzrok na Marchettiego. - Pewnie nie ma pan tu głodnego pytona?

Marchetti wyglądał na zaszokowanego pytaniem.

- Eee... nie. Dlaczego?

- Nieważne.

Kurt usiadł w momencie, gdy rozpoczął się przekaz satelitarny. Chwilę później twarz Dirka Pitta ukazała się na ekranie. Po szybkiej prezentacji Pitt przeszedł do rzeczy.

- Zdobyliśmy dla was pewne informacje o Jinnie. Całość dostaniecie w zaszyfrowanym pliku, a na razie najważniejsze informacje w skrócie.

Trzydzieści lat temu Beduin Jinn al-Khalif był dziewiętnastoletnim pasterzem wielbłądów; dwadzieścia lat temu wszedł na krótko w handel bronią i dobrze na tym zarobił, po czym dochody zainwestował w udziały w kilku legalnych firmach spedycyjnych, budowlanych i infrastrukturalnych. Nic wielkiego, ale nieźle mu się wiodło.

Pięć lat temu utworzył spółkę o nazwie Oaza, dziwnie zorganizowane międzynarodowe konsorcjum zajmujące się nowymi technologiami, finansowane z niewiadomych źródeł. Interpol obserwuje Oazę od początku. Zaniepokoił ich napływ dużych pieniędzy i transfer technologii do Jemenu bez żadnej kontroli.

- Nie potrafię sobie wyobrazić, co w Jemenie może przyciągać zagraniczny kapitał - powiedział Kurt.

- No właśnie nic - odrzekł Pitt. - Z tego powodu Interpol podejrzewał, że Oaza może być fasadą jakiegoś ugrupowania

terrorystycznego lub pralnią pieniędzy. Ale Jinn nie zajmuje się polityką, nawet we własnym walczącym kraju. Nie zauważono też żadnych transakcji świadczących o praniu pieniędzy. Wydaje się, że transfery technologii i nowoczesne inwestycje były legalne.

Pitt nacisnął coś na klawiaturze przed sobą. Pojawiło się zdjęcie satelitarne pokazujące piękny surowy pustynny rejon na północy Jemenu. Obraz się wyostrzył, najazd robił wrażenie, jakby opadali z kosmosu. Na zbliżeniu zobaczyli formację skalną, która wyrastała ponad piasek i rzucała długi cień. Kurtowi przypominała Shiprock w Nowym Meksyku.

Ślady pojazdów i pasy odbarwionego piasku prowadziły do wypiętrzenia i ciągnęły się w dal za nim.

- Na co patrzymy? - spytał Kurt.

- Nasze agencje wywiadowcze twierdzą, że ta część pustyni jest miejscem niektórych działań Jinna.

- Nie wygląda to okazale - zauważył Paul.

- Bo nie powinno - odparł Pitt. - Ale widzicie ten ciemniejszy piasek i ziemię? Rozciągają się na przestrzeni czterdziestu hektarów.

- Wygląda, jakby zostało wymyte - stwierdziła Gamay. - Przez erozję lub gwałtowną powódź.

- Tyle, że to najbardziej sucha część pustyni - skonstatował Pitt. - No i nachylenie nie pasuje do wzoru, który widzimy.

- Więc to kamuflaż - stwierdził Kurt. - Co oni ukrywają?

- Nasi eksperci uważają, że usunięto stąd mnóstwo ziemi - wyjaśnił Pitt - co sugeruje istnienie jakiegoś wielkiego podziemnego kompleksu. Badania w podczerwieni ujawniły duże ilości ciepła wydobywające się z wylotów w piasku. Wszystko wskazuje na jakąś produkcję, choć jak dotąd nikt nie potrafi określić, co dokładnie kombinują.

- Ukradli mój projekt - odezwał się Marchetti - i robią z niego użytek.

Pitt przytaknął.

- Na to wygląda. Ale jaki?

Marchetti zastanawiał się chwilę.

- Nie wiem. Moje nanoboty miały pochłaniać śmiecie, ale z tego, co widzieliśmy, zostały zmodyfikowane. To oczywiście oznacza, że są przeznaczone do czegoś innego. W tej chwili wie my na pewno tylko to, że zaatakowały wasz katamaran, ale o ile się orientuję, żadna inna jednostka pływająca nie ucierpiała ani nie zaginęła, co by sugerowało, że nie to jest ich głównym celem.

- Więc dlaczego zaatakowały katamaran? - zapytał Kurt.

Marchetti zerknął na Leilani.

- W normalnych okolicznościach łódź byłaby wyskubana do czysta. Nie znaleziono by nawet odrobiny materii organicznej. A nanoboty zniknęłyby z powrotem w morzu.

Kurt zrozumiał.

- Żadnych dowodów. Żadnych świadków. Łódź znaleziono by w idealnym stanie jak „Mary Celeste”. Nie spodziewali się, że załoga wznieci pożar, żeby pozbyć się nanobotów.

- Właśnie - odrzekł Marchetti. - Gdyby nie znalezione przez was resztki, nie wiedzielibyśmy, co się stało. Nawet gdyby załoga innego statku obserwowała z daleka atak nanobotów, niczego by nie zobaczyli.

- Wiemy zatem, że nanoboty mogą zagrażać żegludze. Ale jeśli nie jest to ich główną funkcją, to jakie mają zadanie? - Pitt skierował rozmowę z powrotem na poprzedni tor. - Czy mogły spowodować anomalię temperaturową, którą wykrył nasz zespół?

- Możliwe - przyznał Marchetti. - Nie wiem jak, ale do pewnego stopnia to, do czego są zdolne, zależy od ich ilości.

- Może pan to wyjaśnić? - poprosił Pitt.

- Wyobraźmy je sobie jako owady. Jeden to niewielki problem. Jedna osa, jedna mrówka, jeden termit to nieduże zagrożenie. Ale jeśli jest ich dość w tym samym miejscu, mogą powodować wszelkiego rodzaju kłopoty. Moja konstrukcja była zdolna do samodzielnej reprodukcji i rozprzestrzeniania się w nieskończoność. Tylko w ten sposób nanoboty mogły być efektywne. Nie

ma podstaw, by sądzić, że te nie robią tego samego. Miliony nanobotów będą problemem dla małego statku, miliardy mogłyby zagrozić dużej jednostce pływającej, platformie wiertniczej lub nawet czemuś wielkości Aqua-Terry... A biliony, albo kwadryliony, mogłyby zagrozić całemu morzu.

- Całemu morzu? - powtórzył Joe.

Marchetti skinął głową.

- W pewnym sensie nanoboty są zanieczyszczeniem same w sobie. Prawie jak jakaś toksyna. Ale ponieważ są aktywne, pożywiają się, reprodukują i same siebie chronią, lepiej je uważać za inwazyjny obcy gatunek w nowym środowisku. Ze wszystkimi jest tak samo. Bez naturalnych wrogów najpierw są osobliwością, szybko stają się uciążliwością, a krótko po tym epidemią zagrażającą ekosystemowi. Niekontrolowane nanoboty mogą się stać tym samym.

- Pamiętam, jak brudnice nieparki pojawiły się w Nowej Anglii - zabrał głos Paul. - Obce. Z Chin. Bez naturalnych wrogów. W pierwszym roku było trochę kosmatych gąsienic. W następnym dużo. A w trzecim roiło się od nich wszędzie. Miliardy pokrywały każde drzewo, żerowały na każdym liściu i praktycznie zdziesiątkowały lasy. O takim skutku pan mówi?

Marchetti przytaknął ponuro.

Zapanowało milczenie. Grupa rozmyślała nad słowami Marchettiego. Kurt wyobrażał sobie, jak nanoboty rozprzestrzeniają się na Oceanie Indyjskim i całym świecie. Zastanawiał się, czy to racjonalne rozumowanie, czy paranoja. Dlaczego ktoś miałby do tego doprowadzić i co by na tym zyskał.

- Cokolwiek robi Jinn, możemy przyjąć, że to nic dobrego - odezwał się w końcu Pitt. - Dlatego musimy ustalić, co to takiego, i opanować sytuację. Jakies sugestie, jak to zrobić?

Oczy wszystkich znów skierowały się na Marchettiego.

- Mamy dwie możliwości - powiedział. - Trzeba przyłapać nanoboty na gorącym uczynku, do czego oferuję moje usługi i wyspę, albo udać się do źródła i zobaczyć, jakie mają rozkazy.

- Do Jemenu - uściślił Pitt.

Marchetti skinął głową.

- Mówię to niechętnie i nie chciałbym się tam wybrać, ale jeśli nanoboty są produkowane w podziemnym kompleksie w Jemenu, to wyprawa do fabryki i sprawdzenie specyfikacji daje największą szansę na ustalenie, do czego służą.

Pitt pokiwał głową w zamyśleniu, milczał przez chwilę. Popatrzył kolejno na zebranych.

- Okej - podsumował. - Naszym początkowym celem było ustalenie, co się stało z załogą katamaranu, ale chyba wszyscy możemy się zgodzić z tym, że odkryliśmy większe zagrożenie. I prawdopodobnie właśnie dlatego nasi ludzie zostali zabici. Trzeba podejść do tego z obu stron. Paul i Gamay skorzystają z gościnności pana Marchettiego i zaczną szukać nanobotów w oceanie, mając za bazę Aqua-Terre. Kurt, ty i Joe się przygotujcie. Znajdę sposób na przerzucenie was do Jemenu.

Kurt spojrział na Joego, przyjaciel skinął głową.

- Będziemy gotowi.

Pitt się rozłączył. Spotkanie dobiegło końca i wszyscy zaczęli wychodzić.

Leilani podeszła do Kurta.

- Chciałabym wam towarzyszyć.

- Nie ma mowy. - Kurt zbierał swoje rzeczy.

- Dlaczego? Jeśli Jinn jest facetem, który odpowiada za śmierć mojego brata, chciałabym być przy tym, jak go dorwiecie.

Kurt zerknął na nią.

- Raz już naraziłaś nas na niebezpieczeństwo. Nie zamierzam dopuścić do tego, żeby to się powtórzyło. I nie chcę, żebyś sama ryzykowała. A poza tym wcale nie dorwiemy tego faceta. W przeciwieństwie do ciebie, nie jesteśmy jakimiś egzekutorami. Chcemy się dowiedzieć, co on kombinuje i dlaczego. To wszystko. Najlepsze, co możesz zrobić, to wrócić do domu, na Hawaje.

- Nie mam do kogo wracać.

- Przykro mi - zakończył rozmowę - ale tym razem to na mnie nie zadziała.

Dołączyła do nich Gamay.

- Mógłby nam się przydać biolog morski - wtrąciła się - skoro mamy przeanalizować, co się dzieje z łańcuchem pokarmowym. Może zostaniesz tu z nami?

Leilani nie wydawała się zachwycona tym pomysłem, ale było oczywiste, że nie ma innego wyjścia. W końcu skinęła głową.

Kurt wyszedł bez słowa. Czuł się podle, że tak ją potraktował, ale miał zadanie do wykonania.

ROZDZIAŁ 16

Zatoka Adńska u wybrzeża Jemenu

Trzydzieści siedem godzin po spotkaniu w sali konferencyjnej Kurt i Joe siedzieli w drewnianej łodzi rybackiej, w ciemnościach, jakąś milę morską od wybrzeża Jemenu.

Ubrani w czarne skafandry mokre, w płetwach i z małymi butlami tlenowymi na plecach, czekali cierpliwie na sygnał.

Kurt rozproszoną cienką warstwę szamponu dla dzieci na wewnętrznej stronie szyby swojej maski, zanim ją splukał, żeby nie zaparowała. Joe po raz ostatni sprawdził, ile ma powietrza, po czym zabezpieczył nóż nurkowy w pochwie na udzie.

- Gotowy? - zapytał Kurt.

- Całkowicie - odrzekł Joe. - Widzisz coś?

- Jeszcze nie.

- A jeśli zatrzymali tego faceta?

- Poradzi sobie - odparł Kurt. - Dirk przysięgał, że ten gość pomógł mu już kilka razy.

- Podał ci jakieś nazwisko? Kurt

pokręcił głową z uśmiechem.

- Powiedział, że nie będzie nam potrzebne.

- Dirk ma swoje sekrety. - Joe zachichotał.

Noc była bezksiężycowa, lekki wiatr wiał z północnego zachodu. Kurt czuł zapach pustyni w tej bryzie, ale niczego nie widział. Kotwiczili na wprost pustego odcinka wybrzeża, kołysali się na falach i czekali, żeby opaść do wody. Ale nie mogli tego zrobić, dopóki nie mieli pewności, że ktoś po nich przyjechał.

Wreszcie para świateł błysnęła w ich kierunku. Raz i drugi. Potem reflektory świeciły się przez kilka sekund, po czym zgasły.

- To nasz człowiek - oznajmił Kurt i włożył maskę.

Joe zrobił to samo, ale wstrzymał się na moment.

- Jedno pytanie. A jeśli te nanoboty są w wodzie tutaj i czekają, żeby nas pożreć?

Kurt nie pomyślał o tym i żałował, że Joemu przyszło to do głowy.

- To lepiej miej nadzieję, że nie są głodne.

Po tych słowach odepchnął się i opadł tyłem przez burtę do atramentowoczarnej toni.

Kilka sekund później Joe poszedł w jego ślady. Przytłumiony plusk rozległ się w ciemności.

Kurt natychmiast ustalił swoje położenie i zaczął wykonywać płynne, silne ruchy płetwami, kierując się szybko i cicho ku plaży.

Kiedy zbliżył się do brzegu, usłyszał odgłos fal rozbijających się o brzeg i poczuł, jak odpływ ciągnie go na wschód. Skrecił lekko w tamtą stronę i, zamiast męczyć się stawianiem oporu, poddał się.

Jeszcze bliżej skoncentrował się na falach i starał zorientować, w jakim rytmie nadciągają. Jedna uniosła go do góry i omal nie rzuciła twarzą naprzód, ale przeszła, załamała się i zalała pianą piasek piętnaście metrów przed nim.

Powrotny prąd przyboju porwał go, gdy woda się cofnęła, ale Kurt się przebił, złapał następną falę i dotarł na plażę.

Dziesięć metrów na wprost głazy zapewniały schronienie. Ściągnął płetwy, pobiegł przed siebie i ukrył się między nimi. Zdjął maskę, rozpiął skafander i wyjął lunetę noktowizyjną.

Przyjrzał się plaży i drodze nad nią. Nie dostrzegł żadnego ruchu, żywej duszy.

Sześćdziesiąt metrów na zachód stary volkswagen stał na drodze. Ich środek transportu.

Kurt odwrócił głowę w samą porę, by zobaczyć, jak Joe wychodzi na brzeg. W następnej chwili przyjaciel puścił się sprintem ku głazom.

Kurt wskazał mikrobus.

- Nieźle. Zboczyliśmy o szerokość boiska piłkarskiego.
- Łatwiej przejść taką odległość, niż przepłynąć pod prąd - odparł Joe.

- Też tak uważam. Poza tym, gdyby nasz przyjaciel był obserwowany lub miał ogon, to lepiej, że nie wyszliśmy z wody dokładnie przed czekającym pojazdem.

Zdjęli skafandry. Mieli pod nimi cywilne ubrania. Rozglądając się czujnie, przemknęli plażą do volkswagena.

Trzydziestoletni pojazd miał spłowiały brązowy lakier, złuszczony i porysowany przez piasek. Opony wyglądały na łyse, w emblemacie VW z przodu brakowało połowy litery W.

- Może to podróbka - powiedział Kurt.
- Właśnie - odrzekł Joe. - Volkswagen.
- Niezbyt stylowy - stwierdził Kurt, po czym przypomniał sobie vespę i dodał: - Ale przynajmniej ma cztery koła.
- Pniesz się w górę - zauważył Joe.

Kurt zachichotał i otworzył przesuwne drzwi. Busowi brakowało stylu, ale miał inne zalety: dużo przestrzeni w środku, silnik chłodzony powietrzem, na którym można było bardziej polegać podczas podróży przez pustynię niż na jednostce chłodzonej cieczą, i autentyczne jemeńskie tablice rejestracyjne. Kurt miał nadzieję, że są ważne.

W busie nie zastali nikogo. Człowiek Dirka Pitta zniknął. Druga para śladów opon na miękkim poboczu sugerowała, że kierowcę zabrał inny pojazd.

Wsiedli. Kurt zajął miejsce za kierownicą, Joe sprawdził zapasy z tyłu.

- Są tu buty i kaftany - oznajmił. - Jedzenie, woda i trochę sprzętu. Facet dobrze nas zaopatrzył.

Kurt poszukał kluczyków. Odchylił osłonę przeciwsłoneczną i wpadły mu do ręki razem z kartką.

Wetknął kluczyk do stacyjki i rozłożył kartkę, kiedy Joe przeszedł do przodu i usiadł na miejscu pasażera.

- Tu jest napisane, żebyśmy przejechali nadmorską trasą jedenaście kilometrów na północny wschód, a potem skręcili na północny zachód w utwardzoną drogę oznaczoną jako Wschodnia Szosa. Po około pięćdziesięciu kilometrach twarda nawierzchnia przejdzie w gruntową. Musimy pokonać tym szlakiem dokładnie siedemdziesiąt dwa kilometry. Mamy ukryć samochód i przejść osiem i trzy dziesiąte kilometra na północny wschód kursem dwieście dziewięćdziesiąt. Jak zetniemy zakręt, zobaczymy kompleks, którego szukamy. Informator życzy nam powodzenia.

- Podpisał się?

- Nie. - Złożył kartkę i schował ją. - Nie zawieźmy go, kimkolwiek jest.

Kurt rozejrzał się szybko i przekręcił kluczyk. Silnik zaskoczył z charakterystycznym dźwiękiem, który zdają się wydawać tylko stare volkswageny. Skrzynia biegów zazgrzytała, kiedy Kurt wrzucił jedynekę, ale ruszyli, gdy puścił sprzęgło.

Miał nadzieję dotrzeć do kompleksu przed świtem. Zostały im cztery godziny.

ROZDZIAŁ 17

Gamay Trout przepełniała radość, gdy szybowała z prędkością dwudziestu węzłów zaledwie dziesięć metrów nad falami w małym statku powietrznym konstrukcji Marchettiiego.

Nazwanie smukłej maszyny latającej sterowcem byłoby dla niej krzywdzące. Kokpit znajdował się między komorami powietrznymi, jak je określał Marchetti, i trochę poniżej nich. Wypełnione helem, przypominały pływaki, choć były dużo większe i dłuższe. Płaskie na dole i zaokrąglone na górze, zapewniały siłę nośną, gdy statek powietrzny poruszał się naprzód. Były połączone z przedziałem pasażerskim szeregiem rozpórek, które biegły w górę i na zewnątrz pod kątem czterdziestu pięciu stopni. Drugi gąszcz zastrzałów ciągnął się między nimi, podpierając je i rozdzielając. Konstrukcja pozwalała widzieć niebo w górze, co było niemożliwe w żadnym innym statku powietrznym.

Przedział pasażerski, który wyglądał jak kabina luksusowej motorówki, opadał ku tyłowi, gdy odchylał się w dół od pneumatycznych komór. Platforma z tyłu służyła do podróżowania na świeżym powietrzu, opalania się i wchodzenia na statek oraz opuszczania go. Dwa wentylatory kanałowe, ułożone daleko przed kabiną, ciągnęły statek jak para psów zaprzęgowych. Dwa krótkie skrzydła służyły za stery wysokości, zaś ogony na końcach komór z helem pełniły funkcję sterów kierunku.

- To niesamowite - zachwyciła się Gamay, kiedy wychyliła się za burtę i popatrzyła na trzy delfiny, które płynęły przed nimi.

Marchetti pilotował statek powietrzny, Gamay, Paul i Leilani mogli się rozkoszować lotem. Chłonęli wrażenia, cieszyli bryzą i obserwowali delfiny prujące przejrzystą wodę w dole.

Butlonosy łatwo dotrzymywały im tempa, przyspieszając silnymi ruchami płaskich ogonów. Co jakiś czas jeden przebijał powierzchnię, wyskakiwał do góry i opadał łukiem z powrotem do wody.

- Jakby chciały nas dosięgnąć - zauważyła Leilani.

- Może myślą, że jesteśmy statkiem bazą - odrzekł Paul. Gamay się roześmiała. Mogła sobie tylko wyobrazić, co myślały delfiny o maszynie latającej. Ale najwyraźniej się jej nie bały.

- Marchetti, chyba się uda! - krzyknęła.

Leilani skinęła głową. Wydawała się podniesiona na duchu. Paul się uśmiechnął.

- Wyglądasz jak kot, który pożarł kanarka - stwierdziła Gamay.

Paul wyszczerzył zęby.

- Właśnie myślałem o tym, jakie mam szczęście, że jestem tutaj z dwiema pięknymi kobietami, zamiast wędrować z Kurtem i Joem przez pustynię.

Gamay znów się roześmiała.

- I nie chodzi tylko o towarzystwo - dodał Paul. - Tym razem mamy do dyspozycji zabawki za miliony dolarów. A Kurt i Joe pewnie się teraz zmagają z kilkoma śmierdzącymi wielbłędami.

- To prawda - przyznała Gamay i odwróciła się do Marchettiego. - Jak daleko możemy dolecieć?

- Moglibyśmy pozostać w powietrzu przez wiele dni, gdyby zaszła taka potrzeba - odparł. - Ale proponuję zawrócić za godzinę. Moi ludzie złożą i przygotują na jutro dwa pozostałe statki powietrzne, żebyśmy mogli rano wyruszyć wszystkimi trzema i zbadać większy teren. Eee... to znaczy, obszar wodny.

- Ma pan pilotów? - spytał Paul.

- Pilotów? - powtórzył Marchetti. - Nie potrzebujemy pilotów.

- To kto z nami poleci?

- Każde z was może usiąść za sterami - odpowiedział. - To się prowadzi jak samochód albo motorówkę.

Gamay uznała Marchettiego za mile widziane uzupełnienie zespołu. Jak dotąd dotrzymywał słowa i udzielał pełnego wsparcia ekspedycji. Skierował już swoją pływającą wyspę Aqua-Terre na północny zachód, rozpędził ją do oszałamiającej prędkości czterech i pół węzła i przekazał NUMA kompletną dokumentację techniczną nanobotów. Przydzielił nawet tuzin swoich ludzi do obsługi wyspy, która musiała obywać się bez robotów.

- Niech pan nam da kilka lekcji, zanim wystartujemy - po prosił Paul.

- Jasna sprawa.

Gamay z powrotem skupiła uwagę na morzu. Delfiny nadal ścigały się z nimi i trzymały tuż przed sunącym cieniem statku powietrznego. Jeden wyraźnie szykował się do skoku, ale nagle rozpierzchły się w przeciwnych kierunkach i zniknęły w mgnieniu oka.

- Widzieliście to? - zapytała Gamay.

- Są szybkie - skostatował Paul.

- Musiały mieć nas dość - odezwała się Leilani.

Gamay wciąż patrzyła na wodę i dostrzegła coś dziwnego. Morze ciemniało. Mętna szarość zaczynała zastępować czysty głęboki błękit, który widzieli ledwie chwilę wcześniej.

Domyśliła się, że delfiny wyczuły zmianę, uznały ją za niebezpieczeństwo i uciekły.

Straciła humor.

- Niech pan zwolni - zwróciła się do Marchettiego. - Chyba znaleźliśmy nanoboty.

ROZDZIAŁ 18

W tym czymś czuję się jak w drodze do Woodstock na pustyni. - Joe przekrzykiwał hałas silnika volkswagena, wpatrując się w ciemność.

- Miejmy nadzieję, że nie będzie tam aż takiego tłoku - odrzekł Kurt.

Jechali przez noc. Kiedy dotarli do pierwszego punktu orientacyjnego, skręcili z pustynnego szlaku i zaparkowali za falistym zboczem wydmy.

Gdy Joe zacierał ślady opon, Kurt wyciągnął brezentową plandekę. Oderwał od jej wierzchu cienką folię i odsłonił warstwę samoprzylepną. Odwrócił brezent, rozpostarł go na ziemi i powlókł po piasku, który się przykleił do lepkiej powierzchni.

Zadowolony Kurt zarzucił plandekę na volkswagena, przy-
mocował ją kołkami do ziemi i wysypał kilka wiaderek piasku
na wierzch.

Joe wrócił w chwili, kiedy Kurt skończył, i zamrugł oczami,
jakby wzrok go zawodził.

- Gdzie się podział samochód?

- Sprawilem, że jest niewidzialny - odparł Kurt i włożył mały
plecak na ramiona. - Nikt go nie zauważy.

- No właśnie - powiedział Joe - pewnie nawet my. Gubię
moje auto na parkingu, a tego to już pewnie nigdy nie znajdę.

Kurt o tym nie pomyślał. Rozejrzał się w poszukiwaniu jakie-
goś charakterystycznego elementu, ale wokół były tylko wydmy.
Wyjął odbiornik GPS i zazaczył lokalizację ukrytego busa. Miał
nadzieję, że to pomoże.

Joe włożył plecak, a Kurt wsunął stopy w karpie. Były nowo-
czesną konstrukcją z włókna węglowego, inną niż dawne rakiety
śnieżne, ale pełniły taką samą funkcję - rozkładały ciężar ciała
na większą powierzchnię i pozwalały poruszać się po piasku bez
zapadania się po kostki.

Joe przywdział taką samą parę karpli i ruszyli w drogę.

Półtorej godziny później pokonywali ostatnie z niekończą-
cych się wydym. Gdy wspięli się na szczyt, usłyszeli nadlatujący
z południa helikopter.

Zlustrowali niebo, szukając źródła hałasu. Kurt zobaczył
błyskające czerwone światło. Było oddalone najwyżej o trzy,
cztery kilometry i sunęło na wysokości stu pięćdziesięciu me-
trów prosto na nich.

- Padnij! - krzyknął Kurt. Sam rozpląszczył się na ziemi
i próbował się zagrzebać w piasku jak grzechotnik.

Joe zrobił to samo. Po chwili byli przykryci prawie po szyję.
Mimo kamuflażu helikopter nadal leciał ku nim, nie zbacząc
ani nie zmieniając kursu.

- Nie wygląda to dobrze - szepnął Joe.

Kurt odnalazł kaburę na biodrze z tkwiącym w niej rewol-
werem Bowen kaliber 12,7 milimetrów. Broń była istną armatą,

choć nie na wiele mogła się przydać w walce z helikopterem, chyba że Kurt oddałby parę idealnie celnych strzałów.

Wziął na muszkę czerwone światło. Słabsze zielone paliło się po drugiej stronie. Gdyby musiał otworzyć ogień, wpakowałby cały bębenek między nie w nadziei, że trafi w coś ważnego.

Usłyszał, jak Joe przeładowuje swój pistolet, prawdopodobnie planując to samo. I wtedy przyszła mu do głowy pewna myśl. Jeśli ich zauważono i wysłano helikopter, żeby ich załatwił, to dlaczego nie jest on zaciemniony?

- Ładnie z ich strony, że zostawili włączone światła pozycyjne, żeby ułatwić nam celowanie - stwierdził.

- Myślisz, że popełnili błąd?

Helikopter wciąż się zbliżał, był już niecałe pół kilometra od nich i cały czas schodził w dół. Zaczął też zmieniać kurs.

- Chyba zaraz się przekonamy.

Helikopter przeleciał jakieś sześćdziesiąt metrów nad nimi i kilkaset metrów na zachód od nich.

Kurt śledził jego kurs. Nie widząc innych maszyn w powietrzu, zerwał się na nogi i popędził za śmigłowcem. Zbiegł z wydmy, wdrapał się na szczyt następnej i padł na piasek.

Joe dołączył do niego. Na wprost nich helikopter zwolnił, aż w końcu zawisł w powietrzu, po czym zszedł w dół ku ciemnemu kształtowi, który wyrastał z piachu pustyni niczym statek na morzu.

Bateria przyćmionych świateł rozbłysła, tworząc krąg na szczycie ciemnego kształtu. Helikopter skorygował pozycję, obrócił się lekko i wylądował na skalnym urwisku.

- Zdaje się, że znaleźliśmy kompleks - odezwał się Kurt.

- Nie tylko my - odparł Joe.

Światła zbliżały się z południowego zachodu. Wyglądało to na mały konwój, złożony może z ośmiu lub dziewięciu pojazdów. Trudno było policzyć reflektory w kurzu spod kół.

- Dirk mówił, że tu nie ma dużego ruchu.

- Najwyraźniej to godzina szczytu - odrzekł Kurt. - Miejmy nadzieję, że nie przyjechali tu z naszego powodu.

Kiedy pojazdy zatrzymały się przed urwiskiem, na cichej pustyni zapanowało zamieszanie. Reflektory świeciły, kurz wirował, słychać było głosy. Nie kłócono się, lecz dyskutowano o czymś po arabsku. Uzbrojeni mężczyźni wyłonili się z jaskini i podeszli do nowo przybyłych, by ich powitać.

Na urwisku powyżej umilkł silnik helikoptera. Dwaj ludzie wysiedli i ruszyli w stronę zbocza klifu, gdzie zniknęli w czymś, co przypominało dziurę wydrążoną w skale. Kurt domyślił się, że to jakiś tunel lub ukryte wejście.

- Chodźmy - powiedział - póki chłopiec parkingowy zajmuje się tamtymi wszystkimi samochodami.

Cofnął się kilka kroków w dół wydmy i potruchtał wzdłuż niej. Joe poszedł w jego ślady, próbując go dogonić.

- Co robimy? - zapytał. - Wchodzimy do środka i udajemy, że jesteśmy z grupą?

- Nie - zaprzeczył Kurt. - Dostaniemy się na tyły przez tamto lądowisko. Widziałem, jak pasażerowie helikoptera zniknęli z płyty lądowiska bez schodzenia na dół. Gdzieś na górze musi być wejście. Musimy je tylko znaleźć.

ROZDZIAŁ 19

Nad Oceanem Indyjskim Marchetti poderwał lekko statek powietrzny do góry, wznosił się nim na wysokość trzydziestu metrów i znacznie zwolnił. Zbudowanie smukłej maszyny latającej wymagało pewnych kompromisów, a jeden z nich oznaczał brak zdolności utrzymywania się w powietrzu bez ruchu, który zapewniał siłę nośną.

Wyłączył napęd i rozpoczęli lot ślizgowy. Pasażerowie stali się nerwowi.

- Wciąż opadamy - zauważyła Gamay. Dwadzieścia metrów poniżej morze było spokojne i ciemne. Jeśli się nie myliła i ta

ciemność wskazywała, że pod powierzchnią roi się od nanobotów, to nie miała ochoty wylądować na wodzie.

- Moment - odrzekł Marchetti.

Przesunął jakąś dźwignię i pokrywy po obu stronach statku powietrznego odskoczyły, jakby otworzył maskę i bagażnik samochodu jednocześnie. Usłyszeli syk gazu i dwa dodatkowe balony wystrzeliły spod klap. Uniosły się, napełniły helem i naprężyły trzymające je liny. Opadali teraz znacznie wolniej, w końcu zawisli nad powierzchnią oceanu.

- Nazywam je kotwicami powietrznymi - oznajmił dumnie Marchetti. - Opróżnimy je, kiedy będziemy mieli zamiar stąd odlecieć. Ale na razie dzięki nim unikniemy kąpieli.

Gamay poczuła ulgę. Obok Leilani i Paul odetchnęli.

- Chyba powinniśmy wziąć próbkę - uznał Paul.

Statek powietrzny ustabilizował się na wysokości dwunastu metrów nad wodą. Marchetti wypuścił trochę helu i zszedł na półtora metra.

- Wystarczająco nisko? - zapytał.

Paul przytaknął i przeszedł na tylną platformę z teleskopowym pobierakiem próbek.

- Bądź ostrożny - ostrzegła Leilani. Wyglądała, jakby bała się zbliżyć do krawędzi.

- Właśnie - zawtórowała jej Gamay. - Wyszkolenie cię zajęło mi lata. Nie chciałabym zaczynać od początku z nowym mężem.

Paul zachichotał.

- I pewnie nie znalazłabyś nikogo tak przystojnego i czarującego jak ja.

Gamay się uśmiechnęła. Nigdy nie pokochałaby innego mężczyzny tak jak Paula, tego była pewna.

Kiedy Paul dotarł do krawędzi, Gamay dołączyła do niego. Wiedząc, co znajduje się pod nimi, chciała go przypasać niczym obserwatora w bocianim gnieździe, ale nie miała jak. Zresztą nie było takiej potrzeby.

Znajdowali się w wirze Oceanu Indyjskiego, blisko jego środka, miejscu takim jak oko cyklonu. W normalnych warunkach

panował tu zastój, nie występowały silne wiatry ani wysokie fale.

Morze w dole wydawało się oleiste i płaskie, słońce prażyło z wysoka. Było niezwykle spokojnie. Ledwo czuli słabiutką bryzę - nie przeszkadzała im, gdy wisieli nisko nad wodą.

Paul rozciągnął tyczkę, zanurzył buteleczkę w wodzie i pobrał próbkę. Wyjął buteleczkę z oceanu i przytrzymał ją nad powierzchnią, żeby obciekła, po czym wciągnął na pokład.

Gamay, w grubych plastikowych rękawicach, wzięła próbkę i wytarła buteleczkę na zewnątrz specjalnie naładowaną ściereczką z mikrofibry, która według Marchettiego przyciągnęłaby i uwięziła nanoboty, gdyby były obecne.

Nie zauważyła żadnego osadu, ale nanoboty miały taką wielkość, że setka zmieściłaby się na łębku szpilki.

Przyjrzała się wodzie w buteleczce.

- Wygląda na czystą - oceniła.

Zakorkowała buteleczkę, umieściła ją w skrzynce z nierdzewnej stali z gumową uszczelką i zamknęła mocno wieko. Ściereczkę włożyła do takiego samego pojemnika.

Gamay i Paul patrzyli na wodę w dole, tak jak to robią ludzie stojący przy krawędzi nabrzeża. Z bliska morze wyglądało normalnie. Ale wcześniej przelecieli nad dwoma milami morskimi odbarwionego oceanu, przed którym rozpierzchny się delfiny. To nie miało sensu.

- One nie trzymają się powierzchni - powiedziała Gamay, uświadamiając sobie prawdę. - Dostrzegamy je, kiedy patrzymy prosto w dół, ale pod jakimkolwiek innym kątem widzimy tylko wodę morską.

- Unoszą się tuż poniżej - przytaknął Marchetti z kokpitu. - Musicie pobrać próbkę głębiej. Jeśli chcecie, mogę zejść na...

- Niech pan tego nie robi - sprzeciwiła się Leilani. - Proszę. Co będzie, jeśli uderzymy w wodę albo coś pójdzie nie tak?

Siedziała w głównej części kabiny i wyglądała za burtę przez szybę. Była zielona na twarzy.

- Jestem pewien, że mogę pobrać próbkę stąd - zapewnił Paul, przychylny jak zwykle.

Położył się płasko na pokładzie z głową i ramionami za krawędzią. Wyciągnął długie ręce i pobrał drugą próbkę z tak daleka, jak tylko mógł.

Marchetti przysunął się bliżej. Gamay zrobiła to samo.

Paul wyjął buteleczkę z morza. Woda wyglądała na czystą. Wylał ją i próbował sięgnąć jeszcze dalej.

Leilani zaczęła protestować.

- Nie wiem, czy to potrzebne - wymamrotała. - Naprawdę musimy brać te rzeczy na pokład?

Kurt stwierdził, że jest niezrównoważona. Teraz Gamay zrozumiała dlaczego. Rwała się do wyprawy, ale nagle strach ją obleciał.

- Ktoś musi to zrobić - wytłumaczyła.

- Może wystarczyłoby wezwać marynarkę wojenną czy straż przybrzeżną, albo coś podobnego.

- Przytrzymaj mnie za nogi - poprosił Paul. - Muszę pobrać próbkę z większej głębokości.

Gamay kucnęła, położyła ręce na jego nogach i przycisnęła je całym swoim ciężarem. Usłyszała, jak Leilani coś mruczy i cofa się, jakby nanoboty mogły wyskoczyć z wody niczym krokodyle i porwać Paula.

Paul rozłożył tyczkę i sięgnął najdalej jak mógł. Zanurzył ją na głębokość dwóch, może dwóch i pół metra. Kiedy unosił ją nad powierzchnię, Gamay poczuła napięcie jego ciała. Próbka miała czarny kolor.

- Chyba trochę złowiłeś.

Gdy Paul zaczął wciągać tyczkę, Leilani dostała dreszczy. Cofnęła się jeszcze o krok.

- Bez obaw - próbował ją uspokoić Marchetti.

W tym momencie coś huknęło i statek się zatrzęsął. Przechylił się na bok i jego tył opadł jak wóz konny, który stracił koło.

Paul zsunął się, uderzył w boczną ścianę pokładu i omal nie wypadł za burtę. Gamay ześliznęła się z nim, złapała go za pasek od spodni i opłótła ramieniem rozpórkę wystającą z pokładu.

Leilani wrzasnęła i upadła, ale chwyciła się drzwi kabiny, a Marchetti uczeplił się kurczowo konsoli sterowniczej.

- Trzymaj się! - krzyknęła Gamay.

- To ty się trzymaj! - zawołał Paul. - Ja nie mam czego.

Znów huk i statek powietrzny przechylił się na drugą stronę, teraz cały tył obniżył się niczym opróżniana skrzynia wywrotki. Gamay obejmowała męża ramieniem najmocniej jak mogła. Była silna, ale Paul miał ponad dwa metry wzrostu i ważył prawie sto dziewięć kilogramów. Szybko opuszczały ją siły. Czują, jak jego pasek wrzyna się jej w palce.

Za nią Leilani i Marchetti starali się opanować sytuację.

- Balon! - wrzasnęła Leilani i wskazała niebo.

Gamay zerknęła w górę. Tylne kotwice powietrzne urwały się i ulatywały pod niebiosa jak dziecinny balonik zgubiony w wesołym miasteczku. W rezultacie tył statku powietrznego opadał ku wodzie.

- Niech pan rusza! - nakazała Gamay.

- Już się robi - odpowiedział Marchetti i rzucił się do kokpitu.

- Leilani, potrzebuję pomocy!

Kiedy Marchetti gramolił się do kabiny, Leilani ukucnęła obok Gamay i chwyciła Paula za nogę. Wentylatory kanałowe zaczęły wirować i statek powietrzny popęzł naprzód. Gdy ruszył, jeszcze trudniej było utrzymać Paula.

Gamay miała wrażenie, że za chwilę zostanie rozerwana. Zobaczyła, jak Leilani próbuje lepszego chwytu.

Statek powietrzny nabierał szybkości, ale wciąż opadał i tył zbliżał się do powierzchni morza. Paul wygiął ciało do góry, żeby nie uderzyć twarzą w wodę.

Wraz ze wzrostem prędkości statek powietrzny wracał do poziomu.

- Teraz! - krzyknęła Gamay. Szarpnęła z całej siły i z pomocą Leilani zdołała podciągnąć Paula na tyle, żeby nie wpadł do oceanu. Zdała sobie sprawę, że mąż nadal trzyma tyczkę z próbką.

- Rzuć to! - zażądała.

- Po tym wszystkim?! - odkrzyknął. - Nie ma mowy.

Statek powietrzny rozpedził się na tyle, że wytworzona siła nośna umożliwiła Marchettiemu całkowite wypoziomowanie maszyny.

Gdy tylko statek wzbił się wyżej i wyprostował, Gamay wciągnęła Paula na pokład. Trzymała go mocno.

- Paulu Trout, jeśli jeszcze raz zrobisz coś takiego, to tego nie przeżyję - uprzedziła.

- Ani ja - odparł i spojrzął na Marchettiego. - Co się stało?

- Nie mam pojęcia - odrzekł miliarder. - Kotwica się urwała. Coś się zepsuło.

Gamay popatrzyła na Paula, wdzięczna, że jest z nią, a nie w wodzie z nanobotami. Wyglądało na to, że mieli straszne pecha. Ale czy na pewno?

Zaczęła się zastanawiać nad personelem Marchettiego. Otera i Matsona przekupiono. Być może innych też. Zachowała tę myśl dla siebie. Spojrzała na ciemną próbkę, zdobytą z takim trudem, i uzmysłowiła sobie, że poza Paulem nikomu nie może ufać.

ROZDZIAŁ 20

Wściekły Jinn al-Khalif szedł korytarzami swej jaskini. Otworzył kopniakiem drzwi przestronnego gabinetu i odrzucił na bok krzesło, które blokowało mu drogę do biurka. Sabah wszedł za nim i delikatnie zamknął drzwi.

- Nie będę się stawiał na wezwanie jak uczeń! - ryknął Jinn.

- Nie jesteś nim - stwierdził Sabah.

- Skontaktowali się z tobą bez uprzedzenia. Powiedzieli ci, że się tu wybierają i że oczekują spotkania ze mną! - krzyknął Jinn. - Jak to nazwać?

Stał obok imponująco wielkiego biurka. Za nim, przez szklaną przegrodę, która służyła za tylną ścianę gabinetu, widać było halę produkcyjną fabryki sześć metrów niżej.

Tu i tam w sterylnych warunkach mężczyźni w kombinezonach ochronnych kalibrowali maszyny, by przygotować je do produkcji następnej wersji nanobotów Jinna. Specjalnie programowana partia miała trafić do Egiptu i dotrzeć do tamy.

- Zażądali tego - uściślił Sabah. - Biorąc pod uwagę ich ton i ostatnie zachowanie, uznałem, że muszę im obiecać, że się z nimi spotkasz.

- To bezczelność! - krzyknął Jinn. - Nie obiecuj za mnie! Wiele razy w życiu Jinn wściekał się tak jak teraz, ale jeszcze nigdy na Sabaha.

- Dlaczego, kiedy zbliżamy się coraz bardziej do celu, wszyscy moi słudzy wydają się tracić rozum i zapominać, gdzie ich miejsce?

Sabah chciał się odezwać, ale zrezygnował.

- Usłyszałem od ciebie dość - oznajmił Jinn i odprawił go gestem. - Zostaw mnie samego.

Zamiast się skłonić i wyjść, Sabah się wyprostował.

- Nie - sprzeciwił się. - Uczyłem cię od małego, od śmierci twojego ojca. I przysiągłem cię chronić, nawet przed tobą samym. Więc mnie wysłuchasz, a potem zdecydujesz, co zrobić.

Jinn był tak zszokowany, że nawet nie pomyślał, by zabić Sabaha za nieposłuszeństwo.

- Chodzi o konsorcjum - zaczął Sabah. - Dają miliardy dolarów na realizację twojego projektu. I sami w sobie są potężnymi ludźmi, więc napinają mięśnie od czasu do czasu.

Jinn patrzył na Sabaha jak zahipnotyzowany i słuchał, jak to często robił na przestrzeni lat.

- To, że przybywają tu jak jeden, sugeruje zagrożenie - ciągnął Sabah. - Są zjednoczeni.

Jinn się rozejrzył po gabinecie. Niewiele tu było ozdób, ale na jednej ścianie wisiała dawna broń. Wpadł mu w oko zakrzywiony bułat.

- Więc zabiję ich wszystkich - oświadczył. - Posiekam ich na kawałki własnymi rękami.

- I co by nam to dało? - zapytał Sabah. - Nie są sami. Każdy ma ze sobą uzbrojoną obstawę. Liczebnie prawie nam dorównują. To by tylko doprowadziło do wojny. I nawet gdybyśmy zwyciężyli, pozostali bez wątplenia wszczęliby śledztwo, może nawet szukaliby zemsty.

Po raz pierwszy od bardzo dawna Jinn poczuł się bezbrony, przyparty do muru. Gdyby wiedzieli, co w nim rozbudzili, nie naciskaliby.

- To się nie mogło zdarzyć w gorszym momencie - stwierdził. - Musimy się przygotować do przyjęcia pozostałych gości.

- Załatwię to - zapewnił Sabah.

- W porządku - odrzekł Jinn. - Co proponujesz?

- Nie możemy wszcząć wojny. Proponuję pokazać im to, co chcą zobaczyć. Jednemu z bliska, a reszcie z daleka.

Sabah zrobił złowrogą minę i Jinn zrozumiał, o co chodzi. Ostatnio pomijał Sabaha, uważał, że jest stary i nieorientowany w sytuacji. Teraz nie może tego zrobić.

- Każ napełnić basen testowy - polecił.

- Jest skonfigurowany do symulacji ataku na Asuan.

Jinn się uśmiechnął.

- Doskonale. Przystąp do demonstracji. Daj im miejsca w pierwszym rzędzie. Byłbym bardzo zadowolony, gdyby zobaczyli więcej, niż się spodziewali.

Wyraz zrozumienia pojawił się na twarzy Sabaha.

- Zrobię, jak sobie życzysz.

Jinn popatrzył przez szklaną przegrodę na robotników w dole. Poruszali się tu i tam. Maszyny znów pracowały pełną parą. Na końcu linii produkcyjnej srebrzysty piasek zaczął wypełniać żółtą plastikową beczkę. Za nią czekało pięćdziesiąt dziewięć następných. Miały zawierać ostatnią partię chmury, złamać wolę Aziza i zmusić czołowych egipskich wojskowych, by podporządkowali się Jinnowi i oddali swój majątek w jego ręce.

ROZDZIAŁ 21

Kurt dotarł na szczyt urwiska kilka sekund przed Joem. Zlustrował teren.

Ładowisko leżało w trzech czwartych drogi do ściany klifu. Rosyjski helikopter stał na środku płyty. Duże drzwi ładowni były odsunięte, dwaj mężczyźni ubrani jak strażnicy siedzieli w nich, palili papierosy i rozmawiali.

Kurt rozejrzał się i nie zobaczył nikogo więcej.

- Dasz radę załatwić ich obu?

Joe przytaknął.

- Dwa ptaki jednym kamieniem. Albo, w tym wypadku, dwoma drutami.

Zatem załatwione; Kurt się ucieszył, gdy to usłyszał. Wskazał przeciwną stronę helikoptera. Joe ruszył w tamtą stronę, przywierając do ściany urwiska jak alpinista.

Kiedy dotarł do osłoniętego miejsca obok szarej maszyny, Kurt naciągnął kaftan na twarz. Wyszedł z kryjówki i ruszył ku mężczyznom, trzymając wyciągnięte ręce i mamrocząc coś o zgubionym wielbłądzie.

Zerwali się na nogi i ruszyli ku niemu. Jeden położył dłoń na kaburze, ale nie wyciągnął broni, być może dlatego, że Kurt wyglądał jak miejscowy, a być może dlatego, że miał ręce w górze.

- *Naqah, naqah* - wypowiadał arabskie słowo oznaczające wielbłądzicę.

Mężczyźni zbliżali się do niego z gniewnymi minami. Nie zauważyli, jak Joe zaszedł ich z tyłu.

- *Naqah...* - powtórzył Kurt, a potem dostrzegł, że mężczyźni sztywnieją i osuwają się na kolana.

Upadli cicho do przodu i odsłoniли uśmiechniętego szeroko Joego z paralizatorem w rękę.

- Ach gdzie, ach gdzie się podziała moja mała *naqah*? - do końca Kurt.

- W taserach wspaniale jest to - stwierdził Joe - że działają szybciej, niż ludzie są w stanie krzyknąć.

Elektrody wciąż tkwiły w ciałach i kiedy mężczyźni zaczęli się ruszać, Joe znów poczęstował ich prądem.

- Chyba mają dość, doktorze Frankenstein.

Joe wyłączył paralizator. Kurt wstrzyknął każdemu z mężczyzn środek usypiający. Przyglądał się, jak przewracają oczami. Kiedy stali się bezwładni, Joe wyciągnął z ciał elektrody i pomógł Kurtowi zanieść obu z powrotem do helikoptera.

Władowali mężczyzn do środka, wsiedli za nimi i zasunęli drzwi.

Chwilę później drzwi się otworzyły, a Kurt i Joe wyszli z helikoptera w granatowych ubiorach strażników i kefijach zaśnających ich twarze i włosy. Joe zaczął udawać, że pilnuje helikoptera, Kurt poszukał wzrokiem tunelu, który widział wcześniej.

Odkrył szczelinę wyciętą w skale i doszedł nią do prowadzącej w dół drabiny. Tam zastał stalowe drzwi z zaopatrzonym w elektroniczny czytnik zamkiem nad klamką. Wyglądał znajomo, jak zamki w hotelach.

- Miejmy nadzieję, że jest dla nas rezerwacja - mruknął pod nosem i pogrzebał w kieszeniach strażnika. Znalazł kartę magnetyczną, wsunął ją do szczeliny i wyciągnął. Kiedy rozbłysło zielone światełko, nacisnął klamkę.

- Pyszcz - szepnął.

Zablokował otwarte drzwi kamieniem, wspiął się z powrotem po drabinie i gwizdnął na Joego. Chwilę później byli w tunelu i schodzili po stromych schodach.

- W dół do króliczej nory - powiedział Kurt. - Wypatruj Jabberwocky'ego.

- Co to właściwie jest? - zapytał Joe. - Bo nigdy nie byłem pewien.

- Coś złego i przerażającego - odrzekł Kurt. - Dowiesz się, jak to zobaczysz.

Na dole natrafili na labirynt tuneli. Poszli tym, który prowadził w dół, i dotarli do następnego rozdroża.

- Czuję się jak w mrowisku - szepnął Joe.
- Ja też - odparł Kurt. - Wyobrażam sobie, jak ogromni ludzie obserwują nas przez szkło powiększające.
Doszli tunelem do kolejnego skrzyżowania na dole.
- W którą stronę? - spytał Joe.
- Nie mam pojęcia - odpowiedział Kurt.
- Jest nam potrzebny przewodnik albo mapa.
Kurt zmarszczył brwi.
- Jak zauważysz podświetlony napis „Jesteś tutaj”, to daj mi znać.

Nie dostrzegli niczego takiego, ale Kurt zobaczył coś innego. Pod sufitem tunelu biegły rury. Prąd i zapewne woda lub gaz ziemny. Wszystko, czego potrzebuje zakład produkcyjny.

- Musimy znaleźć fabrykę - stwierdził. - Pójdziemy wzdłuż linii elektrycznej.

Ruszyli tunelem, śledząc bieg kabli. Dotarli do szerszego korytarza, w którym zmieściłby się samochód osobowy. Dwaj ubrani tak jak oni mężczyźni zbliżali się z przeciwka. Kurt zmusił się do swobodnego kroku. Mimo to był gotów do walki. Kiedy tamci minęli ich bez słowa, odetchnął z ulgą.

Na końcu korytarza zastali małe pomieszczenie. Na betonowej podłodze stał tuzin stołów, a wokół nich krzesła. Całość była jasno oświetlona. Przestrzeń pod przeciwległą ścianą zajmowały lodówki i zlewy.

- Możemy sobie pogratulować - odezwał się Kurt. - Zna leżliśmy stołówkę.

- A ja wreszcie nie jestem głodny - skonstatował Joe.

Przy trzech stołach siedzieli jacyś mężczyźni. O dziwo, nie wyglądali jak ludzie Jinna.

- Wszelkiego rodzaju typy... - wymruczał Kurt. - Lepiej chodźmy dalej.

Doszli wzdłuż rur i przewodów do szklanej ściany. Za nią, w dole, była rozległa przestrzeń. W słabym świetle zobaczyli coś podobnego do basenu pływackiego o wymiarach olimpijskich. Jakiś duży kształt sterczał na środku.

- Co to jest, uzdrowisko? - zastanawiał się Joe.
- Dla nas to nie będzie spa, jak nas odkryją.
- To duży zbiornik - zauważył Joe. - Przypomina mi nasz basen symulacyjny w Waszyngtonie.

- Coraz ciekawiej i ciekawiej. - Kurt zacytował Alicję z książki Lewisa Carrolla. - Ci faceci muszą coś modelować. Prądy lub fale, albo coś innego.

- Co tam wystaje pośrodku?

- Nie mam pojęcia - odparł Kurt. - Ale przyjrzyjmy się bliżej. Znaleźli drzwi i prześliznęli się przez nie. Schody prowadziły w dół do szatni. Białe kombinezony ochronne wisiały w przegrodach.

- Czas na zmianę garderoby - oznajmił Kurt.

- Uważasz, że to konieczne?

- Dla kamuflażu - odrzekł Kurt. - I jeśli są tutaj nanoboty, to lepiej się zabezpieczyć.

W ciągu minuty wciągnęli kombinezony ochronne na uniformy, które ukradli strażnikom.

Wyszli na pomost przy basenie i stanęli na poziomie powierzchni wody. Kurt zauważył, że obiekt na środku to nie model statku ani nawet linii brzegowej, lecz szeroki łuk wciśnięty między dwa boki zbiornika. Poziom wody był wysoki po jednej stronie przeszkody i dużo niższy po drugiej, w wąskim nieregularnym kanale.

Zeszli po następnych schodach i otworzyli drzwi. Stali teraz poniżej poziomu wody i patrzyli na przekrój poprzeczny bariery przez przezroczystą akrylową ścianę basenu.

- Widziałem już coś takiego - odezwał się Kurt. - To zaporą ziemna. Górna warstwa jest z pokruszonej skały i piasku. Sza ry rdzeń w środku to najprawdopodobniej wodoszczelna glina. Dolną część nazywa się kurtyną odcinającą. Jest zwykle z betonu i zapobiega przesączaniu się wody pod zaporą. - Wskazał dłonią. - Napęniają nawet tamtą stronę jak prawdziwy rezerwuar.

- Po co ci faceci mieliby modelować zaporę? - zapytał Joe.
- Nie wiem, ale czuję, że nie spodoba nam się odpowiedź.

Odgłos uruchamianego generatora przykuł ich uwagę. Chwilę później główne lampy w górze rozbłysły i w pomieszczeniu zrobiło się jasno. Kurt zobaczył przez wodę zniekształcone sylwetki ludzi w białych kombinezonach ochronnych po drugiej stronie basenu.

- Lepiej udawajmy zajętych - zasugerował.

Joe wyszczerzył zęby.

- Tu na pewno jest oznaczone wyjście, które mogę skontrolować.

- To robota dla dwóch.

Wspięli się z powrotem po schodach i wymknęli ze strefy obserwacyjnej. Na pomoście przy basenie pomachali do mężczyzn naprzeciwko w identycznych ubiorach, którzy odpowiedzieli tym samym. Kurt i Joe wrócili do szatni.

- Co dalej? - spytał Joe.

Kurt zobaczył przez okno następną grupę wchodzącą do pomieszczenia. Ci ludzie mieli na sobie eleganckie arabskie stroje. Mężczyzna w bieli oprowadzał ich. Brodacz w prostym szarym kaftanie podążał za nimi.

- To Jinn - odgadł Kurt. Rozpoznał mężczyznę, którego widział na zdjęciu podesłanym przez Pitta.

- A reszta? - zainteresował się Joe.

- Wyglądają jak dygnitarze - uznał Kurt.

Jinn poprowadził Arabów wokół basenu do tych samych schodów, po których Kurt i Joe weszli przed chwilą. Grupa zeszała na podwodny poziom widokowy.

- Przyjechali tu na jakiś pokaz - szepnął Kurt.

- Nie cierpię grać tego rozsądnego - zaczął Joe - ale może powinniśmy się wycofać, póki są zajęci.

Kurt pokręcił głową.

- Mądra rada, przyjacielu, z tym, że mamy teraz miejsca w pierwszym rzędzie, a oni zaraz nam zademonstrują swoje

plany. Myślę, że wypadałoby zostać, nie zdejmować tych kombinezonów i spróbować wtopić się w tło.

- Wypadałoby?

- To było słowo dnia na moim kalendarzu w zeszłym tygodniu. Nie spodziewałem się, że będę miał okazję go użyć.

- Miło mi słyszeć, że poszerzasz swoje słownictwo. Ale co będzie, jak ktoś z nich uzna, że wypadałoby nas zapytać, co tu robimy? Albo przydzielili nam zadanie, którego nie będziemy umieli wykonać, na przykład uruchomienie jakiejś dużej maszyny?

- Po prostu wciśniemy mnóstwo przycisków, przestawimy trochę przełączników i udamy niekompetentnych - odparł Kurt.

- Czyli zdamy się na nasze mocne strony?

- Właśnie.

Kurt nie mógł dalej uspokajać Joego, ale odgłos następnego urzędnika za oknem przyciągnął jego uwagę.

Zobaczył, jak Jinn gestykułuje i coś mówi, ale nie mógł różnić słów przez szybę.

- To jest jak oglądanie telewizji z wyłączonym dźwiękiem - stwierdził Joe.

Na przeciwległym końcu basenu duża żółta beczka została przyczepiona do dźwigu i podniesiona do góry. Widząc, że tylko ludzie w białych kombinezonach znajdują się blisko niej, Kurt się domyślił, co jest w środku.

- Z dźwiękiem czy bez - odrzekł - chyba zaraz zobaczymy pokaz.

ROZDZIAŁ 22

W słowach Jinna kierowanych do Mustafy z Pakistanu i Alhramy z Arabii Saudyjskiej brzmiała dziwna dysharmonia. Zdobył się na uprzejmość i wspaniałomyślność - przynajmniej we wła-

sny mniemaniu - choć miał ochotę udusić ich gołymi rękami. Ale był gotów wysłać im wiadomość. A właściwie postanowił wysłać dwie.

Sabah przysunął się bliżej.

- Rozdziel ich - szepnął, po czym cofnął się za Jinna i zniknął z widoku.

Jinn nie zareagował na jego słowa. Zgodził się na to przedstawienie na prośbę Sabaha. Ale do niego należała decyzja, co się teraz stanie.

- W basenie przed wami widzicie makietę Wysokiej Tamy Asuańskiej - objaśnił. - Wkrótce będzie ona głównym punktem demonstracji mojej potęgi.

- Nie rozumiem - powiedział Alhrama.

- Generał Aziz dodał wam odwagi odmową wpłacenia tego, co obiecał. Ma swoje powody, ale najważniejszym jest tama. Dzięki niej Egipt ma zapasy wody na pięć lat. Ale Aziz ma niewielkie pojęcie o mojej potędze i moim gniewie. - Jinn uniósł radio do ust i nacisnął przycisk nadawania. - Zaczynać.

Maszyneria znów ożyła. Dźwig się przesunął i przemieścił żółtą beczkę nad wodę, do jej punktu docelowego. Lina przy-mocowana do dolnej połowy pojemnika nawinęła się na bęben i beczka zaczęła się przechylać.

Posypał się srebrzysty piasek; miliony nanobotów Jinna wpa-dały do zbiornika i rozprasały się niczym cukier w herbacie. Woda mętniała i przybierała szary odcień.

- Wydać rozkaz - polecił Jinn.

W dyspozytorni wysoko w górze ktoś nacisnął jakiś przycisk i wysłał zakodowaną komendę.

Mętna woda została wprawiona w ruch. Szara chmara się ścieśniła i skierowała ku tamie niczym dryfujący ciemny duch.

- Co się dzieje? - zapytał Mustafa.

- Tamę wykonano z kruszywa - przypomniał Jinn. - Łatwego do spojenia i utrzymywana w miejscu przez swój wielki ciężar, ale niecałkowicie nieprzepuszczalnego.

Kiedy mówił, srebrzysty piasek przylgnał do tamy w dwóch miejscach, blisko jej szczytu i mniej więcej w dwóch trzecich wysokości. Po jakiejś minucie parcie maleńkich maszyn stało się zauważalne w przekroju poprzecznym tamy.

- Coś niezwykłego - stwierdził Alhrama - jak szybko spenetrowały tamę.

- Prawdziwa tama jest oczywiście dużo grubsza - przypomniał Jinn. - Ale skutek będzie taki sam, tyle że to dłużej potrwa. Kwestia kilku godzin, jak przypuszczam.

Po paru minutach czoło chmary dotarło do rdzenia. Tempo poruszania się nanobotów spadło, ale drążyły przeszkodę, dopóki nie przewierciły jej na wylot.

Po następnej minucie czy dwóch srebrzysty piasek dotarł do drugiej ściany z kruszywa i przebił się przez nią. Pocięła woda i szybko nabrała prędkości. Wkrótce jej napór na tamę spowodował maleńki otwór.

- Ten efekt będzie spotęgowany podczas rzeczywistego zdarzenia - powiedział Jinn. - Ciężar wody za Asuanem to biliony ton.

Nawet w modelu wymywana dziura szybko się powiększała. Wkrótce miała pięć centymetrów średnicy, potem dziesięć. Chwilę później część szczytu runęła, zabierając ze sobą miniaturową drogę i samochody. Spiętrzona woda popłynęła przez wyrwę i przelała się na drugą stronę niczym wodospad. Ale to tunel powstający dzięki nanobotom w dole tamy czynił prezentację interesującą.

Gdy woda pokonała szczyt, osiągnęła punkt równowagi i straciła prędkość w drodze z góry tam, gdzie wodoszczelny gliniasty rdzeń opierał się erozji.

- Tama nadal stoi - zauważył Mustafa.

- Obserwujcie tunel na dole - odrzekł Jinn.

Wylot tunelu ukazał się w końcu po drugiej stronie i w ciągu minut ciśnienie wody w głębszej części zbiornika sprawiło, że mikroskopijna średnica kanalika powiększyła się do kilku centymetrów.

Strumień wody wystrzelił z otworu. Po następnej minucie rdzeń zawałił się pośrodku i utworzył głębokie klinowe wcięcie, kiedy materiał powyżej się osunął.

Wielka fala wdarła się do koryta Nilu w pomniejszonej skali. Zalała miniaturowe brzegi, zmyła ziemię, piasek i modele budynków.

Test się powiódł, tama została przerwana, Nil wylał. Mustafa i Alhrama patrzyli na zniszczenia, zaszokowani.

Jinn uśmiechnął się pod nosem i cofnął o krok. Moment był idealny. Sabah trzymał drzwi za nim.

Mustafa się odwrócił i wyszczerzył zęby w oczekiwaniu. Skinął głową Sabahowi. Jego mina przypominała Jinnowi wyraz twarzy złodzieja z ukradzionym skarbem w rękę. Kiedy Sabah nie zareagował, na twarzy Mustafy odmalowała się najpierw konsternacja, potem gniew i strach. Musiał zdać sobie sprawę, że Sabah nie zabije swojego pana.

Złodzieja przyłapano z łupem, jego mina o tym świadczyła. Sięgnął po broń, ale Sabah odciągnął Jinna na bok i zatrzasnął drzwi.

W mgnieniu oka właz został zaryglowany. Odgłosy strzałów i rykoszetujących od metalu pocisków zadźwięczały im w uszach.

Mustafa zaczął krzyczeć zza drzwi.

- Co wy robicie? Co to ma znaczyć?

Na zewnątrz pomieszczenia Jinn włączył interkom.

- To proste. Próbowaleś nastawić mojego sługę przeciwko mnie i zdał egzamin. Teraz poniesiesz konsekwencje.

Łomotanie pięściami, a potem jeszcze kilka strzałów... Jinn dziwił się, że odbite od drzwi pociski nie zabiły Mustafy lub Alhramy.

Alhrama zaczął krzyczeć.

- Jinn, bądź rozsądny! Nie mam z tym nic wspólnego.

Jinn ich zignorował. Uniósł radio do ust.

- Zaczynać.

W dyspozytorni na górze operator wcisnął przycisk. Żółta beczka przechyliła się bardziej i więcej metalicznego piasku

wysypało się do basenu. Szary kolor powrócił i pociemniał, woda ponownie zmieniła wygląd. Na zewnątrz zbiornika, gdzie stali Jinn i Sabah, wydawało się, że zaczęła wrzeć.

W komorze widokowej efekt był jeszcze bardziej spektakularny. Mustafa patrzył na akrylową ścianę. Ciemna, kleista substancja, gęsta jak wydzielina ośmiornicy, sunęła naprzód. Dopłynęła do przezroczystej powierzchni i rozprzestrzeniła się na niej cienką warstwą.

Mustafa zamarł. Alhrama przepchnął się obok niego i szarpnął klamkę zaryglowanych drzwi.

- Wypuście mnie! - zawołał. - To Mustafa! Nie brałem w tym udziału!

Dało się słyszeć dziwne zgrzytanie, warstwa pociemniała, zgęstniała i utworzyła wzór, w którym Mustafa rozpoznał sieć szczelin. Pęknięcia rozchodziły się po akrylu, rozgałęziały i pogłębiały na dwóch niewielkich przestrzeniach.

Odgłos drążenia nasilał się i przypominał drapanie paznokciami tablicy szkolnej. Zdawał się przenikać do mózgu Mustafy. Akryl wibrował, woda drżała.

Przezroczysta ściana zatrzeszczała złowieszczo. Za plecami Mustafy Alhrama szarpał klamkę drzwi i błagał Jinna, żeby go uwolnił. Mustafa zaczął się trząść i opadł na kolana.

- Nie! - krzyknął. - Nie!

Akrylowa ściana popękała. Wpadła do środka, woda zaląła komorę. Mustafa próbował wypłynąć na zewnątrz, ale pokryła go masa srebrzystego piasku, dostała się pod ubranie, wniknęła w skórę i pociągnęła na dno zbiornika niczym dwudziestokilogramowe kowadło.

Walczył przez chwilę jak przebita harpunem ryba, miotał się i rzucał, ale szybko znieruchomiał i wkrótce potem jego krew zabarwiła wodę na czerwono. Alhrama podzielił jego los.

ROZDZIAŁ 23

Kurt przyglądał się masakrze w pomieszczeniu testowym.

- Nagle zacząłem żałować, że się stąd nie wynieśliśmy, kiedy to zaproponowałeś - zwrócił się do Joego.

On i Joe obserwowali wszystko z szatni, i gdy woda zabarwiła się na czerwono, doszli do wniosku, że nadużyli gościnności gospodarzy.

Zdjęli kombinezony ochronne, opuścili szatnię tylnymi drzwiami i wspięli się po schodach.

- Mam nadzieję, że sypałeś za nami okruchy chleba - powiedział Joe.

- Po prostu wyjdźmy na górę, byle dalej stąd - odrzekł Kurt.

Dotarli do głównego korytarza z widokiem na basen, ale żaden z nich się nie obejrzał. Byli w połowie przejścia, gdy padły strzały. Najpierw brzmiały tak, jakby używano broni spokojnie i w przemyślany sposób, ale potem stały się chaotyczne i zmieszane z okrzykami. Ktoś odpowiedział ogniem.

- Stołówka - stwierdził Kurt. - Faceci, których widzieliśmy wcześniej, musieli pracować dla tych dwóch, którzy przed chwilą stali się pokarmem nanobotów.

Strzelanina trwała i przybierała na sile.

- To sprawia wrażenie porządnej bitwy - ocenił Joe. - Może nie wszyscy dali się zaskoczyć.

- Niedobrze dla nas - odparł Kurt. - Jeśli nie chcemy się przyłączyć do drużyny niebieskich, musimy się gdzieś przyczaić.

Znalazł drzwi, uchylił je i zajrzał do środka. Zobaczył komputery, drukarki i stoły kreślarskie, ale ani żywej duszy.

- Tutaj - szepnął.

Dali nura do pracowni. Kurt się obrócił i zamknął drzwi. Przywarł do ściany i zorientował się, że widzi część korytarza przez wąską szparę między ościeżnicą a krawędzią drzwi.

- Sprawdź, czy jest tu tylne wyjście - polecił - albo jakaś szafa czy coś innego, gdzie moglibyśmy się schować w razie potrzeby.

Joe zaczął się rozglądać, a Kurt patrzył zmrużonymi oczami przez szczelinę. Jakikolwiek plan rozprawienia się z gośćmi mieli gospodarze, wydawał się on rozpadać. Niektórzy ludzie Jinna biegli korytarzem, ranni. Chwilę później weszły do akcji posiłki i odgłosy walki przybrały na sile, łącznie z wybuchami granatów ogłuszających.

- Tu nie da rady się schować - oznajmił Joe. - Tylne wyjście też nie ma.

Kurt nadal przyglądał się korytarzowi przez szparę.

- Już takie mamy szczęście, że zjawiamy się w trakcie awantury rodzinnej.

- Minutę wcześniej znaleźlibyśmy się w środku walki - skontrował Joe.

- Ale dwie minuty wcześniej bylibyśmy poza polem bitwy w drodze na dach, a oni walczyliby, dając nam osłonę.

- Masz rację.

Kurt pchnął stopą dół drzwi, żeby uchylić je trochę szerzej i widzieć więcej. Odgłos kroków dotarł do niego dużo wcześniej, niż zdołał zobaczyć, kto się zbliża.

- Towarzystwo nadchodzi - szepnął.

Joe znieruchomiał.

Grupa przeszła obok, dwaj strażnicy prowadzili młodą kobietę. Na jej twarzy malował się strach. Kurt dostrzegł też wyraz rezygnacji, pogodzenia się z losem.

Kobieta szybko go minęła, ale Kurt doznał dziwnego uczucia, gdy ją zobaczył. Uderzyło go coś w jej wyglądzie. Była niska, miała ciemne nastroszone włosy, jasnobrązową cerę i smutne oczy. Wyglądała na więźniarkę, co więcej, przypominała...

Kurt oparł się plecami o ścianę.

- Mamy problem - oznajmił.

- Oprócz tego, że utknęliśmy w labiryncie pośrodku pustyni otoczeni przez bezwzględnych bandziorów?

- Owszem - przytaknął Kurt. - Oprócz tego. Poznałeś Kimo, prawda?

- Spotkałem go kilka razy - odrzekł Joe. - A dlaczego?
- Opisz mi go.
- Fajny facet - powiedział Joe. - Zbudowany jak skrzydłowy drużyny futbolowej. Krepy, barczysty. Jakiś metr siedemdziesiąt wzrostu, ale siła byka i pewnie z osiemdziesiąt dwa kilo wagi.
- A teraz opisz jego siostrę.
- Smutna i trochę niezrównoważona, ale nie bez powodu.
- To nie pora na sięganie tak głęboko - przynaglił Kurt. - Jak ona wygląda?
- Piękna dziewczyna - odparł Joe. - Wystające kości policzkowe, delikatne rysy, długie opalone nogi.
- Zgadza się - potwierdził Kurt. - Wysoka i szczupła, długie ręce i nogi, ładne jedwabiste włosy.
- Do czego zmierzasz?
- Właśnie widziałem na korytarzu kobietę o wiele bardziej podobną do Kima niż tamta, którą zostawiliśmy na Aqua-Terze.
- Chyba żartujesz. Więźniarkę?
- Na to wyglądało.
- Nie myślisz...
- Otóż to.

Joe natychmiast pojął powagę sytuacji.

- Więc jeśli Leilani trzymają tutaj, to kto jest na wyspie Marchettiego?
- Nie wiem - wyznał Kurt. - Ale biorąc pod uwagę to, jak szybko wycelowała broń w Marchettiego, a potem jakoś potrafiła się z nim pogodzić, to profesjonalistka.
- Nazwałeś ją egzekutorką - przypomniał Joe.
- Zażartowałem, ale nawet nie mrugnęła okiem.
- Fakt - przyznał Joe. Odetchnął głęboko. - Paul, Gamay i Marchetti są w niebezpieczeństwie.

Kurt skinął głową.

- Trzeba ich ostrzec. Kimkolwiek ona jest, musi pracować dla Jinna.

Zanim Joe zdążył coś dodać, drzwi otworzyły się gwałtownie, kopnięte ciężkim butem. Mężczyźni uzbrojeni w uzi wpadli do środka i rzucili się na nich, zanim zdążyli zareagować. Powalili ich na ziemię, obezwładnili i rozbroili bez walki.

Dwóch przeszukało uwięzionych, kiedy reszta trzymała ich przy podłodze.

- Jabberwocky - mruknął Joe.

- Dzięki - odburknął sarkastycznie Kurt, przyciskany do ziemi przez trzech ludzi. - Nie wiedziałem.

Kiedy zabrano im wszystkie narzędzia i całą broń, postawiono ich, ale nie puszczono. Następnie wszedł do środka Jinn al-Khalif z karabinem w ręku.

Podszedł do Kurta.

- Czekał na was.

- Bez wątpienia twój szpieg zawiadomił cię, że się tu wybraliśmy.

Jinn uśmiechnął się jak szakal.

- Owszem, zgadza się.

Po tych słowach walnął Kurta kolbą karabinu w brzuch. Kurt stracił oddech i upadł.

- Ma na imię Zarrina. I przesyła pozdrowienia.

ROZDZIAŁ 24

Na pokładzie pływającej wyspy Aqua-Terra Paul i Gamay spędzili większość dnia z Marchettim, badając próbkę nanobotów, które schwytał.

Nowe prowizoryczne laboratorium urządzono w miejsce zalanego przedziału. Komputery Marchettiego, mały nadajnik radiowy i inny sprzęt zapełniały teraz pomieszczenie.

Bez mikroskopu elektronowego nie mogli zobaczyć poszczególnych nanobotów, ale pod dwoma medycznymi urządzeniami

optycznymi Paul i Gamay oglądali dwie oddzielne próbki pogrupowane w małe skupiska prawie jak algi czy bakterie.

Marchetti siedział przy swoim komputerze i pisał coś. Leilani siedziała w pobliżu i wierciła się nerwowo. Ranek upłynął im na sprawdzaniu specyfikacji pierwotnej konstrukcji, po czym zaczęli wypróbowywać standardowe polecenia dla nanobotów zgodnie z tym, jak Marchetti zaprogramował prototypy parę lat wcześniej.

- Nie reagują - oznajmił Paul po raz dziesiąty.

- Na pewno? - zapytał Marchetti, nadal wysyłając polecenia. - One są naprawdę małe, może pan czegoś nie dostrzega.

- Patrzmy na nie przez mikroskopy - odparł Paul - i one się nie ruszają. Siedzą jak leniwi krewni po uczcie na Święto Dziękczynienia.

Gamay rzuciła mu spojrzenie.

- Chyba nie mówisz o moich krewnych, co?

- Tylko o kuzynie Williem.

Przez chwilę wyglądała na urażoną, ale potem wzruszyła ramionami.

- Masz rację, on się uwała na kanapie we czwartek po południu i nie wstaje do niedzieli.

Marchetti odkaslnął głośno, żeby zwrócić na siebie uwagę.

- Zakładając, że nanoboty nie poszły w ślady kuzyna Williego, nasuwa się tylko jeden wniosek: Otero zmienił kody poleceń.

- Więc co nam da to wszystko? - spytała Leilani.

Zanim Marchetti zdążył odpowiedzieć, Gamay zadała bardziej rzeczowe pytanie:

- Jest jakiś sposób na wydobywanie kodów z samych nanobotów? Można je rozłożyć i odczytać ich oprogramowanie?

Marchetti pokręcił głową.

- Nie mam tutaj odpowiedniego sprzętu.

- Można by to wydobyć z Otera - podsunęła Leilani. - Albo z jego kompana. Mamy ich w celach na dole. Weźmy klucze i chodźmy z nimi porozmawiać. Zmusimy ich do mówienia.

Gamay zerknęła na Paula. Niepokoił się o Leilani. Z każdym dniem wydawała się coraz bardziej zła i sfrustrowana, zwłaszcza od zdarzenia na statku powietrznym.

- Jestem zdecydowanym przeciwnikiem stosowania przemocy - oświadczył Marchetti.

- Próbował pana zabić - przypomniała Leilani.

- Słusznie - przytaknął Marchetti. - Wyduśmy to z nich. Zobaczą, czy mam jakiś gumowy wąż albo coś innego.

- Szybka zmiana zdania - zauważyła Gamay.

- Taki już jestem - odrzekł Marchetti. - Co mogę powiedzieć?

- Może jest inny sposób?

- Na przykład?

- Jeśli nanoboty w oceanie otrzymują komendy, to przecież muszą jakoś przechwytywać te sygnały.

- Teoretycznie - przyznał Marchetti. - Ale żeby to zbadać, trzeba się do nich zbliżyć.

- Zbliżyć się? - powtórzyła Leilani.

Paulowi też się to nie uśmiechało.

- Na jaką odległość?

- Zależy od rodzaju transmisji - wyjaśnił Marchetti. - To mógłby być sygnał niskiej częstotliwości lub na falach krótkich. Takie miałyby szeroki zasięg i mogłyby być nadane prawie z każdego miejsca. Albo zastosowano wysoką częstotliwość lub transmisję wzdłuż linii wzroku z samolotu, statku lub satelity. Jest możliwe nawet to, że sygnał zostałby nadany do jednej części unoszącej się w wodzie chmury, a nanoboty przekazałyby go następnym niczym podczas zabawy w głuchy telefon. W takim wypadku musielibyśmy być we właściwym miejscu o właściwej porze, żeby w ogóle go złapać.

- Łatwiej będzie wycisnąć informacje z Otera - stwierdziła Leilani.

- W zasadzie najprostsze rozwiązanie zwykle jest najlepsze - powiedział Paul. - Jaką transmisję pan by wybrał?

Marchetti się zastanowił.

- Zakodowaną krótkiego zasięgu. Na wysokiej częstotliwości.
 - Więc tego zaczniemy szukać.
 - To będzie prawdopodobnie wyjątkowo krótka transmisja - uprzedził Marchetti. - Trwająca milisekundy. Może powtarzająca się w jakichś odstępach, ale błyskawiczna. Nie wiedząc, czego szukamy, możemy jej nie wyłowić z szumu tła. Zakłócenia, ruch w eterze, jonizacja - to wszystko będzie problemem.
 - Potrafi pan studzić zapał - odparł Paul z poczuciem, że żadne wyjście nie jest dobre.
 - Wcale nie musimy jej wyławiać - wtrąciła się Gamay. - Mamy tutaj coś, co zrobi to za nas. - Wskazała próbki. - Wystarczy nagrywać wszystko po kolei i poczekać, aż nanoboty się obudzą i wyizolować transmisję po fakcie.
- Marchetti był pod wrażeniem.
- Powinno się udać. Skieruję wyspę w stronę skraju chmury.
- Na podstawie jej ostatniej zaznaczonej lokalizacji uważam, że możemy tam dotrzeć za trzydzieści sześć godzin.

ROZDZIAŁ 25

Kurt i Joe byli uwięzieni od kilku godzin. Bez jedzenia, wody, światła i towarzystwa. Nie pobito ich, nie przesłuchano i nie postraszono, po prostu zostawiono w ciemności w małym pomieszczeniu, przykutych do tych samych grubych rur, wzdłuż których dotarli wcześniej do basenu testowego. Zachrypnięty głos Joego rozległ się w ciemności:

- Niezbyt dobra kwatera.
- Kurt też miał coraz bardziej sucho w gardle. Robił, co mógł, żeby nie otwierać ust i oddychać tylko przez nos.
- Fakt. Czy nie wzywaliśmy służby hotelowej godzinę temu?
 - Chyba tak - odparował Joe. - Jestem ciekaw, czy zwłoka ma coś wspólnego ze strzelaniną.

- To nie brzmiało tak, jakby zanosiło się na dogrywkę, ale mogą mieć niezły bałagan do posprzątania albo muszą się zająć innymi. Prawdopodobnie nawet nie muszą nas przepytować, jeśli Zarrina nadal składa meldunki.

- Jednego nie rozumiem - zaczął Joe. - Dlaczego zaatakowali ją w porcie, skoro jest po ich stronie?

Kurt się zastanowił.

- Z wielu powodów. Jest głęboko zakonspirowana, a bandziory o tym nie wiedziały. To mogła być również dywersja. Jedno jest pewne. Skłoniło nas to do udzielenia jej pomocy. Usunęło wszelkie podejrzenia. Wynik kantu nigdy nie zależy od oszusta, zawsze od ofiary. Widzieliśmy to, co chcieliśmy widzieć, przyjaciółkę w potrzebie. Byliśmy już w defensywie, bo Kimo i inni zaginęli. Po tym jak ją uratowaliśmy, zadziałał naturalny odruch zajęcia pozycji obronnej.

- Zadanie ułatwił jej paszport i mejle Leilani. I wiedza, że Leilani dzwoniła do NUMA po informacje o bracie.

- Domyślam się, że wymusili to od prawdziwej Leilani - odparł Kurt.

- Musieli ją porwać i podstawić Zarrinę natychmiast po jej wylądowaniu na Male.

Joe miał niewątpliwie rację. A to oznaczało, że powinni się stąd jak najprędzej wydostać i uprzedzić swoich ludzi o niebezpieczeństwie.

- Trzeba stąd prysnąć - oświadczył Kurt. - Przesunąłem rękami po całą długość tej rury. Nie natrafiłem na żaden słaby punkt.

- Zrobiłem to samo; próbowałem ją obluźnić, ale jest przyśrubowana do ściany i nic mi z tego nie wyszło.

Ledwo Joe skończył mówić, drzwi celi się otworzyły. Światło pod sufitem rozbłysło i oślepiło ich na moment.

Jinn wszedł do środka z brodatym mężczyzną, Sabahem, który wydawał się go nie odstępować. Towarzyszyło im kilku uzbrojonych strażników.

- Nie widzę ręczników ani miętówek - odezwał się Joe.

- Cisza! - ryknął Sabah.

Jinn uniósł rękę, jakby chciał powiedzieć, że nie ma sprawy.

- Interesujący dzień - stwierdził. - Nie tyle dla mnie, ile dla was.

Mówił dobrze po angielsku, wprawdzie z lekkim akcentem, ale najwyraźniej był wykształcony, być może w Wielkiej Brytanii.

- Stanie się jeszcze bardziej interesujący, jeśli się nie zjawimy w naszym punkcie ewakuacyjnym - odrzekł Kurt. -Wielu ludzi ma cię na oku, Jinn. A pozbycie się nas tylko sprawi, że będą ci się przyglądać uważniej.

- Zatem pogodziliście się z waszym losem? - zapytał Jinn.

- Chyba że przyszedłeś nas wypuścić - zasugerował Kurt.

- Nie boicie się umrzeć?

- Nie ma tego na naszej liście rzeczy do zrobienia, ale nie oszukujemy się. A ty?

Jinn wydawał się zdziwiony, co dało Kurtowi satysfakcję. Choć nie miał pojęcia, do czego to doprowadzi, każde wytrącenie z równowagi ich gospodarza mogło być pomocne w tym momencie.

- Nie oszukuję się, jak to nazwałeś - zaprzeczył Jinn.

- Ależ tak - oznajmił Kurt. - Budujesz zabawki w swojej piwnicy i niszczysz je. Prowadzisz grę i nie orientujesz się, jak szybko zbliża się ona do końca. NUMA siedzi ci na karku. Co oznacza, że CIA, Interpol i Mosad niedługo też się do ciebie dobiorą. Zwłaszcza jeśli nie wrócimy cali i zdrowi. Zabij nas, a nie będziesz miał już dokąd uciec.

- Dlaczego myślisz, że uciekam, Austin?

- Jeśli nie, to powinieneś. Kłopoty nadchodzą ze wszystkich stron. Twój atak na nasz katamaran dowodzi, że jesteś zdesperowany. Dzisiejsza strzelanina i zabicie tamtych dwóch facetów świadczy o twojej bezradności.

Jinn się roześmiał.

- Wy dwaj jesteście dużo bardziej bezradni niż ja.

- Mamy dla ciebie wyjście.

Joe zerknął na Kurta kątem oka, jakby chciał zapytać: „Czyżby?”

Kurt chwycił się wszelkich sposobów. Zmyślał. Tylko to mu zostało. Musiał zasiać ziarno wątpliwości w umyśle Jinn i przekonać go, jakkolwiek niedorzecznie to zabrzmie, że on, Joe i NUMA są w stanie pomóc mu wykaraskać się z tarapatów.

Jinn przeszedł na lewą stronę Kurta.

- Nie chcę ani nie potrzebuję niczego, co próbujesz mi zaoferować - poinformował ich. - Przyszedłem tu zakomunikować wam, że umrzecie.

- To żadna niespodzianka - oświadczył Kurt bez mrugnięcia okiem. - Ale pozwól, że zadam ci następujące pytanie: jak myślisz, dlaczego mój rząd wysłał tutaj nas zamiast eskadry dron predator albo myśliwców stealth z bombami do niszczenia bunkrów? Pomyśl. Może ci tu nic nie grozić ze strony niektórych twoich wrogów, ale nie sił amerykańskich. Wiesz o tym. Jesteś teraz na liście A. Jak reaktor i zakłady wzbogacania uranu, które budują Irańczycy. I nie różnisz się od tuzinów innych zagrożeń wyeliminowanych w ciągu ostatnich kilku lat. Dla takiego faceta jak ty nie ma już granic, za które można uciec i się ukryć. Ale masz coś, czego nie mają tacy jak bin Laden. Masz coś na wymianę. Technologię.

Jinn nie ruszał się z miejsca. Najwyraźniej rozmyślał nad słowami Kurta, co było niemal zbyt piękne, by mogło być prawdą. Kurt musiał go teraz popchnąć. Gdyby zdołał zyskać trochę czasu i swobody, on i Joe mieliby szansę.

- Spodziewasz się, że ci uwierzę?

- Powiem jasno - odparł Kurt. - Nie rozmawiałbym z tobą. Jesteś zabójcą i bandytą. Ale pracuję dla Wujy Sama, robię, co mi każą. Dostaliśmy rozkaz dotarcia tutaj, infiltracji i złożenia meldunku. Nawiązania z tobą kontaktu później, jeśli okaże się to możliwe, przez osoby trzecie. Chcą tego, co masz.

- Czy ja wyglądam na głupiego? - zapytał Jinn z rosnącym gniewem.

- Nie odpowiadałbym na to - wtrącił się Joe.
- Wasz rząd nie zawiera umów.
- Mylisz się - odrzekł Kurt. - Robimy to od dwustu lat.

Słyszałeś o Wernerze von Braunie? Był nazistą, niemieckim naukowcem. Konstruował rakiety, które uśmierciły tysiące ludzi. Wzięliśmy go pod nasze skrzydła po zakończeniu wojny, bo miał potrzebną nam wiedzę. Wiktor Bielenko, rosyjski pilot, dostarczył nam miga-25. Przyjmujemy bejsbolistów, tancerzy baletowych, programistów komputerowych, każdego, kto ma coś do zaoferowania. To może nie fair wobec biednych farmerów i chłopów, którzy też chcieliby do nas, ale dobrze dla ciebie. Masz wyjście.

- Wystarczy. - Jinn się odwrócił.

- Ten kraj się rozpada! - krzyknął Kurt. - Nawet twoje pieniądze i władza nie zapewnią ci bezpieczeństwa, kiedy wybuchnie anarchia. Domyślam się, że masz też problemy za granicą, bo inaczej nie musiałbyś zabijać swoich gości, a przede wszystkim ukrywać się tutaj. Oferuję ci wyjście. Uwolnij nas i pozwól nam zameldować, co widzieliśmy, a mój rząd skontaktuje się z tobą w bardziej profesjonalny sposób.

Jinn nawet nie wziął pod uwagę tej propozycji, mimo że Kurt odwalił kawał dobrej roboty, wymyślając cały podstęp. Odwrócił się i uśmiechnął.

- Niedługo ludzie między innymi z twojego rządu będą błagać, żebym to ja skontaktował się z nimi. A wasze zbiegłe kości w piasku nikogo nie będą obchodzić.

Przywołał gestem strażników.

- Dajcie im nauczkę, a potem zabierzcie ich do studni. Tam się spotkamy.

Jinn wyszedł, Sabah za nim, a czterej mężczyźni wzięli się do dzieła.

Zadali więźniom kilka ciosów, żeby ich zmiękczyć, a potem w ruch poszły rozkładane metalowe pałki. Uderzenia były mocne, ale Kurt inkasował już gorsze i umiał się tak wyginać i obracać, że częściowo chybiały.

Joe robił uniki, jak to bokser.

Trafienie powyżej oka rozcięło Kurtowi skórę i pozostawiło krwawiącą ranę. Udał zamroczonego. Osunął się bezwładnie w łańcuchach i oprawcy jakby stracili zapał. Kopnęli go od niechcienia w tyłek i się roześmiali.

Jeden z nich powiedział coś po arabsku, potem sięgnęli w dół i postawili Kurta na nogi. Zdjęli mu kajdanki i wywlekli go na zewnątrz. Spod celowo przymkniętych powiek zobaczył, jak Joe jest zmuszany do marszu obok niego.

Z deszczu pod rynnę?

Częściowa odpowiedź na to pytanie nadeszła, gdy dotarli do głównego wejścia do jaskini. Promienie słońca wpadały do środka. Było późne popołudnie, najgorętsza pora dnia. Wyprowadzono ich na dwór i skierowano ku tyłowi SUV-a. Kiedy strażnicy trzymali ich za ramiona, jeden z nich przywiązał więźniom ręce do haka holowniczego półmetrowym kawałkiem liny.

- Niedobrze - odezwał się Joe.

- Chyba zostaniemy przeciągnięci pod kilem, tyle że po pustyni - odrzekł Kurt.

Oprawca roześmiał się, wsiadł do SUV-a i kilkakrotnie przegazował silnik. Kurt próbował znaleźć jakieś wyjście z sytuacji. Przyszło mu do głowy tylko to, żeby wspiąć się na samochód, zanim ruszy, ale tył pojazdu był gładki i ze związanymi rękami nie mieli się czego złapać.

Silnik znów zawył.

Joe spojrział na Kurta.

- Nic z tego.

- Super.

SUV wystartował. Szarpnęło ich do przodu, potknęli się i o mało nie przewrócili, ale utrzymali się na nogach i zaczęli biec. Ku zaskoczeniu Kurta kierowca nie przyspieszał. Samochód toczył się prawie na obrotach biegu jałowego i ciągnął za sobą więźniów w tempie szybkiego truchtu.

Strażnicy za nimi śmiali się, gdy Kurt i Joe usiłowali nadążyć.

SUV oddalił się od wejścia do jaskini i wjechał na trakt, który przecinał pustynię.

- Co dalej? - zapytał Joe. - Masz jakiś pomysł?
- Kurt biegł z trudem, stopy zapadały mu się w miękki piasek.
- Nie - zaprzeczył.
- Rusz głową, Kurt! - przynaglił Joe.
- Dlaczego sam czegoś nie wymyślisz?
- Ty jesteś mózgiem zespołu, ja jestem przystojny - odparł Joe.
- Przystaniesz być, jak poszorujesz twarzą po piasku.

Joe zamilkł. Zaczęli się wspinać na niskie wzgórze i utrzymywanie tempa stało się jeszcze trudniejsze. Tylne koła samochodu wyrzucały piasek prosto w ich twarze. Osiągnęli szczyt i wrócili na dół po drugiej stronie. Kurt poczuł ulgę na widok płaskiego terenu.

Słońce prażyło, temperatura dochodziła do trzydziestu ośmiu stopni Celsjusza. Po dwóch czy trzech minutach biegu w upale obaj ociekali potem, ich organizmy nie mogły się bardziej odwodnić. Kurt zobaczył w oddali następną skalną formację. Dzieliło ich od niej co najmniej półtora kilometra, ale zdawała się leżeć na ich trasie.

Joe zawadził o coś stopą, potknął się i o mało nie upadł.

- Trzymaj się! - krzyknął Kurt, patrząc przed siebie.

Joe zdołał pobiec dalej. Kurt próbował myśleć.

Gdyby udało im się dotrzeć do skały na wprost, poszukałby jakiegoś kamienia i podniósł go. Wzięcie czegoś z ziemi byłoby ryzykowne, ale wątpił, żeby on i Joe mogli biec dłużej.

Rozważania okazały się teoretyczne, bo SUV skręcił na południe, dojechał do skupiska zaparkowanych samochodów i stanął. Kurt i Joe upadli na ziemię.

Leżeli na piasku i starali się złapać oddech, Kurt zobaczył Jinna i kilku jego ludzi stojących obok czegoś, co wyglądało jak stara nieużywana studnia.

Jinn podszedł. Musiał zauważyć, że Kurt patrzy na studnię.

- Spragniony? - spytał.

Kurt nie odpowiedział.

Jinn przysunął się bliżej.

- Nie wiesz, co to znaczy pragnienie, dopóki nie przemierzysz pustyni w poszukiwaniu choćby najmniejszej oazy. Gardło ci się zaciska. Masz wrażenie, że oczy ci się wygotowują wewnątrz głowy. Nie możesz się spocić, bo jesteś całkowicie odwodniony. Takie jest życie Beduina. Ale on nie pada po kilometrze czy dwóch na pustyni.

- Jestem raczej pewien, że jeździ na wielbłądzie, a nie jest wleczony za samochodem - wychrypiał Kurt.

Jinn odwrócił się do swoich ludzi.

- Nasi goście chcieliby się trochę odświeżyć. Weźcie ich do studni.

Strażnicy rozwiązali Kurta i Joego, dźwignęli ich do góry i zaczęli popychać w kierunku studni. Gdy dotarli do otworu, Kurt uświadomił sobie, że się nie napiją. Zapach śmierci unosił się z dołu.

Kurt obrócił się i kopnął jednego ze strażników, zgruchotał mu kostkę i rzucił się po jego broń. Joe wszedł do akcji prawie w tym samym momencie. Oswobodził ramię i celnym ciosem pozbawił przytomności mężczyznę na lewo od siebie.

Strażników wyraźnie zaskoczyła szybkość ataku. Więźniom nie dawano jedzenia i wody przez cały dzień. Pobito ich i przeciągnięto po pustyni. Wyglądali na prawie martwych, gdy leżeli na piasku ledwie chwilę wcześniej.

Czterech ludzi Jinna rzuciło się na pomoc towarzyszom, ale Amerykanie walczyli jak wirujące trąby powietrzne. Na każdy cios odpowiadali uderzeniem pięści w twarz, kopniakiem w kolano lub walnięciem łokciem w brzuch.

Jeden strażnik spróbował złapać Kurta, ale ten zrobił unik, podciął nogi przeciwnikowi i posłał go na jego kompana. Gdy obaj runęli na piasek, Kurt szybko się zerwał. Zobaczył pistolet na ziemi i dał po niego nura. Ale - podobnie jak futbolista nurkujący po wypuszczonej piłce - został natychmiast przygnieciony przez trzech ludzi Jinna, którzy również chcieli dosięgnąć broni.

Wypaliła i jeden z napastników wrzasnął z bólu, gdy stracił palec. Ale zanim Kurt znów zdążył strzelić, potężny cios spadł na tył jego głowy i wyrwano mu pistolet.

Obok niego powalono Joego.

- Podnieście ich! - krzyknął Jinn. - Wrzucicie ich do środka!

Kurt miotał się zawzięcie, ale ludzie Jinna trzymali go mocno za ramiona i nogi. Ponieśli go w kierunku studni niczym tłum widza na koncercie rockowym.

Joemu wiodło się nie lepiej. Strażnik założył mu półnelsona i popychał go naprzód poza krawędź.

Kurta doniesiono już do studni, gdy oswobodził nogę i kopnął jednego z mężczyzn w twarz. Strażnik poleciał do tyłu, zawadził kostką o niską ceglana cembrowinę, stracił równowagę i wpadł do otworu głową w dół. Jego krzyk umilkł gwałtownie, gdy mężczyzna sięgnął dna.

Grupa trzymająca Kurta zachwiała się jak stół na trzech nogach, ale szybko dźwignęła go znowu nad studnię.

Gdy go puścili, Kurt się obrócił, zobaczył niski mur i sterzące obok małe żelazne podpory w kształcie litery A. Rozrzucił ramiona i złapał się ich.

Chwilę później Joego wepchnięto do dołu. Uczepił się nóg Kurta, być może instynktownie.

Dodatkowy ciężar pociągnął Kurta w dół i tylko dzięki temu, że trzymał się kurczowo parzącego żelaza, nie runęli w głąb studni.

Jakiś cień przesłonił zachodzące słońce.

Jinn miał pałkę w ręku. Zamachnął się, żeby wałnąć Kurta w palec, ale zanim padł cios, Kurt się puścił.

On i Joe spadli w otchłań. Sześć metrów niżej wylądowali na pochyłej kupie piasku i zsunęli się następne trzy metry na dno.

Uderzenie wstrząsnęło Kurtem, ale piaszczyste zbocze i dwa rozkładające się ciała zadziałały jak poduszka powietrzna i w dużej mierze zamortyzowały impet. Zakończył upadek w niewygodnej pozycji twarzą do ziemi.

Ogłuszony i w pół przytomny, zmusił się do otwarcia oczu. Joe leżał pół metra w lewo przy ścianie jak rzucona w kącie szmaciana lalka. Ręce miał pod sobą, jedną nogę wygiętą do góry pod dziwnym kątem. Nie ruszał się.

Kurt złowił uchem jakiś odgłos w górze. Nie odważył się poruszyć, ale kątem oka dostrzegł, jak Jinn pochyla się nad krawędzią studni. Rozległy się strzały, ziemia i skalne odłamki rozprysły się wokół. Coś ostrego zraniło Kurta w nogę, drugi pocisk lub kawałek skały trafił centymetry od jego twarzy, wzbijając fontannę ziemi.

Kurt nawet nie drgnął, nie poruszył się, starał się nie oddychać.

Usłyszał okrzyki po arabsku i zniekształcone słowa wysoko w górze. Rozbłysła latarka skierowana w głąb studni. Snop światła płaszał wokół nich niemal hipnotycznie. Kurt się nie ruszał. Chciał, żeby uznali go za kolejnego trupa.

Mężczyźni na górze wymienili parę słów. Latarka zgasła i twarze zniknęły.

Chwilę później odgłosy uruchamianych silników dotarły w głąb studni. Kurt słuchał, jak pojazdy odjeżdżają, dopóki nie zapadła cisza. Zostawiono ich na pewną śmierć. Jeszcze żyli, przynajmniej na razie, ale jeśli nie wydostaną się ze studni, będzie to tylko kwestia czasu.

ROZDZIAŁ 26

Gamay weszła do prowizorycznego laboratorium sprawdzić, co z Marchettim. Zastała go zgarbionego nad stołem. Używał lampy podczerwieni, kilku czujników temperatury i wysokiej, wąskiej zlewki pełnej wody, której górna warstwa wyglądała na mętną.

- Dobrze się domyślam, że w zlewce są nanoboty?
Marchetti usiadł prosto.

- O, pani Trout - powiedział z rękami na piersi. - Podkradła się pani do mnie.

- Wcale nie. Po prostu był pan pochłonięty pracą.

- Owszem - przyznał. Pomajstrował przy jednym z czujników i spojrzał na wyświetlacz.

- Zechce mnie pan oświecić?

- Próbuję tylko coś ustalić - odrzekł takim tonem, jakby wołał nie rozmawiać na ten temat.

Usiadła naprzeciwko niego i popatrzyła mu w oczy.

- Dlaczego jest tak, że mężczyźni nie lubią się dzielić swoimi przecuciami? - spytała. - Aż tak bardzo boi się pan pomylić?

- Myliłem się miliony razy - odparł Marchetti. - Bardziej boję się mieć rację.

- Co do czego?

- Mam przecucie co do przeznaczenia nanobotów.

- A jednak trzyma pan to w tajemnicy - zauważyła. - Jak większość znanych mi mężczyzn chce pan mieć dowód, zanim pan to ujawni, a przynajmniej jakieś uzasadnienie. - Wskazała ręką zestaw. - To wygląda na próbę przekonania mnie.

- Ma pani doskonałą intuicję. Założę się, że Paul nie może niczego przed panią ukryć.

- Nauczył się, że nie warto.

Marchetti uśmiechnął się z zakłopotaniem.

- Mądry człowiek. Oczywiście ma pani rację. Mam przecucie, że nanoboty istotnie powodują anomalię temperaturową. Przypominam sobie plan powstrzymania globalnego ocieplenia. Polegał na wystrzeliwaniu rakiet i rozpraszaniu milionów lustrzanych krążków na orbicie okołoziemskiej lub może tylko nad biegunami, nie pamiętam dokładnie. W każdym razie chcieli to robić latami. Te krążki odbijałyby część światła słonecznego z powrotem w kosmos, żeby do nas nie docierało. Niewielki

procent. W sam raz, żeby przeciwdziałać skutkom, które zaczynamy odczuwać.

Gamay słyszała o tym.

- Naturalnie od razu pojawiły się duże problemy - ciągnął Marchetti - ale pomysł mnie zaintrygował. Często się zastanawiałem, czy to by się udało.

- Są precedensy - odrzekła. - Po silnych erupcjach wulkanów popiół w powietrzu rozprzestrzenił się po całym świecie i działał podobnie jak wspomniane przez pana krążki. Za przyczynę głodu w VI wieku naszej ery uważa się to, że popiół przesłaniał słońce i powodował nieurodzaj. Rok 1815 nazwano rokiem bez lata, bo przeciętne temperatury na świecie były zaskakująco niskie. Przypuszcza się, że głównie z powodu erupcji wulkanu Tambora w Indonezji.

- Czuję, że tu może być podobnie - ocenił Marchetti. - Nie w atmosferze, lecz w morzu. - Wskazał eksperyment. - Staram się odtworzyć cykl ocieplenia i ochłodzenia w tej próbce wody. Ale jest problem z moją teorią. Nawet z ciemną warstwą nanobotów na gorze próbka zachowuje się prawie jak zwykła słona woda.

- Co to oznacza?

- Nanoboty pochłaniają część ciepła, ale nawet w przybliżeniu nie aż tyle, żeby powodować ochłodzenie wody.

- Jak duża jest różnica?

- Znacząca - odparł. - Blisko dziewięćdziesiąt procent odchylenia. A to naprawdę ogromna wartość.

- Zatem pański eksperyment wykazał...

- Tylko dziesięć procent ochłodzenia, jakie zarejestrowaliśmy w oceanie na otwartej przestrzeni.

Rozejrzała się wokół. Nie musiała pytać, czy prawidłowo przeprowadził eksperyment ani czy chce go powtórzyć. Spędził tu wiele godzin i był inżynierem, zanim został programistą komputerowym. Przypuszczała, że Marchetti wie, co robi. Poza tym zobaczyła sześć innych zestawów, które wyglądały iden-

tycznie jak ten przed nimi. Domyśliła się, że służą do porównania.

- Więc co z tego wynika? - zapytała. - I tym razem niech pan uda, że jest kobietą, i się otworzy.

- Są dwie możliwości - powiedział. - Albo coś innego powoduje większość ochłodzenia, albo nanoboty ochładzają ocean, tylko tego procesu lub mechanizmu jeszcze nie zaobserwowaliśmy czy też nie odkryliśmy.

- Tym bardziej trzeba do nich podpłynąć i spróbować przechwycić transmisję - stwierdziła.

- Obawiam się, że tak - przyznał.

Zanim Gamay zdążyła się odezwać, w laboratorium zawył alarm. Dźwięk był ostry, przenikliwy i towarzyszyły mu błyski lamp stroboskopowych.

- Co się dzieje?

- Gdzieś się pali - oznajmił Marchetti i sięgnął do włącznika interkomu. - Co jest, cheffie?

- Mamy sygnały z czujników temperatury - zameldował główny mechanik takim tonem, jakby jeszcze sprawdzał. - Jest potwierdzenie - dodał. - Pożar w maszynowni.

ROZDZIAŁ 27

Paul Trout usłyszał alarm i pobiegł korytarzem do prowizorycznego laboratorium. Marchetti dyskutował gorączkowo przez interkom z głównym mechanikiem. Gamay stała obok niego z wyrazem niepokoju na twarzy.

- Pożar - poinformowała.

- Domyśliłem się - odrzekł. Poczul dym i charakterystyczny odór płonącego oleju napędowego. - W maszynowni?

Przytaknęła.

- Może pan z powrotem uruchomić roboty? - zapytał Marchetti przez interkom.

- Nie reagują.

- A co z systemem gaśniczym?

- To samo.

Marchetti zmarkotniał i znów nacisnął przycisk interkomu.

- Pracujcie nad tym. Będziemy musieli ugasić pożar ręcznie. Niech Kostis i Cristatos czekają na mnie przy sprzęcie, a reszta będzie w pogotowiu.

Kiedy główny mechanik odpowiedział, Marchetti spojrzął na Paula i Gamay.

- Czy ktoś z państwa ma doświadczenie w gaszeniu po żarów? - spytał.

Teraz Gamay zmarkotniała.

- Paul, proszę...

- Nic mi się nie stanie - zapewnił. - Jestem dobrze wyszkolony. Znajdź sobie bezpieczne miejsce.

- Centrum sterowania - podsunął Marchetti. - Chief tam jest. Gamay skinęła głową.

- Bądź ostrożny.

Paul i Marchetti wypadli z laboratorium i zbiegli po schodach na główny pokład. Stamtąd ruszyli w dół do wnętrza kadłuba i dotarli korytarzem w pobliże maszynowni. Dym zgęstniał, kiedy zbliżyli się do rufowej części wyspy.

- Tu jest sprzęt strażacki - odezwał się Marchetti przy magazynie z kilkoma wysokimi drzwiami.

Byli piętnaście metrów od maszynowni. Woń paliwa mdląca, czuli gorąco i słyszeli ogień.

Marchetti otworzył panel z napisem „Sprzęt ppoż”. W środku wisały jaskrawożółte nomenksowe kombinezony strażackie z pomarańczowymi paskami odblaskowymi. Na półce nad każdym z nich leżały znajome butle powietrzne i maski. Każdy autonomiczny aparat oddechowy składał się z ognio- i żaroodpornej maski z automatem oddechowym, systemem łączności i wyświet-

tlaczem przeziernym. Uprząż służyła do noszenia latarek i innych narzędzi oraz niskociśnieniowych butli powietrznych na plecach.

Marchetti chwycił kombinezon strażacki, Paul zrobił to samo. Kiedy się ubrali, dołączyli do nich Kostis i Cristatos i poszli w ich ślady.

Paul włożył maskę i otworzył zawór automatu oddechowego. Uniósł kciuk na znak, że powietrze jest okej.

Marchetti sięgnął do przełącznika z boku maski. Paul usłyszał w słuchawkach zakłócenia, a po chwili popłynął z nich głos Marchettiego.

- Słyszysz mnie pan?
- Głośno i wyraźnie - potwierdził Paul.
- Dobra. Respiratory są wyposażone w radia.

Paul był gotowy. Dwaj członkowie załogi kończyli się ubierać.

Marchetti podszedł do bębna na ścianie i zaczął rozwijać wąż.

Paul ustawił się za nim i ruszyli naprzód.

- Jaki jest plan? - zapytał Paul, gdy zbliżyli się do przegrody z otwartymi drzwiami do maszynowni.

- Chief będzie się starał uruchomić roboty, a my spróbujemy ugasić pożar.

- Dlaczego po prostu nie zamkniemy maszynowni?
- Jeden z moich ludzi został w środku - odrzekł Marchetti.

Paul spojrział na płonące pomieszczenie. Nie wyobrażał sobie, żeby ktoś mógł tam przeżyć, ale jeśli istniała szansa, musieli go poszukać.

- Ma się gdzie schronić?
- Na końcu maszynowni jest małe biuro, dyżurka. Jeśli był tam w chwili wybuchu pożaru, to może jeszcze żyje.

Mieli już dwa węże. Jeden trzymali Paul i Marchetti, drugi Kostis i Cristatos.

- Puśćcie wodę! - krzyknął Marchetti.

Jeden z załogantów obrócił zawór i węże spęczniały od ciśnienia. Marchetti otworzył wylot i wytrysnął strumień. Choć Marchetti mocno trzymał, Paul musiał pokonać siłę odrzutu.

Zacieśnił chwyt, ugiął kolana i zaczął przeć naprzód. On i Marchetti weszli do maszynowni.

Minęli przegrodę i Paul poczuł się jak za progiem piekła. Czarny dym wokół niego był tak gęsty, że chwilami widział tylko błyski lokalizatora na respiratorze Marchettiego. Fale gorąca przypiekały go przez nomenksowy kombinezon, dym dostający się pod uszczelkę maski szczypał w oczy. Tu i tam pomarańczowe płomienie przecinały ciemność. Mknęły w górę, w dół i wokół, czasem wystrzeliwały ponad mężczyzn niczym płasające demony. Niewielkie eksplozje w głębi maszynowni wstrząsały pomieszczeniem.

Marchetti polewał wszystko wodą tam i z powrotem, wyregulował wylot, by rozszerzyć strumień. Jego ludzie robili to samo. Tłumiące ogień dwie strugi wody powodowały powstawanie kłębow gorącej pary.

- Widzi pan źródło? - zapytał Marchetti.
- Nie. - Paul starał się przeniknąć wzrokiem dym.
- W takim razie musimy iść dalej.

Do tej pory Marchetti wydawał się Paulowi mięczakiem i patałachem, ale teraz podziwiał odwagę, z jaką miliarder bronił wyspy i walczył o życie swojego człowieka.

- Tutaj! - zawołał mężczyzna trzymający drugi wąż.

Paul się odwrócił i zobaczył, jak torują wodą drogę jemu i Marchettiemu.

Przygotował się i razem z Marchettim wszedł w sam środek pożogi.

Czuł temperaturę pokładu, jakby stał na rozżarzonej lawie. Nowa fala ognia z lewej strony powaliła Marchettiego na ziemię.

Paul go podniósł.

- To na nic! - krzyknął. - Musimy się wycofać.
- Mówiłem panu, że jeden z moich ludzi jest tutaj!

Kolejna niewielka eksplozja i wyrosła nowa ściana płomieni. Cofnęła się pod naporem wody z dwóch węży.

Maszynownia miała wysokość trzech pięter i cztery razy tyle długości. Wypełniały ją urządzenia, rury i pomosty. Płomienie sięgały miejscami sufitu i przesłaniały wszystko. Jeśli nie przegrywali walki z ogniem, to co najmniej trwali w impasie. Paul pomyślał, że nie powinni gasić pożaru sami.

- Musimy zalać ten przedział. To jedyne wyjście.

- Próbowaliśmy - odparł Marchetti. - System gaśniczy nie działa. Powinien się uruchomić przy osiemdziesięciu stopniach Celsjusza, ale nie zareagował. Próbowaliśmy go włączyć z mostka, ale bez skutku.

- Musi być jakiś sposób - powiedział Paul. - Ręczne sterowanie gdzieś tu na dole.

Marchetti zaczął się rozglądać.

- Są cztery. Najbliższy powinien być tam, przy generatorze.

- Trzeba go użyć.

Marchetti się zawahał.

- Drzwi zaryglują się automatycznie, kiedy to zrobimy - wyjaśnił. - I zostaniemy uwięzieni.

- Na jak długo?

- Do czasu, aż ogień zgaśnie i temperatura się obniży.

- Więc nie traćmy czasu.

Marchetti popatrzył na zniszczoną kładkę, która prowadziła do być może bezpiecznej dyżurki. Pomost był pocięty i poskręcany, jakby eksplozja nastąpiła w połowie jego długości. Płomienie, dym i kapiąca z góry wrząca woda uniemożliwiały skorzystanie z tej drogi.

Odwrócił się do przeciwległej ściany.

- Okej! - zawołał. - Tędy.

ROZDZIAŁ 28

Gamay zastała chaos w centrum sterowania. Dwaj ludzie Marchettiego pracowali w pośpiechu przy komputerach, próbując z powrotem uruchomić roboty lub system gaśniczy.

Mężczyzna, którego Marchetti nazywał chiefem, niski, ale krzepki Grek, monitorował pożar. Gamay słyszała w tle rozmowy radiowe między dwiema walczącymi z ogniem parami. Nie wyglądało na to, żeby byli bliscy zwycięstwa nad żywiołem.

- Jaka sytuacja? - zapytała. Na dole wydawało się jej, że nie jest tak źle.

- Szybko zrobiła się groźna - odrzekł chief. - Cała maszynownia płonie. To musi być wyciek paliwa.

- Pożar się rozprzestrzenia? - spytała Gamay z obawą o los Paula.

- Jeszcze nie - zaprzeczył chief.

Kiedy Gamay starała się nie koncentrować na słowach „jeszcze nie”, Leilani weszła do pomieszczenia. Wyglądała na przestraszoną i zaskoczoną.

- Co się dzieje?

- Maszynownia się pali - wyjaśniła Gamay. - Jeden z członków załogi jest tam uwięziony, a automatyczne systemy nie działają.

Leilani usiadła i zaczęła się trząść. Wydawała się bliska zamłania, ale Gamay miała teraz inne zmartwienia.

- A jeśli ogień się rozprzestrzeni? - zapytała. - Mój mąż, Marchetti i wasi dwaj ludzie zostaną odcięci.

- Jeśli najpierw zlokalizują pożar, to nie - odparł chief. - Muszą go stłumić.

- Na dole potrzeba więcej ludzi - wtrąciła Leilani.

Gamay i chief spojrzeli na nią.

- Skoro roboty nie działają, to trzeba tam wysłać pomoc - powtórzyła.

- Ona ma rację - przytaknęła Gamay, zaskoczona jej nagłym zdecydowaniem.

- Próbuujemy z powrotem uruchomić roboty - tłumaczył chief.

- Dajcie sobie z tym spokój - powiedziała Gamay. - Czterech ludzi nie ugasi tego pożaru.

- Mamy tylko dwadzieścia osób załogi na pokładzie - zauważył chief.

Ta liczba zawsze wydawała się Gamay za mała i teraz zrozumiała dlaczego.

- Wszyscy, którzy mają przeszkolenie strażackie, muszą się znaleźć na dole - stwierdziła - albo Paul i reszta powinni się wycofać.

Chief spojrzął na dwóch mężczyzn przy komputerach.

- I co?

Pokręcili głowami.

- To zapętłony kod. Ilekroć przebijemy się przez zewnętrzną warstwę, następuje reset i musimy zaczynać od początku.

Gamay nie wiedziała dokładnie, co to znaczy, ale wyglądało na to, że kontynuowanie nie ma wielkiego sensu. Chief westchnął.

- Na roboty nie ma co liczyć - przyznał. - Idźcie. Każę po zostałym dołączyć do was w maszynowni.

Dwaj mężczyźni wstali od komputerów i ruszyli do drzwi.

Gamay zwróciła się do chiefa, zadowolona, że wsparcie dla Paula jest w drodze.

- Dziękuję. - Skinął głową.

- I co, chiefie? - dobiegł ich z radia głos Marchettiego.

- Niestety nic - odpowiedział chief do mikrofonu. - Przesłaliśmy próbować i wysłaliśmy wam pomoc.

- Zrozumiałem - odezwał się Marchetti. - Przechodzimy na ręczne sterowanie.

- Co to znaczy? - zapytała Gamay.

- Zaleją przedział halonem - wyjaśnił chief. - Stłumi ogień i ugasi pożar.

- Jaki jest minus?

- Halon jest toksyczny. I skuteczny tylko w zamkniętym pomieszczeniu. Jeśli go użyją, drzwi automatycznie się zamkną i zaryglują. Będą uwięzieni, dopóki sensory nie wyczują, że ogień zgasł i temperatura spadła poniżej punktu ponownego zapłonu.

Gamay zrobiło się słabo. Wiedziała, co to znaczy.

- To nie powinien być wielki problem - uspokajał ją chief. - Po zalaniu przedziału ogień powinien zgasnąć w ciągu pół minuty. Temperatura w środku wynosi teraz sto dwadzieścia cztery stopnie Celsjusza. Według moich obliczeń schłodzenie powinno zająć około dziesięciu minut, jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem.

Paul będzie przez dziesięć minut siedział za zamkniętymi drzwiami w kotle wrzątku. Nie mogła znieść tej myśli. Ale przyszło jej do głowy coś gorszego.

- Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem - powtórzyła. - Biorąc pod uwagę sytuację, to bardzo optymistyczne założenie. A jeśli drzwi się nie zamkną? Albo, co gorsza, nie otworzą?

Chief milczał, ale wiedziała, że też o tym pomyślał.

Na dole w maszynowni Paul i Marchetti zaczęli się przedzierać w stronę przeciwległej ściany. Wydawało się, że potrwa to całą wieczność. W jednej części pomieszczenia szczątka i płonące paliwo zagroziły im drogę. W innej para buchała z pękniętej rury wodnej.

Mając za plecami ludzi Marchettiego, którzy czuwali, żeby nie zostali odcięci, parli przed siebie metr za metrem i tłumili ogień. W końcu zrobili sobie przejście.

- Tak trzymać - polecił Marchetti. - Lejcie wodę, kiedy będę biegł. Dam wam znać, jak się przedostanę.

Paul wysunął się naprzód.

- Okej, niech pan rusza!

Marchetti puścił wąż i Paul musiał użyć całej swojej siły, żeby utrzymać wylot na celu. Kiedy Marchetti wystartował, Paul skierował strumień na płomień z lewej, a potem szerokim lu-

kiem znów na ogień z prawej, celowo mocząc przy okazji ratownika.

Patrzył, jak Marchetti pokonuje pierwszą ścianę płomieni i biegnie dalej, by nagle zniknąć za eksplozją ognia i dymu z boku. Paul przeniósł tam strumień wody i blask przygasł, ale widoczność się nie poprawiła.

- Marchetti?

Brak odpowiedzi.

- Marchetti?!

Dym był tak gęsty, że Paul prawie nic nie widział. Pocił się w kombinezonie strażackim, oczy piekły go od oparów i soli z własnego potu. Polewał przejście tam i z powrotem, dopóki nie zobaczył w ciemności słabego światła. Było nisko, przy ziemi. Lokalizator Marchettiego.

- Marchetti leży! - krzyknął. - Idę po niego.

Zamknął wylot węża, rzucił go i pobiegł przed siebie. Załoganci posuwali się za nim i polewali go wodą.

Przedarł się przez płomienie i dotarł do Marchettiego. Miliarder miał osmalony hełm i na wpół zsuniętą maskę. Wyglądało na to, że wpadł na wystającą belkę. Paul poprawił mu maskę, Marchetti zakaszłał i się ocknął.

- Niech pan mi pomoże wstać - poprosił.

Eksplozja zatrzęsa maszynownią, szczątki posypały się na nich z góry. Paul podniósł Marchettiego, ale ten natychmiast opadł z powrotem na kolana. Wyciągnął rękę.

- Nie mogę złapać równowagi.

Paul dźwignął go do góry i utrzymał w pionie. Ruszyli naprzód jak dwaj uczestnicy wyścigu w workach ze związanymi nogami. Dotarli do ściany. Mechanizm ręcznego sterowania był tuż obok.

- Udało się nam! - zawołał Paul do mikrofonu. - Wychodź cie. Puszczamy halon.

Sięgnął do uchwytu, usunął zabezpieczenie i położył dłoń na ręczce. Wydawało mu się, że czeka w nieskończoność. Następna eksplozja zatrzęsa maszynownią.

- Jesteśmy za przegradą - zameldował wreszcie jeden z członków załogi.

- Teraz - polecił Marchetti.

Paul szarpnął rączkę mocno w dół.

Z osiemdziesięciu punktów w całym pomieszczeniu halon 1301 wydostał się z sykiem w niewiarygodnym tempie i popłynął we wszystkich kierunkach. Wchłaniał wodór i tłumił ogień. Miejscami płomienie podskakiwały i migotały, jakby rozpaczliwie usiłowały przetrwać. A potem, jakby dzięki magii, zgasły wszystkie jednocześnie.

Zapadła oszałamiająca cisza.

Paulowi wydawało się to niesamowite. Szalejący pożar, eksplozje, gwałtowne prądy powietrzne, gdy ogień zużywał tlen i wydzieliał ciepło - to wszystko zniknęło. Tylko gęsty dym pozostał wraz z sykiem halonu, odgłosem kapania wody, skrzypnięciami i trzaskami gorącego metalu.

Brak płomieni wydawał się niemal zbyt piękny, by mógł być prawdziwy, i ani Paul, ani Marchetti nawet nie drgnęli w obawie, że czar pryśnie. W końcu Marchetti odwrócił się do Paula. Uśmiech pojawił się na jego twarzy, choć Paul ledwo ją widział przez ubrudzoną sadzą maskę.

- Dobra robota, panie Trout. Dobra robota.

Paul odwzajemnił uśmiech z dumą i jednocześnie ulgą.

I wtedy włączył się przeraźliwy elektroniczny sygnał dzwinkowy, któremu towarzyszyły błyski lampy stroboskopowej z tyłu aparatu oddechowego Marchettiego. Chwilę później to samo stało się z aparatem Paula. Dwa alarmy tworzyły irytującą kakofonię.

- Co się dzieje? - zapytał Paul.

- To lokalizatory ratunkowe - wyjaśnił Marchetti.

- Dlaczego zadziałały teraz?

Marchetti sposepniał.

- Bo kończy się nam powietrze.

ROZDZIAŁ 29

Kurt Austin leżał w niewygodnej pozycji, w której upadł, tak długo jak mógł. Nawet gdy pojazdy odjechały, nawet gdy warkot ich silników ucichł i słyszał tylko bzyczenie much w ciemności, nie ruszał się.

Muchy latały tu i tam, milkły na chwilę i znów bzyczały. Nawet kiedy siadały na nim i chodziły mu po twarzy, Kurt robił, co mógł, żeby nie drgnąć, na wypadek gdyby ktoś go obserwował. Ale w końcu musiał się ruszyć.

Zerknął w górę na okrągły otwór wysoko nad nim, przysunął jedno ramię do boku, przetoczył się wolno i uniósł. Udało mu się usiąść, cofnąć i oprzeć o ścianę. Każdy ruch sprawiał mu ból, więc kiedy usadowił się pod ścianą, postanowił tam zostać minutę lub dwie.

Sprawdził, co z nogą. Coś w nią trafiło podczas strzelaniny, ale nie znalazł dziury po kuli, więc domyślił się, że to odprysk ściany po rykoszecie pocisku. Bark strasznie mu dokuczał, ale wydawał się w porządku.

Wyciągnął rękę, dotknął Joego i potrząsnął nim lekko.

Przyjaciel otworzył oczy do połowy jak człowiek obudzony z głębokiego snu. Przesunął się o kilka centymetrów i stęknął. Sprawiał wrażenie zdezorientowanego. Rozejrzał się wokół, ale nie wyglądało na to, żeby rozjaśniło mu się w głowie.

- Gdzie jesteśmy? - zapytał.

- Nie pamiętasz?

- Ostatnie, co pamiętam, to jak nas ciągnęli za samochodem - odrzekł.

- To była najlepsza, szczytowa część naszej podróży - powiedział Kurt, spoglądając w górę. - Dosłownie.

Joe zmusił się do przyjęcia pozycji siedzącej, co wyraźnie sprawiło mu tyle samo bólu co Kurtowi.

- Jesteśmy martwi? - spytał. - Bo jeśli nie, to jak żyję nie czułem się gorzej.

Kurt pokręcił głową.

- Nie umarliśmy, przynajmniej na razie. Po prostu tkwimy na dnie studni bez liny, bez drabiny i bez jakiegokolwiek innego wyjścia.

- To dobrze - stwierdził Joe. - Przez moment myślałem, że jesteśmy w tarapatach.

Kurt się rozejrzał i zwrócił uwagę na ciała w piasku. Dwa z nich wydawały się tam leżeć od jakiegoś czasu. Cuchnęły tak, że prawie zbierało mu się na wymioty. Trzeci był facet, którego zepchnął do studni, zanim sam do niej trafił. Mężczyzna miał mocno rozcięte czoło i groteskowo wygiętą szyję. Nie ruszał się.

Kurt był zaskoczony, że żyje.

- Chyba uratowało nas to, że spadliśmy na kupę piasku i nogami w dół. Wygląda na to, że ten facet upadł na głowę.

- Poza tym, spadliśmy z mniejszej wysokości - dodał Joe. - Przynajmniej ja. A tamci dwaj?

- Nie mam pojęcia - odparł Kurt, patrząc na ciała, które w połowie obsiadły muchy. - Musieli zirytować szefa.

- Jeśli kiedykolwiek odejdziemy z NUMA - powiedział Joe - to przypomnij mi, żebym nie pracował dla egocentrycznego dyktatora, szaleńca ani żadnego innego bandziora. Oni chyba nie mają odpowiednich komórek organizacyjnych do rozpatrywania skarg.

Kurt się roześmiał i od razu poczuł tak, jakby został dźgnięty nożem.

- Ale ból - jęknął, próbując przestać. - Koniec żartów. Spojrzał na mały otwór w górze i zobaczył krążek pomarań czowego nieba.

- Musimy się stąd jakoś wydostać, bo inaczej będziemy na stępną pozycję w jadłospisie much. Utrzymasz się na nogach?

Joe poruszył stopami.

- Mam sztywną kostkę. Ale myślę, że dam radę.

Kurt przytrzymał się ściany i wstał. Zakręciło mu się w głowie, ale szybko przeszło. Podał Joemu rękę i pomógł mu się podnieść. W studni o średnicy półtora metra rozprostowali nogi i próbowali je rozćwiczyć.

Studnia wyglądała na kopaną stopniowo. Górną część wyłożono suszonymi na słońcu cegłami do głębokości około sześciu metrów. Niżej, aż do dna, była ziemia.

- Myślisz, że uda nam się wspiąć? - zapytał Joe.

Kurt położył rękę na wystającym kamieniu i nacisnął go, żeby sprawdzić jego wytrzymałość. Pokruszył się na drobne kawałki.

- Nie.

- Może inaczej? - zaproponował Joe. - Będziemy się wypychali do góry, zapierając o ściany rękami i nogami.

Kurt rozpostarł ramiona. Ledwo mógł dotknąć obu ścian.

- Nie damy rady.

Rozejrzał się wokół. Oprócz trzech ciał w studni leżały śmiecie i odpadki. Blaszane puszki, plastikowe butelki, nawet wąska łysa opona. Wszędzie wałały się małe kości. Kurt się domyślał, że to szczątki zwierząt, które wpadły do studni, lub niejadalne resztki czyjejś kolacji, wrzucone tutaj po skończeniu posiłku.

Spojrzał na oponę, potem na ściany, wreszcie na martwych mężczyzn.

- Mam pomysł.

Obszukał bandziora, którego wepchnął do studni, zabrał mu nóż, pistolet podobny do lugera i małą lornetkę.

Natrafił na manierkę przy jego pasie. Była w trzech czwartych pusta. Pociągnął łyk i podał ją Joemu.

- Twoje zdrowie.

Joe się napił. Kurt odsunął na bok śmiecie i wykopał oponę z piasku.

- Sprzątasz? - spytał Joe.

- Bardzo śmieszne.

Ukucnął obok pozostałych martwych mężczyzn, wstrzymał oddech i przepędził muchy. Rozwiązał linę, którą byli skrepowani.

- To nam się przyda.
 - Pewnie nie mają przy sobie haka abordażowego?
 - Nie - zaprzeczył Kurt. - Ale nie będzie nam potrzebny.
- Ułożył ciała jedno na drugim pośrodku studni.
- Siadaj - polecił.
 - Na martwych facetach?
 - Świeżego trupa dałem na wierzch - stwierdził Kurt.

Joe się zawahał.

- Oni nie żyją - przypomniał Kurt. - Co ich obchodzi? Joe w końcu usiadł. Kurt podniósł wąską oponę i oparł ją o plecy Joego, jakby wieszal wieniec. Potem usiadł tyłem do opony i Joego.

- Przyciśnij stopy do ściany i pchaj.

Joe wykonał polecenie i Kurt poczuł, jak opona przywiera do jego pleców. Przycisnął stopy do ściany po swojej stronie i zaczął pchać. Poczuł, jak opona między nimi ugina się lekko. Z jednej strony zapierał się nogami, z drugiej blokowały go plecy Joego. Obu mężczyznom brakowało jakichś piętnastu do dwudziestu centymetrów, żeby udało im się wyprostować nogi.

- Napnij mięśnie brzucha - polecił. - Zobaczymy, czy się uda.

Kiedy Joe się naprężył, Kurt zrobił to samo. Poczuł napór na górną i dolną część pleców, tam gdzie tkwiła opona. Przy minimum wysiłku unieśli się ze stosu martwych mężczyzn.

- Mamy szansę - ucieszył się Joe.
- Ty, potem ja - poinstruował go Kurt. - Noga za nogą.

Kiedy Joe wykonał pierwszy ruch stopą, przechylili się na bok i omal nie spadli. Wrócili do poziomu, Kurt odepchnął się mocno lewą nogą i unióś ich o ponad dwadzieścia centymetrów. Szybko przemieścił prawą stopę.

Następny ruch Joego był pewniejszy. Wkrótce pieli się coraz wyżej.

- Zapomniałem ci powiedzieć - odezwał się Joe, stękając z wysiłku, ale najwyraźniej nie mogąc się powstrzymać od mówienia - że zanim nas dopadli w tamtej kreślarni, widziałem

mapę morską z prądami i tak dalej. Obejmowała Zatokę Perską, Morze Arabskie i pół Oceanu Indyjskiego.

On i Kurt odpychali się w zgodnym rytmie i pokonali następne piętnaście centymetrów w górę noga za nogą.

- Było na niej coś niezwykłego? - zapytał Kurt. W jego głosie brzmiało zmęczenie. Trudno mu było mówić przez ściśniętą przepoń.

- Nie zdążyłem... się jej... dokładnie przyjrzeć - wysapał Joe. - Ale coś mnie... zastanowiło.

Znów się ruszyli.

- Co? - spytał krótko Kurt.

- Jeśli Jinn zamierza wykorzystać swoje małe bestie... do zniszczenia jakiejś tamy... to dlaczego... znaleźliśmy je w Oceanie Indyjskim... tysiąc mil morskich od lądu?

Kurt rozważył to częścią umysłu, nadal koncentrując się głównie na wykonywanym zadaniu.

- Dobre pytanie. Tamy przegradzają rzeki... Rzeki wpadają do mórz... Może nanoboty zostały przypadkowo zmyte do oceanu.

Usiłował sobie przypomnieć zapory na rzekach uchodzących do Oceanu Indyjskiego lub Zatoki Perskiej, ale nic mu nie przyszło do głowy.

Zatrzymali się z lekko zgiętymi nogami.

- W każdym razie - dodał Kurt - musimy się stąd wydostać. Cokolwiek planuje ten szaleniec, nie jest dobre dla nikogo poza nim.

Dotarli do drugiego odcinka studni. Przestali żartować i śmiać się, bo wspinaczka stawała się coraz trudniejsza.

Kurt czuł ból pleców, mięśni brzucha i nóg. Zacisnął zęby i posuwał się dalej.

- Jak forma? - zapytał.

- Okej - sapnął Joe. - Choć nie chciałbym zaczynać od początku.

Kurt spojrział w dół. Stopa obsunęła mu się odrobinę, ale ją zablokował, prostując nogę w kolanie i klinując piętę. Widział, jak noga mu drży i poczuł skurcz łydki.

- Jeszcze... półtora metra - powiedział, dysząc ciężko. -A potem... będziemy mogli... przejść do... drugiej części planu.

- A jeśli oni wciąż są na górze? - spytał Joe.

- Nie słyszałem żadnego odgłosu, odkąd samochody odjechały.

- Mogli zostawić strażnika.

- Po to mamy pistolet.

Przesunęli się o następne pół metra i blask późnopołudniowego słońca padł na twarz Kurta.

Pół metra od wylotu studni rozległ się dziwny dźwięk - wysoki gwizd, który odbijał się echem od ceglanych ścian.

- Słyszysz to? - zdziwił się Joe.

- Staram się to umiejscowić - odparł Kurt.

Gwizd narastał z każdą mijającą sekundą, a potem, dokładnie nad nimi, przesunął się ogromny cień. Kurt zobaczył spód przelatującego wielkiego szaro-białego samolotu z klapami rozłożonymi jak pióra ptaka i sześciokołowym podwoziem wysuniętym do przodu niczym szpony orła, który chce się chwycić gałęzi, by wylądować.

- Co to było? - zapytał Joe.

- Odrzutowiec - odrzekł Kurt.

Maszyna nie mogła być wyżej niż trzydzieści metrów, gdy przemknęła nad wylotem studni. Kurt widział ją tylko przez sekundę lub dwie, ale zdążył zauważyć coś dziwnego w jej kształcie.

- Nie zdawałem sobie sprawy, że jesteśmy na końcu pasa startowego - rzucił Joe. - Nie chciałem się wynurzyć w złym momencie i zostać przejechany przez boeinga 747.

Kurt stłumił śmiech i odpychał się mocniej, dopóki nie znaleźli się tuż pod krawędzią studni.

Czuł kwas mlekowy w łydkach i udach, i choć niebezpieczeństwo, że dostanie skurczu lub nogi odmówią mu posłuszeństwa było niewielkie, wołał się pospieszyć. Mięśnie brzucha bolały go od przyciskania pleców do opony. Czuł się tak, jakby wykonał sto skłonów na leżąco z siedmiokilogramową piłką lekarską przy piersi.

Wyjął z kieszeni pistolet i odbezpieczył go.

- Teraz spokojnie - szepnął.

Joe przemieścił stopy. Kurt zrobił to samo i wolno pokonali ostatnie piętnaście centymetrów. Kurt uniósł broń i wyciągnął szyję, żeby wyrzeć poza krawędź. Nikt nie pilnował studni.

- Czysto - oznajmił.

- Z tej strony też - zameldował Joe. - Co dalej?

Kurt rzucił pistolet poza krawędź i wydobył linę spod koszuli. Rozłożył ją w rękach, żeby odmierzyć potrzebny kawałek.

Trzymał oba końce liny, uformował pólpetłę o długości mniej więcej stu dwudziestu centymetrów. Machnął nadgarstkiem, wyprostował ramiona i posłał linę w powietrze. Jej środek wygiął się w „U”, poszybował do góry i opadł na szczyt jednej z ram w kształcie litery A.

Kurt naprężył linę i pociągnął ją w dół, żeby się nie przesunęła w górę metalowych drągów.

Uważając, żeby się nie obrócić, podał jeden koniec liny Joemu.

- Trzymaj ją mocno obiema rękami - polecił.

Napiął swój odcinek, przeprowadził go pod pachą i owinął wokół tricepsa, a potem dwa razy wokół ręki. Joe zrobił to samo.

- Trzymasz mocno?

- Jak wygrany los loteryjny - zażartował Joe.

- To dobrze - uznał Kurt - bo wiesz, co się stanie, jak tylko damy naszym biednym nogom odpocząć, prawda?

- Owszem - przytaknął Joe. - Jak wszystko, co się wiąże z tobą, będzie to bolesne.

- Bez bólu nie ma wyników - odezwał się Kurt. - Tym razem stawką jest wolność. Gotów?

- Gotów.

Kurt naprężył ramiona.

- Jeden... dwa... trzy... teraz!

Niemal w tym samym momencie obaj pociągnęli linę i rozluźnili mięśnie nóg i brzucha. Lina zacisnęła się wokół ramy

w kształcie litery A. Opona wypadła spomiędzy nich, gdy bujnęli się do przodu, uderzyli w ścianę i zawisli tuż pod wylotem studni. Opona upadła na dno, ale Kurt i Joe się utrzymali.

- Teraz musimy działać jednocześnie - uprzedził Kurt - bo inaczej któryś z nas spadnie.

Pięli się w górę obok siebie, ręka za ręką, aż chwycili się ramy. Metal ramy oparzył im dłonie, ale nie puścili go, podciągnęli się i przeleźli przez niski mur.

Kurt upadł twarzą na piasek i cieszył się z tego. Joe zwałił się obok.

Kurt dyszał ciężko i odpoczywał. Czuł, jak nogi mu się trzęsą. Wydawało się, że spędzili w studni całe dni. Spojrzał na nadgarstek. Jego zegarek nadal miał strażnik w Male.

Wyciągnął rękę w kierunku zachodzącego słońca.

- Co robisz? - zapytał Joe.

- Próbuję zrobić zegar słoneczny. - Zrezygnował. - Którą masz godzinę?

- Szóstą czterdzieści pięć - oznajmił Joe. - To musi być nowy rekord. Być zostawionym na pewną śmierć i wejść z powrotem do akcji w niecałą godzinę.

Nad pustynią rozległ się gwizd następnego nadlatującego odrzutowca, gdy siedzieli na piasku i łapali oddech. Samolot podążał takim samym kursem, schodził w dół i rósł w oczach, kiedy się zbliżał.

W naturalnym odruchu zbiegów obaj się skulili i przywarli do niskiej cembrowiny.

Niepotrzebnie się obawiali. Pilot podchodzącej do lądowania z szybkością stu pięćdziesięciu węzłów maszyny musiał patrzeć daleko przed siebie i koncentrować się na pasie startowym. Szansa, że zwróci uwagę na cokolwiek innego na ziemi, praktycznie równała się zeru.

Co innego pasażerowie.

Odrzutowiec przeleciał nad nimi tak jak pierwszy, ale trochę wyżej. Kurt zauważył takie same znaki szczególne: dziwnie

ukształtowany spód, dwa wielkie silniki wysoko nad kadłubem blisko ogona, grubą pudełkową część ze skrzydłami. Samolot wyglądał trochę jak DC-9 lub super 80, albo gulfstream G5 na sterydach, złożony według złej instrukcji i jakby dodatkowo po montażu została jeszcze garść części.

- Tego samego typu - spostrzegł Kurt. - Wygląda mi na rosyjski.

- Owszem - zgodził się Joe. - To może być nawet ta sama maszyna wykonująca drugi przelot.

Szaro-biały odrzutowiec schodził coraz niżej, jakby pilot zamierzał posadzić go na ziemi. Zniknął za wydumą, zanim usłyszeli, jak ląduje.

Odgłos jego silników przycichł na moment, a potem rozległ się basowy ryk, który trwał około piętnastu sekund i umilkł.

- Czy to brzmiało w twoich uszach jak odwrócenie ciągu?

Joe przytaknął.

- Domyślam się, że orzeł wylądował.

- Chyba właśnie znaleźliśmy sposób na ucieczkę - stwierdził Kurt.

Joe spojrzał na niego z ukosa.

- Na żadnym ze zdjęć satelitarnych nie widziałem stojącego tutaj samolotu, co oznacza, że tamta maszyna nie wygrzewa się beczynnem w słońcu przez cały dzień - wyjaśnił Kurt. - Przylatuje, zostawia ładunek i odlatuje przed wschodem słońca.

- Jasne - odrzekł Joe - ale to nie terminal numer jeden na Dulles. Nie możemy tak po prostu podejść i kupić biletu.

- Fakt - odparł Kurt - ale możemy się tam zakraść pod osłoną ciemności. Na pewno się nas nie spodziewają.

- Bo musielibyśmy oszaleć, żeby spróbować tego, co sugerujesz.

- Nie mamy wody - zaczął wyliczać Kurt - GPS-u i pojęcia, jak znaleźć bez niego naszego volkswagena. Więc jeśli nie chcesz wędrować przez pustynię, licząc na łut szczęścia, musimy wrócić do jaskini lwa.

Joe najwyraźniej bil się z myślami, choć widać było, że powoli zmienia zdanie.

- Dezorientujesz mnie tymi zwierzęcymi metaforami. Myślałem, że to królicza nora.

- Już nie, odkąd nas złapali - wytłumaczył Kurt. - Ci faceci to więksi twardziele niż jakikolwiek królik.

- Z wyjątkiem tamtego w filmie montypythonowców - zauważył Joe.

- *Monty Python i Święty Graal*.

- Właśnie.

- Zgadza się - przyznał Kurt, przypominając sobie film i starając się nie roześmiać, bo żebra go bolały i w gardle mu zaschło. - Widzę to tak, mamy wybór - ocenił. - Możemy uciec jak sir Robin albo zakraść się z powrotem do ich bazy, schować w jakimś ciemnym kącie w jednym z odrzutowców i odlecieć stąd, zanim się tak odwodnimy, że zostanie z nas tylko pył i kości.

Joe odchrząknął.

- Pić mi się chce.

- Mnie też - zapewnił Kurt.

Joe wziął głęboki oddech. Sięgnął po pistolet, wydobył go z piasku i wręczył Kurtowi.

- Prowadź, Czarny Rycerzu. Wątpię, żebyśmy znaleźli tam Święty Graal, ale zadowolę się jakimkolwiek sposobem na wydostanie się stąd albo dobrze zaopatrzonym stoiskiem z napojami.

ROZDZIAŁ 30

Paul siedział obok Marchettiego i zbierał siły. Gaszenie pożaru wykończyło go psychicznie i fizycznie. Gryzący dym, mdły odór paliwa i gorąco, źle na niego działały. Ale tak naprawdę niepokoiły go tylko błyski lamp stroboskopowych i alarmy na aparatach oddechowych.

- Ile mamy czasu?
- Dziesięć minut - odrzekł Marchetti. - Mniej więcej.
- Paul, słyszysz mnie? - doszedł z głośników w hełmie zdecydowanie miłszy głos.
- Słyszę, Gamay.
- Co się dzieje?
- Pożar ugaszony - odparł. - Halon zrobił swoje. Ale kończy się nam powietrze. Kiedy możecie otworzyć drzwi?
- Zaczekaj - poprosiła.
Cisza trwała kilka sekund, po czym Gamay wróciła na linię.
- Chief mówi, że wlaście tam dość wody, żeby utrzymać pożądaną temperaturę. Spadnie poniżej punktu ponownego zapłonu za około siedem minut.
- Dobra wiadomość - ucieszył się Paul. Pomógł Marchettiemu wstać. - Chodźmy poszukać pańskiego człowieka.
- Tędy. - Marchetti wskazał drogę i ruszył szybko w głąb wielkiego pomieszczenia.
Zaczęli się znów przedzierać przez szczątki. Seria eksplozji zniszczyła połowę maszynowni. Ominęli uszkodzone urządzenia i pokonali całą długość metalowego pokładu. Para unosiła się z niego upiornymi kłębamii, gdy woda zużyta przez nich do stłumienia ognia zaczynała odparowywać. Paliwo cuchnęło wszędzie.
- Tutaj. - Marchetti skierował się w stronę zamkniętych drzwi.
Nie była to wodoszczelna przegroda, ale osmalone stalowe drzwi wyglądały na solidne i szczelne. Nadzieja wstąpiła w Paula.
- To miejsce zostało zaprojektowane jako schronienie - wyjaśnił Marchetti - choć nie miałem pewności, czy wytrzyma coś takiego.
Chwycił za rygiel i natychmiast się cofnął.
- Trochę parzy? - spytał Paul.
Marchetti przytaknął, przygotował się i ponowił próbę. Stęknął, gdy próbował przesunąć dźwignię w dół. Ani drgnęła. Znów ją puścił.

- Drzwi mogły się rozszerzyć od gorąca - stwierdził.

- Pomogę - zaproponował Paul. Zajął pozycję, razem chwycili za dźwignię i natarli na nią z całej siły. Ustąpiła. Paul pchnął drzwi ramieniem i otworzył je. Momentalnie puścił dźwignię, bo oparzył sobie dłonie przez nomeksowe rękawice.

Powietrze wydostało się z pomieszczenia i zmieszało z parą i dymem w maszynowni. W dyżurce panowała całkowita ciemność, rozjaśniało ją tylko światło lamp na hełmach ratowników i błyski ich stroboskopów.

Rozdzielili się. Paul zauważył blisko tylnej ściany leżącego na ziemi mężczyznę w kombinezonie mechanika.

- Tutaj.

Na górze w centrum dowodzenia wszyscy obserwowali główny monitor i błyskające czerwone cyfry, które pokazywały temperaturę w maszynowni. Spadała wolno, aż wreszcie czerwony kolor zmienił się w żółty.

- Prawie już - powiedział chief. - Uzbrajam drzwi.

Gamay przyjęła to z ulgą. Spojrzała na zegar. Sześć minut upłynęło, odkąd włączyły się alarmy sygnalizujące, że Paulowi i Marchettiemu kończy się tlen. Wydawało się, że istnieje margines błędu, ale Gamay nie mogła się czuć bezpieczna, dopóki jej mąż nie wydostanie się z tamtego pomieszczenia i nie znajdzie w jej ramionach.

Chief nacisnął kilka przycisków i popatrzył na tablicę. Cokolwiek zobaczył, zdenerwowało go to. Powtórzył cykl użycia przełączników i zaczął przestawiać jakąś dźwignię tam i z powrotem.

- Coś nie tak?

- Drzwi nie reagują - odparł. - Uzbroiłem je do otwarcia, ale pozostają w trybie zaryglowania.

- Czy pożar mógł je uszkodzić?

- Wątpię - odrzekł. - Są odporne.

Pobawił się przełącznikami jeszcze parę razy, po czym sprawdził coś innego.

- To komputer - oznajmił. - Blokuje polecenie.
- Dlaczego?
Gamay dostrzegła, jak na prawo od niej Leilani wstaje.
- Wiem dlaczego. Otero pomajstrował przy nim.
- Otero jest w celi - przypomniał chief.
- Marchetti mówił, że to geniusz komputerowy - odpowiedziała. - Mógł zaprogramować coś zawczasu, na wypadek gdyby został złapany, na wypadek gdyby potrzebował czegoś, co nie pozwoliłoby Marchettiemu dojść do siebie. Tak jak zrobił z robotami.
Chief dalej próbował obejść kod, który blokował polecenie.
- To zdecydowanie komputer. Cała reszta działa prawidłowo.
Gamay poczuła się skołowana. Nie rozumiała, jak ten facet może ich dręczyć z celi.
- Trzeba zmusić go do odkręcenia tego, co nakombinował - orzekła Leilani. - Przystawić mu pistolet do głowy, jeśli odmówi.
Gamay zastanawiała się gorączkowo, co zrobić. Nagle, kiedy myślała o swoim mężu uwięzionym z resztką powietrza w wypełnionej toksycznymi oparami maszynowni, straciła zimną krew i przekonanie, że nie należy stosować przymusu.
- Gamay - zaapelowała Leilani. - Ja już straciłam kogoś przez tych ludzi. Ty nie musisz.
Na monitorze wskaźnik temperatury zaświecił się na zielono i zegar zaczął odliczać sekundy siódmej minuty. Paul miał zapas powietrza na trzy minuty.
- Dobrze - zgodziła się Gamay. - Ale żadnej broni.
- Rocco, zastąp mnie, pójdę z nimi - zwrócił się chief do jednego ze swoich ludzi.
Leilani otworzyła drzwi. Gamay wyszła i skierowała się do windy. Nie miała pojęcia, co robi, kiedy zjedzie na dół i wejdzie do celi.

Na dole w maszynowni Paul dotarł do leżącego mężczyzny. Ukucnął przy nim i odwrócił go. Załogant nie zareagował. Paul zdjął rękawice i sprawdził mu tętno. Marchetti dołączył do niego.

- I co?

Paul trzymał rękę w nadziei, że coś wyczuje.

- Przykro mi.

- Niech to szlag - zaklął Marchetti. - Wszystko na próżno.

Paul czuł to samo. Wtem w błyskach swojej lampy stroboskopowej dostrzegł coś z boku szyi mężczyzny. Przetoczył załoganta o pół obrotu i odsunął jego ciemnobrązowe włosy.

- Nie całkiem na próżno - odrzekł i skierował światło na ciemny siniak na karku mężczyzny. Dotknął kregów szyjnych i nie wyczuł sztywności.

- Co jest?

Paul sięgnął do radia Marchettiego, wyłączył je, po czym zrobił to samo ze swoim. Marchetti wydawał się zdezorientowany.

Wiedząc, że nikt ich nie słyszy, Paul mógł swobodnie mówić. Normalnie nie podejmował takich kroków, zachowywał spokój i zdrowy rozsądek, gdy inni wykrzykiwali teorie spiskowe i twierdzili, że niebo się wali, ale nie umiał w inny sposób wyjaśnić tego, co zaszło.

Spojrzał Marchettiemu w oczy i odezwał się tak głośno, żeby tamten usłyszał go przez dwie maski.

- Ten człowiek nie udusił się dymem ani nie umarł z gorąca. Ma złamany kark.

- Złamany?

Paul przytaknął.

- Został zamordowany, panie Marchetti. Ma pan sabotażystę na pokładzie.

Marchetti wyglądał na zaszokowanego.

- To jedyne wytłumaczenie pożaru i awarii systemów. Po nieważ pan jest tu ze mną, przypuszczam, że to nie pan. Ale to może być ktokolwiek. Ktoś z załogi lub nawet z pasażerów na gapę. Prawdopodobnie ktoś powiązany skrycie z Oterem albo Matsonem. Proponuję, żebyśmy zatrzymali to dla siebie, dopóki nie dojdziemy, kto to może być.

Marchetti popatrzył na martwego załoganta, a potem znów na Paula. Skinął głową.

Paul włączył z powrotem radio, Marchetti poszedł w jego ślady. Paul podniósł martwego mężczyznę.

- Idziemy do głównych drzwi - poinformował mostek.

Na dolnym pokładzie Gamay, Leilani i chief dotarli do aresztu. Chief otworzył drzwi celi swoimi kluczami. Gamay weszła do środka. Otero podniósł na nią wzrok z miejsca, gdzie siedział. Jego ciemne oczy miały ponury wyraz.

- Wiemy, że majstrowałeś przy systemie komputerowym - zaczęła. - Mój mąż jest uwięziony w maszynowni po ugaszeniu pożaru. Musisz odblokować drzwi, żeby mógł wyjść.

- Dlaczego miałbym to zrobić?

- Bo jeśli on umrze, oskarżą cię o morderstwo, co pogorszy twoją i tak już złą sytuację.

Otero pokiwał lekko głową, jakby rozważał wszystkie za i przeciw jej żądania.

- Niech cię szlag! - krzyknęła Gamay, dała krok do przodu i spoliczkowała go. - Są tu ludzie, którzy by cię zabili za to, co dotąd zrobiłeś. Powstrzymałam ich!

Wyrwała chiefowi laptop z rąk i podsunęła go programiście.

Otero spojrzął na komputer, ale nie zareagował.

- Mówiłam ci, że to na nic - odezwała się Leilani.

Z gniewną miną chief wyminął Leilani i stanął obok Gamay.

- Spróbowała pani po swojemu, teraz ja się tym zajmę. - Pochylił się nad Oterem. - Otwórz te cholerne drzwi, bo inaczej dam ci taki wycisk, że zapomnisz, jak się nazywasz.

Otero cofnął się kawałek, ale wydał się Gamay mniej przestraszony, niż powinien, biorąc pod uwagę to, jak zbudowany był główny mechanik Marchettiego. Po chwili zrozumiała dlaczego.

Za nimi rozległo się charakterystyczne kliknięcie odbezpieczonego pistoletu, serce jej zamarło.

- Nikt dziś nie dostanie wycisku - oświadczyła Leilani zza ich pleców.

Gamay odwróciła się ostrożnie. Leilani trzymała inną broń niż tamta, którą zabrał jej Kurt.

- Dzięki, że wyszliście przede mnie - odezwała się. - Za stanawiałam się, jak to zrobić, żeby mieć was oboje na muszce.

Paul i Marchetti czekali w maszynowni przy głównych drzwiach. Czas uciekał.

- Pół minuty - oznajmił Marchetti. - Mniej więcej.

Paul starał się kontrolować oddech. Wciągał do płuc mnóstwo tlenu podczas gaszenia pożaru i miał nadzieję, że jeśli teraz zachowa spokój, oszczędzi resztki mieszanki do oddychania w butli.

- Lada chwila - powiedział głośno Marchetti.

Paula niepokoiło, że mostek się nie odzywa od kilku minut. Końcówka powietrza była stęchła. Odruchowo chciał zdjąć maskę, jakby go dusiła. Oczywiście nie zrobił tego, bo toksyczne opary były dużo gorsze niż stęchłe powietrze. Ale to co miał w zbiornikach, mogło za moment przestać być powietrzem.

- Jesteście tam?! - krzyknął Marchetti. Zaczął walić w drzwi.

- Niech pan oszczędza powietrze - ostrzegł Paul.

- Coś jest nie tak - odrzekł Marchetti. Łomotał pięścią w drzwi, dopóki światło lampki ostrzegawczej na bocznym panelu nie zmieniło barwy z czerwonej na żółtą. Wokół nich rozległ się świst wentylatorów i szczęk otwierających się wywietrzników.

- A może nie - dodał Marchetti, wyraźnie zadowolony.

Dym, opary i para zaczęły się unosić do góry, wysysane z pomieszczenia przez wentylatory, i wskaźnik przy drzwiach zaświecił się na zielono.

Moment później klamka się obróciła i wąż uchylił się z sykem uchodzącego z maszynowni gorącego powietrza.

Ale zaraz radość ustąpiła uczuciu miazdzącej porażki. Za progiem Gamay i siedmiu członków załogi, łącznie z chiefem, klęczeli z rękami za głową. Tuż za nimi, trzymając karabiny i krótkolufowe pistolety maszynowe o wyglądzie uzi, stali dwaj załoganci, Otero, Matson i Leilani Tanner.

- Chyba już wiemy, kto jest sabotażystą - powiedział Paul. - Nie jesteś siostrą Kima, prawda?

- Mam na imię Zarrina - przedstawiła się. - Róbcie, co każe, to nie będę musiała was zabić.

ROZDZIAŁ 31

Kurt znów leżał płasko na piasku i obserwował w zapadającym zmierzchu dno wyschlęgo jeziora na pustyni. Niecały kilometr od nich stały dwa dziwnie wyglądające odrzutowce, które wcześniej przeleciały nad nimi, i trzecia maszyna tego samego typu, której dotąd nie widzieli. Wszystkie trzy samoloty zajmowały miejsca po prawej stronie prowizorycznego pasa startowego.

Kurt wyjął z kieszeni na piersi małą lornetkę zabraną martwemu strażnikowi, który spoczywał na dnie studni. Oczyszczył soczewki z piasku i uniósł je do oczu.

- Miałeś rację - stwierdził. - To niezupełnie JFK. Bardziej Baza Sił Powietrznych Edwards w Kalifornii.

- Dno wyschlęgo jeziora jako pas startowy - odparł Joe. - Ale co oni tam robią, na Boga?

Kurt patrzył, jak ludzie Jinna wysypują się z dziur w ziemi niczym rozdrażnione mrówki. Otoczyli chaotycznie trzy samoloty. W pobliżu czekały ciężarówki z pracującymi silnikami dieslowskimi, czarny dym unosił się z ich skierowanych w górę wydechów. Trzy wózki widłowe były załadowane sprzętem i cysterna wyjeżdżała w ślimaczym tempie z tunelu w skalnej ścianie.

Porównanie z mrowiskiem, które zrobił Joe, stawało się coraz bardziej trafne z każdą chwilą.

- Muszą mieć wszędzie pochylnie i tunele - ocenił Kurt, przyglądając się, jak ludzie wyłaniają się jakby znikąd i równie szybko znikają.

- Widzisz może, co wnoszą? - zapytał Joe.

Kurt zobaczył, jak szerokie pochylnie pod ogonami samolotów opuszczają się, ale nie dostrzegł niczego w ładowniach.

- To nie dostawa - odrzekł. - Coś stąd zabierają. Piloci rozmawiają z kimś w rodzaju nadzorca ładunku.

- Więc to dzień przeprowadzki.

- Albo Dzień D - podsunął Kurt.

- Uda ci się odczytać numery na ogonach samolotów? - spytał Joe. - Mogłyby się nam przydać.

W szybko gasnącym świetle dnia Kurt skierował lornetkę na najbliższy odrzutowiec i zmrużył oczy.

- Białe ogony - oznajmił. - Bez żadnych oznaczeń. Ale jestem całkiem pewien, że to rosyjskie maszyny.

- Potrafisz określić typ?

- Wyglądają na zmodyfikowane. Mają sześciokołowe podwozia jak An-70 i wielkie pochylnie ogonowe jak C-130 lub inny wojskowy transportowiec, ale kształt czegoś innego, prawie jak... - Kurt nagle olśniło. Dwa lata temu widział, jak samolot o takim dziwnym kształcie gasił pożary w Portugalii. - To zmodyfikowane altairy. Beriewy Be-200. Latające łodzie z napędem turbowentylatorowym. Mogą lądować na wodzie, nabierać tysiące litrów, startować z powrotem i zrzucić ją na płonące tereny.

- Do czego byłby Jinnowi potrzebny samolot pożarniczy, który może lądować na wodzie? - Joe nie ukrywał zdumienia. - Tutaj niewiele może się zapalić i nie ma dużo wody do nabierania i gaszenia pożaru, gdyby wybuchł.

Kurt obserwował, jak cysterna podjeżdża do pierwszego odrzutowca i zrozumiał, o co chodzi.

- W ten sposób transportują nanoboty do morza.

- W zbiornikach wody - uściślił Joe.

- Właśnie podłączyli cysternę do samolotu, ale jeśli ktoś nie ulokował wlewu paliwa w złym miejscu, to nie zatankują jet A ani JP-4.

- Więc nie zmywają się stąd ani nie uciekają - stwierdził

Joe. - A co z modelem tamy?

Kurt wręczył mu lornetkę.

- Spójrz obok rzędu ciężarówek.

Joe uniósł lornetkę do oczu.

- Widzę żółte beczki na paletach.

- Wyglądają znajomo?

Joe skinął głową. Popatrzył na odrzutowce.

- Nie ładują ich do samolotów. Chyba wkładają broń i amunicję do najbliższego samolotu i wydaje mi się, że widzę parę łodzi pneumatycznych. Zodiaków, jakich używają komandosi SEAL.

- Nasi przyjaciele najwyraźniej wybierają się dokądś, gdzie jest trochę bardziej mokro niż tutaj - domyślił się Kurt. - Co nie jest złym pomysłem.

Joe oddał mu lornetkę.

- Spróbuj wypatrzeć jakąś fontannę.

- Przykro mi, partnerze - zaczął Kurt - ale chyba właśnie wydostaliśmy się z jedynej fontanny w tej okolicy. I jest ona nieczynna.

- Jak w centrum handlowym - skwitował Joe, usiłując wykaszleć kurz i piasek, który wdychali. Kurt starał się nie myśleć o rosnącym pragnieniu i uczuciu suchości w gardle.

- Zastanawiam się, czy nie próbujemy połączyć niewłaściwych informacji. Może zniszczony przez nich model tamy nie miał nic wspólnego z mapą prądów, którą widziałeś w kreślarni, i tym, co się dzieje w Oceanie Indyjskim.

- Dwa cele? - spytał Joe.

Kurt przytaknął.

- Dwa środki transportu. Dwa różne sposoby przerzutu nabołów. Może prowadzą dwie oddzielne operacje.

- Nie doceniamy naszego przyjaciela maniaka?

- Możliwe - przyznał Kurt.

- Co chcesz zrobić?

- Najpierw miałem pomysł, żeby się załapać na lot - odpowiedział Kurt. - Ale teraz okazuje się, że możemy sobie wybrać środek transportu. Co proponujesz samolot czy ciężarówkę?

- Ciężarówkę.

- Naprawdę? - zapytał Kurt, zaskoczony. - Samolot jest szybszy. I obaj coś wiemy o lataniu.

- Nie tymi maszynami.

Kurt nie ustępował.

- Wszystkie są takie same.

Joe zacisnął wargi.

- Zastanawiałeś się kiedyś, w ile tarapatów się pakujemy przez ten twój wieczny optymizm? Nie wszystkie samoloty są takie same. A nawet gdyby były, to dokąd byś poleciał po opłaceniu jednej z tych maszyn? To Bliski Wschód. Samoloty, które przekraczają tu granice bez pozwolenia, nie utrzymują się długo w powietrzu. Saudyjczycy, Izraelczycy, Siódma Flota... Wszyscy mogliby nas zestrzelić, zanim zdążylibyśmy wyjaśnić, dlaczego naruszyliśmy strefę zakazu lotów.

Kurt, niechętnie, musiał przyznać mu rację.

- Poza tym - dodał Joe - te samoloty mogą zmierzać do gorszego miejsca niż to. A ciężarówki muszą się trzymać utartego szlaku i cywilizacji. Mogą dojechać tylko tam, dokąd prowadzi jakaś droga. Proponuję się schować w którejś.

- Z tyłu? - spytał Kurt. - Z dziesięcioma miliardami głodnych maszynek?

Joe wziął od niego lornetkę i skierował ją na beczki obok rzędu ciężarówek z plandekami.

- Ludzie Jinna trzymają się z daleka od pojemników. Pewnie wiedzą, co jest w środku. Tym lepiej dla nas. Nie będą się zbliżać, co zmniejszy ryzyko, że nas wykryją i wrzucą z powrotem do studni.

Kurt milczał.

- I - ciągnął Joe, czując, że zwycięstwo jest blisko - jeśli nas odkryją w ciężarówce, to możemy wyskoczyć i uciec. A raczej trudno to zrobić na wysokości dziesięciu tysięcy metrów.

Kurt nie pamiętał, żeby Joe kiedykolwiek użył takiego mocnego argumentu.

- Przekonałeś mnie.

- Naprawdę?

- Kiedy masz rację, to masz - odrzekł Kurt, otrzepał mundur z kurzu i wygładził go. - A teraz ją masz, przyjacielu.

Joe wręczył mu z powrotem lornetkę. Wyglądał na bardzo zadowolonego z siebie. Postarał się, żeby jego mundur też się lepiej prezentował.

- Idziemy?

Kurt wepchnął lornetkę do kieszeni na piersi.

- Idziemy.

Zrobiło się ciemno i bezksiężycowa noc zapadła nad pustynią, załadunek i obsługa rosyjskich odrzutowców trwały nieprzerwanie. Żeby zapewnić trochę światła, włączono reflektory kilku zaparkowanych jeepów i humvee.

Ta dziwna organizacja ułatwiła Kurtowi i Joemu sprawę. Bez trudu podkradli się do ciężarówek od tyłu, gdyż mężczyźni w oświetlonej strefie prawie nic nie widzieli w ciemności na pustyni.

Kiedy dotarli do celu, Kurt i Joe naciągnęli kefije na głowy i zasłonili nimi twarze. Ich brudne mundury, poza tym, że wyglądały niechlujnie, nie różniły się od strojów mężczyzn dokonujących załadunku.

- Złap coś - szepnął Joe i podniósł skrzynkę ze sprzętem. - Człowiek nie wzbudza podejrzeń, kiedy coś niesie i szybko idzie.

Kurt posłuchał jego rady i obaj wmaszerowali w sam środek krzątający bez zwracania na siebie niczyjej uwagi. Spróbowali się zorientować, gdzie są, starając się nie wpaść nikomu w oko.

Kurt dostrzegł rząd żółtych beczek. Tylko tuzin pozostał z jakichś sześćdziesięciu.

Wskazał je i skierowali się w tamtą stronę. Gdy się zbliżyli, ktoś zaczął krzyczeć do nich po arabsku. Kurt się odwrócił i zobaczył brodatego mężczyznę o imieniu Sabah, który stał obok

rzędu ciężarówek. Kurt zrozumiał kilka słów, coś o leniwych robotnikach.

Sabah wykonał wskazujący gest, znów krzyknął i zamachał energicznie rękami. Wydawał się pokazywać wózek widłowy.

Kurt uniósł rękę na znak, że wszystko jasne, i ruszył w stronę pojazdu.

- Najwyraźniej chce, żebyśmy go użyli.

Joe dołączył do Kurta.

- Umiesz prowadzić coś takiego?

- Raz czy dwa widziałem, jak to się robi - odparł Kurt. - To chyba nietrudne?

Joe się wzdrygnął, ale podszedł z Kurtem do szaro-pomarańczowego wózka. Stał z boku, kiedy przyjaciel wspinał się na czteroosiową maszynę i próbował się zorientować w przyrządach sterowniczych.

Sabah znów zaczął krzyczeć.

- Uruchom przynajmniej silnik - szepnął Joe.

Kurt znalazł kluczyk, przekręcił go i motor ożył.

- Wskakuj - polecił.

Joe wdrapał się na bok wózka i złapał się czegoś mocno jak strażak na dawnym wozie z drabiną.

Kurt zlokalizował sprzęgło i dźwignię skrzyni biegów. Pojazd miał trzy biegi: niski, wysoki i wsteczny. Mężczyzna wcisnął pedał, wrzucił jedynkę i dodał trochę gazu.

Nic.

- Stoimy - szepnął Joe.

- Wiem.

Kurt popuścił sprzęgło i zwiększył obroty silnika. Duża maszyna skoczyła do przodu jak auto w rękach kogoś, kto trzy razy oblał egzamin na prawo jazdy.

- Spokojnie - ostrzegł Joe.

- To nie było spokojnie? - zapytał Kurt.

Sabah gestykulował niecierpliwie i kierował ich ku żółtym beczkom na paletach.

Kurt skręcił w tamtą stronę. Na wprost inny wózek widłowy podnosił paletę z żółtą beczką. Gdy znalazła się w górze, drugi robotnik przymocował ją do pojazdu stalową liną. Najwyraźniej nikt nie chciał, żeby zawartość się wylała.

Wózek się cofnął i odjechał z robotnikiem wciąż trzymającym ładunek z przodu.

- To twoje zadanie - powiedział Kurt.
- Super.
- Lepiej postaraj się o linę dla nas.

Joe wypatrzył jedną na dachu klatki bezpieczeństwa ich pojazdu. Odczepił ją i zeskoczył na ziemię.

Kiedy szedł do żółtych beczek, Kurt zmagął się z dużą maszyną. Wyprostował koła i pojechał naprzód. Chwycił za dźwignię wideł, żeby je opuścić, ale się uniosły i omal nie przedziurawił beczki.

Nacisnął hamulec i wózek stanął.

Kiedy Kurt opuścił widły, zobaczył Joego. Miał wytrzeszczone oczy. Kurt wcale mu się nie dziwił. Gdy widły były już na właściwej wysokości i pod odpowiednim kątem, Kurt zbliżył się do palety i ją podniósł.

Joe podszedł, przymocował starannie beczkę i pokazał Kurtowi uniesiony kciuk.

Z wielką ostrożnością Kurt cofnął się i skręcił. Jadąc znów do przodu, stwierdził, że wózek jest dużo lepiej wyważony z Joem i beczką na widłach.

Podążał wolno w stronę rzędu ciężarówek po śladach pierwszego wózka widłowego.

Samochodów ciężarowych było pięć. Miały platformy kryte brezentowymi plandekami na metalowych żebrach. Wyglądało na to, że pierwszy jest pełny i gotowy do drogi. Pozostałe jeszcze ładowano.

Sabah wskazał ostatnią ciężarówkę w rzędzie i Kurt skierował się do niej. Dojechał do jej tylnego zderzaka i uniósł widły. Kiedy zrównały się z platformą, Joe odczepił beczkę i wsunął całą paletę w głąb ciężarówki po rolkach na platformie.

Ustawił beczkę, przymocował ją jak inne i wrócił na wózek widłowy.

- Zdajesz sobie sprawę, że to mogłoby zostać uznane za współpracę z wrogiem i udzielanie mu pomocy? - spytał, kiedy Kurt skręcił z powrotem do beczek.

- Możemy nie umieszczać tego w raporcie - odparł Kurt. - Drobne przeoczenie.

- Doskonały pomysł. To mogłoby się zdarzyć każdemu.

- Właśnie - przytaknął Kurt. - Jak już załadujemy ostatnią beczkę, zostaniesz na ciężarówce. Ja zaparkuję to cholerstwo i dołączę do ciebie, kiedy nikt nie będzie patrzył.

Wydawało się, że to dobry plan i powinien się udać. Do chwili, gdy byli prawie gotowi do wprowadzenia go w życie.

Kiedy czekali, żeby zabrać ostatnią beczkę, Jinn i kilku jego ludzi wyszli z tunelu.

Sabah podniósł rękę jak gliniarz z drogówki i wszelki ruch ustał, gdy poszedł porozmawiać ze swoim panem.

Kurt wyłączył silnik w nadziei, że coś podsłucha.

Następna grupa mężczyzn dołączyła do Jinna. Młoda kobieta, która według Kurta mogła być prawdziwą Leilani, przyszła z nimi.

- Zabierasz ją z nami? - zapytał Sabah.

- Owszem - przytaknął Jinn. - Tutaj już nie jest bezpiecznie.

- Skontaktuję się z Xhou - zaproponował Sabah. - Chińczycy są podstępni, ale zawsze wolą zachować twarz. Dlatego przysłał tu Mustafę. Teraz podwoi wysiłki i zorganizuje więcej pieniędzy. Nie będzie robił problemów, dopóki nie dowie się o swojej porażce. A zanim to nastąpi, zdążymy opanować sytuację.

- Nie Chińczycy mnie martwią - uznał Jinn. - Amerykanin miał rację. Jego rząd zareaguje agresywnie. Ich już nie obchodzą granice. Nie jesteśmy tu bezpieczni.

- Zobaczymy - odpowiedział Sabah.

Jinn nie ustępował.

- Jest mi potrzebna nowa kwatera główna w miejscu, gdzie nikt nie będzie podejrzewał jej istnienia. Muszę podjąć działania, których nie mogę prowadzić stąd, żeby zrealizować nasz plan.

Wskazał kobietę.

- Trzymaj ją na uboczu do zakończenia załadunku. Potem wsadź ją do trzeciego samolotu, z dala od mężczyzn. Nie chcę, żeby byli blisko niej.

- Trzeba jej pilnować - zauważył Sabah.

- Złamaliśmy jej wolę - powiedział Jinn. - Wkrótce zrobi, co jej każę. Ale jeśli twoim zdaniem trzeba ją mieć na oku, przydziel do tego dwóch strażników, nie więcej. I ostrzeż ich, że jeśli ją tkną, to spalę ich na stosie.

Sabah skinął głową. Wybrał dwóch mężczyzn i kazał im zabrać Leilani do jednego z czekających transportowców. Kiedy już tam wlekli, Kurt i Joe wymienili spojrzenia.

Kurt znów uruchomił silnik i skręcił w milczeniu ku ostatnim żółtym beczkom. Podniósł jedną sprawnie, teraz już zachowując się jak stary wyga. Joe przymocował ładunek i wrócił na wózek widłowy.

- Wiem, o czym myślisz.

- Nie próbuj mnie od tego odwieść.

- W porządku - zgodził się Joe. - Pomóc ci?

- Chętnie bym skorzystał - odrzekł Kurt. - Ale ktoś musi ustalić, dokąd jada te beczki, i ostrzec tego, dla kogo jest przeznaczona ich śmiertelna zawartość. W ten sposób nie postawimy wszystkiego na jedną kartę.

Dotarli do ciężarówki. Kurt złapał za dźwignię wideł i zaczął je unosić.

- Jak tylko wrócisz do cywilizacji, skontaktuj się z Dirkiem. Trzeba zawiadomić Paula i Gamay, że na Aqua-Terze jest kret.

Joe skinął głową.

- Po uwolnieniu dziewczyny natychmiast się wynoś z tego gniazda szerszeni. Nie porywaj się z motyką na słońce.

Beczka zrównała się z platformą ciężarówki i rolkami.

- Gniazda szerszeni? Chyba się umówiliśmy, że to jaskinia lwa?

- Lwy nie latają - skostatował Joe. - W powietrzu będziesz w gnieździe szerszeni.

- Teraz kumam.

Patrzyli przez chwilę na siebie, dwaj przyjaciele, którzy ratowali się wzajemnie z niezliczonych opresji. Instynkt podpowiadał im, że nie powinni się rozdzielać. „Walczyć razem, przetrwać razem”, mówili często. Ale w tym wypadku oznaczałoby to pozostawienie młodej kobiety straszemu losowi lub zmniejszenie o połowę ich szans na zaalarmowanie świata i przyjaciół o zbliżającym się niebezpieczeństwie. Nie mogli tak ryzykować.

- Jesteś zdecydowany? - zapytał Joe.

- Ty idziesz dołem, a ja górą - odparł Kurt. - Dotrę do cywilizacji przed tobą.

- Zdefiniuj cywilizację - poprosił Joe, odczepił beczkę i wepchnął ją do środka.

- Miejsce, gdzie nikt nie próbuje cię zabić i gdzie możesz dostać zimną jak lód coca-cole, jeśli masz na nią ochotę. Kto ostatni się tam zamelduje, stawia kolację w Citronelle całemu zespołowi.

Joe skinął głową, zapewne myśląc o menu i atmosferze renomowanej waszyngtońskiej restauracji.

- Wchodzę w to - oświadczył i przymocował beczkę.

Kurt poczuł mieszaninę niepokoju i ulgi. Ciężarówki nie były przystosowane do podróży na przełaj przez pustynię, najwyraźniej miały jeździć po drogach. I nawet w takim kraju jak Jemen musiały wkrótce dotrzeć do jakiegoś cywilizowanego rejonu. Przy odrobinie szczęścia Joe powinien ugasić pragnienie i znaleźć jakiś telefon przed świtem. Kurt wiedział, że jego najbliższa przyszłość jest mniej pewna.

Joe chwycił połą plandeki z tyłu ciężarówki i zerknął na Kurta.

- *Vaya con Dios*, przyjacielu.

- *Vaya con Dios* - odpowiedział Kurt.

Plandeka opadła i Joe zniknął. Kurt cofnął wózek i zawrócił, nie obejrzawszy się za siebie.

Teraz musiał tylko ustalić, w którym samolocie jest Leilani, i zakraść się niepostrzeżenie na pokład.

ROZDZIAŁ 32

Joe Zavala kulił się na przednim krańcu platformy, między żółtymi beczkami i jej czołową ścianą. Nikt go nie dostrzegł. Poza tym, że ktoś uniósł plandekę na końcu ciężarówki, żeby szybko policzyć beczki, nikt niczego nie sprawdził. Liczba się zgadzała, więc opuszczono plandekę i przywiązano ją mocno. Drzwi z przodu się otworzyły, potem zatrzasnęły i kierowca wrzucił bieg. Wkrótce jechali przez pustynię.

Od czasu do czasu Joe wyglądał ukradkiem na zewnątrz. Widział tylko ciemność, piasek i resztę konwoju. Był ciekaw, dokąd zmierzają.

Po czterech godzinach zaczęli wreszcie zwalniać.

- Mam nadzieję, że zrobimy postój - mruknął pod nosem. Wyrzwał spod plandeki, ale nie zobaczył ani śladu cywilizacji. Ciężarówka w końcu się zatrzymała, choć silnik nadal pracował.

Joe zastanawiał się, czy nie uciec. Nie brał pod uwagę skoku z ciężarówki podczas jazdy przez pustynię, bo nie miał pojęcia, gdzie są, i bez wody nie chciał poruszać się na piechotę. Przy najmniej dopóki się nie zorientuje, gdzie jest i jak daleko ma do jakiegoś zamieszkanego miejsca.

Rozwahał ucieczkę teraz, ale miał mały problem. Jego ciężarówka jakimś cudem znalazła się na czele konwoju. Pozostałe stały za nią z włączonymi reflektorami. Gdyby próbował się wymknąć, to jakby przejść przez więzienny mur w biały dzień. Musiał poczekać i liczyć na to, że trafi się lepsza okazja.

Z ciemności dobiegły go jakieś krzyki i rozkazy. Duża ciężarówka szarpnęła, gdy kierowca ponownie wrzucił bieg, i znów zaczęła się toczyć naprzód. Przejechała przez coś, jakby przez krawężnik, i platforma się zakotłosała, kiedy koła każdej osi pokonywały przeszkodę. Żółte beczki zachwiały się z boku na bok i Joe przytrzymał najbliższą z nich.

- Spokojnie na tych progach zwalniających - szepnął.

Potem przód ciężarówki się obniżył, jakby zjeżdżali z pochyl-
ni. Beczki przesunęły się do przodu w mocowaniach. Niepokój
Joego narastał.

Wypoziomowali po najwyżej piętnastu metrach i podążyli
dalej po dużo gładszym podłożu. W końcu znów stanęli. Kie-
rowca i pasażer wysiedli i zatrzasnęli drzwi za sobą. Światła
drugiej ciężarówki zbliżyły się i ich blask przeniknął przez plan-
dekę.

Gdy Joe słuchał warkotu silnika i okrzyków, złowił uchem
echo. Wyczuł równą powierzchnię pod nimi po podskakiwaniu
przez długi czas na pustynnej drodze. I zorientował się, że silnik
ciężarówki umilkł po raz pierwszy od początku podróży.

Jestem w jakimś magazynie, pomyślał.

To oznaczało cywilizację - komputery, linie telefoniczne i bie-
żącą wodę. Może nawet automat z coca-colą w jakimś pomiesz-
czeniu wypoczynkowym. Uśmiech pojawił się na jego twarzy.

Kiedy reflektory następnej ciężarówki zgasły tuż za tylnym
zderzakiem pierwszej, nabrał pewności, że się nie myli. Musiał
tylko zaczekać, aż wszystkie ciężarówki zostaną zaparkowane
i zamknięte na noc, a potem spróbować wymknąć się niepo-
strzeżenie.

Woń spalin z diesla narastała, gdy pozostałe ciężarówki ma-
newrowały tam i z powrotem w najwyraźniej dość ciasnej prze-
strzeni. W końcu ostatni silnik ucichł. Rozległy się głosy.

- No dalej - szepnął Joe - wychodźcie stąd. Pora na piwo
po ciężkim dniu pracy.

Głosy rozbrzmiewały w ciemności jeszcze przez jakiś czas, ale
oddalały się powoli. Dał się słyszeć odgłos zasuwanym ciężkich
drzwi i zapadła cisza. Joe prawdopodobnie został sam.

Wolał być ostrożny, więc odczekał, zanim się ruszył. Po kil-
ku minutach uznał, że jest już bezpiecznie. Jeśli postawiono
strażników, to zapewne przy wejściu, a nie w środku między
samochodami.

Joe zaczął się przesuwac między beczkami ku tyłowi platformy.

Kurt powinien być tu ze mną, pomyślał. Za kilka minut będę wolny i zadzwonię do NUMA. Stamtąd opis beriewów trafi do wojskowych, satelity zidentyfikują lecące samoloty i siły specjalne wejdą do akcji. Leilani Tanner będzie miała o wiele większe szanse na uratowanie, jeśli zajmą się tym oni, a nie Kurt, uzbrojony w pistolet kaliber 9 milimetrów, który zabrał strażnikowi. W ten sposób to ja uratuję oboje.

Joe był z tego zadowolony. Nie mógł się doczekać tej satysfakcji, kiedy Kurt zapłaci rachunek w Citronelle i przyzna, że on go uratował.

Dotarł do tylnej klapy ciężarówki. Uniósł plandekę i wyjrzał. W magazynie panowała całkowita ciemność. Widział tylko przód drugiej ciężarówki przyciśnięty do tylnego zderzaka tej, na której podróżował.

Udane parkowanie.

Nasłuchiwał przez chwilę. Jakiś odgłos. Brzmiał jak odległe dudnienie. Prawie jak inna ciężarówka za ścianami. Albo nawet lokomotywa spalinowa na czele pociągu towarowego gdzieś daleko. Pociągi oznaczają tory, a tory dokądś prowadzą. Był coraz bardziej podekscytowany.

Odwiazał połą plandeki, zsunął nogi poza krawędź platformy i opuścił się na dół. Kiedy stanął bokiem, żeby się zmieścić między dwiema ciężarówkami, doznał dziwnego uczucia, jakby zawrotu głowy. Może siedział za długo. Może odwodnienie wpłynęło na jego poczucie równowagi.

Położył rękę na masce drugiej ciężarówki, przytrzymał się i puścił. Wsunął się w przestrzeń między dwoma rzędami pojazdów. Ciężarówki stały tak blisko siebie, że miały złożone lusterka.

Mając akurat tyle miejsca, by przejść, Joe skierował się tam, gdzie kończył się rząd samochodów i, jak przypuszczał, były drzwi, przez które ciężarówki wjechały do środka.

Znów dostał zawrotów głowy i kolana omal się pod nim nie ugięły. Zaczął się obawiać, że część nanobotów uwolniła się z beczek, wniknęła do jego uszu i dobrała do błędnika. Na tym

polega problem z czymś tak małym, że go nie widać. Nigdy nie wiadomo, gdzie to coś jest.

- Patyczek higieniczny - mruknął, grzebiąc w uchu. - Królestwo za patyczek higieniczny.

Odzyskał równowagę i zrobił kolejny krok. Tym razem doznanie powróciło szybciej, wyraźniej i nieco łagodniej. Poczuł je w nogach i szyi, jakby coś popychało go w przód i w tył. Usłyszał skrzypnięcie.

Zatrzymał się na tyle nieruchomo, na ile mógł. Uczucie znów się powtórzyło. Nie wydawało mu się. Nie kręciło mu się w głowie. To nie nanoboty pozbawiały go równowagi. To doznanie było rzeczywiste i jakże znajome.

Serce zaczęło mu walić. Ruszył naprzód. Przeciskał się między ciężarówkami i ślizgał na metalowej podłodze. Zanim dotarł do stalowych drzwi na końcu rzędów samochodów, zorientował się, że podłoga porusza się pod jego stopami powolnym miarowym rytmem, płynnie i stale, w górę i w dół.

Dźwięk syreny okrętowej gdzieś wysoko potwierdził to, co Joe już wiedział.

Był na statku, nie w magazynie. Dziwne wrażenie, którego doznawał, powodował ruch pokładu pod stopami, kołysanie jakiegoś frachtowca, jak mógł się jedynie domyślać, mijającego pod kątem falochron i wychodzącego w morze.

Pokład się unosił i opadał, ale również przechylał. Niezbyt mocno, tylko na tyle, że rzucał go w ciemność, ale ruch nie pozostawiał już żadnych wątpliwości.

Joe znalazł klamkę drzwi. Okazały się szczelnie zaryglowane. Przypomniał sobie, jak przekonywał Kurta, że ciężarówki mogą dojechać tylko tam, dokąd prowadzi jakaś droga.

Jasne, pomyślał. Chyba że załaduje się je na statek. Wtedy mogą trafić prawie wszędzie.

ROZDZIAŁ 33

Kurt Austin był uwięziony w toalecie. Zakradł się na pokład samolotu z największą liczbą sprzętu, wokół którego kręciło się najmniej ludzi Jinna, i ukrył w małej ubikacji blisko przodu ładowni. Wypił tuzin podwójnych garści wody z kranu i stanął na sedesie, żeby nikt nie zobaczył jego stóp.

Czekał i nasłuchiwał za zaciągniętą zasłoną. Na pokład ładowano jakieś skrzynie i wielkie stopy sprzętu. Usłyszał przekleństwa, gdy ktoś upuścił coś ciężkiego, a potem głosy pilotów, kiedy wspięli się po drabince i weszli do kokpitu.

W końcu padły opryskliwe rozkazy. W odpowiedzi rozległ się kobiecy głos mówiący po angielsku z amerykańskim akcentem:

- Okej, okej. Przestańcie mnie popychać.

Kurt był pewien, że to kobieta z korytarza, którą uważał za siostrę Kima. Przynajmniej wybrał właściwy samolot.

Kilka minut później odrzutowiec ruszył. Kurt trzymał się kurczowo i rozpaczliwie starał nie zsunąć na podłogę. Rosyjska latająca łódź transportowa pokołowała na pas startowy, gdzie jej silniki osiągnęły pełną moc, i pomknęła po zaskakująco nierównym dnie jeziora. Rozbieg wydawał się trwać całą wieczność i Kurt odetchnął z ulgą, gdy maszyna wreszcie wzbija się w powietrze.

Sądząc po wolnym tempie wznoszenia i długim toczeniu po ziemi, musiała być załadowana do maksimum i mieć pełne zbiorniki paliwa, co oznaczało daleką podróż.

Pod pewnym względem było to Kurtowi na rękę. Wcześniej czy później ktoś będzie musiał pójść do toalety - jeśli Leilani, to skorzysta z okazji, żeby z nią porozmawiać; jeśli jeden z pilotów, to przystawi mu pistolet do głowy i opanuje samolot; jeśli któryś z pilnujących Leilani strażników, to będzie to ostatnia czynność w jego życiu.

Jak się okazało, to właśnie jeden z nich pierwszy poczuł zew natury.

Dwie godziny po starcie Kurt usłyszał kroki zbliżające się do niego od strony ogona samolotu. Odłożył pistolet, wyjął nóż i przywarł do boku ciasnej przestrzeni.

Mężczyzna chwycił zasłonę, szarpnął ją w bok, ale nie wszedł.

Kurt był przygotowany do zadania ciosu, ale facet patrzył w stronę tyłu samolotu, krzyczał jakiś dowcip do swojego kompana i śmiał się z własnych słów.

W końcu się odwrócił i wszedł. Kurt złapał go, chwycił ręką za twarz, zakrył mu usta i wbił nóż w plecy tuż poniżej karku.

Ostrze przecięło kręgosłup i mężczyzna zwiotczał. Kurt go podtrzymał, obrócił i odsłonił mu usta dopiero wtedy, gdy nie poczuł jego oddechu. Posadził go delikatnie na sedesie i popatrzył mu w oczy. Puste.

Wyciągnął nóż z ciała. Żadnej reakcji.

Kurt nie cierpiał zabijania, ale tu nie było miejsca na litość. Tylko jedna strona mogła wyjść z samolotu żywa - albo ludzie Jinna, albo on i Leilani.

Rozpoznał w bandycie kierowcę samochodu, który włókł jego i Joego po pustyni, i poczuł trochę mniejsze wyrzuty sumienia. Następny etap planu był bardziej skomplikowany. Po pierwsze, mężczyzna obficie krwawił. Kurt użył jego czapki do zatamowania krwotoku, oparł go z powrotem o przegrodę i zaklinował w ciasnej przestrzeni.

Oceenił, że mężczyzna jest mniej więcej takiej samej budowy i wzrostu jak on. Obaj byli ubrani w takie same mundury, ale różnili się znacząco - bandyta miał rzadkie czarne włosy, a Kurt gęstą stalowoszarą czuprynę.

Z braku innych możliwości Kurt zmoczył włosy i przycisnął je płasko do głowy. W samolocie było ciemno, zimno i potwornie głośno. I kto by się spodziewał kłopotów na wysokości dziesięciu tysięcy metrów.

Drugi facet widział, jak jego kumpel idzie do kibla. Musiałby się uważnie przyglądać, żeby poznać, że to nie jego kompan wraca stamtąd kilka minut później.

Kurt zaciągnął zasłonę i przygotował się do odegrania swojej roli. Na wszelki wypadek trzymał nóż ukryty w dłoni.

Wyszedł z toalety i pomaszerował pewnym krokiem w stronę Leilani i drugiego strażnika. Poszło łatwiej, niż myślał. Ładownię wypełniał sprzęt: co najmniej dwie sztywne łodzie pneumatyczne, które widział wcześniej, i stojaki z czymś o wyglądzie ręcznych wyrzutni pocisków ziemia-powietrze.

Ten bałagan pozostawiał niewielką przestrzeń dla pasażerów. Leilani i strażnik siedzieli naprzeciwko siebie na rozkładanych siedzeniach po obu stronach samolotu.

Strażnik ledwie zerknął na Kurta. Potem oparł głowę na zagłówku na ścianie samolotu i zamknął oczy.

Nawet Leilani miała opuszczone powieki.

Ale ostatecznie był środek nocy, ponadto mimo zwiększonego ciśnienia w ładowni powietrze było rozrzedzone i suche, najprawdopodobniej dostosowane do wysokości jakichś dwóch tysięcy ośmiuset metrów. Takie powietrze powodowało senność, choć trudno było zmrużyć oko w takich warunkach.

Kurt usiadł pół metra od strażnika, dokładnie na wprost Leilani. Znow zamienił nóż na pistolet i wyprostował nogę, żeby dotknąć kobietę stopą.

Otworzyła oczy i zobaczyła go z palcem na ustach.

Jedno, co Kurt pamiętał z opowieści Kima o siostrze, to to, że pracuje ona z głuchymi dziećmi. Kurt znał amerykański język migowy. Przynajmniej kiedyś.

Z wielkim trudem pokazał jej, że jest przyjacielem. Miał nadzieję, że niczego nie pomylił i Leilani nie zrozumie, że jest nieprzyjacielem.

Wydawała się zdziwiona, ale wyraz nadziei pojawił się w jej oczach. W obawie, że nie uda mu się sklecić całego zdania, pokazał jej coś, co musiała zrozumieć: N... U... M... A...

Zrobiła wielkie oczy i Kurt znow położył palec na ustach.

Wskazał głową strażnika, wyjął pistolet z kieszeni i odbezpieczył. Mężczyzna otworzył oczy, słysząc charakterystyczne kliknięcie.

- Nie ruszaj się - powiedział Kurt.

Z bronią w prawym ręku zabrał strażnikowi jego pistolet. Facet nawet nie drgnął.

Kurt wykonał gest w kierunku tyłu samolotu. Kiedy mężczyzna spojrzął w tamtą stronę, Kurt zdzielił go w skroń pistoletem. Strażnik runął jak worek kartofli, ale nie stracił przytomności. Drugi cios załatwił sprawę.

Zanim facet się ocknął, został skępowany, zakneblowany i przywiązany do dna jednej z łodzi blisko ogona transportowca.

Kiedy Kurt skończył, odezwała się Leilani.

- Kim jesteś?

Kurt się uśmiechnął.

- Nawet sobie nie wyobrażasz, jak się cieszę, że nie wiesz.

Oczywiście nie miała pojęcia, o co mu chodzi, ale Kurt zanotował sobie w pamięci, żeby odtąd nie ufać nikomu, kto będzie wiedział, kim jest, zanim Kurt się przedstawi.

- Nazywam się Kurt Austin - przedstawił. - Znałem twoje go brata. Jestem z NUMA. Staramy się ustalić, co mu się przydarzyło.

- Znaleźliście go?

Kurt pokręcił głową.

- Niestety. Przykro mi.

Opanowała emocje i wolno wciągnęła powietrze.

- Nie liczyłam na to - odezwała się cicho. - Prawie czułam, że on nie żyje.

- Ale poszukiwania doprowadziły nas do Jinna i przypadkowo do ciebie.

Zerknęła nerwowo w kierunku drzwi kokpitu.

- Bez obaw - uspokoił ją Kurt. - Wątpię, żeby tu przyszli w najbliższym czasie. A jeśli nawet, to zobaczą tylko ciebie i jednego z pilnujących cię strażników.

Wydawała się przekonana.

- Kiedy ci faceci cię porwali? - spytał.

- Jak tylko się zameldowałam w hotelu na Male - odrzekła.

Zdawało się, że zadrżała ze strachu na wspomnienie tamtego zdarzenia, ale wzięła się w garść.

- Kopnęłam jednego w zęby - pochwaliła się. - Facet długo będzie jadł tylko zupę. Ale inni mnie przewrócili.

Miała charakter, ale bardzo się różniła od wizerunku, który stworzyła Zarrina. Była mniej obyta w świecie, tak jak powinna być dwudziestopięciolatka. Kurt żałował, że nie poznał jej wcześniej.

- Ocknęłam się na pustyni - dodała. - Nie mogłam uciec. Nie wiem nawet, gdzie byłam. W czasie przesłuchania wyciągnęli ze mnie wszystko - hasła, telefony, numery kont bankowych. Zabrali mi paszport i prawo jazdy.

To wyjaśniało, skąd Zarrina wiedziała tak dużo, i dlaczego ambasada amerykańska potwierdziła, że Leilani Tanner jest w Male, kiedy NUMA to sprawdzała.

- Nie musisz robić sobie wyrzutów - pocieszył ją. - Nie jesteś doświadczoną agentką, której nie można złamać podczas przesłuchania. Poza tym poradziłaś sobie, skoro żyjesz.

Wyglądała na zbolaną.

- Miałam wrażenie, że Jinn patrzy na mnie jak na jakiegoś konia do ujeżdżenia. Stale mnie dotykał i mówił, jak dobrze mi z nim będzie.

- Nigdy się nie dowie, jak się mylił - zapewnił Kurt. - Zabieram cię stąd.

- Z samolotu?

- Niezupełnie - stwierdził i zmienił temat. - Orientujesz się może, dokąd lecimy?

- Myślałam, że wiesz to lepiej ode mnie - odparła. - Jestem więźniem, zapomniałeś?

- A ja pasażerem na gapę. Dobrana z nas para.

Kurt podszedł do jednego z małych okrągłych okien w bocznej ścianie samolotu. Na dworze wciąż było ciemno, ale kiedy spojrzął w dół, zobaczył gładką szarą powierzchnię, która mieniła się lekko.

- Jesteśmy nad wodą - oznajmił. - Księżyc świeci.

Zerknął na nadgarstek, ciekaw, która jest godzina. Nigdy więcej nie da zegarka w zastaw. Prędej nerkę, może akt własności domu, ale nie zegarek. Chyba że będzie mógł zdobyć inny.

- Pewnie nie masz zegarka?

Pokręciła głową.

On i Joe dotarli do punktu przeładunkowego około ósmej wieczorem. Załadunek ciężarówek, a potem samolotów trwał jakieś trzy godziny. Jego odrzutowiec stał później na ziemi jeszcze ze dwie godziny, zatem wystartował w okolicach pierwszej nad ranem.

Kurt przeniósł się do prawego okna, żeby spróbować coś zobaczyć z tej strony. Widok był taki sam - tylko woda.

Przez te dwie godziny w powietrzu mogli przelecieć nad Arabią Saudyjską i być teraz nad Morzem Śródziemnym, ale biorąc pod uwagę wszystko, co się działo, Kurt przypuszczał, że z ładunkiem nanobotów w zbiornikach pod jego stopami kierują się na południe, nad Ocean Indyjski. Dwie i pół godziny wystarczyłyby, żeby odrzutowiec dotarł z Jemenu nad sam środek tego oceanu.

Zastanawiał się, co jest celem ich podróży. Czy Jinn ma tajną bazę ukrytą gdzieś na jakiejś bezludnej wyspie? Znów wyjrzał przez okno i wyteżył wzrok, żeby sięgnąć nim możliwie jak najdalej, ale widział same fale.

Leilani obserwowała, jak Kurt zmienia miejsca.

- Co zrobimy? - zapytała. - Poszukamy spadochronów? Słyszałam, jak o nich mówili.

Kurt już je zauważył.

- One nie są dla ludzi - odparł. - Są przymocowane do łodzi, żeby można było dokonać zrzutu z niskiego pułapu, zamiast lądować. To jest tak zwany LAPES, system zrzutów spadochronowych sprzętu z małej wysokości.

Wyglądała na zdezorientowaną.

- Widziałas kiedyś wyścig dragsterów?

Przytaknęła.

Wskazał dwa nylonowe pakunki przy łodziach hybrydowych
- To są spadochrony hamujące - wyjaśnił.- Wyskakują z tyłu
jak te, które zmniejszają prędkość dragsterów lub promu kosmicznego po wylądowaniu. Nie są przeznaczone dla spadochroniarzy.
- Okej - powiedziała. - Masz jakieś inne plany?
Uśmiechnął się.
- Mówisz jak ktoś inny, kogo znam. Mój bliski przyjaciel.
- Jest w tym samolocie? - spytała z nadzieją.
- Nie - zaprzeczył Kurt. - Prawdopodobnie siedzi już w sali odlotów dla pasażerów pierwszej klasy na lotnisku w Ad-Dauha. Przegląda menu z Citronelle i robi się coraz bardziej głodny z każdą chwilą.
Przechyliła głowę na bok jak dziecko albo cocker-spaniel.
- To coś dla mnie. Ale nie mówisz zbyt sensownie.
- Będę się wyrażał jaśniej - obiecał. - Nie wyskoczmy z tego samolotu, tylko go opanujemy. Wedrzemy się do kokpitu, każemy pilotom dostarczyć nas w jakieś bezpieczne miejsce i zrobić rezerwację na wieczór w restauracji o nazwie Citronelle na nazwisko Zavala, jak tylko wylądujemy.
- Potrafisz pilotować taką maszynę?
- Nie. Uśmiechnęła się.
- Więc zmusimy ich do tego. Jak porywacze.
- Dokładnie.
Spojrzała w kierunku dziobu samolotu.
- Nie widzę żadnych pancernych drzwi. Tylko drabinkę. Włamanie się powinno być łatwe.
- Problem polega na czym innym - odrzekł Kurt. - Jesteśmy na dużej wysokości. W samolocie jest podwyższone ciśnienie, a w kokpicie mnóstwo szyb. Roztrzaskanie jednej z nich zabłąkaną kulą podczas walki skończy się gwałtowną dekompresją.
- To znaczy?
- Rozszczelnieniem kabiny. Zostaniemy wyssani na zewnątrz przez wybite okno i znajdziemy się w stanie swobodnego opadania

ku powierzchni oceanu na jakieś dziesięć minut. Co będzie się wydawało dość przyjemne w porównaniu z nagłym zatrzymaniem na dnie.

- Nie chcę tego - oświadczyła.

- Ja też nie - odparł. - Jeśli mamy opanować samolot bez walki, to musimy się lepiej uzbroić.

Z Leilani za sobą poszedł w kierunku palet w nadziei na znalezienie czegoś bardziej śmiertelniejszego, niż miał.

Kiedy przeszukiwał pierwszą paletę, wysoki gwizd silników spadł o oktawę lub dwie. Następnie poczuli dziwną nieważkość, gdy samolot zaczął schodzić w dół. Była dużo wyraźniejsza niż w przeciętnym odrzutowcu pasażerskim.

- Zniżamy się - spostrzegła Leilani.

- Musimy się zbliżyć do celu - odpowiedział Kurt. - Lepiej się pośpieszmy.

ROZDZIAŁ 34

Pływająca wyspa Aqua-Terra przeszła pod nowe rządy. Kiedy Zarrina wydawała rozkazy na mostku, nawet Otero i Matson czuli się nieswojo.

Wiele pokładów niżej Paul Trout spacerował po pięciogwiazdkowym areszcie Marchettiego i rozglądał się uważnie. Okno od podłogi do sufitu, dyskretne oświetlenie i wygodne materace poduszkowe; był nawet fotel do masażu i automat z sokiem.

- Automat z sokiem - powiedział Paul z niedowierzaniem.

- Dobry pomysł! - zawołał do niego Marchetti z fotela do masażu. - Poproszę guawowo-ananasowy, jeśli pan tak uprzejmy.

Paul spojrzał na ich gospodarza. Wyginał plecy jak ocierający się o meble kot, gdy fotelowy masażer shiatsu przesuwiał się w górę i w dół jego kręgosłupa.

- O, jak dobrze - mruknął. - Tak, właśnie tam.

Paul uważał to za szczyt absurdu, ale nie mógł się doczekać, kiedy Marchetti wreszcie skończy, żeby zająć jego miejsce. Gaszenie pożaru dało się we znaki jego plecom.

Nalał trzy kubki mieszaniny guawowo-ananasowej i zaniósł je na drugi koniec pomieszczenia. Postawił je między wciąż wydającym dziwne odgłosy zadowolenia Marchettim i Gamay, która miała minę rozgniewanej wicedyrektorki szkoły, gotowej wysłać wszystkich do poprawczaka.

Paul podał jej kubek. Pokręciła głową ze wstrętem.

- Jak obaj skończycie się rozkoszować waszym dniem w spa, to może spróbujemy wymyślić, jak stąd uciec?

- Sprawdziłem okna - odrzekł Paul.

- Przez nie się nie wydostaniemy - oznajmił Marchetti. - Wytrzymują wiatr o sile dziesięciu stopni w skali Beauforta.

- A drzwi?

- Mają zamek szyfrowy na zewnątrz. - Marchetti zmienił pozycję w fotelu. - Stąd nie można się do niego dostać. Jeśli zauważyliście, nie ma tu nawet klamki.

- Zauważyłam - sarknęła Gamay.

Marchetti wsunął się głębiej w fotel, który zaczął wibrować i trząść nim, powodując, że jego głos brzmiał tak, jakby uderzał się w pierś.

- Moim... zdaniem... powinniśmy... po... prostu... siedzieć... spokojnie... i... oszczędzać... siły...

Paul zobaczył furię w oczach Gamay. Usunął się szybko z drogi, kiedy się rzuciła w kierunku Marchettiego i jego fotela. Chwyciła kabel i wyszarpnęła wtyczkę z gniazdka. Koniec masażu.

Marchetti wyglądał na zaszokowanego. Paul domyślił się, że jego sesja nie dojdzie do skutku.

- Niech pan będzie poważny - warknęła. - Ci ludzie nie żartują. Ta suka Zarrina zabiła jednego z pańskich załogantów i kto wie, ilu innych w swoim czasie. I jeśli się stąd nie wydostaniemy, zabiją nas, zanim to wszystko się skończy.

Marchetti spojrział na Paula w poszukiwaniu pomocy. Nie otrzymał jej, więc odwrócił się z powrotem do Gamay.

- Przepraszam - powiedział w końcu. - Zaprzeczenie to mój ulubiony mechanizm obronny. Kiedy ma się miliard dolałów, problemy znikają, jeśli się je ignoruje wystarczająco długo.

- Ten nie zniknie - zapewniła Gamay.

Marchetti przytaknął.

- Ma pan jakieś protokoły bezpieczeństwa? - zapytał Paul. - Kody alarmowe lub ustalone meldunki, które zasygnalizują, że pan zaginał?

Marchetti podrapał się w głowę.

- Nie - zaprzeczył takim tonem, jakby z przykrością sprawiał im zawód. - Gdybym był zbyt łatwo dostępny, zburzyłoby to mój wizerunek miliardera samotnika, który pielęgnuje.

- To jak pan prowadzi swoje firmy? - spytał Paul.

- Jak gdyby same się prowadzą.

- A jeśli musi pan wydać jakieś polecenie? - zastanowiła się Gamay. - Albo jedna z nich chce dokonać dużego zakupu, finalizacji umowy lub fuzji, czegoś, co tylko pan może podpisać?

- Matson się tym zajmował.

Mieli problem.

- A zatem - podsumował Paul - dopóki Matson utrzymuje łączność ze światem, nikt się nie dowie, że pan zaginał.

Marchetti przytaknął.

- Niestety.

Gamay wyglądała na tak przygnębioną, jak Paul się czuł.

- Przynajmniej dopóki nie wymyślą jakiejś bajeczki o pana zaginięciu podczas jakiegoś eksperymentu lub innego wyczynu.

- Tak - przyznał Marchetti - zaczynam sobie uświadamiać, że bycie samotnikiem ma wady.

- Wszelkiego rodzaju - dodała Gamay. - Krążyły plotki, że Howard Hughes zmarł lata przed oficjalną datą jego zgonu. Prawdopodobnie nie, ale rzecz w tym, że z powodu jego izolacji nikt nie miał pewności. Pan jedzie na tym samym wózku, a ra-

czej płyń na tym samym statku. I jeśli nazwie go pan wyspą, to panu przyłożę.

- Niech będzie statek - zgodził się Marchetti.-
Przyrzekam,

że jeśli przeżyjemy, przestanę się tak odgradzać od świata.

Wspaniale, pomyślał Paul, ale to nam teraz nie pomoże.

- Jak pan sądzi, co zrobili z resztą załogi?

- Paru pańskich ludzi wydawało się być po stronie Zarri-
ny - zauważyła Gamay.

- Pozostali są pewnie pod kluczem tak jak my - oznajmił
Marchetti. - Tu na dole jest pięć cel.

- Rozdzielili nas, żebyśmy nie spiskowali przeciwko nim -
domyślił się Paul.

- A co z waszymi ludźmi w Waszyngtonie? - zapytał Marchet-
ti. - Na pewno czekają na meldunek. Uznają was za zaginionych.

Paul i Gamay wymienili znaczące spojrzenia. Po wspólnie
spędzonych latach rozumieli się bez słów.

- Nieprędko - odparł Paul.

- Co to znaczy?

Paul wytłumaczył.

- Wysyłamy im dane co dwadzieścia cztery godziny. Ale Zar-
rina i Otero mogą je łatwo sfałszować. Ona wie, co wysyłaliśmy
i czego szukamy. Wyobrażam sobie, że minie jakiś czas, zanim
ktoś zacznie coś podejrzewać.

- Może Dirk do nas zadzwoni - odezwała się z nadzieją Ga-
may. - Nie mogą sfałszować połączenia wideo.

- Fakt - przyznał Paul. - Ale mogą zagrozić nam wszelkimi
tragicznymi konsekwencjami, jeśli spróbujemy ujawnić prawdę.
Co oczywiście postaramy się zrobić bez względu na ich groźby.

Gamay popatrzyła na niego.

- Jak bez wiedzy naszych porywaczy przekażemy Dirkowi
lub komukolwiek, kto zadzwoni, wiadomość, że jesteśmy w ta-
rapatach?

- Jesteśmy zakładnikami - odrzekł Paul. - Dirk sam był w ta-
kiej sytuacji kilka razy. Moglibyśmy wymienić jedno z tamtych

miejsc lub nazwisko jednego z bandziorów, którzy go przetrzymywali. To powinno mu dać do myślenia.

- Genialnie, panie Trout - pochwalił Marchetti. - Szyfr.

- „Lady Flamborough” - podsunęła Gamay.

- Co?

- „Lady Flamborough” - powtórzyła. - Tak się nazywał statek wycieczkowy, na którym ojciec Dirka, senator, był zakładnikiem na Antarktydzie. Dirk musiał go uwolnić. Jeśli któreś z nas będzie miało okazję porozmawiać z Dirkiem, odegramy naszą rolę i zachowamy pozory wobec Zarriny i jej zbirów. Powiemy to, co nam każą. W pewnym momencie Dirk zapyta, jak się miewamy lub jaka jest pogoda, albo coś w tym rodzaju. Uśmiechniemy się tylko nonszalancko i odpowiemy, że wszystko idzie doskonale, tak jak rejs na „Lady Flamborough”.

- To trochę niejasne - zauważył Marchetti. - Może nie zrozumieć.

- Nie zna pan Dirka Pitta - odparł Paul. - Zrozumie.

Marchetti się podniecił.

- Okej, dobra, więc mamy plan. Zakładając, że oni będą współpracować i poproszą was, żebyście porozmawiali z szefem. A jeśli nie?

Spojrzał na Paula, ale ten zrobił skonsternowaną minę. Przeniósł wzrok na Gamay i zobaczył taki sam wyraz na jej twarzy. Wyglądało na to, że żadne z nich nie ma jeszcze planu B.

Kiedy marszczyli brwi, Gamay włączyła fotel z powrotem.

Marchetti był zaskoczony.

Gamay wzruszyła ramionami.

- Może to pomoże panu w myśleniu.

ROZDZIAŁ 35

Kurt Austin od kilku minut przeszukiwał ładownię altaira Be-200. Ku zdumieniu Leilani omijał broń, amunicję i rakiety, które zauważył wcześniej.

- Co robisz? - zapytała.

- Mądry generał usuje wyżywić swoich ludzi z ziemi nieprzyjaciela - odrzekł Kurt.

- Znowu - powiedziała. - Naprawdę trudno mi nadażyć za tobą.

- Sun Zi - wyjaśnił Kurt. - *Sztuka wojenna*.

- Aha, o nim słyszałam.

Kurt wyciągnął z jednej skrzyni opaski zaciskowe do kabli, używane również do krępowania rąk więźniom. Leilani popatrzyła na pętle z grubego plastiku.

- Widziałam już takie.

- Nasi przyjaciele planują wziąć więcej zakładników - stwierdził Kurt. Znowu zastanowiło go, dokąd lecą.

Wsunął garść opasek do kieszeni i zaczął grzebać w następnych skrzyniach.

- Czego jeszcze szukasz?

- W kokpicie jest pewnie dwóch lub trzech facetów. Dwóch pilotów i mechanik pokładowy, jeśli mają takiego. Może nawet czwarty na koi na górze.

- Ale nie możemy ich zastrzelić - przypomniała. - Więc jak będziemy z nimi walczyć?

- Nie będziemy.

- Właśnie o to mi chodzi - oświadczyła. - O dezorientację.

Rozumiałam cię i nagle... koniec.

Kurt nie mógł powstrzymać uśmiechu. Uniósł jeden palec jak mistrz w starym serialu telewizyjnym *Kung Fu*.

- Osiągnąć sto zwycięstw w stu bitwach nie jest szczytem umiejętności. Szczytem umiejętności jest pokonanie przeciwnika bez walki.

- Znowu Sun Zi?

Przytaknął.

- Możesz mi to przetłumaczyć?

- Trzeba ich tak przerazić, żeby zamarli ze strachu, to nie zrobią nic głupiego. Ale do tego jest nam potrzebna bardziej śmiertelna broń niż nóż i pistolet. Broń, na widok której piloci wykonają nasze rozkazy i nawet nie pomyślą o stawianiu oporu.

Otworzył kolejną skrzynię i się uśmiechnął. Wyraz niepokoju pojawił się na twarzy Leilani.

- Co to jest? - zapytała.

- Zaufaj mi - odrzekł. - To jest dokładnie to, czego szukamy. Usłyszeli wysuwanie klap i turbulencje zaczęły miotać samolotem.

- Schodzimy do lądowania - odezwała się Leilani.

Kurt wyrzwał przez okno. Horyzont zaczynał jaśnieć, niebo zmieniało barwę. Nie zobaczył ani śladu lądu.

- Zależy, co nazywasz lądowaniem.

- Co masz na myśli?

- To jest hydroplan, a używając bardziej trafnej określenia, latająca łódź. Może siadać na wodzie.

Kurt miał dylemat. Z jednej strony chciał zadziałać, zanim znajdą się zbyt blisko celu, z drugiej był ciekaw, gdzie wylądują.

Pamiętał, jak Jinn mówił, że musi się przenieść w bezpieczniejsze miejsce. Byłoby wspaniale, gdyby Kurt mógł podać lokalizację tego miejsca Dirkowi Pittowi.

Ale potem pomyślał o zbiornikach z wodą w czeluściach samolotu i ładunku nanobotów, który prawdopodobnie zawierały. Uznał, że lepiej wykonać ruch wcześniej niż później.

Wrócił do przestrzeni pasażerskiej, wyciągnął nóż i zaczął pracować przy rzeczy, którą zabrał ze skrzyni.

Leilani odwróciła wzrok.

- Wolę o nic nie pytać.

Kiedy skończył, wsunął nóż z powrotem do buta i zasłonił go nogawką. Wziął jeden z lugrów kaliber 9 milimetrów i wyjął

magazynek. Szybko rozładował broń, łącznie z nabojem w komorze, po czym wcisnął magazynek w uchwyt pistoletu.

Odbezpieczył luga i wręczył go Leilani.

- Nie lubię broni - oświadczyła.
- Wyobraź sobie, że to jest coś innego.
- Ale to jest broń - upierała się.

Kurt już się skierował w stronę dziobu samolotu.

- Bez naboarów nie jest. To po prostu atrapa i lepiej nią wymachuj jak Brudny Harry. - Na widok konsternacji na jej młodej twarzy, poprawił się: - Jak Angelina Jolie, jeśli chcesz, żeby uwierzyli, że ich zastrzelisz.

- Ale ja nie będę strzelać - zaznaczyła.

Zbliżając się do prowadzącej w górę do kokpitu drabinki, Kurt miał nadzieję, że jego blef wystarczy, bo nie bardzo liczył na Leilani.

- Po prostu trzymaj się za mną po mojej prawej i wyceluj w nich pistolet - polecił.

- Coś jeszcze?
- Owszem. Spróbuj wyglądać groźnie.

Kurt wspinał się po drabince do kokpitu.

Piloci odwrócili gwałtownie głowy i zobaczyli Kurta. Kapitan krzyknął. Drugi pilot sięgnął do klamry swojego pasa bezpieczeństwa. A Kurt pokazał im, co trzyma.

Znieruchomieli, patrząc na znany jako „ananas” granat odłamkowy MK 2 w ręku Kurta. Wyciągnął przesadnym gestem zawleczkę i przycisnął mocno łyżkę do skorupy.

Leilani zajęła pozycję obok niego i zgrabnie wycelowała niezaładowany pistolet.

- Nie ruszać się! - warknęła.

Piloci już zamarli w bezruchu, ale Kurt docenił jej starania.

- Dobra - powiedział. - Przyjmijmy, że świeci się znak na kazu zapięcia pasów i nie wolno wam chodzić po kabinie.

Kapitan odwrócił się z powrotem do przyrządów, drugi pilot nadal się gapił.

- O czym ty mówisz?
- Ręce na drążek - rozkazał Kurt. - Patrzeć przed siebie.

Drugi pilot posłuchał, ale wymamrotał coś po arabsku do kapitana.

- Chcesz ją zabrać? - zapytał kapitan. - Uratować? Jesteś głupcem, skoro narażasz życie dla nic niewartej kobiety.

- Zamknij się, cymbale, bo słowo daję, że nafaszeruję cię całego ołowiem! - ostrzegła Leilani.

Spojrzała na Kurta z dumnym uśmiechem.

- Jak wyszło?

- Musimy popracować nad twoimi odzywkami, ale nieźle.

Kurt zerknął przez okno. Horyzont na wschodzie się wyostrzał, ale niebo wciąż miało atramentowofioletowy kolor i trudno było określić, gdzie się kończy, a gdzie zaczyna morze.

Widział dwa pozostałe odrzutowce przed nimi, ale tylko dzięki ich światłom pozycyjnym. Bliższy samolot wydawał się w odległości około półtora kilometra i jakieś trzysta metrów niżej. Maszyna na czele mogła ich wyprzedzać o niespełna pięć kilometrów i utrzymywać o trzysta metrów mniejszą wysokość niż druga. Cała eskadra schodziła w dół. Kurt nie słyszał żadnych rozmów w eterze i przypuszczał, że obowiązuje cisza radiowa.

- Dokąd lecimy? - spytał.

- Nic nie mów - rozkazał kapitan drugiemu pilotowi.

Kurt pomyślał, że to ślepy zaulek. Nie mógł zagrozić wysadzeniem samolotu w powietrze, jeśli mu nie powiedzą. Spojrzał na wysokościomierz i zobaczył, że są już poniżej dwóch tysięcy pięciuset metrów. Jeszcze dziesięć minut i usiądą na wodzie. Popatrzył w przód, wytężył wzrok, ale nadal nie mógł dostrzec ani skrawka lądu.

Uznał, że czekali wystarczająco długo.

- Układ jest taki - oznajmił. - Jeśli wy dwaj chcecie przeżyć, musicie robić, co wam każę.

- A jeśli nie? - wyrzucił z siebie drugi pilot.

- Wyszadzę samolot w powietrze - oświadczył Kurt.

- Błefuje - powiedział drugi pilot. - To słaby Amerykanin.
Nie będzie miał...

Zanim skończył zdanie, Kurt zdzielił go na odlew w skroń. Głowa mężczyzny odskoczyła w bok i musiał się przytrzymać ściany kadłuba.

- Myślicie, że chcę wpaść z powrotem w ręce Jinna? - za pytał Kurt. - Wy byście chcieli?

Facet przyłożył dłoń do twarzy i spojrzał na Kurta jak uderzone zwierzę. Piloci zerknęli na siebie. Kurt liczył na to, że obaj wiedzą, jakim szaleńcem jest Jinn. Domyślał się, że ciała na dnie studni to nie jedyni jego ludzie, których się pozbył.

Między Arabami rozgorzała dyskusja.

Kurt znów walnął na odlew drugiego pilota.

- Po angielsku!

Mężczyzna spiorunował go wzrokiem i znów zaczął sięgać wolno do klamry swojego pasa bezpieczeństwa.

- Masz rację. Jak Jinn cię złapie, będziesz błagał o śmierć. Ale jeśli cię puścimy, będziemy w gorszej sytuacji.

Pas się odpiął, mężczyzna odwrócił się w swoim fotelu i wstał.

- No wysadź nas w powietrze - zachęcił. - Zabierz nas wszystkich do raju.

Kurt popatrzył na niego, próbując zmusić go do odwrócenia wzroku. Mężczyzna nawet nie mrugnął i choć Kurt też tego nie zrobił, nastąpił impas.

- Dobra - zgodził się Kurt.

Puścił łyżkę i rzucił granatem w drugiego pilota. Mężczyzna dostał w sam środek twarzy, na której nagle odmalował się szok. Usiłował złapać granat jak człowiek pod prysznicem, starający się chwycić mokre mydło, i odbił go w kierunku kapitana.

Wytrzeszczył oczy, dał nura po granat i zainkasował potężny prawy prosty od Kurta.

Kurt skreślił tułów, obracając bark i biodro i odpychając się prawą stopą, i wyprowadził cios z całą siłą, jaką miał w mięśniach ramienia.

Mężczyzna poleciał bezwładnie do tyłu na kapitana i drążek sterowy. Odrzutowiec zaczął pikować.

Przez moment w stanie nieważkości Kurt uderzył w sufit. Kiedy runął na podłogę, wyciągnął się do przodu, złapał nieprzytomnego drugiego pilota za pas i szarpnął go do tyłu. Gdy uwolnił kapitana od ciężaru, samolot wyszedł z nurkowania, ale mały pistolet pojawił się w dłoni mężczyzny za sterami.

Kurt zamachnął się lewą ręką, odbił dłoń kapitana w bok i broń wypaliła. Pocisk utkwiał w ciele drugiego pilota, a następny w fotelu.

Kurt starał się odepchnąć ramię kapitana, ale nie miał punktu oparcia. Kapitan oswobodził rękę i znów wycelował w Kurta.

Kurt zrobił unik i pchnął drążek otwartą dłonią. Odrzutowiec przechylił się mocno i kapitan znów strzelił.

Chybił celu, ale trafił w panel nad nimi. Zaiskrzyło, lampki ostrzegawcze rozbłyły i alarmy zadźwięczały.

Samolot zaczął opadać korkociągiem ku morzu. Kurt mógł się tylko trzymać. Zdołał dzielić kapitana raz, zanim siła odśrodkowa odrzuciła go do tyłu.

Sięgnął do buta. Kapitan wziął go na muszkę.

Kurt dźgnął go i mężczyzna znieruchomiał z nożem w sercu. Z twarzą pozbawioną wyrazu, przewrócił oczami i wypuścił pistolet z ręki.

Samolot się obracał. Kurt chwycił drążek sterowy i spróbował skontrolować ruch wirowy. Skrzydła powoli ustawiły się równo. Ale włączył się alarm zbliżeniowy i komputer zaczął powtarzać polecenie, żeby zwiększyć pułap.

Kurt starał się, jak mógł, ale nie chciał urwać skrzydeł. Dziób wznosił się wolno i wskazania wysokościomierza rosły. W końcu Kurt znów zobaczył linię horyzontu i chwilę później dziób znalazł się nad nią.

Gdy prędkość zmalała i zaczęli się wznosić, niektóre lampki ostrzegawcze i alarmy się wyłączyły. Kiedy przekroczyli pułap trzystu metrów, komputer przestał instruować Kurta, co ma robić.

Po wypoziomowaniu i ustabilizowaniu samolotu Kurt się rozejrzył po kokpicie. Dzielił fotel z martwym kapitanem. Drugi pilot leżał na podłodze między dwoma siedzeniami i też wyglądał na martwego. Kogoś brakowało.

- Leilani?! - krzyknął Kurt.

- Jestem tutaj - odezwała się, zaglądając z dołu do kokpitu.

- Co się stało?

- Spadłam z drabinki - odrzekła i weszła na górę. Wyglądała na półprzytomną. Schyliła się i podniosła granat z podłogi. - Dlaczego nie wylecieliśmy w powietrze?

- Wyjąłem zapalnik - wyjaśnił Kurt. - W środku nadal jest materiał wybuchowy, ale bez zapalnika nie eksploduje.

Umieściła granat delikatnie w uchwycie na kubek.

- Mam związać tych facetów?

- Trochę na to za późno - odparł. - Zabierz tego z mojego fotela.

Wstał, Leilani odpięła martwego kapitana i odciągnęła go, gdy Kurt trzymał stery.

- Pilotujesz samolot - powiedziała, jakby właśnie to sobie uświadomiła.

- Coś w tym rodzaju.

- Chyba mówiłeś, że nie wiesz, jak to się robi.

- Powinienem wyrazić się jaśniej - przyznał. - Umiem skręcać, zwiększać i zmniejszać wysokość, przyspieszać i zwalniać. Pewnie potrafię utrzymać właściwy kierunek. Trudniej będzie wylądować tym czymś tak, żeby nie zostawiło dymiącego leja w ziemi albo nie roztrzaskało się na kawałki przy uderzeniu w wodę.

Zbladła.

- Aha.

- Ale szybko się uczę - dodał, żeby podnieść ją na duchu. - I po śmierci tych dwóch nie mam wyboru.

Kurt latał wcześniej małymi samolotami, nigdy wystarczająco długo, by zdobyć licencję, ale znał podstawy pilotażu. Najważniejszy jest instynkt. Z wyjątkiem maszyn wojskowych o wysokich

osiągach, samoloty latają same. Są tak konstruowane, żeby były stabilne i wybaczały błędy pilotom, choć Kurt stwierdził, że ta rosyjska latająca łódź ma tak ciężki dziób jak statek ze źle rozmieszczonym balastem.

- A co z tym LAPES? - zapytała. - Nie moglibyśmy wyskoczyć z tyłu?

- Może spróbujemy, kiedy dotrzemy do celu.

Przyjrzał się uważnie tablicy przyrządów i dostrzegł przełączniki tylnych drzwi i pochylni ogonowej. Zapamiętał ich położenie.

Osiągnęli ponownie wysokość tysiąca pięciuset metrów i wrócili na kurs. Kilka kilometrów przed nimi Kurt widział sylwetki dwóch pozostałych odrzutowców na tle jaśniejącego nieba. Wciąż schodziły w dół, ale pikowanie i korkociąg spowodowały, że Kurt i Leilani znaleźli się dużo poniżej nich.

- Nie wiedzą, co się stało - zdziwiła się Leilani.

Kurt pokręcił głową.

- Nie. Obowiązuje cisza radiowa, a bez lusterek wstecznych lub anten radarowych w ogonach nic nie widzą. Co więcej, nie zobaczą, jak skręcamy i bierzemy kurs na Seszele.

- Tam polecimy?

Kurt zlokalizował wyświetlacz nawigacyjny na małym ekranie komputerowym. Byli prawie nad środkiem Oceanu Indyjskiego. Seszele leżały sześćset czterdzieści kilometrów na południowy zachód, około godziny lotu od nich.

Uśmiechnął się.

- To najbliższy kawałek cywilizacji wokół. A przez cywili zację rozumiem miejsce, gdzie jest telefon, automat z coca-cola i ludzie, którzy nie będą próbowali nas zabić.

Leilani odwzajemniła uśmiech.

- Brzmi zachęcająco.

Kurt uznał jej uśmiech za ujmujący, uroczy i prosty. Brak komplikacji wydawał się idealny w tym momencie.

Zaczął skręcać rosyjskim odrzutowcem na zachód. Zakładał, że oddali się o sto lub dwieście kilometrów, zanim ktokolwiek

zada sobie trud, żeby się rozejrzeć. Ale nie zdążył zejść zbyt daleko z kursu, gdy dostrzegł czarny punkt na srebrzystym morzu. Leilani też go zobaczyła.

- Myślisz, że lecą na tamtą wyspę?
- Jesteśmy świat drogi od najbliższej wyspy - odrzekł.
- To jest za duże na statek - zauważyła.

Kurt się przyjrzał. Olśniło go, kiedy blask wschodzącego słońca odbił się od wysokich trójkątnych budowli wzdłuż obrzeża pływającego monstrem.

- Bo to nie jest statek - odparł. - To pływająca masa metalu o nazwie Aqua-Terra.

Poczuł przypływ adrenaliny w zmęczonym ciele. Trzy samoloty amfibie pełne broni, łodzi hybrydowych i zbirów Jinna nie spełniały warunków przywileju wątpliwości. Nie lecieli, żeby pozpiewać. Stanowili oddział szturmowy, utrzymywali ciszę radiową i planowali atak na wyspę o świcie.

- Przypnij się - polecił.
- Po co? - zapytała Leilani. - Co zrobimy? Kurt sięgnął do przepustnic i pchnął je do oporu.
- Zaraz zasygnalizujemy naszą obecność.

ROZDZIAŁ 36

Kurt przyjrzał się konsoli w poszukiwaniu radia. Jego wzrok spoczął na aparacie ustawionym na dziwną częstotliwość.

COM-1, pomyślał.

- To musi być częstotliwość Jinna - założył. - Możesz mi znaleźć słuchawki z mikrofonem?

Leilani zaczęła się rozglądać po podłodze. Zobaczyła słuchawki jednego z martwych pilotów, podniosła je i wręczyła Kurtowi.

Wetknął wtyczkę do gniazdka. Zlokalizował drugą radiostację i ustawił przełączniki tak, żeby móc słyszeć przez COM-1, ale

nadawać tylko przez COM-2. Zaczął zmieniać częstotliwość na tę, której używał Nigel, pilot helikoptera, gdy lecieli na Aqua-Terre.

- Możesz mi łaskawie wyjaśnić, co robimy? - spytała Leilani. - Myślałam, że się od nich oddalamy, nie zbliżamy.

- Kilko moich przyjaciół z NUMA jest tam na dole. Próbowali ustalić, co się stało z twoim bratem. Muszą być bliscy wyjaśnienia tego, stąd ten atak na nich.

- Atak?

- Widziałem, jak ludzie Jinna wchodzili do pozostałych samolotów. To komandosi. Jestem prawie pewien, że dokonają desantu na wyspę.

- Zgadza się - przytaknęła. - Musimy ich ostrzec.

Kurt zmieniał częstotliwość, dopóki wyświetlacz nie pokazał sto dwadzieścia dwa i osiemdziesiąt pięć.

- To ta.

Nasłuchiwał przez chwilę, niczego nie usłyszał i włączył nadawanie.

- Aqua-Terra, tu Kurt Austin. Słyszysz mnie?

Nic.

Kiedy mówił, nie spuszczał z oka schodzących w dół transportowców. Ich załogi wydawały się pozostawać w błogiej nieświadomości tego, co się dzieje.

- Aqua-Terra, zgłoś się.

- Spróbuj na innej częstotliwości.

- Nie. Ta jest właściwa. - Znow nacisnął przycisk nadawania. - Aqua-Terra, słyszysz mnie? Tu Kurt Austin. Szykuje się atak na was. Przygotujcie się do jego odparcia.

Puścił przycisk.

- Dlaczego nie odpowiadają? - zapytała.

Kurt brał pod uwagę wiele przyczyn, między innymi działania Zarriny. Mogła celowo uszkodzić radio albo zrobić coś gorszego.

Dwa samoloty schodziły teraz poniżej sześciuset metrów. Lada chwila mogły dokonać zrzutu sprzętu z wykorzystaniem spadochronów LAPES. Sądząc po wymiarach ładowni, w każ-

dym transportowcu zmieściłoby się do siedemdziesięciu komandosów, ale nie z łodziami i ekwipunkiem na pokładzie. Trzydziestu maksymalnie. To oznaczało sześćdziesięciu ludzi przeciwko dwudziestu członkom załogi Marchettiego, Paulowi i Gamay. Bez czynnych robotów nie mieli szans.

Radio milczało i Kurt zdał sobie sprawę, że czas na ostrzeżenia minął i pora wejść do akcji.

W centrum łączności Aqua-Terry Zarrina, Otero i Matson słuchali, jak Kurt Austin próbuje ostrzec przyjaciół o zbliżającym się ataku.

Otero nie wierzył własnym uszom.

- Jinn mówił, że Austin i Zavala nie żyją.

- Najwyraźniej się pospieszył - odparła Zarrina.

- Skąd to nadaje?

- Skądkolwiek - odpowiedziała, wyglądając przez okno. Nie dostrzegła żadnych statków na horyzoncie, ale zobaczyła trzy nadlatujące samoloty. Jeden z nich był daleko poza formacją, co prawie potwierdziło jej najgorsze obawy.

- Opanował jeden z naszych odrzutowców - oznajmiła. - Trzeba ostrzec Jinna. I musimy znaleźć jakąś formę nacisku. Dawajcie tu tę kobietę. Już!

Kurt całkowicie otworzył przepustnice i trzydziestotrzyipółmetrowy samolot przyspieszył zaskakująco dynamicznie.

Kiedy nabierali prędkości, Kurt układał plan. Obserwował, jak pozostałe odrzutowce zwalniają prawie do przeciągnięcia i opadają ku wodzie.

Byłyby bezbronne podczas morskiego desantu komandosów i Kurt mógłby je zatopić podobnie jak kierowca stock cara pozbywa się rywali, spychając ich na bandę.

Dwa samoloty z przodu dzielił niecały kilometr na wysokości niespełna stu metrów. Kurt i Leilani zbliżali się szybko, gdy nagle krzyki w języku arabskim dotarły do Kurta przez COM-1.

Piloci obu odrzutowców zareagowali natychmiast. Poderwali maszyny do góry i falowanie gorącego powietrza za ich silnikami przybrało na sile.

- Szlag - zaklął Kurt. - Element zaskoczenia diabli wzięli.

Samoloty zaczęły przyspieszać, ale Kurt pruł prosto na nie z szybkością o co najmniej sto węzłów większą. Wybrał odrzutowiec z lewej, opuścił dziób i pędził jak szalenciec.

Maszyna Kurta leciała niczym jastrząb atakujący ofiarę. Ścigany samolot wzbijał się i starał nabrać prędkości jak duży, powolny gołąb.

Zbliżał się i rósł w oczach, wypełniał okno, a potem nagle zniknął Kurtowi z widoku, mignawszy pod nimi.

Jinn siedział w fotelu mechanika pokładowego w pierwszym samolocie i wykrzykiwał polecenia do pilota. Przepustnice były całkowicie otwarte, maszyna z trudem pięła się w górę i przyspieszała.

- Uważajcie! Jest tuż nad wami! - ostrzegła Zarrina przez radio.

Turbulencja z hukiem zatrzęsała odrzutowcem. Cień przemknął przed przednią szybą i kapitan pchnął drążek sterowy. Dym, gorąco i spaliny z silników Kurta uderzyły w kokpit, ale nie doszło do kolizji samolotów.

Kurt wzbił się w ostatniej chwili i zyskał kawałek cennej przestrzeni. Pilot atakowanego odrzutowca drgnął odruchowo i turbulencja za prawie szesnastotonową maszyną, która przeleciała obok, posłała ich w lewo i w dół ku falom.

- W górę! - krzyknął Jinn. - W górę!

Pilot wypoziomował skrzydła i przyciągnął drążek do siebie. Samolot śmignął nad wodą, musnął ją jak puszczone kamieniem kaczka i wzniósł się z powrotem ku niebu.

- Wyszli z tego - oznajmiła Leilani, wyglądając przez boczne okno. - Jakoś z tego wyszli.

Kurt pomyślał o zawróceniu do następnego podejścia, ale był już w jednej linii z drugim samolotem. Plan A nie wypalił, i teraz, gdy tamta maszyna wznosiła się powyżej trzystu metrów i przyspieszała, znów by się nie powiodł. Kurt musiał jednak coś zrobić.

Wykorzystał swoją prędkość, by wzbic się ponad drugi odrzutowiec, i nabrał wysokości szybciej niż on. Kiedy znalazł się wyżej, skręcił, wziął kurs na niego i zaczął się zbliżać na jego godzinie siódmej.

Przez moment nie wiedział, co zrobić. Ale przyszedł mu do głowy taki świetny pomysł, że sam poklepałby się po ramieniu, gdyby mógł.

Rozejrzał się po kokpicie. Wśród mnóstwa wskaźników, przełączników i ekranów dostrzegł to, czego szukał.

- Chwyć tamtą dźwignię - poleciał i pokazał którą.

Leilani położyła dłoń na grubym metalowym pręcie w czarno-żółte paski ostrzegawcze.

- Przygotuj się do pociągnięcia jej!

Kiedy Kurt zbliżył się do swojej ofiary, samolot zaczął dygotać. Strumień powietrza za ściganym odrzutowcem powodował, że Kurt czuł się jak narciarz wodny przecinający kilwater motorówki. Został z tyłu, wznosił się ponad turbulencję i po dziesięciu sekundach znów przyspieszył w kierunku uciekającej maszyny, jakby miał otworzyć do niej ogień.

Znalazł się nad nią, tym razem wyżej niż poprzednio.

- Teraz!

Leilani szarpnęła dźwignię w dół.

Rozległ się głośny szum i Kurt poczuł, jak dziób się podrywa i samolot idzie w górę.

Za ogonem pojawiła się chmura szarej pary, została porwana do tyłu i trafiła w drugi odrzutowiec. Mimo wyglądu oparu środek wypuszczonej mieszanki był zwartą masą. Prawie pięć i pół tony wody i nanobotów uderzyło w kokpit, roztrzaskało przednią szybę i zmiażdżyło pilotów niczym fala przyływu.

Reszta ładunku omiotła prawe skrzydło i silnik. Turbowentylator eksplodował na skutek kolizji, łopatki sprężarki i inne elementy wystrzeliły na zewnątrz przez obudowę.

Woda obciążyła prawe skrzydło bardziej niż lewe, przechyliła je w dół i przyhamowała. Samolot się obrócił i spikował ku morzu. Spadł na powierzchnię oceanu kilka sekund później i przekoziołkował po niej. Przełamał się i posłał ludzi, ładunek i kawałki metalu we wszystkie strony.

Kurt uświadomił sobie, że właśnie zrzucił część nanobotów Jinna do morza, ale tylko tę broń miał. Zatoczył łuk w prawo, zauważył katastrofę i natychmiast zaczął szukać wzrokiem ocalałej maszyny, żeby jego i Leilani nie spotkał taki sam los.

Nagle ktoś odezwał się przez radio. Kurt rozpoznał głos Gamay Trout.

Gamay Trout siedziała przy konsoli radiooperatora w centrum łączności Aqua-Terry. Zimny wylot lufy pistoletu przywierał do jej potylicy.

- Mów do niego! - zażądała ostro Zarrina. - Powiedz mu, że ma się poddać, bo inaczej zabiję was wszystkich. Twój mąż umrze pierwszy.

Paula zmuszono do położenia się na podłodze. Matson trzymał stopę na dole jego pleców. Celował mu w kark z pistoletu. Uzbrojony Otero stał w pobliżu.

- Mów!

Gamay wzięła mikrofon, który położyli przed nią. Nacisnęła przycisk nadawania.

- Kurt, tu Gamay. Słyszysz mnie?

Minęło kilka sekund, zanim głos Kurta zabrzmiał w jej słuchawkach.

- Gamay, atakują was. Ukryjcie się. Niech Marchetti uruchomi roboty.

- Powiedz mu, żeby się poddał! - rozkazała Zarrina.

Gamay zerknęła przez okno. Zobaczyła, jak jeden z odrzutowców spada, a dwa pozostałe się wznoszą i skręcają, jeden najwyraźniej w pościgu za drugim, ale nie wiedziała, kto kogo goni.

Zarrina popchnęła jej głowę do przodu lufą pistoletu.

- Nie będę powtarzać.

Gamay miała mikrofon w rękę, ale wciąż się wahała.

- Zabij go! - zwróciła się Zarrina do Otera.

- Zaczekajcie! - krzyknęła Gamay. Nacisnęła i przytrzymała przycisk nadawania.

- Kurt, tu Gamay - zaczęła jeszcze raz. - Już nas mają. Jesteśmy w areszcie. Zabiją nas, jeśli nie wylądujesz i się nie poddasz.

Nastąpiła cisza. Gamay popatrzyła przez okno. Jeden z samolotów przestał manewrować. Domyśliła się, że to Kurt. Drugi odrzutowiec zbliżał się do niego.

Obserwowała to przez moment, po czym znów nacisnęła przycisk.

- Uważaj! - krzyknęła. - Są na twojej...

Nie dokończyła zdania, bo Zarrina zrzuciła ją z krzesła. Wpadła na ścianę i zerwała się, gotowa zadać cios, ale dostała kopniaka w brzuch, straciła oddech i osunęła się na ziemię.

Dostrzegła przez okno, jak dwa samoloty niemal się zderzyły. Jeden przeciął drogę drugiemu, rozdzieliły się i znów znalazły na kursie kolizyjnym. Jeden z nich zaczął ciągnąć za sobą smugę czarnego dymu.

Kurt zareagował na ostrzeżenie Gamay tak szybko jak mógł. Skręcił w lewo i o mało nie uderzył w samolot Jinna. Pchnął drążek w prawo, przechylił maszynę i usłyszał, jak pociski dziurawią kadłub.

Odrzutowiec Jinna wykonywał taki sam manewr. Jego ludzie strzelali z karabinów maszynowych kaliber 12,7 milimetrów przez otwarte drzwi ładowni.

Kurt zawrócił w ich kierunku. Tory dwóch samolotów się przecięły i omal nie doszło do kolizji po raz trzeci. Kiedy Kurt

odbił w bok i zaczął uciekać, bateria lampek ostrzegawczych rozbłysła w kokpicie. Opuścił dziób, żeby nabrać prędkości, trzymał przepustnice przy ogranicznikach i schowane klapy, których w ogóle nie używał.

Samolot przyspieszył i Kurt wziął kurs na południowy zachód. Różne lampki ostrzegawcze wciąż błyskały, ale wydawało się, że nie sygnalizują nic katastrofalnego.

Skierował się w lewo, potem znów w prawo, przypominając sobie starą zasadę, którą kiedyś usłyszał od byłego pilota myśliwskiego: „Kto leci prosto, ten ginie”.

Po kilku takich manewrach nadal nie widział odrzutowca Jinna.

Wypoziomował maszynę i utrzymywał pełną szybkość. Skręcił lekko na zachód. Na razie wszystko dobrze. Ale wciąż ani śladu Jinna.

- Widzisz go? - krzyknął.

Leilani rozglądała się dookoła, szukając wzrokiem drugiego samolotu. Kurt skręcił w prawo w nadziei, że ułatwi jej zadanie.

- Nie - zaprzeczyła. - Zaczekaj... tak. Jest za nami. - W jej głosie brzmiało podniecenie. - Chyba zostaje z tyłu. Schodzi niżej.

Coś tu nie grało.

- Jesteś pewna?

- Tak, oddaliśmy się od niego. Zdaje się, że ląduje.

Kurt nie mógł uwierzyć w ich szczęście. Zastanawiał się, dlaczego Jinn dał mu spokój.

Głos Zarriny doszedł przez radio.

- Austin, wyląduj i poddaj się, bo inaczej zabiję twoich przyjaciół.

Nie wyłączyła mikrofonu i Kurt usłyszał, jak ktoś jęknął z bólu, a potem krzyknął.

- Zrób im coś, to będziesz martwa - odpowiedział groźbą na groźbę.

Kurt mógł tylko uciec, nie miał wyboru. Poddanie się nie uratowałoby życia jego przyjaciółom. Oznaczałoby po prostu,

że nie będzie żadnych świadków zabójstwa. Ale udana ucieczka odwróciła sytuację. Zarrina i Jinn musieli się liczyć z konsekwencjami. Czasami takie myśli chronią więźniów, którzy inaczej zostaliby zlikwidowani.

- Jeśli im coś zrobisz, to nie będzie takiego miejsca na świecie, w którym cię nie dopadnę.

Rozbłysło nad nim więcej lampek ostrzegawczych. Zakłócenia i sprzężenie rozległy się w słuchawkach.

- Nie mogę się doczekać - odparła Zarrina. Padł strzał, połączenie zostało przerwane i panel COM-1 pociemniał. Kurt przestawił przełącznik kilka razy, ale bez skutku.

- Radio wysiadło - oznajmił.

- Co zrobimy? - zapytała Leilani.

- Polecimy na południowy zachód zgodnie z pierwotnym planem.

Miał nadzieję, że nie poświęcił Troutów, ale nie miał innego wyjścia. Musieli dotrzeć na Seszele lub przynajmniej do jakiegoś statku na którymś ze szlaków żeglugowych. Mogliby dać mu sygnał i usiąść na wodzie w pobliżu, ale tak czy inaczej musieli się oddalić od Aqua-Terry.

Furia w oczach Jinna al-Khalifa mogłaby topić stal. Odległość między jego samolotem a maszyną Austina wciąż rosła. Austin uciekał z kobietą, którą on pragnął osiąść, i - co ważniejsze - z wiedzą, gdzie Jinn miał zamiar się przenieść, a to musiało pozostać tajemnicą.

- Dlaczego są szybsi niż my? - zapytał ostro Jinn.

- Wyrzucił ładunek - odrzekł pilot. - Są o sześć ton lżejsi od nas. Co najmniej o trzydzieści węzłów szybsi. Jeśli mamy ich dogonić, też musimy się pozbyć ładunku. Inaczej będziemy tracić do nich około kilometra na minutę.

Jinn to rozważył. I tak miał już poczucie porażki. Jeden samolot strącony, drugi w rękach wroga, którego chciał zabić. Dwa ładunki stracone, nie wiadomo, jaki procent nanobotów przetrwał zrzut.

- Nawet jeśli pozbedziemy się ładunku - dodał pilot - to najwyżej osiągniemy jego prędkość. Nie dogonimy go.
- Jinn wpadł na lepszy pomysł. Odpiął pas bezpieczeństwa.
- Ląduj! - rozkazał. - Natychmiast.

ROZDZIAŁ 37

Kurt leciał na zachód i oddalał się od Aqua-Terry. Przyciągnął lekko drążek do siebie i wzniosł się łagodnie, próbując wycisnąć z maszyny tak dużo, jak się dało. Był rozgoryczony, zły i obojętny na wszystko oprócz tego, żeby uciec i poinformować władze o tym, co zamierza Jinn. Szczypanie oczu wyrwało go z tego stanu.

- Coś się pali - powiedziała Leilani.

Kurt się rozejrzał. Dym wypełniał kokpit. Zaświeciła się bateria nowych lampek ostrzegawczych. Samolot zaczął się trząść, drążek poruszał się opornie. Kurt zmagął się z nim przez chwilę, ale wyglądało to na awarię hydrauliki.

Komputerowy głos znów się odezwał, tym razem nie instruując, lecz alarmując: „Przeciągnięcie. Przeciągnięcie. Przeciągnięcie”.

Kurt wypoziomował i komunikat umilkł, ale na tym problem się nie skończył.

Po chwili wydawało się, że każde urządzenie w kokpicie błyska lub dźwięczy alarmująco. Kurt nie miał pojęcia, które co sygnalizuje, poza oczywistym.

- Czas się ewakuować - oznajmił.

Wdusił przycisk autopilota i zerwał się z fotela. On i Leilani w mgnieniu oka opuścili się po drabinie i pobiegli przez ładownię.

- Wskakuj! - krzyknął Kurt, wskazując łódź hybrydową blisko ogona samolotu. Przy dygocie odrzutowca znalazł dźwignię klapy ładowni i przestawił ją. Pochylnia zaczęła opadać, wiatr

wdzierał się ze świstem do środka. Dym i opary nafty lotniczej wirowały wokół nich.

- Obróć się! - zawołał Kurt do Leilani. - Nogi do przodu.

Kiedy Leilani to zrobiła, samolot zaczął drżeć, jakby napotkał silną turbulencję, Kurt się domyślał, że hydraulika wysiada i autopilot próbuje kompensować jej złe działanie.

Odpiął pasy mocujące, przycisnął łódź do podłogi i wgramolił się do niej. Znalazł się na Leilani i - ku swemu zaskoczeniu - na strażniku, którego pozbawił przytomności godzinę temu.

- Trzymaj się! - krzyknął, otoczył Leilani ramionami i zła pał się uchwytu w pawęży tak mocno, że zbiełały mu knykie.

Ruchem nadgarstka uwolnił spadochron hamujący.

Piloci został wyspany pierwszy i wyciągnął resztę spadochronów z ich paczek. Łódź wystrzeliła do tyłu i zatrzymała się kilka centymetrów od krawędzi pochylni.

Kurt spojrział w górę. Trzeci pas mocujący, którego nie zauważył, biegł od dziobu łodzi do złącza pośrodku ładowni. Był naprężony jak smycz rozjuszonego pitbulteriera i nie wyglądało na to, żeby miał pęknąć.

Zanim samolot Jinna usiadł na wodzie, on sam stał w ładowni z wyrzutnią raketową na ramieniu i mierzył w odrzutowiec Kurta widoczny jako mały punkt na niebie.

Włączył celownik. System zlokalizował ciepło wydzielane przez uciekającą maszynę Austina. Zielone światełko i wysoki dźwięk zasygnalizowały, że cel jest namierzony.

- Nie! - ostrzegł pilot.

Jinn ściągnął spust. Pocisk wystrzelił z wyrzutni nad wodę. Materiał pędny się zapalił i pomarańczowa smuga ognia pomknęła w dal. Jinn obserwował, jak blask z dyszy rakiety zbliża się do uciekającej maszyny Austina. Odliczył dziesięć sekund.

Samolot Kurta płonął i rozpadał się wokół nich. Zbuntowany pas mocujący trzymał ich przy samolocie. Sześciusetmetrowa

przepaść czekała, ale spadochrony, dzięki którym mieli bezpiecznie opaść w dół, mogły się podrzeć lada moment. Kurt musiał zadziałać.

Podniósł się, wyjął pistolet i wepchnął stopę pod związanego bandziora. Złapał się mocno lewą ręką jednego z uchwytów dla pasażerów łodzi i strzelił prawą.

Pocisk przebił nylon. Pas pękł na pół i łódź znów szarpnęła do tyłu, jakby jakiś olbrzym wyciągnął ją z odrzutowca.

Przez chwilę widzieli światło dzienne, ale dym za samolotem ich otoczył, a potem nastąpił błysk, rozległ się huk eksplozji i fala uderzeniowa zatrzęsała niebem. Skłębiona chmura płonącej ropy lotniczej rozprzestrzeniła się na wszystkie strony przed nimi i gęsty czarny dym wypełnił powietrze.

Łódź, na szczęście nadal przyczepiona do spadochronów, zanurzyła się w dymie i pomknęła naprzód i w dół jak strzała.

Jinn widział, jak pocisk raketowy trafia w samolot Austina. Po pierwszym wybuchu nastąpiły dwa kolejne, silniejsze. Kłęby czarnego dymu zasnuły niebo we wszystkich kierunkach. Płonące szczątki poszybowały łukiem w dół niczym spadające komety, pozostawiając smugi dymu nad ciemnym horyzontem.

Jinna dzieliło od eksplozji co najmniej pięć mil morskich. Żałował tylko tego, że nie mógł zobaczyć z bliska, jak Austin ginie w płomieniach z poczerniałą, schodzącą płatem skórą. Mimo to był zadowolony i całkowicie pewien, że nawet Kurt Austin nie mógł przeżyć tej katastrofy.

Wbrew przekonaniu Jinna Kurt żył. Poczł gorąco detonacji i natychmiast się zorientował, że samolot eksplodował, choć nie wiedział o rakiecie Jinna. Nie dbał o to. Obchodziło go tylko to, żeby się trzymać, gdy on, Leilani i ich więzień opadali ku morzu w łodzi hybrydowej.

Mała łódź poszybowała niemal płasko na kilu jak strzałka rzucona w tarczę. Ale spadochrony przyczepione do jej rufy

miały za zadanie spowolnić ją zaraz po zrzuceniu z samolotu, a nie umożliwić jej bezpieczny upadek z dużej wysokości. Gdy prędkość i pęd łodzi zmalały, dziób zaczął się opuszczać.

Zanim dostali się w chmurę dymu, sunęli w dół pod kątem około piętnastu stopni, a spadochrony ciągnęły się za nimi jak pierzaste lotki strzałki. Nie przypominało to w niczym normalnego skoku ze spadochronem, bardziej zjazd na toboganie narciarską trasą oznaczoną czarnym rombem.

Łódź dygotała, drżała i kąt jej pochylenia rósł. Zdawało się, że jeden ze spadochronów za nimi został trafiony jakimś odłamkiem i rozdarł się w połowie. Z przodu Kurt widział tylko dym i ciemność.

Nagle ukazała się powierzchnia oceanu. Dziób łodzi uderzył w nią, zanurzył się i zaraz wystrzelił do góry. Kurt został wyrzucony w powietrze, ale trzymał się uchwytu jak ujeżdżacz byków na rodeo i zdołał opaść do łodzi.

Pokonali ślizgiem około czterdziestu metrów, zanim się zatrzymali i spadochrony spoczęły na wodzie za nimi.

Wylądowali wśród szczątków rozerwanego samolotu. Otaczał ich dym, plamy nafty lotniczej płonęły na morzu, kawałeczki izolacji odrzutowca sypały się z góry jak konfetti.

Przez kilka sekund Kurt i Leilani milczeli. Siedzieli w łodzi i wciąż trzymali się uchwytów na dłonie. Więzień, który nie mógł wiedzieć, co się wydarzyło, patrzył na nich oczami jak spodki.

W końcu Kurt się puścił i rozejrzał wokół.

- Nie mogę uwierzyć, że żyjemy - wykrztusiła Leilani.

Kurt też nie mógł. Czuł wyraźnie, że los im sprzyja.

- Nie tylko żyjemy - odrzekł - ale jesteśmy w łodzi wyposażonej w silnik.

Przeniósł się na rufę i sprawdził ilość paliwa. Chciał odzyskać spadochrony, ale uświadomił sobie, że jak się czegoś pozbędzie, to już tego nie odzyska, a odkryta łódź nie zapewnia żadnego cienia. Chwycił linki i wciągnął je na pokład.

- Złóżmy je - powiedział do Leilani. - Mogą nam się przydać później. I poszukaj czegoś do wybrania wody.

Dobre siedemdziesiąt pięć litrów chlupotało w łodzi.

Kiedy Leilani owinęła nylonowe spadochrony linkami i wepchnęła je w przestrzeń blisko dziobu łodzi, Kurt przygotował silnik do rozruchu. Motor odpalił przy trzeciej próbie i wkrótce pracował równo.

Kurt obrócił pokrętko przepustnicy i wziął kurs na zachód między płomieniami i przez dym.

Wyłonili się po drugiej stronie zdymionej strefy i poczuli wspaniałe w czystym powietrzu.

- Dokąd płyniemy? - zapytała Leilani.

- Jak najdalej od tamtych - odparł Kurt. Miał nadzieję, że przez jakiś czas będą niewidoczni z Aqua-Terry za zasłoną dymu i ognia.

- Ale w tym nie dotrzemy na Seszele.

- Nie, ale może dopłyniemy do jakiegoś szlaku żeglugowego i zdołamy zorganizować pomoc.

Mieli pół zbiornika paliwa. Sądząc po zapachu, reszta wyciekła w drodze na dół. Kurt nie wiedział, jak daleko uda im się dopłynąć. Po przebyciu pewnej odległości zamierzał przymknąć przepustnicę, żeby oszczędzać paliwo, ale na razie trzymał ją maksymalnie otwartą i mała łódź pędziła jak wiatr po spokojnym szarym morzu.

Wszystko wydawało się w porządku przez około czterdzieści minut, dopóki Kurt nie zauważył, jak Leilani ściska boczną komorę powietrzną łodzi niczym klient melona w supermarkecie.

- Co jest?

Nie odrywała wzroku od komory.

- Chyba mamy nieszczelność.

- Nieszczelność?

Skinęła głową.

- Powietrze uchodzi.

ROZDZIAŁ 38

Kurt utrzymywał kierunek na zachód, Leilani szukała nieszczęsności i sposobu na jej zlikwidowanie.

- Co widzisz?

- Jakieś pół tuzina maleńkich dziurek - odrzekła. - Czuję, jak powietrze wydostaje się przez nie.

Przywołał ją gestem na rufę.

- Zastąp mnie na chwilę.

Zamienili się miejscami i Kurt spojrział na to, co odkryła. Osiem otworków, niektóre tak mikroskopijne, że wystarczyło ścisnąć gumę, by powietrze przestało uchodzić.

- Jak myślisz, co się stało? - zapytała Leilani.

Dziurki były rozsiane nieregularnie od dziobu do rufy.

- Odłamki z samolotu - zaczął - albo nawet kropelki płonącej ropy lotniczej. Guma wygląda na przepaloną w jednym czy dwóch punktach.

Kurt przesunął dłońmi po innych komorach powietrznych, pneumatycznych gumowych tubach o długości prawie dwóch i pół metra i średnicy nieco ponad czterdziestu centymetrów. Były cztery, dwie z przodu, które biegły prosto, a potem skręcały ku sobie, łączyły się i tworzyły tępy dziób, oraz dwie z tyłu, jedna po każdej stronie. Zakończenie rufy stanowiła metalowa pawęż z zamontowanym na niej silnikiem przyczepnym.

Znalazł jeszcze dwa maleńkie otworki, oba w prawej przedniej komorze. Co gorsza, zobaczył niewielkie kropki tu i tam. Sądząc po wyglądzie, mogły być dodatkowymi śladami pozostawionymi przez odłamki lub paliwo. Zastanawiał się, kiedy guma w tych miejscach puści.

- Jak to wygląda? - spytała Leilani.

Więzień też wydawał się tym zainteresowany. Był zakneblowany, ale uszu nie miał zatkanych.

- Lewa strona wydaje się w porządku - odpowiedział Kurt. - Ale to nam nie pomoże, jeśli cała prawa sflaczeje.

Dwa niewielkie schowki były ulokowane w pokładzie blisko dziobu. Kurt otworzył oba, ale znalazł tylko jedną kamizelkę ratunkową, parę flar, małą kotwicę i trochę liny.

- Gumowa łódź bez pompki i zestawu naprawczego - mruknął. - Ktoś usłyszy od mojego adwokata.

- Może powinniśmy zawrócić - podsunęła Leilani. - Dobić do tamtej pływającej wyspy i się poddać.

- Chcesz znów być więźniem? - zapytał Kurt.

- Nie - zaprzeczyła. - Ale nie chcę utonąć.

- Nie utoniemy, nawet jeśli obie sflaczeją - zapewnił.

- Ale będziemy się trzymać kurczowo lewej strony jak robotkowie ze statku.

- Lepšie to niż czekanie, aż Jinn nas zastrzeli - zauważył. - Poza tym muszę wygrać pewien zakład. Trzeba płynąć, dopóki nie znajdziemy jakiejś pomocy.

- A jeśli nie znajdziemy?

- Znajdziemy - uspokoił ją Kurt z przekonaniem.

Sięgnął do schowka, wyjął flary i wetknął je do kieszeni u piersi obok lornetki. Wziął kamizelkę ratunkową i wręczył ją Leilani.

- Włóż to - polecił. - Bez obaw, tylko na wszelki wypadek.

Następnie wydobył prawie siedmiokilogramową kotwicę patentową Danfortha przyczepioną dużym karabińczykiem do liny kotwicznej. Odczepił kotwicę od liny i przyczepił ją do więzów krępujących nogi więźnia. Mężczyzna spojrział na niego z przerażeniem.

- To też tylko na wszelki wypadek - powiedział Kurt.

Mina mężczyzny nie wskazywała, że uwierzył.

Kurt zdjął mu knebel.

- Wiem, że nas rozumiesz. Mówisz też po angielsku?

Mężczyzna przytaknął.

- Mówię... trochę.

- Pewnie nie czytałeś książki *Hans Brinker lub Srebrne Łyżwy*?

Mężczyzna popatrzył na niego tępo.

- Ta łódź tonie - wyjaśnił Kurt - powietrze z niej uchodzi. Mogę cię wyrzucić za burtę, żeby ją odciążyć, albo zaproponować, żebyś nam pomógł.

- Pomogę - obiecał mężczyzna. - Tak, tak, chcę pomóc.

- Kotwica przy twoich nogach jest po to, żebyś nie próbował niczego głupiego - wytłumaczył Kurt, po czym wskazał przednią komorę. - Masz zasłonić te dwie dziury i nie wypuszczać powietrza.

Mężczyzna skinął głową.

- Potrafię to zrobić. Absolutnie.

- To dobrze - odrzekł Kurt - bo jeśli nie, to uderzysz w dno morza szybciej niż reszta z nas.

Poluzował liny wokół nadgarstków mężczyzny i oswobodził mu ręce.

- Jak się nazywasz?

- Izmael.

- Super - warknął Kurt. - Jak byśmy nie mieli dość problemów. Miejmy nadzieję, że nie spotkamy jakiegoś rozjuszonego białego wieloryba.

Z nogami wciąż związanymi razem i przyczepionymi do kotwicy, Izmael się obrócił i przesunął na dziób łodzi. Położył dłonie na dwóch wskazanych przez Kurta nieszczelnościach.

- Naciśnij i trzymaj - nakazał Kurt.

Izmael przycisnął palce do otworków. Po kilku sekundach obejrzał się za siebie z uśmiechem.

- Doskonałe.

- A co z innymi nieszczelnościami? - zapytała Leilani.

- Wezmę pierwszą zmianę - oznajmił Kurt, próbując rozczepić palce jak pianista - a ty trzymaj kurs na zachód.

On i Leilani zamienili się miejscami dwa razy w ciągu następnych trzech godzin, ale powietrze nadal uchodziło z tylnej

komory i łódź zaczęła się przechylać na prawą burzę, a narożnik rufy zanurzać. Od czasu do czasu woda morska wlewała się do środka i moczyła tego, kto akurat zatykał nieszczelność, i obciążała łódź coraz bardziej.

Na szczęście Ocean Indyjski to najspokojniejsze z głównych mórz świata i fale miały najwyżej trzydzieści centymetrów wysokości. Kurt przekonał się, że niższa prędkość zmniejsza nieszczelności do minimum, i cofnął trochę przepustnicę.

Nadeszło południe i wciąż znikąd nie było widać pomocy, nawet smugi dymu na horyzoncie. Słońce stało wysoko, silnik zaczął przerywać i Kurt musiał go wyłączyć.

- Koniec benzyny - domyśliła się Leilani.

- Mamy jeszcze jakieś cztery litry w zapasie - odpowiedział i wskazał zawór odcinający na przewodzie paliwowym, który umożliwił przełączenie się na rezerwę. - Ale musimy oszczędzać.

- Na co? - spytała.

- Przypuśćmy, że zobaczymy jakiś statek na horyzoncie. Będziemy chcieli dopłynąć do niego, przeciąć mu drogę albo przynajmniej zrównać się z nim.

Skinęła głową.

- Jasne. Przepraszam.

Uśmiechnął się.

- Nie ma za co.

Po wyłączeniu silnika panowała przygnębiająca, złowroźna cisza, która zdawała się zwiastować ich ostateczny los. Nie było wiatru. Słyszeli tylko plusk uderzających w burty łodzi fal.

Kołysali się w tej ciszy na wodzie, troje ludzi w niespełna pięciometrowej łodzi pneumatycznej na milionach kilometrów kwadratowych oceanu.

- Co teraz? - zapytała Leilani.

- Teraz poczekamy - odparł cierpliwie Kurt - i zobaczymy, co fortuna ma dla nas w zanadru.

ROZDZIAŁ 39

Joe Zavala spędził piętnaście godzin w ładowni nieznanego statku, mając jedynie kilka ciężarówek i niezliczone miliardy nanobotów do towarzystwa. Ktoś inny mógłby dostać obłędu, poddać się i walić w drzwi, żeby go wypuszczono. Joe dobrze wykorzystał ten czas.

Przeszukał dokładnie każdą ciężarówkę. Znalazł trzy butelki wody, dwie wypił, trzecią zostawił na później. Natrafił też na plastikową torbę z zapęciem strunowym pełną jakiegoś suszonego mięsa. Wołowiną to nie było, ale koziną, wielbłądziną lub jagnięciną mogło być. Zjadł tyle, ile mógł, a resztę odłożył z powrotem.

Zmierzył pomieszczenie, zajrzał pod maski ciężarówek i wymyślił parę alternatywnych planów. Rozważał nawet sabotaż - mógł pomajstrować przy układach zasilania lub instalacjach elektrycznych albo poluzować korki misek olejowych, żeby samochody nie zapaliły lub się zepsuły krótko po wyruszeniu.

Zrezygnował z tego. Gdyby unieruchomił ciężarówki, nie wy dostałby się ze statku. Gdyby zjechały na ląd i rozkraczyły się po trzydziestu kilometrach, mógłby utknąć w gorszym miejscu niż Jemen, otoczony przez agresywnych bojowników na dodatek.

Zastanawiał się nad ucieczką. Wielkie drzwi były zaryglowane, ale oceniał, że mógłby je sforsować mocą tych wszystkich koni mechanicznych, którymi dysponował. Tylko co dalej? Sądząc po tym, jak wjeżdżali na frachtowiec, i śladach opon na podłodze, znajdował się blisko rufy jakiegoś statku. Czegoś w rodzaju promu samochodowego.

O tym, że to nie rorowiec, świadczył brak wyjazdu z przodu, ale statek zdecydowanie służył do przewozu pojazdów. Sposób, w jaki się kołysał i przechylał, sugerował, że nie jest duży, co oznaczało prawdopodobnie niezbyt daleką podróż.

Joe postanowił nie uciekać. Jedyna droga prowadziła za burtę. Zdrzemnął się z tyłu pierwszej ciężarówki i obudził, gdy usłyszał kroki na pokładach powyżej.

Wyczuł, że statek zwalnia i manewruje na niewielkiej przestrzeni.

Odgłosy syren i gwizdków innych statków wskazywały, że są blisko jakiejś przystani lub portu. Joe uznał, że nadszedł czas działania. Jeśli statek zacumuje w tym tajemniczym porcie, wymknie się na łód, nawet jeśli nie jest to punkt docelowy konwoju.

W końcu szcęk dobiegł od tylnych drzwi. Ktoś otwierał ciężką kłódkę. Chwilę później światło wpadło do ładowni, gdy drzwi zaczęły się odsuwać.

ROZDZIAŁ 40

Było późne popołudnie. Słońce chyliło się ku zachodowi. Jinn zawładnął pływającą wyspą, wprowadzając na pokład trzydziestu ludzi z ciężkimi karabinami maszynowymi, granatnikami, a nawet tuzinem pocisków ziemia-powietrze. Z wyjątkiem jednego, który wystrzelił w samolot Kurta Austina.

Latająca łódź czekała, zatankowana, w marinie, na wypadek gdyby musiał szybko opuścić Aqua-Terre. Czuł się bezpiecznie i pewnie. Tutaj mógł się nie przejmować Xhou i pozostałymi członkami konsorcjum i nie obawiać Amerykanów, którzy nadal nie znali jego planów i metod działania.

Sukces napawał go dumą. Stał na tarasie widokowym centrum sterowania Aqua-Terry. Denerwujący Amerykanie i włoski miliarder znajdowali się blisko krawędzi z rękami przymocowanymi do balustrady przed nimi. Zarrina z paroma ludźmi Jinna stała za nimi. Otero siedział w centrum sterowania tuż za progiem z palcami na klawiaturze laptopa.

- Pewnie się zastanawiacie, dlaczego jeszcze żyjecie - zagadnął Jinn troje swoich najważniejszych więźniów.

- Żyjemy, bo jesteśmy ci potrzebni - odrzekł wysoki mężczyzna, który najwyraźniej mówił za pozostałych. - Do udawania, że wszystko jest tutaj w najlepszym porządku, gdyby ktoś zadzwonił. Co wkrótce nastąpi. Tyle że nikt ci nie pomoże.

Jinn uśmiechnął się drwiąco. Nie byli głupi, ale nie byli też na bieżąco. Podszedł do wysokiego mężczyzny od tyłu.

- Paul, tak?

- Zgadza się.

Jinnowi nie podobało się to, że Paul jest dużo wyższy od niego. Przypomniawszy sobie, jak Sabah mu mówił, że tron królewski był zawsze najwyższym krzesłem w sali i że szach Iranu miał zwyczaj brylować w salonie, gdzie stało tylko jedno krzesło, jego krzesło. Wszyscy musieli stać, podczas gdy on siedział o głowę wyżej od nich.

Jinn kopnął Amerykanina w tył kolan szpiczastym czubkiem buta i ściał go z nóg.

Zaskoczony mężczyzna jęknął z bólu. Poleciał do przodu i uderzył podbródkiem w balustradę. Przegryzł sobie wargę i krew wypełniła mu usta.

- Tak lepiej - stwierdził Jinn, górując nad klęczącym teraz mężczyzną. - Nie musisz wstawać, nie fatyguj się.

- Ty draniu - odezwała się kobieta.

- A, wierna żona - powiedział Jinn. - Oto, dlaczego wiem, że zrobicie, co wam każę. Ponieważ jeśli jedno z was się sprzeciwi, zadam ból drugiemu.

- Nie musisz tego robić - wtrącił się Marchetti. - Zapłacę ci za uwolnienie nas i mojej załogi. Mogę dać ci majątek. Mam prawie sto milionów w środkach płynnych. Matson i Otero nie mają dostępu do tych pieniędzy. Wypuść nas.

- Dawno temu słyszałem, jak ktoś składał podobną propozycję - odparł Jinn. - „Wszystko, co mam, za jedno dziecko”. Teraz

rozumiem, dlaczego została odrzucona. Twoja oferta to kropla w morzu potrzeb. Jest dla mnie bez znaczenia.

Jinn odwrócił się z powrotem w stronę centrum sterowania i nawiązał kontakt wzrokowy z Oterem.

- Nadszedł czas. Daj chmarze sygnał do wynurzenia się.
- Jesteś zdecydowany? - zapytała Zarrina.

Jinn czekał już wystarczająco długo.

- Nasze możliwości oddziaływania na pogodę ograniczało trzymanie chmury pod powierzchnią. Żeby osiągnąć cel, nie mówiąc o spełnieniu obietnic, musimy szybciej ochładzać ocean.

- A co z amerykańskimi satelitami? Jeśli zauważą skutek, będziemy mieli większe problemy niż zajmowanie się tymi ludźmi z NUMA.

- Otero ustalił trasę i pułap każdego satelity szpiegowskiego i meteorologicznego przelatującego nad tą częścią oceanu. Stąd możemy wydawać chmarze polecenia wznoszenia się i opadania z powrotem w dużo precyzyjniej określonych odstępach czasu niż z Jemenu. Będzie się ukazywała, kiedy nikt jej nie zobaczy, i znikala, zanim oczy świata zwrócą się w jej stronę.

- Skomplikowane - oceniła.

- Mniej niż myślisz - zapewnił Jinn. - To pełne morze. Poza sporadycznie przepływającymi okrętami wojennymi nie ma na co patrzeć. Satelity szpiegowskie operują daleko na północy, obserwują wojska i pola naftowe na Bliskim Wschodzie. Przyglądają się Iranowi, Syrii i Irakowi, liczą rosyjskie czołgi i samoloty w rejonie Morza Kaspijskiego lub amerykańskie grupy bojowe w Zatoce Perskiej.

Spojrzał na Otera.

- Jak długie jest obecne okienko?

Otero sprawdził w komputerze.

- Mamy pięćdziesiąt trzy minuty do wejścia następnego satelity w zasięg.

- Więc rób, co mówię - rozkazał Jinn.

Otero skinął głową, wywołał ekran sterujący i wpisał dziewięciocyfrowy kod Jinna. Sygnał wysłany wzdłuż linii wzroku miał dotrzeć do horyzontu i tam uruchomić nanoboty na zasadzie efektu domina.

Otero nacisnął klawisz enter.

- Transmisja w toku.

Jinn patrzył w dal na wodę i czekał. Minęła minuta, zanim pojawiła się pierwsza oznaka, ale potem powierzchnia oceanu zaczęła się zmieniać.

Dzień był bezwietrzny, a morze wokół nich gładkie. Ale gdy nanoboty się wynurzyły, przybrało ziarnisty wygląd niczym ustronna zatoka podczas zakwitu wody.

Jinn obserwował, jak zjawisko rozprzestrzenia się we wszystkich kierunkach. Wkrótce osiągnęło granice jego pola widzenia, ale wiedział, że sięga daleko poza nie, co najmniej pięćdziesiąt mil morskich w każdą stronę.

Węższe pasma jego dzieła docierały sto mil dalej i rozpościerały się jak ramiona galaktyki.

- Wydadź im polecenie rozłożenia skrzydeł.

Otero znów zaczął pisać na klawiaturze.

- Instrukcja zakodowana. Wysyłam.

Jinn wyjął drogie okulary przeciwsłoneczne z kieszeni. Spodziewał się, że ciemne szkła będą niezbędne lada moment. Włożył je, kiedy powierzchnia morza zaczęła się zmieniać jeszcze raz.

Fala zdawała się sunąć po niej, niemal jak drzenie. Ołowiana szarość zmatowiała, a potem zaczęła jaśnieć, aż morze wokół nich załśniło niczym lustro. Popołudniowe słońce wciąż stało wysoko i blask oślepiał nawet przez okulary polaryzacyjne.

Jinn zobaczył, jak więźniowie przyglądają się lśnieniu, oniemiali, a potem odwracają się z boleśnie porażonym wzrokiem.

Zmrużył oczy i patrzył przez chwilę z dumnie wypiętą pierśią.

Na morzu biliony jego maleńkich maszyn rozłożyły lustrzane skrzydełka, ukryte dotąd pod pancierzami jak na grzbiecie żuka. Każdy nanobot miał teraz trzykrotnie większą powierzchnię.

Skrzydółka czterokrotnie zwiększyła ilość odbijającego się od oceanu i powracającego do górnych warstw atmosfery światła słonecznego.

Wrażenie było takie, jakby folia odbłaskowa została rozciągnięta na trzynastu tysiącach kilometrów kwadratowych Oceanu Indyjskiego.

Gamay pierwsza zrozumiała.

- W ten sposób zmieniłeś temperaturę wody.

Jinn przytaknął.

- Ochłodzenie będzie teraz następowało szybciej. Te wody już są o ponad dwa stopnie Celsjusza zimniejsze niż kiedykolwiek były o tej porze roku. Według moich obliczeń temperatura na powierzchni spadnie jeszcze o pół stopnia wraz z nadejściem nocy. Co dzień będzie niższa. Wkrótce ogromna studnia schłodzonej wody zajmie środek tego tropikalnego oceanu, natomiast w innej jego części nanoboty robią teraz dokładnie na odwrót, czyli pochłaniają ciepło i utrzymują wysoką temperaturę morza. Różnica temperatur wywoła wiatry, które jednym przyniosą burze, a innym odbiorą wszelką nadzieję na uniknięcie katastrofalnego głodu.

- Jesteś szalony. Zabijesz miliony ludzi.

- Głód ich zabije - poprawił ją.

Zamilkła. Nikt z pozostałej dwójki się nie odezwał. Wszyscy troje mieli wzrok odwrócony od oślepiającego lśnienia.

Jinn stał w krystalicznym świetle jak w blasku chwały. Z pewnością uzyskał potwierdzenie, dowód na to, że ma boską moc.

- Nie uda ci się - uznał Paul.

- A kto mnie powstrzyma?

- Po pierwsze, mój rząd - odparł Paul. - Rząd Indii, NATO, ONZ. Nikt ci nie pozwoli zagłodzić potowy kontynentu. Twoje skromne siły tutaj nie wytrzymają długo ataku eskadry F-18.

Jinn popatrzył na Paula.

- Kompletnie nie rozumiesz pojęcia potęgi. Owszem, ja i moi ludzie nie liczymy się w skali globalnej. Ale nie tylko wasze kraje

są potęgą. Reszta świata też. Kiedy w Chinach zaczną padać życiodajne deszcze, Chińczycy nie dopuszczą do tego, żeby ONZ, ludzie w New Delhi czy twój rząd pozbawili ich tego daru i zmienili sytuację. Zawetują każdą rezolucję wzywającą do działania, udaremnią wasze wysiłki. Poprą ich kraje Bliskiego Wschodu, Pakistan i Rosja, bo wszystkie będą korzystały z mojego wynalazku, płaciły mi i chroniły mnie w zamian za to, co dostają. Nietrudno będzie je nastawić przeciwko twojemu krajowi. Jeśli myślisz inaczej, to jesteś beznadziejnie naiwny.

- Rzykujesz, że wybuchnie wojna światowa - odrzekła Gama. - Ty też znajdziesz się w jej ogniu.

- Bardziej prawdopodobne, że po prostu wojna licytacyjna.

Napawał się tą chwilą. W ciągu nieco ponad dobę zniszczył swoich wrogów, wewnętrznych i zewnętrznych. Dowiódł swojej pomysłowości i teraz będzie zbierał jej owoce. Pieniądze zaczną napływać z Chin i od nowych partnerów, których pozyskał w Pakistanie i Arabii Saudyjskiej. Kontroferty z Indii i innych krajów sprawią, że rozpocznie się licytacja.

- Nadal będą szukać ciebie i twojego wynaturzonego dzieła - powiedział Paul.

- Jasne, że będą - zgodził się Jinn. - Ale nigdy mnie nie znajdą, i dowiodą, że nie są w stanie unicestwić tego, co stworzyłem, podobnie jak owadów czy bakterii na świecie. Zniszczą miliony nanobotów. Pozostałe biliony będą się wciąż reprodukcja. Bez trudu wykorzystają szczątki unieszkodliwionych sztuk do budowy nowych. Tak funkcjonują. Tak je zaprojektował Marchetti.

Marchetti odwrócił wzrok i pokręcił głową, dręczony żalem.

- Każdy, kto rzuci mi wyzwanie, poniesie tego konsekwencje - dodał Jinn. - Chmara rozprzestrzeni się na cały świat i do trze do jego najdalszych zakątków. Siedem mórz znajdzie się wkrótce pod moją kontrolą. Jeśli ludzie w jakimś kraju okażą się na tyle głupi, że mi się przeciwstawiają lub odmówią płacenia daniny, będą cierpieć. Ich łowiska zostaną zniszczone, źródła

żywności skonsumowane na ich oczach, porty opanowane i za-blokiowane, statki zaatakowane na morzu.

- Dopadną cię - warknął Paul. - Jesteś jak wąż, któremu wystarczy odciąć głowę.

- Będzie lepiej, jeśli zostawią węża w spokoju - odparł Jinn. - Bo już wprowadziłem kod sądneho dnia do systemu sterowania chmarą. Jeśli zginę lub zmusicie mnie, żebym go aktywował, nanoboty zmienią się z precyzyjnie kierowanej broni w plagę o niewyobrażalnych rozmiarach, konsumującą, rosnącą i atakującą wszystko na swojej drodze. Niczym szarańcza nie pozostawią po sobie nic oprócz śmierci.

Dwoje Amerykanów wymieniło spojrzenia. Jeśli Jinn dobrze je ocenił, wyrażały poczucie klęski. Milczenie potwierdziło jego przypuszczenia.

Wytarł czoło. Zaczynał się pocić, bo temperatura powietrza wokół wyspy rosła z powodu ogromnej ilości odbijanej od powierzchni morza energii słonecznej. Powiała bryza, po raz pierwszy od paru dni, ale nie chłodziła i nie orzeźwiała. To był gorący wiatr wywołany przez różnicę temperatur. Zwiastował początek sztormu.

ROZDZIAŁ 41

Po kilku godzinach unoszenia się na wodzie szczęście wciąż nie chciało się uśmiechnąć do Kurta.

Słońce prażyło z góry przez zasłonę z czasz spadochronów. Tylna komora powietrzna osiadła już tak, że próby jej uszczelnienia straciły sens. Łódź miała przechył na ten zanurzony prawy bok niczym samochód z przebitą oponą. Mimo heroicznych wysiłków Izmaela prawa przednia tuba pneumatyczna wyglądała coraz gorzej.

Kurt popatrzył przez małe pęknięcie w czaszy spadochronu jak dziecko przez dziury wycięte w prześcieradle służącym za kostium ducha.

- Nic? - zapytała Leilani.

- Nic - wychrypiał. Mimo wody wypitej w samolocie znów zaschło mu w gardle.

- Może powinniśmy odpalić silnik - powiedziała Leilani. - Chyba nie jesteście na żadnym szlaku żegludowym.

Kurt wiedział to na pewno. Bardzo niewiele statków przecina środek Oceanu Indyjskiego. Miał nadzieję zbliżyć się do Afryki na tyle, żeby się znaleźć na trasie północ-południe z Morza Czerwonego lub na drodze tankowców z Zatoki Perskiej, uczęszczanej przez statki zbyt duże na pokonanie Kanału Sueskiego i zmierzające w kierunku Półwyspu Somalijskiego, zwanego także Rogiem Afryki.

Byli za daleko od tych szlaków. Co najmniej sto mil morskich.

- Nie dołyniemy tam na benzynie, która nam została.

- Ale nie możemy tak po prostu stać tutaj - odrzekła.

- Mamy jakieś cztery litry paliwa - przypomniał. - Nie zużyjemy ich, żeby potem tego żałować.

Leilani popatrzyła na niego ze strachem w oczach. Drżała.

- Nie chcę umrzeć.

- Ja też nie - przyznał. - Izmael również. Prawda, Izmael?

- Prawda - przytaknął Izmael. - Ja nie gotowy na to. Nie gotowy, żeby umrzeć, absolutnie.

- I nie umrzemy - zapewnił Kurt. - Tylko zachowajmy spokój.

Skinęła głową. Nadal siedziała blisko rufy, gdzie starała się zapobiec całkowitemu sflaczeniu komory powietrznej.

- Możesz z powodzeniem przejść na dziób - oznajmił. - Tam już nic nie zrobisz.

Puściła gumową tkaninę i przeniosła się do przodu łodzi na prawą stronę. Kiedy obciążyla dziób, tylny róg uniósł się minimalnie i zanurzenie zmniejszyło się trochę.

Kurt znów wyrzął spod prowizorycznego namiotu. Pozycja słońca wskazywała, że jest około czwartej. Czekał, aż zapadnie noc. Według gwiazd mógłby dokładnie określić, gdzie są, i spróbowałby ułożyć odpowiedni plan.

Popatrzył na horyzont i zaobserwował dziwne zjawisko. Przypominało miraż na drodze przez pustynię. Zamrugał dwa razy, jakby wzrok go zawodził, ale zjawisko tylko przybrało na sile.

Bez dźwięku czy jakiegokolwiek żadnej innej oznaki, że coś się zmieniło, morze zaczęło lśnić. Nie były to słoneczne plamy na wodzie, tak dobrze znane każdemu marynarzowi i malarzowi amatorowi, lecz niemal musowanie.

Najjaśniejsze pojawiło się na zachodzie, w jednej linii z południowym słońcem, ale zobaczył to samo, gdy popatrzył na wschód, północ i południe.

- Kurt! - krzyknęła Leilani. Zajrzał z powrotem pod namiot.
- Ty błyszczysz.

Kurt spojrząłby na siebie, ale zahipnotyzowało go to, co zobaczył na niej. Wyglądała jak pokryta gwiazdnym pyłem.

Izmael miał na sobie podobną powłokę, ale Leilani lśniła najbardziej. Jakby zostali pomalowani farbą odblaskową w spreju.

- Co to jest? - zapytała.

Kurt spojrzął na swoje dłonie i potarł substancję w palcach. Odblaskowy pył rozmazał się jak mokry puder, część odpadła. Kurt widział wyraźnie lśnienie, ale bez względu na to, jak bardzo mrużył oczy, nie mógł dostrzec, co je powoduje. Ani nie czuł tego, nawet przy pocieraniu w palcach. Co oznaczało jedno.

- Nanoboty Jinna - odrzekł.

Wyjaśnił, czym one są, i pokazał, jak morze jest nimi wypełnione. Kiedy popatrzył na wprost, zauważył, że ich koncentracja przypomina łyżkę cukru wysypaną na czarny talerz. Czuł odbijane przez nie ciepło. Wspomnił, że pewną ilość tych mikroskopijnych maszyn znaleźli na katamaranie.

- Są niebezpieczne dla nas? - spytała Leilani.

- Nie sędę - odparł Kurt. Przemilczał to, że nanoboty po chłaniają materię organiczną. Na szczęście te na ich skórze naj wyraźniej nie byty w trybie pożywania się, jak tamte w laboratorium Marchettiego. - Mimo wszystko nie miałbym nic przeciwko temu, żeby wziąć teraz prysznic na jakimś statku.

Leilani spróbowała się uśmiechnąć.

Kurt nie mógł wiedzieć, że znaleźli się blisko skraju chmary Jinna i że jej koncentracja oraz lśnienie, na które patrzą, to nic w porównaniu z widokiem, jaki Paul, Gamay i Marchetti mają z tarasu centrum sterowania Aqua-Terry. Mimo to trudno było mu oderwać wzrok od błyszczącego morza.

Nagle bryza szarpnęła jego rękawem i zmarszczyła czaszę spadochronu. Nie ruszając się, Kurt spojrzął w kierunku dziobu i zobaczył, jak materiał się unosi, osiada miękko i znów unosi.

Wiatr się nasilał i Kurt musiał złapać linki spadochronu, żeby wielka czasza się nie wydeła. Odwrócił się do Leilani.

- Przywiąż ten spadochron do tamtych uchwytów po prawej i ściągnij drugą czaszę.

Leilani już to robiła, nawet go nie zapytawszy. Bryza wiała zza nich i lekko z północy. To był gorący wiatr jak Santa Ana w Kalifornii lub sirocco znad Sahary. Kurt czuł go na plecach jak strumień powietrza z suszarki do włosów, ale nie dbał o to.

On i Leilani uwijali się szybko. Łódź miała pół tuzina oddzielnych uchwytów dla dłoni i dwie knagi na dziobie. Po minucie linki obu spadochronów były przywiązane do tych ośmiu punktów i naprężyły się mocno, gdy bryza wydeła czasze przed dziobem.

Płachty materiału wypełniły się wiatrem jak żagle i łódź ruszyła, ciągnięta przez dwa spadochrony niczym przez parę magicznych koni. Czasze łapały coraz więcej wiatru i łódź nabierała prędkości. Sflaczałe komory powietrzne nie pozwalały jej rozwinąć takiej szybkości jak na silniku, ale przynajmniej płynęła.

Kurt nie miał pojęcia, skąd się wziął wiatr w tym równikowym pasie ciszy, ale nie obchodziło go to. Znów się poruszali, a ruch był lepszy niż stanie w miejscu.

Podmuchy napinały linki i szarpały łodzią do przodu. - Trzymajcie się! - krzyknął Kurt co najmniej trzeci lub czwarty raz tego dnia. - Czuję, że to będzie ostra jazda.

ROZDZIAŁ 42

Areszt Aqua-Terry znajdował się na najniższym poziomie wyspy powyżej linii wodnej. Paul, Gamay i Marchetti znaleźli się z powrotem w luksusowej celi, wszyscy w fatalnej formie. Jinn trzymał ich przywiązanych do balustrady przez dokładnie pięćdziesiąt trzy minuty w odbijającym się od nanobotów blasku słońca, porywach wiatru i upale.

Paul Trout nigdy w życiu nie widział wnętrza solarium, ale taras obserwacyjny wydawał mu się dokładnie czymś takim, z upałem i oślepiającym światłem na dokładkę.

Doznanie było surrealistyczne, gdy odbicia płały po kałużach i budowlach Aqua-Terry, przyprawiając o zawrót głowy, niemal hipnotyzując. Ponieważ maleńkie lusterka poruszały się osobno na wodzie, odbijane przez nie światło też się poruszało osobno, co uniemożliwiało obserwację i przestudiowanie efektu. Paul tylko wyczuwał blask, jakby stał w kłębiącej się mgłę, ale ze świadomością, że jest ona mnóstwem osobnych cząstek pary wodnej, a nie jedną rzeczą.

I podobnie, jak trudno było patrzeć na pokłady i budowle wokół, nie sposób było patrzeć na ocean przez dłuższy czas. Aby chronić oczy, Paul miał je zamknięte przez większość tych pięćdziesięciu trzech minut. W rezultacie powierzchnia oceanu sprawiała na nim głównie wrażenie lśniącej masy, jakby niekończącego się morza brylantów. Drobne zmarszczki przebiegały po niej, tworzone przez niewielkie fale, nieobecne jeszcze godzinę wcześniej. Prądy powietrzne powodowane przez odbijane cie-

pło burzyły błyszczącą powierzchnię, co upodobiało ją do żywej istoty. Oddychała, poruszała się, czekała. Wyglądało to tyleż pięknie, co przerażająco.

W końcu Jinn wydał rozkaz i morze brylantów znów zrobiło się szare. Nanoboty szybko się zanurzyły i ocean wyglądał jak każdy inny na świecie.

- Czuję się tak, jakbym zasnął na plaży - stwierdził Paul, zdumiony tym, jak napiętą i czerwoną ma skórę.

Naprzeciwko niego Marchetti spacerował tam i z powrotem i od czasu do czasu wyglądał przez duże okna, natomiast Gamay siedziała przy nim i próbowała nałożyć mu jakiś balsam pierwszej pomocy na rozciętą wargę i zakrwawiony język.

- Przynajmniej wiemy, jak zmieniają temperaturę wody - odezwał się Marchetti.

- Nie wierę się - poprosiła Paula Gamay.

Trzymała w gotowości wacik i jakąś maść przeciwbakteryjną z apteczki, ale ilekroć chciała zadziałać, Paul zaczynał mówić.

- Dużo nam z tego przyjdzie - stwierdził.

- Paul.

- Nie ruszam się - odrzekł.

- Ruszasz tym, co staram ci się opatryć.

Paul skinął głową i otworzył szeroko usta jak pacjent u dentysty.

Marchetti przestał spacerować.

- Pytanie, co się stanie, gdy już zrealizują swój plan.

Paul się zawahał, ale odczekał już tyle, ile mógł.

- Mogę panu dokładnie powiedzieć, co się stanie.

Gamay wypuściła gwałtownie powietrze i się cofnęła.

- Stworzą ogromny słup zimnej wody o temperaturze bardziej typowej dla północnego Atlantyku niż środka tropikalnego morza tutaj. Takie gradienty temperatury nasilają lub nawet powodują sztormy i cyklony. Nie tylko w powietrzu, ale również pod powierzchnią.

- I kiedy zatrzymają wypromieniowywanie ciepła z powrotem do atmosfery, zimna woda znów zacznie je pochłaniać - wtrącił Marchetti.

- Jeśli to będzie trwało - odpowiedział Paul - temperatura powietrza szybko spadnie, ale tylko nad rejonem ich działania. Reszta oceanu pozostanie ciepła. Widział pan kiedyś, co się dzieje, gdy gorące i wilgotne powietrze miesza się z zimnym?

- Jest burza - odparł Marchetti.

Paul przytaknął.

- Kiedy kilka lat temu byłem w Oklahomie, zimny front nadciągnął po trzech parnych dniach. Mieli tam sto tornad w ciągu trzech dni. Przypuszczam, że tutaj będzie jeden duży sztorm, depresja tropikalna albo cyklon. Może też być huragan.

Gamay zrezygnowała z prób maźnięcia mu wargi antybiotykiem.

- Ale to martwa strefa - zauważyła. - Sztormy zwykle nie tworzą się tutaj, tylko na północy i zachodzie i przesuwają w kierunku Indii. A tam powstają monsuny.

Paul rozważył implikacje.

- Jesteśmy prawie na równiku. Sztorm, który utworzy się tutaj, przesunie się na zachód i skieruje ku Somalii, Etiopii i Egiptowi - domyślił się.

- To się już dzieje - ocenił Marchetti. - Czytałem coś o rekordowych opadach deszczu w sudańskich górach i południowym Egipcie. W artykule było napisane, że woda w Jeziorze Namera podniosła się do poziomu nierejestrowanego od trzydziestu lat.

Paul przypomniał sobie, że słyszał coś podobnego.

- A to prawdopodobnie dopiero początek.

Marchetti znów zaczął spacerować. Pocierał podbródek jedną ręką i wyglądał na wstrząśniętego.

- Kiedy utworzy się sztorm, co nastąpi?

Paul popatrzył przez okna wychodzące na południowy zachód. Pamiętał wykłady na temat powstawania sztormów i czynników, które je powodują.

- Huragany w Zatoce Perskiej nasilają się nad gorącymi miejscami. Szstormy wywoływane przez Jinna będą się przemieszczały tylko nad nimi, pochłaniając ciepło, wilgoć i energię, które zwykle niosą monsuny. Będą im to zabierały jak złodzieje.

- I spowodują w Indiach i Azji Południowo-Wschodniej nie-normalną o tej porze roku suszę - dodała Gamay. - Ten szalenieć dokonał tego, co ludzie próbowali zrobić przez całą wieczność. Przejął kontrolę nad pogodą i zmienił jej zwykły wzorzec.

Marchetti usiadł niezgrabnie. Prawie się osunął na krawędź siedziska.

- I wykorzystał do tego mój projekt.

Spojrzał na nich. Pewny siebie miliarder odchodził w niepamięć, podobnie jak dumny konstruktor ze śmiałymi pomysłami, a nawet rozsądny inżynier. Wszystkie te postaci zdawały się znikać na ich oczach, pozostawiając po sobie tylko załamane człowieka.

- Tamci wszyscy ludzie - szepnął. - Miliard ludzi czekających na monsun, który nie nadejdzie. Będę największym ludobójcą w historii ludzkości.

Gamay wyglądała tak, jakby zamierzała podnieść go na duchu, co zwykle robiła w takich chwilach. Ale nie znalazła odpowiednich słów.

- Nic nie jest jeszcze przesądzone. - Paul przekazał to tak stanowczo, jak mógł. - Alfred Nobel wynalazł dynamit i prowadził firmę produkującą broń, ale nikt nie pamięta go z tego powodu. A pan wciąż ma szansę zmienić bieg wydarzeń.

- Ale jesteśmy sami - odrzekł Marchetti. - Waszych przyjaciół już nie ma. Nikt nawet nie wie, co tu się dzieje.

Paul spojrział na Gamay, bo podzielał jej smutek po stracie przyjaciół, kochał ją i nie chciał, żeby cierpiała. Ścisnął jej dłoń i popatrzył jej w oczy.

- Wiem o tym - zwrócił się do Marchettiego. - Ale znajdziemy sposób. Najpierw musimy się stąd wydostać.

- Ma pan jakiś pomysł? - zapytał Marchetti.

Paul się rozejrzył.
- Mam jeden. Tylko nie wiem, czy się panu spodoba.
- W tej chwili - odparł Marchetti - nie mamy wielkiego wyboru.

ROZDZIAŁ 43

Zaskakujący wiatr, który ciągnął Kurta, Leilani i Izmaela, dał prawie dwie godziny. Chwilami groził uniesieniem łodzi z wody. W połowie podróży dziwny efekt odbłasku zniknął tak szybko, jak się pojawił, zarówno z wody wokół nich, jak i z ich ciał.

- Myślisz, że się wyniosły? - spytała Leilani.

- Wątpię - uznał Kurt. - Cokolwiek sprawiało, że lśniły, chyba minęło, ale przypuszczam, że nadal są na nas i w morzu.

Wiatr słabł przez następną godzinę. Skądkolwiek się wziął, przestał wiać godzinę przed zmierzchem. Prawa strona łodzi osiadła niżej i wszyscy troje musieli przywierać do lewych komór powietrznych, żeby się nie przewróciła.

Każda mała fala omywała przechylony pokład.

Kurt wciągnął spadochrony do środka, wyjął je i złożył. Prawie skończył, gdy przestraszył go krzyk Izmaela.

- Ziemia! - wołał Izmael. - Ziemia z przodu!

Kurt podniósł wzrok. Nisko na horyzoncie widniała niewyraźna zielonkawa plama. W gasnącym blasku dnia mogła być chmurą odbijającą dziwnie światło.

Wyjął lornetkę, przetarł soczewki i przyłożył ją do oczu.

- Błagam, niech to będzie ląd - poprosiła Leilani, składając ręce jak do modlitwy. - Błagam.

Kurt zobaczył zieleń i wierzchołki drzew.

- To rzeczywiście ziemia - stwierdził i poklepał Izmaela po ramieniu. - To ziemia, absolutnie.

Odłożył lornetkę i przeszedł na rufę. Przełączył dopływ paliwa na rezerwę, uruchomił silnik i obrócił pokrętko przepustnicy.

Napędzana śrubą, na wpeł sflaczała łódź poruszała się jak krab i zimna woda wkrótce przemoczyła Kurta do suchej nitki.

Po dwudziestu minutach zobaczył położony centralnie szczyt o wysokości może piętnastu metrów, pokryty roślinnością. Płaski teren ciągnął się po obu jego stronach. Fale rozbijały się o rafę wokół wyspy.

- Atol wulkaniczny - powiedział. - Będziemy musieli dostać się za rafę, żeby dotrzeć do lądu. Może trzeba będzie popłynąć wpław.

Spojrzał na Izmaela, a potem na Leilani.

- Nadal masz jego broń?

Przytaknęła.

- Ale...

- Daj mi ją.

Wręczyła mu pistolet, jak oboje wiedzieli, nienaładowany. Kurt go odbezpieczył.

- Ona cię rozwiąże. Sprawisz jakiś kłopot, to zrobię w tobie więcej dziur niż jest w łodzi.

- Żadnego kłopotu - obiecał Izmael.

Kurt skinął głową. Leilani rozłączyła karabinczyk i dźwignęła kotwicę za burtę. Potem oswobodziła Izmaelowi nogi i odrzuciła linę.

Kurt czekał, aż Izmael wykona jakiś ruch, ale on tylko wyprostował nogi i uśmiechnął się z ulgą.

Zbliżali się do rafy wokół wyspy. Fale nie były wysokie, ale kipieli tworzyła się w przerwach między częściami rafy.

- Poszukamy spokojniejszego miejsca? - zapytała Leilani.

- Paliwo się kończy - odparł Kurt.

Wziął kurs na pierwszą lukę, jaką zobaczył. Kulejąca łódź sunęła ku niej jak barka, pchając niską ścianę wody przed sobą. Morze wokół nich zmieniło barwę z granatowej na turkusową

i stało się bardziej wzburzone tam, gdzie zanurzone fragmenty rafy opierały się falom.

W jednym momencie pokonywali grzbiet nieco ponadpółmetrowej fali, w następnym zostali uderzeni z boku przez inną i opadli w dolinę, która zdawała się ciągnąć ich wstecz. Sztywne dno łodzi przesunęło się po czymś stałym i śruba wgryzła się w podłoże.

Dwie fale z tyłu połączyły się i popchnęły ich naprzód i w lewo. Koralowce znów zazgrzytały pod nimi, gdy piana z trzeciej fali opryskała łódź.

Kurt skręcał to w jedną, to w drugą stronę, otwierał przepustnicę i przymykał, używając silnika jako napędu i steru. Wsteczny prąd w luce hamował ich, ale kolejne fale przyboju znów poniosły łódź naprzód. Tym razem nastąpiło mocne uderzenie lewą stroną i obie komory powietrzne zostały rozprute.

- Wpadliśmy na coś - zawołała Leilani.

- Siedzicie w łodzi, jak długo będziecie mogli! - odkrzyknął Kurt.

Jeszcze raz otworzył przepustnicę. Silnik pracował na wysokich obrotach przez dziesięć sekund, po czym zaczął przerywać. Kurt ujął trochę gazu, ale za późno. Silnik zgasł z braku paliwa. Następna fala uderzyła w nich z boku.

- Wyskakujcie! - zawołał Kurt.

Izmael wygramolił się za burtę. Leilani zawahała się, a potem zanurkowała. Kolejna fala walnęła w tonącą łódź i Kurt też się rzucił do wody.

Płynął co sił w rękach i nogach. Ale doba bez jedzenia i wody i trudy ostatnich dwóch dni dawały mu się we znaki. Wiedział, że wkrótce ogarnie go zmęczenie.

Prąd powrotny przyboju cofnął go, a potem fala poniosła naprzód. Otarł się o koralowce, natrafił stopą na coś stałego i wypchnął mocno do przodu. Ciężkie buty utrudniały mu poruszanie się w wodzie, ale były na wagę złota, ilekroć odpychał się nogami od rafy.

Kiedy znów poczuł powrotny prąd, zaklinował stopy między koralowcami i nie ustąpił. Piana go oślepiła, gdy fale przechodziły nad nim. Coś miękkiego wpadło na niego z przodu.

Leilani.

Złapał ją i popchnął naprzód z następną falą. Odepchnął się, kiedy kolejna fala zwała się na nich oboje, i przebili się na spokojniejszą wodę wewnątrz kręgu koralowców.

Kurt płynął, dając z siebie wszystko. Leilani robiła to samo. Gdy dotknął stopami piasku, wypchnął się w przód i biegł, dopóki nie upadł na płyciznie. Wykończony, zaczął się czołgać z jedną ręką na kamizelce ratunkowej Leilani i ciągnąć ją ze sobą.

Dotarli do plaży i osunęli się na biały piasek tak blisko wody, że fale przyboju wciąż ich omywały.

Jedyne, na co starczało mu teraz sił, to walka o każdy oddech. W końcu zdołał zapytać:

- Wszystko w porządku?

Skinęła głową, jej pierś wznosiła się i opadała, tak jak jego.

Kurt się rozejrzał. Byli sami.

- Izmael?

Nikogo nie zobaczył, nie usłyszał żadnej odpowiedzi.

- Izmael!

- Tam! - powiedziała Leilani i wskazała Kurtowi kierunek.

Leżał na brzuchu w pianie, fale popychały go na piasek, a potem ciągnęły w tył.

Kurt wstał, zatoczył się w kierunku Izmaela i rzucił z powrotem do morza. Chwycił go i odwrócił. Trzymając mu twarz ponad wodą, pokonał prąd powrotny przyboju i dowlókł go do brzegu.

Wciągnął go na piasek. Izmael zaczął kaszleć, krztusić się i wypluwać wodę. Jedno spojrzenie powiedziało Kurtowi, że będzie żył.

Zanim zdążył się ucieszyć, dwa długie cienie padły na niego z tyłu. Rozpoznał kształty karabinów i krzepkich mężczyzn w surrealistycznych cieniach na piasku.

Odwrócił się. Kilku mężczyzn stało plecami do słońca. Mieli na sobie złachane mundury, na głowach hełmy, w rękach ciężkie karabiny powtarzalne.

Kiedy się zbliżyli, zobaczył ich lepiej. Byli ciemnoskórzy i wyglądali prawie jak australijscy Aborygeni. Mieli rysy twarzy Polinezyjczyków. Trzymali stare pięciostrzzałowe karabiny M1, a ich mundury i hełmy przywodziły na myśl amerykańskich marines z około 1945 roku. Jeszcze paru stało wśród drzew w górze plaży.

Kurt był zbyt wyczerpany i zaskoczony, żeby zareagować, kiedy jeden z mężczyzn podszedł do niego. Długi karabin trzymał niedbale, ale minę miał poważną.

- Witam na Wyspie Picketta - oświadczył po angielsku, mocno akcentując słowa. - W imieniu Franklina Delano Roosevelta biorę cię do niewoli.

ROZDZIAŁ 44

Z perspektywy Joego albo procedura dokowania promu była nadmiernie skomplikowana, albo statek i jego kapitan zostali źle przygotowani do tego zadania. Dopiero pełną godzinę po otwarciu drzwi ładowni i tuzinie manewrów dobili do nabrzeża.

Joe siedział skulony z przodu platformy ciężarówki. Kierowcy i pasażerowie wsiedli do swoich samochodów dużo wcześniej, niż prom się zatrzymał, i teraz zaczęli odpalać silniki. Przez kilka następnych minut trzymali je na wolnych obrotach i mimo otwartych drzwi Joe się obawiał, że zemdleje od spalin diesla, zanim ruszą.

Wreszcie, z pulsującym pod czaszką bólem głowy, poczuł, że się toczą. Jedna za drugą ciężarówki wyjechały z ładowni na nabrzeże. Joe nie ryzykował wyglądania na zewnątrz, dopóki się nie zorientował, że oddalili się od wody. Ale zaskoczyło go szybkie tempo jazdy zaledwie minuty po opuszczeniu promu.

Dotarł między beczkami do tyłu platformy. Ponieważ jego ciężarówka wjechała pierwsza do ładowni, wyjechała z niej ostatnia. Była teraz na końcu konwoju, co oznaczało, że może wyjrzeć bez obawy, że go zauważą.

Uniósł kawałek plandekę i zobaczył uciekający w tył szary zniszczony makadam, po którym ciężarówki pruły z prędkością, do jakiej nawet się nie zbliżały w Jemenie.

Noc zapadała znowu po dwudziestu godzinach na statku. Joe widział pustynię wokół. Miał wrażenie, że wrócił do Jemenu. - Nie zostawiliśmy tego wszystkiego dopiero co za sobą? - mruknął.

Były oczywiście różnice, głównie utwardzona gładka droga, która umożliwiała szybką jazdę, ale również więcej roślinności i sporadycznie drogowskazy, nieobecne na pustyni w Jemenie. Joe próbował odczytać napisy, kiedy je mijali, ale widział tylko tyły tablic po swojej stronie drogi, a te dla kierowców jadących z przeciwka oświetlały jedynie tylne lampy ciężarówki. Ich słaby czerwony blask nie wystarczył, żeby Joe mógł wiele zobaczyć, zanim drogowskazy będą poza zasięgiem wzroku.

Dostrzegał tylko pismo, arabskie zawijasy i drukowane litery angielskiego alfabetu. Te drugie oznaczały, że jest dużo bliżej cywilizacji niż kiedykolwiek w ciągu ostatnich dni.

Kiedy czekał na kolejne drogowskazy, ciemność zgęstniała, a krajobraz stał się monotony. Zmienił się zapach. Joe poczuł woń kurzu, wilgoci i mokrej od deszczu pustyni. Przypomnił mu się koniec suchej pory roku w Santa Fe, gdzie dorastał. Spojrzał w górę i zobaczył bezgwiazdne czarne niebo.

Chwilę później deszcz zabębnił w ciężarówkę i drogę wokół niej. Joe usłyszał grzmot w oddali. Ciężarówki jechały dalej. Ulewa się nasiliła, a powietrze ochłodziło. Ku zaskoczeniu Joego deszcz nie był przelotny, lecz padał i padał, kiedy ciężarówki zostawiały za sobą kolejne kilometry. Plandeka wkrótce nasiąkła i zaczęła przeciekać.

- Deszcz na pustyni - szepnął Joe. - Ciekawe, czy to dobra, czy zła wiadomość.

W ulewie mijali kolejny drogowskaz. Traf chciał, że akurat jakieś auto nadjeżdżało z przeciwka. Jego reflektory oświetlały tablicę po drugiej stronie drogi wystarczająco długo, by Joe zdążył przeczytać napis.

Wyblakła niebieska tablica była wypiaszkowana i zgięta, ale słowa pozostały wyraźnie widoczne.

- Marsa el-Alam - powiedział głośno Joe, gdy przeczytał napis. - Pięćdziesiąt kilometrów.

Nazwa brzmiała znajomo. Marsa el-Alam to miasto portowe w Egipcie nad Morzem Czerwonym. Zostało za nimi. Tam musiał zawinąć prom z ciężarówkami. To znaczyło, że są w trzech czwartych odległości z Kairu do granicy z Sudanem i zaledwie parę godzin drogi od Luksoru.

- Jestem w Egipcie - wycedził Joe i szybko sobie uświadomił, co to oznacza. - Oni jadą do Tamy Asuańskiej.

ROZDZIAŁ 45

Deszcz nadal siekł w konwój ciężarówek Jinna podążający na zachód szosą z Marsa el-Alam. W wilgoci, naturalnym nocnym chłódzie pustyni i z powodu podmuchów wiatru Joe zaczął się trząść.

Najpierw przyjął to z ulgą po pobycie w Jemenie i gorącej ładowni promu, ale z biegiem czasu zimno zaczęło go przenikać do szpiku kości i przyciągnął poję plandeki, żeby odgrodzić się od wiatru i wodnej mgiełki.

Podróż łądem z Marsa el-Alam do Asuanu trwa cztery godziny, ale po trzech godzinach konwój zaczął zwalniać, gdy opuścili pustynię i znaleźli się w pasie cywilizacji wzdłuż Nilu.

Ciężarówka przejechała przez nowoczesny most na Nilu i wjechała do miasta Edfu na zachodnim brzegu rzeki. Joe rozejrzał się i zobaczył wielopiętrowe bloki mieszkalne, witryny sklepowe i gmachy urzędów. Niezupelnie Beltway, pomyślał, raczej zakurzona wersja Berlina Wschodniego na pustyni, ale jednak cywilizacja.

Ciężarówka zwolniła jeszcze bardziej i Joe miał nadzieję, że zatrzymają się na czerwonym świetle, ale zatoczyli trzy czwarte koła na skrzyżowaniu o ruchu okrężnym i skręcili na północ.

- To musiało być rondo - mruknął Joe.

Obawiał się, że lada chwila mogą znów wyjechać na szosę i znajdzie się w Asuanie, zanim zdąży uciec. Kiedy silnik zawył na niskim biegu i ciężarówka nabrała szybkości, uznał, że czas ją opuścić.

Zszedł spod plandeki na tylny zderzak. Wyjrzał zza rogu platformy i wyteżył wzrok, żeby zobaczyć, co się zbliża. Żadnych słupów telefonicznych, latarni ani znaków drogowych. Pobocze było puste. Zeskoczył z ciężarówki.

Wylądował na mokrym tłuczniu, przetoczył się i przeciął ślizgiem rozległą błotnistą kałużę na jezdni, gdzie zebrała się woda deszczowa. Leżał przez chwilę i obserwował ciężarówkę, wypatrując jakiejś oznaki, że kierowcy widzieli jego wyczyn.

Samochody oddalały się w ciemności na północ, nie zmniejszały prędkości, ich światła stopu nie rozbłysły.

Przemoczony i brudny Joe podniósł się z błota i rozejrzał. Był na otwartej przestrzeni. Przez strugi deszczu zobaczył po lewej wielką budowlę oświetloną reflektorami punktowymi.

Zignorował nowy ból w barku i biodrze, udał przed samym sobą, że nie zauważa, jak bardzo znów dokucza mu kostka, i pokuśtykał w kierunku oświetlonego terenu. Miejsce wyglądało na skrzyżowanie placu budowy z jakąś starożytną świątynią i dopiero kiedy podszedł bliżej, zorientował się, że stoi przed Świątynią Horusa, jednym z najlepiej zachowanych zabytków w całym Egipcie.

Dwa wielkie skrzydła pylonu wyrastały trzydzieści metrów pod nocne niebo. Ludzkie postaci wyrzeźbione w murze miały osiemnaście metrów wysokości, otwory wpuszczające światło do wnętrza były rozmieszczone równo w pionie i poziomie.

W dzień roіłoby się tu od turystów. Ale w nocy, w ulewie, Joe nie zauważył nikogo, z wyjątkiem dwóch strażników w oświetlonej budce.

Podbiegł do niej i zastukał w szybę. Mężczyźni o mało nie umarli ze strachu, jeden z nich dosłownie podskoczył na krześle.

Joe znów załomotał w okno i w końcu któryś je otworzył.

- Potrzebuję pomocy - oznajmił Joe.

Wciąż przerażony, mężczyzna sprawiał wrażenie zdeorientowanego, ale szybko się pozbierał.

- A... oczywiście - odrzekł. - Niech pan wejdzie. Proszę do środka.

Joe ruszył do drzwi. Szczęśliwie dla niego strażnicy zabytku musieli znać angielski, bo wielu turystów było Amerykanami i Europejczykami.

Joe wszedł do oświetlonej budki, gdy tylko drzwi się otworzyły. Ociekał błotnistą wodą, która kapała na podłogę. Jeden z mężczyzn wręczył mu ręcznik i Joe wytarł twarz.

- Dziękuję - powiedział.

- Co pan robi na deszczu? - zapytał strażnik.

- To długa historia - odparł Joe. - Jestem Amerykaninem. Byłem kimś w rodzaju więźnia, dopóki nie wyskoczyłem z jadącej ciężarówki, i pilnie muszę skorzystać z waszego telefonu.

- Amerykaninem - powtórzył mężczyzna. - Turystą? Mamy zadzwonić do pańskiego hotelu?

- Nie - zaprzeczył Joe. - Nie jestem turystą. Muszę porozmawiać z policją. A właściwie z wojskiem. Jesteśmy w niebezpieczeństwie. Wszyscy.

- W jakim niebezpieczeństwie? - spytał podejrzliwie strażnik.

Joe spojrzał mu w oczy.

- Terroryci zamierzają zniszczyć tamę.

ROZDZIAŁ 46

Pięć ciężarówek w konwoju Jinna podróżowało na północ i w końcu skręciło z głównej szosy na drogę gruntową. Minęły tamę i podążyły dalej krętym szlakiem wzdłuż poszarpanego brzegu Jeziora Nasera.

Niecały kilometr za tamą dotarły do ostentacyjnie otwartej bramy i przejechały przez nią. Siedzący w kabinie pierwszej ciężarówki Sabah kazał kierowcom zgasić reflektory i włożyć gogle noktowizyjne.

W ten sposób zaciemniony konwój dojechał do pochylni dla łodzi na brzegu jeziora.

- Zawróćcie i cofnijcie samochody - polecił Sabah.

Wysiadł i pokierował ruchem. Ciężarówki ustawiły się obok siebie na pochylni, która miała taką szerokość, że zmieściły się na niej wszystkie jednocześnie, niczym wylegujące się ogromne krokodyle.

Ponieważ poziom wody w jeziorze podniósł się na skutek ulew, większość pochylni była zanurzona. Sabah ocenił, że jakieś trzydzieści metrów zatopionego betonu opada do dna.

Na jego sygnał ciężarówki zaczęły się staczać po pochylni. Kierowcy cofali je wolno, patrząc w lusterka wsteczne i wychylając się przez otwarte okna.

Kiedy platformy zaczęły wjeżdżać do wody, Sabah wyjął z kieszeni nadajnik radiowy. Wyciągnął antenę, włączył zasilanie i nacisnął pierwszy z czterech czerwonych przycisków.

Z tyłu każdej ciężarówki magnetyczne uszczelki wokół żółtych beczek puściły. Wieka odskoczyły pod ciśnieniem i zsunęły się na bok.

Zielona dioda zasygnalizowała Sabahowi, że aktywacja się powiodła.

Nikt nie widział, jak srebrzysty piasek ożywa. Nanoboty zaczęły się wiercić i kręcić, jakby węże się ukrywały pod ich wierzchnią warstwą, przełaziły przez krawędzie beczek.

Pochylnia była stroma. Kierowcy nadal cofali samochody, zdając się na grawitację, nieświadomi, co się dzieje na platformach za nimi. Żaden z nich nie robił tego wcześniej i większość czuła się tak, jakby coś ich wciągało.

Sabah oceniał, jak im idzie. Był zadowolony, że są ostrożni. To znaczyło, że nie zwracają uwagi na niego.

- Dobrze - szepnął i nacisnął drugi z czterech czerwonych przycisków.

Drzwi kabin się zaryglowały, szyby podniosły w dziewięćdziesięciu procentach i zatrzymały. To wystraszyło kierowców.

Chwilę później z miniaturowych pojemników zaczął się wydobywać chloroform. Wypełniał kabiny. Mężczyźni wytrzymali zaledwie sekundę czy dwie, żaden nie zdołał otworzyć drzwi. Jednemu udało się opuścić szybę do połowy, zanim stracił przytomność i osunął się na siedzenie.

Sabah nie czekał i nacisnął trzeci przycisk. W ciężarówkach włączył się wsteczny bieg i silniki weszły na obroty. Samochody zaczęły się toczyć do tyłu i wpadać do wody jak stado hipopotamów.

Silniki wyposażono w drugi wlot powietrza, który udawał pionową rurę wydechową wznoszącą się wysoko ponad dach kabiny. Kiedy Sabah wypuścił chloroform, pierwszy wlot powietrza został szczelnie zamknięty i otworzył się ten drugi. Spełniał on taką rolę jak chrapy na okręcie podwodnym, umożliwiając silnikom zasysanie powietrza i pracę nawet po całkowitym zanurzeniu samochodu.

W rezultacie ciężarówki wciąż się cofały, aż dotarły do końca pochylni i pojechały dalej po kamieniach i żwirze na dnie jeziora.

Oddaliły się od siebie niczym rozczapierzone palce ręki, znalazły pod wodą i zniknęły z widoku.

Rozpęd i nachylenie kamienistego dna jeziora sprawiły, że toczyły się do tyłu jeszcze po tym, jak silniki w końcu zassały wodę i zgasły. Kiedy wreszcie stanęły, były dziesięć metrów pod powierzchnią jeziora i pięćdziesiąt od brzegu.

Nieprzytomni kierowcy wkrótce utonęli. Gdyby odnaleziono topielców, zidentyfikowano by ich jako egipskich radykałów. Nikt nie połączyłby Jinna i Sabaha z tym incydentem. Nikt z wyjątkiem generała Aziza, który dobrze by zrobił, gdyby siedział cicho. Zresztą wtedy i tak nie miałby innego wyjścia niż powrót do rokowań.

Kiedy woda się uspokoiła, Sabah nacisnął ostatni przycisk na nadajniku. Niecały kilometr dalej, na pochyłej ścianie tamy, dwa oddzielne urządzenia zaczęły wysyłać sygnały naprowadzające.

Miały wielkość przeciętnej podręcznej walizki, ale kształtem przypominały mechanicznego kraba, i zostały tam umieszczone przez pletwonurka dwie doby wcześniej. Jedno trzymało się tuż pod linią wodną, drugie dwadzieścia metrów niżej.

Jeśli nurkowie należycie wykonali swoje zadanie, trzymetrowe otwory były już wywiercone w zewnętrznej ścianie i krużywie za nią, a dedykowana partia nanobotów z każdego kraba powiększała je pracowicie.

Główne siły, które wydostawały się teraz z ciężarówek, miały podążyć za sygnałami i przyspieszyć proces. Po sześciu godzinach strużka wody pojawiały się po drugiej stronie tamy blisko jej szczytu. Wyżłobiłaby kanał, a erozja szybko zamieniłaby przeciek w potok.

Pierwszy etap katastrofy nastąpiłby, gdy wody Jeziora Namera przelałyby się przez szczyt i zaczęły poszerzać koryto rzeki jako niepowstrzymana powódź, siejąc zniszczenie w dolinie Nilu poniżej. Ale to by był dopiero początek.

Druga dziura, dużo niżej, naruszyłaby rdzeń tamy i spowodowała powstanie tunelu wewnątrz budowli. Tama zostałaby osłabiona i wielki fragment w kształcie klina runąłby do tyłu. Powódź przerodziłaby się w tsunami.

W pewnym sensie generał Aziz wyświadczył im przysługę. Biorąc pod uwagę wiadomość, którą zostawili w Asuanie, i działania Jinna na Oceanie Indyjskim, Sabah nie sądził, żeby jakiś kraj odrzucił ich żądania lub odważył się im grozić.

Czy Amerykanie chcieliby zobaczyć, jak Zapora Hoovera się wali, Las Vegas znika z powierzchni ziemi, zmyte przez powódź, a południowo-zachodnie stany zostają pozbawione prądu i wody w tym samym czasie? Czy Chiny dopuściłyby do tego, żeby podobny los spotkał Zaporę Trzech Przełomów? Sabah w to wątpił.

Cisnął nadajnik do jeziora i odszedł. Niecały kilometr dalej czekał na niego wielbłąd. Sabah go dosiadł, zasłonił twarz kefiją i zniknął na pustyni, jak Beduini robili to przez tysiąc lat lub więcej.

ROZDZIAŁ 47

Kurt Austin obudził się w baraku z blachy falistej kilka godzin po wzięciu go do niewoli na Wyspie Picketta. Uwięziony i wyczerpany, uznał, że siły będą mu potrzebne później, i położył się na podłodze, gdy tylko go zamknięto. Zasnął prawie natychmiast. Po przebudzeniu zaniepokoił się, kiedy uświadomił sobie, że to wszystko nie jest snem.

Mężczyźni w mundurach polowych zawlekli go z jego baraku do innego, ukrytego pod drzewami. W środku zastał zdecydowanie wojskową scenerię, coś w rodzaju trybunału. Leilani i Izmael stanęli obok niego.

Za biurkiem na końcu baraku stał kolejny wyspiarz o powierzchowności Aborygena i Polinezyjczyka razem wziętych i przewodniczył rozprawie jako jeden z sędziów. Był wyższy i szczuplejszy niż mężczyźni, którzy znaleźli ich na plaży, a także sporo starszy. Miał pasmo siwizny w czarnych włosach.

- Jestem osiemnastym Rooseveltem Wyspy Picketta - oznajmił.
- Osiemnastym Rooseveltem? - powtórzył Kurt.
- Zgadza się - przytaknął sędzia. - A do kogo się zwracam? Podajcie nazwiska do protokołu.

- Jestem pierwszym Kurtem Austinem Stanów Zjednoczonych Ameryki - odrzekł Kurt. - A przynajmniej pierwszym, o którym wiem.

Sędziowie i inni wokół gwałtownie zaczerpnęli powietrza, a Kurt spróbował doszukać się sensu w tym, co zobaczył i usłyszał.

Podczas marszu z plaży do ukrytych wśród drzew baraków napotkali fortyfikacje, okopy i gniazda ciężkich karabinów maszynowych, a dalej walące się budynki, łącznie ze starymi barakami z blachy falistej. Ich dachy połatano trzcina i splecionymi liśćmi palmowymi.

Mężczyźni w zielonych mundurach polowych armii amerykańskiej stali wokół nich. Ich ubiory nie prezentowały się lepiej niż budowle. Niektóre wyglądały jak źle uszyte repliki. Karabiny M1, które trzymali, sprawiały wrażenie oryginalnych. Kurt miał kilka takich w swojej domowej kolekcji, ale wiedział, że nie są używane przez żadne wojska od czasów wojny koreańskiej.

Obok niego Leilani podała swoje nazwisko, Izmael również. Żadne z nich nie zrobiło tego w taki sposób jak Kurt. Nie ujawnili też, z jakich są krajów.

Osiemnasty Roosevelt znów przemówił.

- Jesteście oskarżeni o wtargnięcie, posiadanie broni i szpiegostwo. Zostajecie zatrzymani jako walczący nieprzyjaciele i jeńcy wojenni. Przyznajecie się do winy?

- Winy? - wyrwało się Leilani.

- Tak - odparł sędzia. - Jesteście członkami sił Osi czy nie?

Leilani pociągnęła Kurta za rękaw.

- O co chodzi? O czym oni mówią?

Kurt poczuł się tak, jakby nadrabiał zaległości. Coś mu zaczęło świtać.

- To chyba wyznawcy kultu cargo - szepnęli.

- Czego?

- W czasie II wojny światowej plemiona zamieszkujące wyspy na Pacyfiku znalazły się nagle w ogniu największej wojny w historii. Każda wyspa o strategicznym znaczeniu została zajęta

w tym lub innym celu, często po to, by składować na niej zaopatrzenie dostarczane w wielkich ilościach statkami. To zaopatrzenie żołnierze i marynarze nazywali cargo. -Wskazał głową żołnierzy wokół nich. - Dla członków plemion nagłe przybycie z nieba lub statkami ludzi z niezliczonymi ilościami jedzenia i sprzętu było jak pojawienie się pomniejszych bogów.

- Żartujesz sobie ze mnie - powiedziała.

- Nie. Żeby pozyskać wsparcie wyspiarzy, przekazywano im dużą część towarów, co wydawało się im manną z nieba. Ale kiedy wojna się skończyła i żołnierze zniknęli, nastąpił szok. Nie ma dostaw. Nie ma cargo ze statków i samolotów. Nie ma wielkich srebrzystych ptaków opadających z nieba.

- W większości miejsc życie wróciło do normy, ale na niektórych wyspach plemiona zaczęły szukać sposobów na zachęcenie żołnierzy do powrotu z ich cargo. Stały się znane jako wyznawcy kultu cargo.

Drugiego sędziego, który wydawał się niżej w hierarchii niż osiemnasty Roosevelt, zniecierpliwiły szept Kurta.

- Niech oskarżeni odpowiedzą! - zażądał.

- Dyskutujemy nasze oświadczenie - odpowiedział Kurt. Zwrócił się do Leilani i dokończył wyjaśnienia. - Powszechną praktyką było naśladowanie tego, co widzieli w amerykańskich bazach. Niektóre grupy ćwiczyły musztrę jak żołnierze w obozach dla rekrutów. Ubierały się jak ci faceci. Nosiły imitacje karabinów wyrzeźbione z drewna. Miały poranne pobudki, ceremonie podniesienia flagi, a nawet stopnie, medale i pogrzeby w wojskowym stylu. Najbardziej znana grupa, jaką sobie przypominam, to Ruch Johna Fruma w Vanuatu. Podobno nazwa jego kultu wzięła się stąd, że Amerykanie przedstawiali się słowami: „Cześć, jestem John z... skądś tam”. W uszach wyspiarzy angielskie *from* mogło brzmieć jak *frum* i dlatego John Frum.

- Świetnie - stwierdziła sarkastycznie Leilani - ale nie jesteśmy na Pacyfiku. A ci faceci nie mają drewnianych imitacji karabinów.

- Fakt - przyznał Kurt. - Tu się dzieje coś innego.

Zauważył różne przedmioty w pomieszczeniu. Rozpostarte mapy leżały na biurku w sąsiedztwie kompasu, sekstantu i barometru. Dostrzegł wiekową szarą kamizelkę ratunkową i dwie blaszki identyfikacyjne na honorowym miejscu na biurku osiemnastego Roosevelta. Spłowiła czapka bejsbolowa Jankesów obok musiała mieć jakieś siedemdziesiąt lat.

- Czas na dyskusję minął - oznajmił osiemnasty Roosevelt. - Jak brzmi wasze oświadczenie?

- Niewinni - odrzekł Kurt. - Jesteśmy Amerykanami jak wy. Przynajmniej dwoje z nas.

Sędziowie się im przyjrzeni.

- Jak możecie to udowodnić? - zapytał jeden z nich. - Ona może być japońskim szpiegiem.

Stwierdzenie rozwścieczyło Leilani.

- Jak śmiesz nazywać mnie szpiegiem! Nawet gdybym była pół-Japonką, nie byłoby w tym nic złego.

- A jesteś?

- Nie. Jestem Amerykanką ze stanu Hawaje.

- Ona ma na myśli terytorium Hawajów - wtrącił Kurt.

- Nie mam.

- Owszem, masz - nie ustępował Kurt. - Hawaje są stanem od pięćdziesiątego dziewiątego!

Leilani popatrzyła na niego dużymi piwnymi oczami. W jej spojrzeniu było zaufanie, nadzieja i dezorientacja.

- Pozwól, że ja będę mówił - szepnął Kurt i odwrócił się z powrotem do pierwszego sędziego. - Ona ma na myśli to, że dorastała w pobliżu Pearl Harbor. Była tam wiele razy, żeby od wiedzieć pomnik okrętu „Arizona” i złożyć hołd tym, którzy zginęli siódmego grudnia.

Sędzia wydawał się przekonany.

- A co z tobą? - spytał Kurta.

- Pracuję w Narodowej Agencji Badań Morskich i Podwodnych. To amerykańska rządowa organizacja oceanograficzna. Założył ją admirał James Sandecker.

- Sandecker? - powtórzył drugi sędzia.
- Nigdy o nim nie słyszałem - odezwał się trzeci.
- On naprawdę jest admirałem - ciągnął Kurt. - To mój dobry znajomy. Byłem u niego w domu wiele razy. Jest teraz wiceprezydentem Stanów Zjednoczonych.

Sędziowie unieśli brwi.

- Wiceprezydent jest twoim dobrym znajomym? - zdziwił się jeden z nich.

Pozostali zaczęli się śmiać. Osiemnasty

Roosevelt pokręcił głową.

- Nie wydaje się możliwe, żeby nowy Harry Truman był znajomym takiego oberwańca.

Kurt rozważył swój wygląd. Poturbowany i posiniaczony, z czterodniowym zarostem na twarzy, miał na sobie ukradziony mundur, trochę za duży na niego i miejscami podarty. Dobrze, że nie lśnił od nanobotów w tym momencie.

- Nie prezentuję się najlepiej - przyznał.

Leilani przysunęła się bliżej.

- Nowy Harry Truman?

- Mam wrażenie, że mylą stanowiska i nazwiska - odrzekł Kurt. - Ktokolwiek tu dotarł, musiał im powiedzieć, że głową państwa był Roosevelt, a wiceprezydentem Truman.

- Dlatego ten facet jest osiemnastym Rooseveltem Wyspy Picketta?

- Tak myślę.

- Czuję się jak w strefie cienia - wyznała Leilani.

Kurt też tak się czuł. Ale widział pewne zalety tego wszystkiego, i w sytuacji, gdy życie jego przyjaciół wisiało na włosku, musiał ją wykorzystać.

- Mówię prawdę - zapewnił. - I trafiłem tutaj, na Wyspę Picketta, w takim stanie, w jakim jestem, bo właśnie uciekłem z rąk wrogów Stanów Zjednoczonych.

Mężczyźni wydawali się być pod wrażeniem i zaczęli szeptać między sobą.

- Skąd możemy mieć pewność, że on jest Amerykaninem? - zapytał drugi sędzia.

- Bardzo przypomina Picketta - stwierdził osiemnasty Roosevelt.

- Może być Niemcem. Ma na imię Kurt.

Osiemnasty Roosevelt najwyraźniej uznał to za słuszną uwagę.

- Musisz nam to udowodnić.

- Powiedźcie jak.

- Zadam ci pewne pytania - odparł. - Jeśli odpowiesz na nie tak, jak zrobiłby to Amerykanin, uwierzemy w twoją historię. Jeśli nie, zostaniesz uznany za winnego.

- Proszę bardzo, pytaj - zachęcił Kurt.

- Co jest stolicą stanu Nowy Jork? - zapytał sędzia.

- Albany - odrzekł Kurt.

- Bardzo dobrze. Ale to było łatwe.

- To zadaj trudniejsze pytanie.

Sędzia zmarszczył ciemne krzaczaste brwi i zmrużył oczy.

- Co oznacza określenie, że miotacz popełnił „balk”?

Kurt był zaskoczony. Spodziewał się następnego pytania z geografii lub historii, ale z perspektywy czasu to, które teraz usłyszał, miało sens. Historii i geografii łatwo się nauczyć, w przeciwieństwie do mało znanych reguł narodowego sportu. Tak się składało, że Kurt grał w bejsbol przez całą swoją młodość.

- Balk ma wiele różnych form - odpowiedział - ale zwykle jest wtedy, kiedy miotacz nie zatrzyma się całkowicie przed rzutem do bazy startowej.

Sędziowie jednocześnie skinęli głowami.

- Zgadza się - przytaknął jeden.

- Owszem, owszem - zawtórował mu inny, wciąż kiwając głową.

- Trzecie pytanie. Kto był szesnastym Rooseveltem Stanów Zjednoczonych?

Kurt się domyślił, że chodzi o szesnastego prezydenta.

- Abraham Lincoln.
- A gdzie się urodził?

Następne dobre pytanie. Lincoln tak powszechnie uważano za człowieka z Illinois, że większość przypuszczała, iż tam się urodził.

- W Kentucky. W chacie z bali.

Sędziowie skinęli głowami do siebie. Kurt czuł, że robi postępy.

- Jakbym oglądała kiepski teleturniej - mruknęła Leilani.
- Szkoda, że nie mamy żadnych kół ratunkowych - odrzekł

Kurt. - Chętnie bym teraz gdzieś zadzwonił.

- Jeszcze jedno pytanie - ciągnął osiemnasty Roosevelt. - Czego dotyczy nazwa „Dom, który zbudował Ruth”?

Kurt się uśmiechnął. Jego wzrok padł na starą czapkę Jankesów. Ten, kto miał wpływ na tych ludzi, kochał bejsbol i najwyraźniej był z Nowego Jorku.

- „Dom, który zbudował Ruth” to stadion Jankesów w Bronksie - odparł i dodał ku aprobach sędziów: - Nazwany tak na cześć Babe'a Rutha, największego bejsbolisty wszech czasów.

- Zgadza się - powiedział osiemnasty Roosevelt, podekscytowany. - Tylko prawdziwy Amerykanin może wiedzieć takie rzeczy.

- Owszem, owszem - zgodzili się pozostali. - A co z tą kobietą?

- Ona jest ze mną - oświadczył Kurt.
- A ten mężczyzna?

Kurt się zawahał.

- To mój więzień.
- Więc będzie naszym więźniem - orzekł jeden z sędziów.
- Naszym pierwszym więźniem - uściślił osiemnasty Roosevelt ku wielkiemu podnieceniu zebranych. - Zabrać go.

Izmael wyglądał na zaszokowanego, gdy dwóch ludzi z kabinami rzuciło się naprzód i go pochwyciło.

- Musi być traktowany zgodnie z konwencją genewską - zaznaczył surowo Kurt.

- Tak, oczywiście. Zajmiemy się nim. Ale będzie pilnowany dzień i noc. Nigdy nie straciliśmy więźnia na Wyspie Picketta. Ale też jeszcze nie mieliśmy żadnego. Nie ucieknie.

Bez żadnej szansy na obronę Izmael został wywleczony na dwór. Kurt miał nadzieję, że nic mu się nie stanie. Kiedy pomieszczenie opustoszało, podszedł do biurka.

Osiemnasty Roosevelt wyciągnął rękę.

- Przepraszam za traktowanie. Musiałem mieć pewność.

Kurt uściskał mu dłoń.

- To zrozumiałe. Mogę spytać, jak się nazywasz?

- Jestem Tautog - przedstawił się sędzia.

- I jesteś osiemnastym Rooseveltem tej wyspy - upewnił się Kurt.

- Tak - potwierdził Tautog. - Co cztery lata jest wybierany nowy przywódca. Ja jestem osiemnastym. Służę od dwóch lat, broniąc tej wyspy i Konstytucji Stanów Zjednoczonych Ameryki.

Kurt obliczył wstecz. Jeśli każda kadencja trwała cztery lata, a Tautog służył dopiero dwa, to pierwszego Roosevelta wybrano siedemdziesiąt lat temu, w 1942 roku.

Druga wojna światowa, pomyślał. Ci wyspiarze weszli z kimś w kontakt w tamtym okresie i stali się małym oddziałem wojskowym. Wygląda na to, że nikt nie zadał sobie trudu, żeby ich poinformować, że wojna się skończyła.

Kurt powiódł wzrokiem po morskich przyrządach nawigacyjnych i kamizelce ratunkowej. Nazwa na niej wyblakła i była nie do odczytania.

- Przybił tu jakiś statek? - zapytał.

Tautog przytaknął.

- Wielki statek z ognia i stali. S/s „John Bury”.

- Co się z nim stało?

- Kil jest zagrzebany w piasku po wschodniej stronie wyspy. Resztę rozebraliśmy na części i zbudowaliśmy z nich schrony i obronę.

- Obronę? - powtórzyła Leilani. - Przed czym?

- Przed Japońską Cesarską Marynarką Wojenną i atakami banzai - odparł Tautog, jakby to było oczywiste.

Kurt powstrzymał Leilani, zanim znów się odezwała. Tautog i jego towarzysze byli całkowicie odizolowani od świata, nie tylko w sensie geograficznym. Nie wiedział, jak by zareagowali na wiadomość, że wojna, do której się przygotowywali oni, ich ojcowie i ich dziadkowie, skończyła się sześćdziesiąt siedem lat temu.

- Kto was wyszkolił? - spytał.

- Kapitan Pickett i sierżant pierwszej klasy Arthur Watkins z Korpusu Piechoty Morskiej Stanów Zjednoczonych. Nauczyli nas musztry, jak walczyć, jak się ukrywać i jak wypatrzeć nieprzyjaciela.

- Kto był kibicem Jankesów? - zapytał Kurt.

- Kapitan Pickett. Uwielbiał Jankesów. Nazywał ich Bombardierami z Bronksu.

Kurt skinął głową.

- A co się stało, kiedy opuścili wyspę?

Tautog zrobił taką minę, jakby nie rozumiał pytania.

- Nie opuścili. Obaj są tu pochowani razem ze swoją załogą.

- Zmarli tutaj?

- Kapitan Pickett zmarł na skutek ran osiem miesięcy po tym, jak „John Bury” wpadł na brzeg. Sierżant też był ciężko ranny. Nie mógł chodzić, ale żył jeszcze jedenaście miesięcy i nauczył nas, jak walczyć.

Kurt uznał tę historię za zdumiewającą i intrygującą. Nigdy nie słyszał o kulcie cargo tam, gdzie zostali Amerykanie. Żałował tylko, że nie może się skontaktować z St. Julienem Pearlmutterem i skorzystać z jego obszernego zbioru materiałów historycznych o morskich działaniach wojennych. Ten statek musiał gdzieś figurować, prawdopodobnie jako „zaginiony i przypuszczalnie zatopiony”; po prostu jeszcze jeden przypis do encyklopedii wielkiej wojny.

- Nie rozumiem - powiedziała Leilani. - Dlaczego mielibyście walczyć? Wiem, wojna, Japończycy, ale ta wyspa jest taka

mata. Jest tak daleko na uboczu. Japończycy chyba nie byli - to znaczy nie są - zainteresowani jej zajęciem.

- Nie chronimy samej wyspy - wyjaśnił Tautog - tylko maszyny, które kapitan Pickett nam powierzył.

Kurt uniósł brwi.

- Maszyny?

- Tak - potwierdził Tautog. - Wspaniałej maszyny. Wytwarzacze Bólu.

ROZDZIAŁ 48

Kurt Austin nie miał pojęcia, co to jest Wytwarzacz Bólu, ale nazwa skłaniała, żeby się tego dowiedzieć. Jednak najpierw musiał się uporać z faktem, że jest ważną osobistością.

W sposób daleki od początkowego przyjęcia jego i Leilani uznano za honorowych gości na Wyspie Picketta. Ponieważ był pierwszym Amerykaninem, jaki odwiedził plemię od siedemdziesięciu lat, a ponadto znał obecnego Harry'ego Trumana, tubylcy w polowych mundurach potraktowali go jak powracającego na Filipiny MacArthura.

Dali jemu i Leilani słodką wodę do picia, pozwolili im wziąć prysznic i przebrać się w takie same polowe mundury, jakie oni nosili, po czym poczęstowali ich świeżo złowioną rybą, mango, bananami i mlekiem kokosowym z mnóstwa rosnących na wyspie drzew.

Kiedy jedli, Tautog i trzech inni zabawiali ich opowieściami, jak to się stało, że wszystko, co mają i wiedzą, zawdzięczają kapitanowi Pickettowi i sierżantowi Watkinsowi. Nie używali zbyt wielu słów, ale wynikało z nich, że Pickett i Watkins stworzyli ich cywilizację z niczego i są uważani niemal za mityczne postaci.

Po skończonej kolacji Kurt i Leilani zostali zabrani na zwiedzanie wyspy.

Kurt zobaczył niezwykle pomysłowe rozwiązania. Konstrukcje z rdzewiejących stalowych płyt kryły się wszędzie wśród drzew. Okopy i tunele łączyły wypełnioną zapasami jaskinię ze stanowiskami obserwacyjnymi i wkopanymi w ziemię zbiornikami deszczówki. Wszystkie części statku gdzieś wykorzystano: stare kotły, rury i stalowe pokładniki. Nawet dzwon z „Johna Bury'ego”, który ulokowano w wysokim punkcie wyspy, skąd jego dźwiękiem można było ostrzec innych o jakimś niebezpieczeństwie lub ataku Japończyków.

- Nie mogę uwierzyć, że nikt im nie powiedział - szepnęła Leilani, kiedy szli pod palmami kilka kroków za swoimi przewodnikami.

- Nie sądzę, żeby mieli dużo gości - odrzekł Kurt.

- Może my powinniśmy coś powiedzieć?

Kurt pokręcił głową.

- Myślę, że nie chcą wiedzieć.

- Jak mogą nie chcieć wiedzieć?

- Ukrywają się przed światem - odparł Kurt. - To musiała być część strategii Picketta, żeby ta maszyna, Wytwarzacz Bólu, była bezpieczna.

Skinęła głową. Zdawała się to rozumieć.

- A co ty na to, żebyśmy się stąd wynieśli i pozwolili im dalej się ukrywać? - zapytała. - To w końcu wyspa. Ci ludzie muszą mieć łodzie. Może moglibyśmy pożyczyć jedną.

Kurt wiedział, że mają łodzie, bo dowiedział się od Tautoga, że obóz składa się jeszcze z dwóch wysp, które można zobaczyć tylko z wysokiego punktu centralnego szczytu. Domyślał się, że oznacza to odległość co najmniej piętnastu, może dwudziestu mil morskich. Skoro jakaś łódź mogła dopłynąć tam, to i do szlaków żeglugowych. Gdyby ktoś planował dotrzeć do nich.

- Mają łodzie - odezwał się Kurt. - Ale nie my się stąd ruszymy, tylko ja.

Leilani wyglądała jak ukłuta szpilką. Uniosła gwałtownie brwi, zeszytniała i przystanęła w pół kroku.

- Słucham?!

- Jesteś tu bezpieczna.

- To nie znaczy, że chcę zostać. To miejsce jest uduchowioną wersją *Wyspy Gilligana* i nie zamierzam być Ginger.

- Zaufaj mi - poprosił Kurt. - Jesteś raczej Mary Ann. Ale nie dlatego tu utkwisz. Chcę, żebyś pozostała bezpieczna, kiedy będę się starał dotrzeć do Aqua-Terry.

Milczała, jakby usiłowała przetrwać jego słowa.

- Wracasz? O mało nie utonęliśmy w drodze stamtąd.

- I wylądowaliśmy tutaj - odrzekł. - Sprawy wyglądają coraz lepiej.

- Nie sądzisz, że powrót na tamtą pływającą wyspę opanowaną przez terrorystów odwróci ten trend?

- Jeśli wykorzystam karabiny i element zaskoczenia, to nie. Przyglądała mu się przez chwilę i zdawała czytać w jego myślach.

- Chodzi o twoich przyjaciół?

Przytaknął.

- Ale nie tylko o nich. Jinn tam jest. I planuje coś większego niż terroryzm, handel bronią czy pranie pieniędzy.

- Czyli co?

- Ta cała sprawa zaczęła się wraz z badaniem temperatury wody. Pogoda w Indiach stała się niestabilna. Od dwóch lat jest tam coraz mniej opadów deszczu, a w tym roku zapowiada się największa susza. Twój brat badał prądy i temperaturę, bo uważaliśmy, że one mogą to powodować, że to niewykryte wcześniej zjawisko typu El Nino/La Nina.

Skinęła głową.

- I znalazł małe maszyny Jinna rozproszone w oceanie.

- Właśnie - potwierdził Kurt. - I kiedy zaczęły odbijać światło słoneczne, poczułem ciepło od wody. Te dwie rzeczy muszą się łączyć. Nie wiem dlaczego, ale Jinn eksperymentuje z gradientem temperatury. Efekt motyla daje przerażające wyniki po drodze.

Doszli na niskie, najwyżej sześciometrowe urwisko po wschodniej stronie wyspy. Przed nimi ciągnął się szeroki pas piasku z dużo wygodniejszym przejściem przez rafę niż to, które pokonali od północy.

Kurt miał nadzieję, że wreszcie zobaczy jedyną interesującą go rzecz.

Tautog wskazał szerokim gestem plażę.

- Kapitan Pickett powiedział nam, że jeśli zjawią się Japończycy, to zaatakują tutaj.

To miało sens. Plaża nadawała się do desantu.

- Więc kazał nam przenieść Wytwarzacz Bólu na ten brzeg wyspy.

Tautog dał znak grupie swoich ludzi i mężczyźni odsunęli na bok trzciniowy płot. Za nim, w jaskini, stało dziwnie wyglądające urządzenie. Przypominało Kurtowi system głośnikowy. Miało jakiś metr dwadzieścia szerokości, ze trzydzieści centymetrów wysokości i kształt prostokąta. Było podzielone na cztery rzędy sześciokątnych komór, po dziesięć w każdym. Komory wyglądały na ceramiczne.

- Zasilanie - polecił Tautog.

Za jego plecami dwóch mężczyzn zaczęło poruszać dźwignię tam i z powrotem. Przypominali drwali piłujących kłodę, ale w rzeczywistości napędzali koło zamachowe połączone z cewkami generatora. Po kilku sekundach koło i dynamo w generatorze wirowały z dużą prędkością.

Trzeszczące buczenie zaczęło dochodzić z sześciokątnych komór w skrzynce głośnikowej. Na morzu, trzydzieści metrów od brzegu, zmarszczki zaczęły się tworzyć i po chwili woda w piętnastometrowym pasie trzęsła się i bryzgała, jakby wrzała lub się burzyła.

Tautog dał znak drugą ręką. Wzdłuż ściany urwiska siedem następnych płotów z materiału maskującego odsunięto na bok. Kiedy uruchomiono ukryte za nimi generatory, na całej plaży zaczęło się dziać prawie to samo, co na morzu.

Kurt zobaczył, jak ryby pierzchają, rzucając się jedna nad drugą niczym łososie pędzące w górę przepławki. Dwa nocne ptaki znurkowały za nimi w nadziei na łatwy łup, ale nagle skręciły, jakby natrafiły na pole siłowe.

Skrzynki głośnikowe najwyraźniej emitowały jakiś rodzaj wibracji, choć Kurt słyszał tylko trzeszczące buczenie, jakby zbyt dużo prądu elektrycznego przepływało liniami wysokiego napięcia.

- Fale dźwiękowe.

- Zgadza się - przytaknął Tautog. - Jeśli Japończycy się zjawią, nie wyjdą z plaży.

Kurt zauważył, że ptakom i rybom nic się nie stało.

- To nie jest zabójcze.

- Nie. Ale ból rzuci ich na kolana. Będą łatwymi celami.

- Broń w postaci dźwięku - powiedziała Leilani. - To wydaje się prawie szalone, ale już występuje w przyrodzie. Kiedy nurkowałam z Kimem, widziałam, jak delfiny używają swoich echolokatorów do otepiania ryb, zanim je chwycą.

Kurt słyszał o tym, ale nigdy nie był tego świadkiem. Wiedział o broni akustycznej z innych źródeł.

- Wojskowi pracują nad takimi systemami, jak ten, od kilkunastu lat. Planuje się używanie ich jako nieśmiercionośnych urządzeń do rozpraszania tłumy, zamiast gumowych kul i gazu łzawiącego. Ale nie wiedziałem, że pomysł pochodzi z czasów II wojny światowej.

- Orientujesz się, jak to działa? - zapytała Leilani.

- Tylko się domyślam - odrzekł Kurt. - Proste drgania harmoniczne. Fale dźwiękowe rozchodzą się z różnymi prędkościami pod różnymi kątami. Skupiają się w strefie, gdzie woda się burzy, potęgując efekt. Prawie jak promień dźwięku.

- Cieszę się, że nie użyliście tego przeciwko nam - zwróciła się Leilani do Tautoga.

- Wylądowaliście na złej plaży - odparł rzeczowo.

Całe szczęście, pomyślał Kurt.

- Punkt dla pospiesznej nawigacji.

Kiedy patrzył na kipiel, nowy pomysł przyszedł mu do głowy, ale żeby zaryzykować jego realizację, musiał znać rzeczywistą skuteczność Wytwarzacza Bólu.

- Chciałbym to przetestować.
- Możemy to zademonstrować na więźniu, jeśli chcesz.

Kurt pokręcił głową.

- Nie. Nie na więźniu. Na mnie.

Tautog przyjrzał mu się dziwnie.

- Jesteś ciekawą osobą, Kurcie Austinie.
- Robię, co muszę, żeby przeżyć i wykonać zadanie - oświadczył Kurt. - Poza tym nie interesuje mnie zadawanie cierpienia innym. Nawet dawnemu wrogowi.

Tautog się zastanowił, ale ani nie wyraził zgody, ani się nie sprzeciwił. Przetastował przełącznik, skrzynka głośnikowa w pobliżu nich przestała działać i luka w ścianie dźwięku pojawiła się na plaży i w zatoce.

Leilani złapała Kurta za ramię.

- Zwariowałaś?
- Prawdopodobnie - przyznał - ale muszę wiedzieć.
- Ostrzegam cię - zaznaczył Tautog - to będzie bolesne.
- Choć to dziwnie zabrzmiało - odrzekł Kurt - mam taką nadzieję.

Chwilę później stał na piasku przy krawędzi wody. Zauważył kilka ryb unoszących się nieruchomo na falach. Najwyraźniej nie wszystkie przeżyły działanie broni.

Wokół niego fale z innych głośników nadal powodowały wibracje powietrza i morza, ale większość dźwięków była poza zasięgiem ludzkiego słuchu. Docierały do niego tylko upiorne eteryczne odgłosy.

Spojrzał z powrotem w stronę urwiska. Leilani trzymała dłonie złożone przed ustami, Tautog stał dumnie. Kurt przygotował się jak gladiator przed walką.

- Okej! - zawołał.

Tautog przestawił przełącznik. Kurt natychmiast poczuł ból w całym ciele, jakby dostał skurczu wszystkich mięśni jednocześnie. W głowie mu huczało, w uszach dzwoniło, oczy go bolały, eteryczne odgłosy, które słyszał wcześniej, zamieniły się w wycie przenikające przez szczękę w głąb czaszki. Myślał, że bębni w uszach mu popękają, może gałki oczne też.

Tylko siłą woli utrzymał się na nogach i spróbował pójść na przód. Miał wrażenie, że ciągnie za sobą wielki kamienny blok lub pcha taki w górę plaży. Ledwo mógł się ruszać.

Zrobił jeden krok, drugi, a potem ból stał się nie do zniesienia. Osunął się na piasek i zasłonił uszy i głowę.

- Wyłącz to! - usłyszał krzyk Leilani. - Zabijesz go.

W innym czasie i miejscu Kurt złożyłby te słowa na karb kobiecej hysterii, ale gdy fale bólu przepływały przez każdy milimetr jego ciała, pomyślał, że Leilani może mieć rację.

Głośnik przestał działać i cierpienie się skończyło - jakby pękła gumka recepturka: w jednym momencie było, w następnym już nie.

Kurt by wyczerpany, leżał niezdolny do niczego, poza oddychaniem.

Leilani podbiegła i opadła tuż przy nim na piasek.

- Nic ci się nie stało? - zapytała, przetaczając go na bok. - Jesteś cały?

Skinął głową.

- Na pewno?

- A nie wyglądam? - wykrztusił.

- Nie - zaprzeczyła.

- Jestem - zapewnił. - Przysięgam.

- Znam cię od niedawna - rzuciła, pomagając mu się podnieść do pozycji siedzącej - ale naprawdę nie jesteś normalny.

Mimo wyczerpania Kurt się roześmiał. Miał nadzieję na coś w rodzaju: „Nie chcę cię stracić” albo „Zaczęło mi na tobie zależeć”.

- Co cię tak bawi? - spytała.

- Myślałem, że zwracasz się do kogoś innego - odrzekł. -
Ale nie mylisz się.
Uśmiechnęła się.
- Ile przeszedłem? - Czuł się jak po wspinaczce na Mount Everest z ciężkim plecakiem na ramionach.
- Całe pół metra - odparła.
- Tylko?
Przytaknęła.
- Wszystko trwało zaledwie parę sekund.
- Wydawało się, że wieczność.
Wokół nich inne głośniki przestały działać. Tautog dołączył do nich, kiedy pierwsza niezmacona fala omyła plażę.
- Zgadzasz się z nią - oświadczył. - Nie jesteś normalny.
Kurt poczuł, jak wracają mu siły.
- No cóż, skoro już to ustaliliśmy, to moja następna prośba nie powinna być zaskoczeniem.
Wyciągnął rękę. Tautog chwycił ją i postawił go na nogi.
- Jaka to będzie prośba?
- Jest mi potrzebna łódź - wyjaśnił Kurt - tuzin karabinów i jedna z tych maszyn.
- Zamierzasz uratować przyjaciół - odgądnął Tautog.
Kurt przytaknął.
Tautog się uśmiechnął.
- I myślisz, że puścimy cię samego?

ROZDZIAŁ 49

Od znalezienia budki strażników przy Świątyni Horusa Joemu Zawali przestało dopisywać szczęście.

Najpierw się okazało, że to heroiczne przedsięwzięcie, ściągając kogoś z wojskowych w ulewę, żeby z nim porozmawiali.

Kiedy przyjechali, nie mieli tłumacza, co zmusiło niepełnoetatowego strażnika zabytku do pełnienia tej roli. Mimo jego bohaterских wysiłków Joe był pewien, że ważne szczegóły zostały pominięte w tłumaczeniu.

Na każdą próbę wyjaśnień wojskowi najpierw reagowali zdumieniem, potem niedowierzaniem, wreszcie irytacją.

Kiedy Joe starał się ich przekonać, że zwłoka w działaniu tylko zwiększa niebezpieczeństwo, zaczęli na niego krzyczeć i wskazywać go palcami, jakby groził, a nie ostrzegał.

Może właśnie tak giną posłańcy, pomyślał Joe.

Wycelowano w niego broń, wywleczono go z budki strażników, wrzucono na tył furgonetki i zawieziono do jakiegoś kompleksu wojskowego, gdzie trafił do aresztu.

Bрудna cela byłaby koszmarem dla mizofoba. I Joe znajdował niewielkie pocieszenie w tym, że wcześniej czy później prawie czterdzieści bilionów litrów wody zza przerwanej tamy zaleje celę i wymyje ją do czysta.

Los stał się dla niego łaskawszy, gdy o czwartej nad ranem zmienili się strażnicy i służbę objął oficer, który lepiej znał angielski.

Major Hassan Edo nosił płowy mundur połowy z nazwiskiem i niewieloma ozdobami. Miał około pięćdziesięciu pięciu lat, krótko ostrzyżone włosy, orli nos i cienki wąsik w stylu Clarka Gable'a.

Wyciągnął się na krzesło, położył nogi na wielkim biurku przed sobą i zapalił papierosa. Trzymał go między dwoma palcami, kiedy mówił, i nigdy naprawdę się nie zaciągał.

- Uporządkujmy to - powiedział. - Nazywa się pan Joseph Zavala. Twierdzi pan, że jest Amerykaninem, co nie jest tutaj najlepszą wizytówką, ale nie ma pan na to dowodu. Mówi pan, że wjechał do Egiptu bez paszportu, wizy i jakiegokolwiek innego dokumentu. Nie ma pan nawet prawa jazdy ani karty kredytowej.

- Nie próbuję się bronić wszelkimi sposobami - zaczął Joe - ale „wjechał do Egiptu” brzmi tak, jakbym to zrobił dobrowolnie.

Byłem więźniem, przetrzymywanym przez terrorystów, którzy zamierzają wyrządzić poważne szkody w waszym kraju. Uciekłem, przyszedłem was ostrzec i na razie jestem traktowany jak jakiś zadymiarz. - Oficer zrobił taką minę, jakby nie zrozumiał, więc Joe dodał: - Chyba wiecie tutaj, kto to jest zadymiarz?

Major Edo zdjął nogi z biurka i postawił je ciężko na drewnianej podłodze. Wziął papierosa z popielniczki, co przez moment groziło tym, że będzie go palił, ale zamiast tego pochylił się w kierunku Joego.

- Przyszedł pan ostrzec nas przed problemem? - zapytał, jakby Joe ukrywał ten fakt.

- Tak - potwierdził Joe. - Terrorysty z Jemenu chcą zniszczyć tamę.

- Tamę? - powtórzył Edo z niedowierzaniem. - Wysoką Tamę Asuańską?

- Zgadza się - przytaknął Joe.

- Widział pan ją?

- Tylko na zdjęciach - przyznał Joe.

- Ta tama jest zbudowana z kamienia, skał i betonu - tłumaczył major z zapałem. - Waży miliony ton. Jej podstawa ma dziewięćset osiemdziesiąt metrów szerokości. Ci ludzie, jeśli w ogóle istnieją, mogliby w nią trafić dwudziestoma tonami dynamitu i tylko by ukruszyli mały kawałek jej ściany.

Przy każdym zdaniu major wymachiwał papierosem. Popiół spadał tu i tam, smużka dymu płąsała, ale Edo nie wziął papierosa do ust. Rozparł się wygodnie, całkowicie przekonany, że ma rację.

- Zapewniam pana - zakończył - że tej tamy nie można uszkodzić.

- Nikt nie wspominał o wysadzeniu jej w powietrze u podstawy - odparł Joe. - Oni zamierzają wydrążyć kanał w poprzek tamy u szczytu, tuż poniżej linii wodnej, gdzie budowla jest najwęższa.

- Jak? - zapytał major.

- Jak?

- Tak - odrzekł major. - Niech pan mi powie jak? Zamierzają wjechać na szczyt koparko-ładowarkami i zacząć pracę jakby nigdy nic?

- Oczywiście, że nie - zaprzeczył Joe.

- Więc niech pan mi powie, jak to ma być zrobione.

Joe chciał wytłumaczyć, ale zamarł z szeroko otwartymi ustami, zanim wypowiedział słowo.

- Tak? - powiedział wyczekująco major. - Słucham.

Joe zamknął usta. Miał dwa wyjścia. Mógł wyjaśnić majorowi, że tamę zniszczą mikroskopijne maszyny, których nie widać, co wzbudziłoby tylko śmiech i lekceważenie. Albo mógł coś zmyślić, zaciemnić obraz i wysłać majora na poszukiwania innego zagrożenia niż to, które istniało w rzeczywistości.

- Mogę zadzwonić? - spytał w końcu.

Gdyby mu się udało skontaktować z ambasadą amerykańską lub z NUMA, mógłby przynajmniej zawiadomić kogoś jeszcze o niebezpieczeństwie w Asuanie, a także o obecności oszustki na pływającej wyspie.

- To nie Ameryka, panie Zavalu. Nie ma pan prawa do skorzystania z telefonu, adwokata ani niczego, na co ja panu nie pozwolę.

Joe spróbował inaczej.

- To może tak. Jest pięć ciężarówek. Identycznych, platformowych, zakrytych plandekami. Jadą na północ. Wiozą żółte beczki wypełnione srebrzystą substancją o wyglądzie piasku. Znajdźcie je, zatrzymajcie i przesłuchajcie kierowców. Jestem pewien, że oni też nie mają wiz, paszportów ani kart kredytowych.

- A, tak - odparł drwiąco major, wziął notatnik i zajrzał do niego. - Pięć tajemniczych ciężarówek z Jemenu. Szukamy ich, odkąd usłyszeliśmy od pana tę historyjkę. Z powietrza, samochodami i pieszo. Nie ma żadnych ciężarówek. Nie tutaj. W żadnym magazynie, gdzie mogłyby się zmieścić. Ani w pobliżu tamy, ani na brzegu jeziora. Nawet na drodze do Marsa el-Alam. Myślę, że istnieją jedynie w pańskiej wyobraźni.

Joe westchnął, sfrustrowany. Nie miał pojęcia, dokąd mogły pojechać ciężarówki. Ludzie Edo musieli coś przeoczyć. Major rzucił notatnik na bok.

- Dlaczego nie powie nam pan, co pan naprawdę kombinuje?
- Po prostu staram się pomóc - oznajmił Joe, gotów się poddać. - Możecie przynajmniej sprawdzić tamę?
- Sprawdzić?
- Tak - potwierdził Joe. - Poszukać przecieków, uszkodzeń.

Czegokolwiek podejrzanego.

Major rozważał to przez chwilę, siedząc prościej i kiwając głową.

- Świetny pomysł.
- Naprawdę?
- Oczywiście. Zrobimy to obaj.
- Obaj?
- Naturalnie. - Major wstał i w końcu litościwie zgasił papierosa. - Skąd będę wiedział, czego szukać, jeśli nie wezmę pana ze sobą?

Joe nie był zachwycony.

- Straż! - krzyknął major.

Drzwi się otworzyły i dwóch egipskich żandarmów weszło do środka.

- Skujcie go i dostarczcie do portu. Zabieram naszego gościa na zwiedzanie. - Kiedy mężczyźni zaczęli zakładać Joemu kajdanki, major zwrócił się do niego. - Zobacz pan, że tama jest nie do zburzenia, a potem zakończymy tę komedię i porozmawiamy o prawdziwym celu tego wszystkiego. Jakikolwiek on jest.

ROZDZIAŁ 50

Dwadzieścia minut później Joe siedział w łodzi patrolowej, która w ciemności płynęła spokojnie po Nilu. Egipski major wydawał rozkazy, jeden żołnierz sterował, drugi stał obok z karabinem szturmowym.

Noc była chłodna, ale na szczęście przestało padać. Gdy niebo się wypogodziło, pojawiły się gwiazdy. Na wodzie panował o tej porze mały ruch, ale w dolinie błyszczały jasne światła hoteli i innych budynków na brzegach rzeki. Tama tonęła w blasku reflektorów niczym stadion piłkarski nocą.

Ponieważ była to tama nasypowa z kruszywa, lepiej wtapiała się w tło niż takie budowle jak Zapora Hoovera. Zamiast wysokiej szarej ściany na jednym końcu wąskiej doliny Joe widział wielką skarpową budowlę, wyglądającą jak ogromna pochylnia w kolorze pustyni.

Zewnętrzna powierzchnię tamy tworzyła cienka warstwa betonu, która zapobiegała erozji. Pod tą skorupą leżała ubita skała i piasek, a w środku wodoszczelny gliniany rdzeń ciągnął się w dół do betonowej konstrukcji nazywanej kurtyną odcinającą.

Za tamą stała ściana wody o wysokości ponad dziewięćdziesięciu metrów.

- Musimy być po tej stronie? - wymamrotał Joe.

- Że co? - zapytał major.

- Nie moglibyśmy sprawdzić tamy od drugiej strony albo nawet z góry?

Major pokręcił głową.

- Szukamy przecieku, tak? Jak pan chce go zobaczyć po tamtej stronie? Wszystko jest pod wodą.

- Liczyłem na to, że macie kamery lub ROV-a, albo coś takiego.

- Nie mamy nic takiego - odparł major.

- Znam odpowiednich ludzi - powiedział Joe. - Mógłbym wam załatwić jednego. Tanio.

- Nie, dziękuję, panie Zawała - odrzekł major. - Sprawdzimy czoło tamy stąd i przekona się pan, że nie ma żadnego niebezpieczeństwa. A potem porozmawiamy o więzieniu, które czeka pana za zmarnowanie mojego czasu.

Łódź patrolowa wpłynęła do strefy o ograniczonym dostępie, która ciągnęła się prawie kilometr w dół rzeki od podstawy tamy.

Zbudowana w latach sześćdziesiątych z pomocą Rosjan tama składała się z dwóch części. Zachodnia strona, na prawo od Joego, miała szerokie pochyłe czoło. Po wschodniej stronie, za trójkątnym półwyspem ze skały i piasku, gdzie biegły linie wysokiego napięcia i stały transformatory, wznosiła się pionowa betonowa ściana z przelewami. Była osadzona na wąskim upuście nazywanym kanałem odpływowym, którym przepływająca z dużą prędkością i napędzająca turbiny woda spływała do koryta rzeki.

Joe zauważył, że woda w kanale odpływowym płynie stosunkowo spokojnie.

- Nie wytwarzacie prądu?

- Przelewy są otwarte na minimum - wyjaśnił major. - W nocy nie potrzeba tyle energii elektrycznej. Największe zapotrzebowanie jest po południu, do zasilania klimatyzatorów i oświetlenia w firmach.

Zbliżali się do prawej strony i pochyłej części budowli.

Im bliżej byli, tym bardziej Joe podziwiał ogrom tamy. Nie spodziewał się, że masywna segmentowa pochylnia jest aż taka szeroka i płaska. Przypominała bardziej górę zrzuconą do rzeki niż dzieło człowieka.

- Ile ona ma szerokości?

- Dziewięćset osiemdziesiąt metrów u podstawy.

Prawie kilometr, pomyślał Joe. Zaczynał rozumieć, dlaczego major jest taki pewny swego. Ale znał się również trochę na hydroinżynierii i widział, co się stało w zbiorniku w Jemenie.

Wyłom na modelu zaczął się wysoko i osunięcie postępo-
wało stamtąd jak w wypadku wałów przeciwpowodziowych na
brzegach Missisipi.

- Stąd, z dołu, nic nie zobaczymy - oświadczył. - Trzeba
sprawdzić szczyt tamy. Wysłać ludzi na górę, żeby tam poszu-
kali przecieku.

Major wydawał się zirytowany.

- Myślałem, że to panu uzmysłowi, jak głupio marnuje pan
nasz czas - odparł. - Nie chciałem pana uwięzić. Zwyczajnie
nabijałem się z pana, jak to wy, Amerykanie, lubicie mówić. Ale
jeśli nadal będzie pan nadużywał mojej cierpliwości, to się ziry-
tuję i nie będę miał innego wyboru...

Major urwał. Patrzył na pochyłą ścianę tamy za plecami
Joego. Byli piętnaście metrów od niej.

Joe się odwrócił. Zobaczył fosforyzującą strużkę na styku
wody z tamą i turbulencję tam, gdzie nie powinno jej być. Woda
spływała po czole tamy do rzeki. Nie lała się, raczej tylko ciekła,
jakby ktoś zostawił odkręcony kran gdzieś powyżej.

- O nie - mruknął.

- Podpłyn bliżej - rozkazał major sternikowi i przeszedł na
dziób.

Żołnierz przesunął przepustnice i łódź patrolowa wyrwała
się do przodu. Po kilku sekundach dotarli do czoła tamy i skie-
rowali dwa szperacze na spływającą wodę.

- Nabiera prędkości - zauważył Joe.

Popatrzył w górę wzdłuż pochylej ściany, gdy major odchylił
do tyłu jeden z reflektorów. Kręty ślad prowadził ku szczytowi
tamy.

- To nie może być prawda - wymamrotał Edo pod nosem. -
To się nie może dziać.

- Ostrzegłem pana - przypomniał Joe - że jesteśmy w nie-
bezpieczeństwie. Cała dolina jest zagrożona.

Major nadal się przyglądał, jakby zaszokowany.

- Ale to nie taki duży przeciek.
- Powiększy się - odrzekł Joe, wciąż patrząc w górę. - Widzi pan może, gdzie on jest?

Major powiódł szperaczem po strudze wody, ale ślad zniknął poza zasięgiem reflektora.

- Nie - zaprzeczył, już bez cienia wyższości.
- Musi pan zaalarmować ludzi - przynaglił Joe. - Trzeba ewakuować wszystkich znad rzeki.
- Wybuchnie panika - odparł major. - A jeśli pan się myli?
- Nie myślę się.

Majora jakby sparaliżowało. Wydawał się niezdolny do działania.

- Niech pan mnie rozkuje! - krzyknął Joe. - Pomogę panu szukać. Jeśli znajdziemy miejsce przecieku, może zdołamy coś z tym zrobić, ale przynajmniej będzie pan miał pewność.

Strumień cały czas się powiększał. Woda płynęła już jak z dwóch odkręconych do końca kranów.

- Majorze, proszę...
Major się ocknął. Porwał klucze od jednego ze strażników i otworzył kajdanki na nadgarstkach Joego, a potem na jego kostkach.

- Niech pan idzie ze mną - polecił i chwycił walkie-talkie.
Joe przeszedł z łodzi na pochyłą powierzchnię tamy. Pobiegnął z majorem w górę szlakiem wody.

Kąt nachylenia ściany Wysokiej Tamy Asuańskiej to tylko trzynaście stopni, stosunkowo niewiele, chyba że ktoś pędzi w górę co sił w nogach. Po pokonaniu dwustu trzynastu metrów w poziomie i dwudziestu ośmiu w pionie major był wykończony. A jeszcze nie znaleźli nieszczelności.

- Przeciek się powiększa - wysapał, przystając obok strumienia wody.

Joe zobaczył drobny piasek i inne osady w potoku. Wypływanie już się zaczęło.

- Musimy wejść wyżej - stwierdził.

Major skinął głową i znów ruszyli w górę. Kiedy od szczytu dzieliło ich piętnaście metrów, strumień wody miał już prawie dwa metry szerokości, pieniał się i niósł małe kawałki skały. Nagle ustąpił fragment ściany, potok natychmiast powiększył się dwukrotnie i popłynął ku nim.

- Uwaga! - krzyknął Joe i odciągnął majora na bok.

Obaj odskoczyli. Teraz już nie było wątpliwości, co się dzieje.

Major uniósł radio do ust i nacisnął przycisk nadawania.

- Tu major Edo - przedstawił się. - Zgłaszam zagrożenie pierwszego stopnia. Włączyć wszystkie alarmy i rozpocząć pełną ewakuację. Tama jest uszkodzona.

Ktoś się zgłosił niezrozumiale i major natychmiast odparł:

- Nie, to nie są ćwiczenia ani fałszywy alarm! Tama jest zagrożona! Powtarzam! Tama grozi zawaleniem!

Następny mały odcinek górnej krawędzi puścił i spieniona woda popłynęła w dół pochyłości. Jeśli ktoś nie wierzył w słowa majora, to wystarczyło wyrzucić przez okno, żeby się przekonać, że to prawda.

Dalekie dźwięki alarmów rozległy się w ciemności. Brzmiały jak wycie syren ostrzegających o nalocie.

W dole łódź patrolowa pomknęła na południe.

- Tchórze! - zawołał major.

Joe nie dziwił się im, ale on i major znaleźli się w trudnym położeniu. Tama zaczęła drzeć pod ich stopami. Budowla była masywna, wyrwa mogła mieć w tej chwili nie więcej niż cztery i pół metra szerokości, ale Joego i majora dzieliła od niej niebezpiecznie mała odległość.

- Chodźmy - zarządził Joe, chwycił majora za ramię i pociągnął go w kierunku szczytu tamy. - Musimy się dostać na górę, to nasza jedyna szansa.

ROZDZIAŁ 51

Taka sama ciemność, jaka panowała w Egipcie, zapadła już na Morzu Arabskim i Oceanie Indyjskim, z jedną niewielką różnicą. Niebo nad Egiptem się wypogodziło, ale zachmurzyło nad oceanem. Na tyle, że dwie godziny przed świtem Kurt Austin przestał widzieć gwiazdy.

Zaniepokoiło go to bardziej niż zwykle, gdy stał na czteroipółmetrowej tratwie na środku morza i, nawigował za pomocą siedemdziesięcioletniego sekstantu i poźółkłych, sfatygowanych map morskich z czasów II wojny światowej.

Łódź z odsadnią przypominała skrzyżowanie słynnej Kon-Tiki z hawajskim pięciosobowym kanu. Miała podniesiony dziób, szerszą część środkową i uciętą pod kątem prostym rufę. Była napędzana wiosłami lub dziwnie wyglądającym trójkątnym żaglem nazywanym „kleszczami kraba”, który wystawał za burzę.

„Kleszczy kraba” używano w zamierzchłej przeszłości przez ponad tysiąc lat. Bardzo skutecznie napędzały małe łodzie i były zgrabne. Przed nimi dodatkowy żagiel zrobiony przez Kurta wydymał się w trzymetrowy łuk. Stanowił prowizoryczną wersję spinakera. Działał podobnie do skrzydła i umożliwiał tak zwane żeglowanie bliżej wiatru.

Za Kurtem podążały cztery podobne tratwy. Flotylla z Wyspy Picketta.

Chcieli zakraść się na pokład i opanować pływającą wyspę. Osiemnastu ludzi plus Leilani i Kurt, pięć Wytwarzaczy Bólu i czterdzieści karabinów - dodatkowe zabrano po to, żeby uzbroić więźniów, których Kurt miał nadzieję uwolnić - dawało szansę na równą walkę. Pod warunkiem że Kurt zdoła ich wszystkich doprowadzić na pole bitwy.

Opuścił sekstant.

- Udało się? - zapytała Leilani.

- Nie - zaprzeczył. - Płyniemy na oślep.

Wycofał się z dziobu i odłożył sekstant. Odwrócił się do Tautoga.

- Na razie zostaniemy na tym kursie.

Tautog skinął głową. On i jego siostrzeniec Varu sterowali łodzią.

Flotylla płynęła od pięciu godzin. Żeglowali szybko, gdyż wiatr zmienił kierunek na przeciwny w taki sposób, w jaki na wybrzeżu wiejąca w dzień bryzę morską zastępuje nocą lądowa. Pomagało im to, choć nie powinno się zdarzyć na pełnym morzu. Kurt składał to na karb manipulacji pogodowych Jinna.

Leilani przysunęła się bliżej do niego.

- Jesteś niespokojny.

- Bo przeze mnie możemy płynąć donikąd.

Kurt znów popatrzył na stare mapy morskie z „Johna Bury'ego”. Pickett dokładnie określił położenie wyspy i zaznaczył ją tam, gdzie mapa pokazywała tylko pusty ocean. Naniósł również dwie pozostałe wyspy i narysował krąg wokół nich. Nagryzł obok napis „Archipelag Bury - USA”. Wyglądało na to, że przyłączył je do Ameryki.

Leilani zajrzała mu przez ramię.

- Gdzie jesteśmy?

Kurt wskazał miejsce na mapie.

- Gdzieś tutaj.

- A gdzie jest Aqua-Terra?

- Dobrze pytanie - odrzekł.

Po odkryciu Wytwarzacza Bólu Kurt natychmiast sięgnął po stare mapy morskie. Po wielu kalkulacjach domyślił się lokalizacji Aqua-Terry, zakładając - być może głupio - że pozostała w tym samym rejonie. Na podstawie wiatru i odległości od Wyspy Picketta obliczył, że mogliby dotrzeć do Aqua-Terry przed świtem, gdyby wyruszyli od razu.

Każda zwłoka uniemożliwiłaby to i oznaczałaby konieczność czekania do następnej nocy, gdyż podejście do wyspy za dnia byłoby samobójstwem. A doba opóźnienia skazałaby Paula,

Gamay i resztę na pozostanie w rękach Jinna. Szaleniec miałby dwadzieścia cztery godziny więcej na realizację swojego planu lub opuszczenie wyspy i zniknięcie. Kurt uznał, że to nie do przyjęcia, i flotylla pośpiesznie wyszła w morze.

Jak się okazało, małe łodzie spisywały się lepiej, niż Kurt się spodziewał, wykorzystując sprzyjający wiatr. Mieli sporo czasu w zapasie, ale też mało brakowało, że by się zgubili.

- Kiedy ostatni raz widzieliśmy Aqua-Terre, tkwiła nierucho dokładnie tutaj - powiedział Kurt. - Jeśli nie odplynęła, powinniśmy już być przy niej.

- Widzę światło - oznajmił Varu. - Na lewo od dziobu.

Wszyscy spojrzeli w tamtą stronę. W odległości może trzech mil morskich zobaczyli słabo oświetlony obiekt. Wyglądał jak statek widmo we mgle, ale Kurt rozpoznał wyspę Marchettię. Była zaciemniona, tylko kilka świateł paliło się tu i tam. Leilani się uśmiechnęła.

- Co mówiłeś?

Kurt wyszczerzył zęby.

- Skrećmy na północny wschód - zwrócił się do Tautoga i wskazał mu kierunek. - Tam.

Tautog i Varu przestawili ster i żagle. Łódź wzięła kurs na północny wschód. Reszta flotylli wykonała taki sam manewr.

- Dlaczego nie popłyniemy prosto ku niej? - spytała Leilani. Kurt ustalił położenie łodzi i wyspy, a potem zaczął wyliczać.

- Pół mili morskiej na północny wschód, następnie zwrot i prawie prosto z wiatrem w kierunku wyspy. To nam zapewni większą prędkość i manewrowość.

- A jeśli nas zauważą? - zapytała.

- Wyspa ma sześćset metrów długości i miejscami wysokość dwudziestu pięter, a o mało jej nie przeoczyliśmy. Jesteśmy na ciemnej tratwie z ciemnymi żaglami i zbliżamy się do nich w środku mglistej nocy. Nikt nas nie zobaczy, dopóki nie dopłyniemy do wyspy. Według Izmaela Jinn ma najwyżej trzydziestu ludzi

na pokładzie, a przynajmniej połowa z nich musi spać. Szanse, że ktoś nas zauważy, są naprawdę nikłe.

Kurt miał w trzech czwartych rację. Dwudziestu z trzydziestu ludzi Jinna spało. Kilku pilnowało więźniów, a pozostali naprawiali uszkodzenia w maszynowni ze zdrajcami z załogi Marchettiiego. Wystawiono tylko dwie czujki. Patrolowały wyspę, ale nie było mowy, żeby mogli należycie obserwować to, co zasadniczo tworzyło półtorakilometrową linię brzegową, i prawie pięć hektarów pokładu.

Sprawa była przegrana. Mężczyźni powtarzali obchód z zapalem słabo opłacanych ochroniarzy.

Jeden strażnik, który miał szczęście uniknąć długich, nudnych spacerów, dyżurował w sterowni Aqua-Terry przy radarze.

Jak dotąd żaden obraz nie pojawił się na ekranie. Spokój trwał tak długo, że kiedy na moment ukazało się parę obiektów, strażnik ich nie zauważył. Właściwie ledwo patrzył na wyświetlacz, bo walczył z sennością.

Obiekty szybko zniknęły i pojawiły się drugi raz kilka minut później. Ukośne linie biegingy do nich, wskazując odległość. Strażnik nie wiedział, co się dzieje. Zanim się zorientował, cele znów zniknęły i wyświetlił się napis: „Utrata kontaktu”.

Strażnik usiadł prosto.

Stał się podejrzliwy.

Widział coś? Jeśli tak, to gdzie to się podziało? Jak zniknęło? Myśl o amerykańskich myśliwcach Stealth przemknęła mu przez głowę.

Wyjrzał przez okno, niczego nie zobaczył w ciemności i wrócił do obserwacji radaru.

Cele się nie pojawiały, więc stał się jeszcze bardziej podejrzliwy.

Chwycił dużą lornetkę i wyszedł na skrzydło obserwacyjne. Trudno było ustawić ostrość w mroku. Nic nie widział. Częściowo

dlatego, że przez większość czasu wypatrywał na niebie samolotów lub helikopterów, ale również dlatego, że światła wyspy, choć przyćmione na noc, nadawały mgłę łagodny blask, co sprawiało, że poza ich zasięgiem nic nie było widoczne. Gdyby spojrział prosto w kierunku pięciu bambusowych tratw, zobaczyłby tylko białą zasłonę mgły.

Sfrustrowany, przycupnął z powrotem przed ekranem i przyglądał mu się uważnie, niczym kot pilnujący dziury w ścianie, gdzie mieszka mysz.

ROZDZIAŁ 52

Kiedy Kurt zbliżał się do ogromnej Aqua-Terry ze swoją flotyllą zapalczanych tratw, wyspa wylaniała się z mgły jak Skała Gibraltarska. Czuł się jak mrówka atakująca słońca.

- To olbrzym - zauważył Tautog.
- Głównie pusty - odrzekł Kurt.
- A jeśli ściągnęli więcej ludzi, kiedy nas nie było? - zapytała Leilani.

Odwrócił się do niej z zaciśniętymi ustami. Niekoniecznie potrzebował głosu rozsądku w tym momencie.

- Naprawdę musisz poznać Joego - powiedział. - Chyba rozdzielono was przy narodzinach.

Wiedząc, że areszt znajduje się blisko tylnego krańca wyspy, Kurt postanowił się tam skierować. Przeszedł na dziób, omijając dolne drzewce żagla, i ściągnął brezent ze skrzynki głośnikowej Wytwarzacza Bólu.

- Leilani - szepnął - zaczynajcie z Varu to zasilać.

Podeszła do generatora i koła zamachowego blisko rufy łodzi. Obsługa ręcznie napędzanego urządzenia była trochę niewygodna na małej tratwie, ale kiedy nadali prędkość obrotową

kołu zamachowemu, masa wirującego ciężkiego kręgu dostarczała większość energii.

Kurt usłyszał, jak dynamo zaczyna się kręcić, i zobaczył, jak wskazówka mocy wędruje do góry. Od wyspy dzieliło ich niecałe sto metrów. Ustawił pokrętkę zasięgu i apertura głośników się zmieniła.

Zbliżyli się do wyspy na tyle, że jej kadłub ich zasłonił, i stali się niewidoczni z dwóch głównych wież, ze sterowni i dla radarów. Mogli się obawiać jedynie strażników na patrolu. Gdyby Kurt dostrzegł kogoś, musiałby unieszkodliwić go dźwiękiem. Gdyby to się nie udało, miał pod ręką karabin, który wcześniej wypróbował.

Rozróżnił już okna na dolnym pokładzie. Policzył je. Ostatnie pięć to był areszt.

Kurt wyjął starą lornetkę i popatrzył przez nią. W pięciu oknach zobaczył słabe światło. Nie zauważył żadnego ruchu w środku.

Pomyślał o drabinie i schodni blisko rufy, ale zmienił zdanie. Jeśli gdzieś postawiono wartownika, to zapewne właśnie tam. Spróbował czegoś innego.

Przywołał gestem resztę łodzi i wszystkie skrzyły w stronę piątego okna. W odległości trzydziestu metrów, mniej więcej takiej, z jakiej został trafiony falą dźwiękową na plaży, przestawił przełącznik w pozycję gotowości, przemieścił skrzynkę głośnikową za pomocą dźwigni i wycelował ją w szybę.

Gdy Leilani i Varu wspólnym wysiłkiem wciąż napędzali urządzenie, Kurt zmienił zasięg na trzydzieści metrów i przestawił przełącznik z pozycji gotowości w położenie startowe. Fale dźwiękowe natychmiast popłynęły w przestrzeń.

Kurt widział, jak emisja z wycelowanego w piąte okno Wytwarczacza Bólu powoduje wibracje grubego szkła.

- Więcej mocy - zażądał.

Tautog zastąpił Leilani i wskazówka mocy doszła do czerwonego pola. Kurt trzymał wiązkę dźwięku nakierowaną na cel.

- Co ty robisz? - spytała Leilani.
- Widziałas kiedyś taką starą reklamę Memoreksu, w której Ella Fitzgerald rozbija swoim głosem kieliszek?

Pokręciła głową.

- To obserwuj okno.

Szyba wibrowała, trzęsła się pod działaniem fal dźwiękowych jak skóra na bębnie. Kurt widział, jak fale błyszczą w świetle. Dziwny hałas zaczął się rozchodzić nad wodą niczym brzmienie tybetańskiej śpiewającej misy. Kurt obawiał się, że to ich zdradzi, ale było już za późno, żeby przestać.

- Więcej mocy - powtórzył szeptem, ale gdy zobaczył, jaki Varu jest spocony i wyczerpany, zajął miejsce młodego człowieka i sam wziął się do roboty. Łódź dryfowała, ale Leilani trzymała Wytwarzacz Bólu wycelowany w okno.

Wydawało się, że poniosą porażkę, że huraganoodporna szyba nie pęknie od wibracji, kiedy nagle załogi dwóch innych łodzi uruchomiły swoje systemy i nakierowały je na to samo okno.

Trzy połączone wiązki dźwięku roztrzaskały szkło natychmiast. Szyba eksplodowała do środka, czego Kurt się nie spodziewał. Miał tylko nadzieję, że Marchetti i Troutowie są w pomieszczeniu i przezornie się odsunęli od wibrującej szyby okiennej.

Gamay pierwsza usłyszała dźwięk - dziwny rezonans, który początkowo wydawał się jej tylko dzwonieniem w uszach.

- Co to? - zapytał Paul. Najwyraźniej nie wyobraziła sobie tego.

- Nie mam pojęcia - odrzekła.

Wstała, opuściła swoje stanowisko przy drzwiach i zaczęła myszkować w mrocznym pomieszczeniu jak mieszkaniec podmiejskiej dzielnicy, szukający w cichym domu cykającego świerszcza.

Hałas stawał się stopniowo coraz intensywniejszy, jeśli nie głośniejszy. Gdyby towarzyszył im pies, wyłby na całe gardło.

- Może porywają nas kosmici - podsunął Marchetti,

Gamay go zignorowała. Hałas przywiódł ją do dużego okna z widokiem na ocean. Przywarła twarzą do szyby. W ciemności zobaczyła - ledwo widoczne w niewielu włączonych światłach Aqua-Terry - tratwy. Wyglądały na tubylcze. Rozpoznała postać na pierwszej z nich.

- To Kurt - oznajmiła.

Paul i Marchetti podbiegli do okna.

- Co on, na Boga, wyprawia? - zapytał Paul na widok dziwnej sceny. - I kim są ci ludzie z nim?

- Nie mam zielonego pojęcia - odparła Gamay.

Kiedy się przyglądali, dwie tratwy zrównały się z łodzią Kurta i dziwny rezonans wzmógł się o oktawę lub dwie. Odgłos rozpryskującego się szkła rozległ się gdzieś na lewo od nich.

- Chyba próbuje nas uratować - domyślił się Marchetti.

- Niestety, włamuje się nie tam, gdzie trzeba - przytaknęła Gamay z dumą i smutkiem jednocześnie.

Na korytarzu strażnicy pilnujący więźniów przez chwilę słyszeli wibracje, ale w ich uszach brzmiały one jak odgłosy pracującego z pełną mocą fotela do masażu. Rozpryskujące się szkło to było co innego.

Zerwali się z miejsc.

- Sprawdźcie, co z więźniami - rozkazał dowódca.

Dwaj z jego ludzi chwycili broń i pobiegli korytarzem. Kiedy zniknęli, podniósł słuchawkę telefonu i wybrał numer sterowni. Po czterech sygnałach nikt się nie zgłosił.

- Niech ktoś wreszcie odbierze - warknął.

Kolejny brzęk szkła przykuł jego uwagę. Dochodził z pomieszczenia naprzeciwko niego, nie z głębi korytarza.

Rozważał ewentualność ucieczki więźniów lub o wiele mniej prawdopodobną możliwość włamania przez okno. Przyszło mu do głowy, że lepiej to sprawdzić przed złożeniem meldunku. Odłożył słuchawkę, wyszedł ostrożnie zza biurka, wyciągnął pistolet i zbliżył się do drzwi.

Zgasił światła w korytarzu, pchnął drzwi i wysunął broń przed siebie.

Nic nie widział w ciemności. Potem poczuł podmuch wiatru w pomieszczeniu i zobaczył oświetloną mgłę za wybitym oknem.

Sprawdził wszystko dookoła, ale nie znalazł nic podejrzanego, a już na pewno żadnych intruzów. Ale coś musiało rozbić szybę.

Ruszył wolno w kierunku okna. Szkło chrzęściło pod jego stopami. Coś unosiło się na wodzie blisko kadłuba. Podszedł bliżej i zobaczył dziwnie wyglądającą żaglówkę. Druga kołysała się obok niej. Żadna nie przypominała niczego na wyposażeniu amerykańskich sił specjalnych. Zrobił następny krok, usłyszał dziwne buczenie i poczuł, jak całe jego ciało się naprężyło, jakby został porażony prądem wysokiego napięcia.

Ból przeszył mu ramiona i tułów. Kark mu zeszywniał i przygryzł sobie język, gdy zęby mu się zacisnęły. Opadł na kolana, osunął się na szkło i wypuścił pistolet z ręki. Ból minął, kiedy dowódca upadł, ale skutki były nie mniej obezwładniające.

Jakaś postać przeskoczyła przez parapet wybitego okna i wylądowała obok niego.

Strażnik szukał po omacku broni. Natrafił na nią dłonią i poczuł, jak ciężki but miażdży mu palce. Jęcząc, wyszarpnął rękę i stracił przytomność po ciosie kolbą karabinu w skroń.

Gamay, Paul i Marchetti patrzyli ze swojej celi, jak Kurt i paru innych rzucają w górę haki abordażowe i zaczynają się wspinać. Nie mogli zobaczyć wybitego okna ze swojego punktu obserwacyjnego, ale Marchetti nie miał wątpliwości, że jest ono jedno lub dwa pomieszczenia od nich w kierunku rufy.

- Co nie znaczy, że nie zdołają się tutaj dostać - powie dział. - Muszą tylko pozbyć się bandytów, którzy nas pilnują, i będziemy wolni.

Zamieszanie za drzwiami przykuło uwagę Gamay.

- To oni?

- Za szybko - odrzekł Paul.

- Więc to strażnicy.

Gamay wróciła pędem na swoje stanowisko przy drzwiach. Usłyszała, jak strażnik wsuwa kartę magnetyczną do zamka i rygiel zostaje zwolniony. Dała nura na podłogę i dotarła ślizgiem do ściany tuż obok gniazdka elektrycznego w momencie, gdy drzwi zaczęły się otwierać.

Powodzenie planu Paula, żeby użyć fotela do masażu jako broni, zależało od koordynacji w czasie. Gamay zatrzymała się przy ścianie, chwyciła kabel i wetknęła wtyczkę do gniazdka w nadziei, że nie jest za późno.

Snopy iskier wystrzeliły ze ściany i z metalowych drzwi. Strażnik, który trzymał jeszcze rękę na framudze, został porażony prądem i odrzucony do tyłu. Przewody wyciągnięte z fotela i przymocowane do drzwi iskrzyły i dymiły. Gdzieś wyskoczył bezpiecznik i zgasło światło.

Paul rzucił się na strażnika i sięgnął po jego broń. Doszło do przepychanki, ale Paul szybko ją zakończył, wbijając kolano w krocze mężczyzny. On i Marchetti wciągnęli strażnika do środka, Gamay odzepiła kabel i przytrzymała drzwi, żeby się nie zatrzasnęły. Wyjrzała na korytarz i zobaczyła, że jest pusty.

- Chodźmy - zachęciła resztę.

Paul i Marchetti zostawili zwijającego się z bólu strażnika na podłodze, związanego prześcieradłem. Wymknęli się na zewnątrz i skierowali w prawo.

Kurt dotarł do stanowiska strażników przed aresztem Marchettiego. Przypominało bardziej recepcję w spa niż posterunek. Komputer stał po jednej stronie nieskazitelnie białej lady, centralka telefoniczna po drugiej.

Tautog i Varu dołączyli do Kurta. Wskazał im kilka miejsc, które nadawały się do obrony korytarza.

- Pilnujcie.

Odwrócił się, żeby pobic półkolistym korytarzem, ale zauważył trzy zbliżające się ostrożnie postaci. Ku swemu zaskoczeniu i uldze rozpoznał Gamay, Paula i Marchettiego.

- Chłopie, cieszymy się, że cię widzimy - powitała go Gamay. - Myśleliśmy, że nie żyjesz.

Kurt wciągnął ich za biurko.

- Ja też się o was martwiłem. Co robicie na zewnątrz?

- Uciekliśmy - wyjaśniła Gamay. - Przed chwilą.

Kurt się uśmiechnął.

- Po tym, jak przebyłem taki kawał drogi, żeby was uwolnić.

- Joe jest z tobą?

- Nie - zaprzeczył Kurt. - Wsadziłem go do ciężarówki w Jemenie dwa dni temu.

- Dokąd go wysłałeś?

- Dobre pytanie - odparł Kurt. Fakt, że Gamay, Paul i Marchetti siedzieli pod kluczem, zamiast zostać uratowani przez amerykańskie siły specjalne, świadczył o tym, że Joe jeszcze nie wyszedł na prostą. Kurt wiedział, że przyjaciel da sobie radę. Wolałby mieć pewność, że nic mu się nie stało, ale teraz niewiele mógł z tym zrobić.

Skoncentrował się na obecnej chwili.

- Jak sytuacja?

- Unieszkodliwiliśmy jednego strażnika - odrzekł Paul. - Jest teraz zamknięty w naszej celi.

- My załatwiliśmy faceta, który dyżurował tutaj - powiedział Kurt.

- Kim są twoi znajomi? - spytała Gamay.

- Leilani Tanner - przedstawiła się Leilani. - Ta prawdziwa.

Gamay się uśmiechnęła.

- A reszta kawalerii?

- Miło mi poznać - odezwał się Tautog. - Jestem osiemnaścym Rooseveltem...

Kurt zerknął w głąb korytarza, bo wydało mu się, że coś usłyszał.

- Zostawmy to na później - polecił. - Ktoś nadchodzi.

Kroki brzmiały bardziej niedbale tym razem. Kurt domyślił się, że to drugi strażnik, któremu zapewne kazano zajrzeć do więźniów. Mężczyzna wyłonił się zza rogu, zobaczył wycelowane w niego karabiny i zamarł.

Kurt zabrał mu pistolet i kartę magnetyczną.

- Co dalej? - zastanawiał się Paul. - Wynosimy się stąd?

- Nie - zaprzeczył Kurt. - Kiedy chwila zwycięstwa się pojawia, musi być wykorzystana.

Popatrzyli na niego.

- Sun Zi - wytłumaczyła im Leilani jak stary wyga.

- A co to znaczy po naszymu? - zapytała Gamay.

- Że teraz, gdy jesteśmy na pokładzie, nie wyruszamy nigdzie indziej, tylko na poszukiwania Jinna, Zarriny i Otera. Jak ich znajdziemy, sprawa będzie zakończona.

- Marchetti, członkowie pańskiej załogi są tu na dole?

- Większość z nich.

- Weźcie z Paulem tego faceta i wypuście ich. Zamknijcie go w celi.

Paul skinął głową i zabrał się do roboty.

Kurt odwrócił się do Tautoga i Varu.

- Przycumujcie łodzie i ściągnijcie resztę waszych ludzi na pokład. Teraz wszyscy są nam potrzebni.

Chwilę później, kiedy więźniowie i strażnicy zamienili się miejscami i mała flotylla została przywiązana do rury w kabinie z wybitym oknem, Kurt objął dowództwo nad oddziałem trzydziestu siedmiu uzbrojonych mężczyzn i kobiet - ludzie Marchettiego znali wyspę, a Tautoga byli wyszkoleni w używaniu karabinów i Wytwarzaczy Bólu.

Kurt kazał wnieść dwie z maszyn na pokład i znalazł dwa wózki do zamontowania na nich Wytwarzaczy Bólu. Jeden przydzielił grupie kierującej się do kwater załogi, drugi zostawił sobie, Leilani i Troutom. Cała czwórka, wraz z Tautogiem i Varu, wtoczyła nieporęczne urządzenie do windy jak obsługujący tournée grupy

rockowej pracownicy techniczni, którzy umieszczają wzmacniacze za kulisami.

Po wysłaniu głównych sił do kwater załogi Kurt zamierzał znaleźć Jinna al-Khalifa.

- Na którym piętrze jest apartament prezydencki? - spytał.

- Ma pan na myśli mój? - upewnił się Marchetti.

- Jeśli pański jest najbardziej luksusowy na wyspie, to tak, właśnie o ten mi chodzi.

- Ostatnie piętro, oczywiście - oznajmił Marchetti i nacisnął przycisk.

Gdy drzwi windy się zamknęły, Kurt poklepał skrzynkę głośnikową i uśmiechnął się szelmowsko.

- Pora obudzić sąsiadów - stwierdził.

ROZDZIAŁ 53

Joe Zavala ratował się ucieczką. Z bolącą kostką i obolałym ciałem pędził na ukos po mokrej pochyłości Wysokiej Tamy Asuańskiej w poszukiwaniu wyżej położonego i bezpieczniejszego terenu. Major trzymał się za nim, wyraźnie przerażony tym, co się dzieje.

- Na pańskim miejscu nie oglądałbym się stale za siebie.

Major zrozumiał, przyspieszył i dogonił Joego.

Joe zamierzał dostać się na górę z dala od poszerzającego się wyłomu i ocenić uszkodzenie. Chciał też lepiej widzieć mały gejzer poniżej szczytu, bo pamiętał coś podobnego z demonstracji na modelu tamy w zbiorniku.

Po dotarciu na górę Joe stanął na drodze, która biegła szczytem tamy. Powstała tu klinowata wyrwa o głębokości dziesięciu metrów. Woda z Jeziora Nasera przelewała się przez nią na drugą stronę.

W jasnym blasku reflektorów Joe zobaczył, jak woda wymywa kamienie i piasek niczym gwałtowna powódź w wąskim górskim kanionie.

Na skutek tego uszkodzenie powiększało się na boki i klin się rozszerzał w kierunku jednej i drugiej strony tamy.

Gdy powódź wypłukała kruszywo spod drogi, asfalt utrzymał się przez chwilę, tworząc jakby most nad rwącą wodą. Ale podkład został szybko wymyty i wielkie kawały czarnej nawierzchni osunęły się i stoczyły poza krawędź.

Joe obejrzał się na jezioro i coś zauważył.

- Woda w jeziorze jest bardzo wysoka.

- To najwyższy poziom, jaki kiedykolwiek odnotowano - przyznał major. - Dwa lata rekordowych opadów.

Joe nic nie wiedział o generale Azizie i jego układach z Jinem, ale właśnie te rekordowe deszcze sprawiły, że Aziz odważył się zerwać umowę. Te same deszcze miały teraz zdevastować jego kraj.

- Gdzie nastawnia?! - krzyknął Joe.

Major wskazał nowy budynek po wschodniej stronie tamy, który stał blisko jej środka, prawie równo z półwyspem oddzielającym jej główną część od elektrowni.

- Tam.

- Chodźmy.

Joe ruszył biegiem, a major nie został z tyłu. Za nimi wyrwa w szczycie tamy rozszerzała się w tempie ponad metra na minutę.

Dotarli do nastawni. Major otworzył gwałtownie drzwi i wpaśli do środka.

Zastali kompletny chaos. Połowa stanowisk była pusta. Co odważniejsi mężczyźni i kobiety, którzy zostali, starali się zapamiętać nad tym, co się dzieje.

Kierownik zauważył majora.

- Zaatakowano nas? - zapytał. - Nie widzieliśmy żadnych eksplozji.

- Musicie otworzyć wszystkie zasuwy! - krzyknął Joe, nie czekając na odpowiedź majora. - Nawet przelewy awaryjne.

- Kim pan jest? - spytał mężczyzna. W jego słowach nie było niechęci, tylko zaskoczenie, że niechlujnie wyglądający towarzysz majora wydaje polecenia.

- Jestem amerykańskim inżynierem. Pracowałem nad projektami wałów przeciwpowodziowych i regulacji rzek raz czy dwa w życiu i mówię panu, że musicie otworzyć wszystkie przepusty, jeśli chcecie mieć jedną szansę na dziesięć, żeby to przeżyć.

- Ale...

- W szczycie tamy jest dziesięciometrowy wyłom - przerwał mu szybko Joe. - Tuż pod poziomem wody, w połowie odległości stąd do zachodniego brzegu. Jeśli obniżycie poziom poniżej tego wyłomu, to może przeżyjecie. Jeśli nie, to cała tama zostanie zmyta.

Kierownik patrzył przez chwilę na Joego, potem przeniósł wzrok na majora. Edo skinął głową.

- Zaufajcie mu!

Kierownik przestał się zastanawiać, odwrócił się i krzyknął do swoich ludzi:

- Otwórzcie całkowicie wszystkie zasuwy!

Pracownicy zaczęli przestawiać przełączniki i dźwignie.

- Zasuwy się otwierają! - zameldował jeden z nich. - Bloki pierwszy i drugi się napelniają. Bloki trzeci i czwarty też.

Na wyświetlaczu wielkości ściany, który nazywano panelem mimicznym, wskaźniki zmieniły kolor z czerwonego na zielony. Dwanaście niebieskich linii symbolizowało tuzin kanałów zasilających generatory pod tamą.

- A co z przelewami awaryjnymi? - zapytał Joe.

Wszystkie większe tamy mają przelewy awaryjne na wypadek podobnego zdarzenia. To rzadko używane przepusty obejściowe o dużej pojemności.

- Właśnie się otwierają - odpowiedział kierownik. Obserwował i liczył głośno: - ... dwadzieścia osiem, dwadzieścia dziewięć, trzydzieści. Wszystkie są otwarte. Kanał Szajch Zajid też. Za

dziesięć sekund osiągniemy maksimum przepływu wody. Ponad jedenaście tysięcy metrów sześciennych na sekundę.

Joe poczuł i usłyszał, jak budynek się trzęsie. Spojrzał przez okno na Nil w dole. Woda w kanale odpływowym burzyła się jak w bystrzach.

Otwarte szeroko przelewy wypuszczały dość wody, by napęścić supertankowiec co piętnaście sekund. Może dwa razy taka ilość płynęła już przez wyrwę. Joe miał przeczucie, że to nie wystarczy. Jeśli Jezioro Nasera było wypełnione po brzegi, to obniżenie poziomu wody poniżej wyłomu zajęłoby godziny lub nawet dni. Przez ten czas wyrwa by się pogłębiała. Joe się obawiał, że nie zdąży.

Szalejąca powódź trzęsła budowlą o ciężarze wielu milionów ton niczym trzęsienie ziemi miastem. Ale zamiast minąć, drżenie trwało i się nasilało.

Następny wielki fragment tamy się oderwał i stoczył po pochyłości jak lawina. W ciągu kilku minut pędząca woda zmyła go i szerokość wyłomu zwiększyła się do sześćdziesięciu metrów. Wyływ z wyrwy musiał być dziesięć razy większy niż ze wszystkich przelewów razem wziętych. Przypominał wodospad Niagara.

W dole rzeki powódź się rozlewała, porywała łodzie i nabrzeża -wszystko na swojej drodze. Barki i statki wycieczkowe, które zabierały turystów w rejsy po Nilu, urywały się z cum i płynęły z prądem jak dziecięce zabawki w wannie.

Woda pędziła wzdłuż brzegów Nilu i podmywała je miejscami. Wypłukiwała skałę i piaskowiec, co powodowało osunięcia ziemi przywodzące na myśl cielenie się lodowców.

Zatapiała brzegi, zalewała hotele i inne budynki. Mniejsze domy unicestwiała, jakby były zrobione z wykałaczek. W jednym momencie stały, w następnym znikwały, zastępowane przez rwącą wodę. A katastrofa dopiero nadchodziła.

Kierownik milczał. Major też. Nawet Joe Zawała się nie odzywał. Byli bezsilni, mogli się tylko przyglądać.

Dziewięćdziesiąt procent Egipcjan mieszkało nie dalej niż dwadzieścia kilometrów od Nilu. Joe się bał, że jeśli cała tama puści, będą miliony ofiar. A kiedy woda rozleje się po dolinie, oszczędzając ludziom w dole rzeki skutków działania niszczącej siły w jej górnym biegu, następstwa mogą być gorsze od powodzi.

Miliony zostaną bez dachu nad głową. Połowa pól uprawnych w Egipcie ulegnie zatopieniu i przynajmniej czasowemu zniszczeniu. Biegunka, cholera i wszystkie choroby związane z brakiem higieny oraz przenoszone przez komary i inne owady przybiorą rozmiary epidemii.

Jakby tego było mało, tama dostarczała piętnaście procent energii elektrycznej Egiptu. Joe obawiał się, że w połączeniu z innymi problemami kraju i niepewną sytuacją polityczną w państwie, katastrofa doprowadzi do upadku rządu i osiemdziesięciomilionowy kraj pogrąży się w anarchii.

- Ile czasu zostało do całkowitego przerwania tamy? - zapytał.

- Trudno powiedzieć - odparł kierownik. - To zależy od tego, jak długo wytrzyma rdzeń.

Joe zauważył, że wyrwa na górze znacznie się rozszerzyła, ale prawie wcale nie pogłębiła. Nie miała już kształtu klina, tylko bardzo rozciągniętej litery U.

- Z czego jest zrobiony rdzeń? - spytał, pamiętając różne materiały widoczne w przekroju poprzecznym modelu.

- Z półplastycznej, nieprzepuszczalnej gliny - odrzekł kierownik. - Na dole jest beton.

Jeśli Joe się nie mylił, nacierająca woda przedarła się przez kruszywo i dotarła do rdzenia. Tempo erozji spadło prawie do zera.

- Biegnie przez całą szerokość tamy?

Kierownik skinął głową.

- Jest wpuszczony w skałę po obu stronach.

- Może zatrzymać wodę w jeziorze?

- Rdzeń nie ulegnie erozji tak jak kruszywo - powiedział po chwili zastanowienia kierownik - ale w miarę wyłukiwania

tylnej strony pochyłości ilość skały i kamienia, która utrzymuje rdzeń, będzie się stale zmniejszać. W pewnym momencie ciężar wody w Jeziorze Namera po prostu zepchnie rdzeń na bok jak autobus mały samochód.

Joe spojrzął poza wyłom. Woda przepływała przez szczyt, spadała i się rozlewała. Ale łagodna, trzynastostopniowa pochyłość i kamienne ściany tamy zdawały się ratować sytuację, powierzchnia wytrzymała, przynajmniej na razie.

- Wierzchnia warstwa chyba nie puszcza - stwierdził. - Jeśli poziom wody obniży się wystarczająco, rdzeń może ocaleć. A przy takiej szerokości wyrwy, jaka jest, nie powinno to trwać dłużej niż kilka godzin.

Kierownik przytaknął.

- Możliwe - powiedział takim tonem, jakby wolał się zbyt nio nie spieszyć.

Major Edo wskazał coś, czego Joe nie zauważył wcześniej. Mały gejzer w dole. Prawie niewidoczny w powodzi, tryskał jak fontanna w ogrodzie. Strumień się wznosił i tworzył wodną mgiełkę, która lśniła w blasku reflektorów.

- A co z tym? - zastanawiał się major.

Joe upadł na duchu. Pamiętał pokaz w Jemenie. Powódź poszła najpierw górą, ale tunel na dole spowodował zniszczenie rdzenia i całej tamy.

- To większy problem - skwitował.

- Jak to się stało? - zdziwił się kierownik.

Joe wyjaśnił, że to dzieło nanobotów, które potrafią wydrążyć na wylot różne materiały, łącznie z betonem i gliną. Tym razem mu uwierzono.

- Mogą nadal być tam na dole?

- Bardzo możliwe - odrzekł Joe. - Mogą wgryzać się w glinę, żeby poszerzyć tunel w taki sposób, w jaki nie potrafi tego woda.

- Jeśli poszerzą go za bardzo... - zaczął kierownik. Nie musiał kończyć.

- Macie jakiś sposób na uszczelnienie czegoś takiego? - próbował się dowiedzieć Joe.

Kierownik potarł podbródek.

- Być może. Mamy środek o nazwie ultraset. To polimer, który wiąże się z gliną, znacznie rozszerza i wypełnia małe ubytki. Staje się nieprzepuszczalny w ciągu sekund. Gdyby udało nam się wpompować go do tunelu wydrążonego przez te nanoboty, mógłby go zablokować. Jeśli góra wytrzyma i woda opad nie wystarczająco szybko, może zdołamy zapobiec totalnej katastrofie.

Nowa fala wibracji zatrzęsała budynkiem.

- A wada tego rozwiązania? - zapytał Joe.

- Jest tylko jeden sposób na wpuszczenie ultrasetu do tunelu - wyflumaczył kierownik. - Trzeba go tam wpompować pod wysokim ciśnieniem. A żeby to zrobić, ktoś musi znaleźć otwór od strony jeziora.

Joe popatrzył na kierownika i kilku jego podwładnych, którzy pozostali na swoich stanowiskach w trzęsącej się nastawni.

- Potrzebujecie nurka - domyślił się, ledwo mogąc uwierzyć w swój los. Mimo to się uśmiechnął. - Ale mam szczęście.

ROZDZIAŁ 54

Drzwi windy się otworzyły i odsłoniły ostatnie piętro piramidy Marchettiego i luksusowy hol. Trzech stojących tam ludzi Jinna odwróciło się na melodyjny odgłos windy.

Zareagowali w naturalny sposób. Nie mieli powodu spodziewać się kłopotów. Kurt zauważył, że wręcz wyprężyli się na baczność, zanim fala dźwiękowa z Wytwarzacza Bólu rzuciła ich na kolana.

Jeden jęknął, drugi zatoczył się do tyłu i przewrócił stół z wazonem, który spadł na podłogę i się rozbił, trzeci po prostu runął, jak stał.

Kurt puścił dźwignię zasilania systemu, gdy Paul, Gamay, Tautog i Varu założyli mężczyznom kajdanki. Ludzie Jinna wyglądali na zszokowanych i zdezorientowanych.

- Wiem, jaki ból czujecie - powiedział Kurt. - Doświadczym tego jakieś dziesięć godzin temu.

Mężczyzn zakneblowano taśmą samoprzylepną i wepchnięto do schowka sprzątaczkę.

- Dokąd teraz? - spytał Kurt.

- Tędy - odrzekł Marchetti i skierował się w prawo. Doszli do skrzyżowania holu z korytarzem. Kurt wyjrzał zza rogu i zobaczył, że jest pusto.

- Chodźmy.

W połowie korytarza dotarli do dużych dwuskrzydłowych drzwi. Marchetti podszedł do klawiatury. Kiedy wprowadzał swój kod, daleko pod nimi rozległy się strzały. Brzmiały jak z kapiszonowców.

- Część ludzi Jinna stawia opór - zauważyła Gamay.

Kurt przytaknął.

- Pospieszmy się.

Marchetti wprowadził kod, Paul i Tautog zasilili Wytwarzacz Bólu.

Kurt otworzył kopniakiem drzwi i przestawił przełącznik. Nikogo.

- Nie ten pokój? - zapytała Gamay.

Kurt wyłączył maszynę, wszedł do środka i rozejrzał się dookoła. W łóżku ktoś wcześniej spał. Poczł zapach jaśminu. Takich perfum używała Zarrina. Najwyraźniej była z Jinnem bliżej, niż myśleli.

- Ten - odparł. - Po prostu się spóźniliśmy.

Kiedy wypadł z sypialni i minął Marchettiego, mruknął:

- Chyba musi pan zmienić pościel.

- Albo spalić całe łóżko - odparował Marchetti.

Kurt podążał korytarzem, gdy padły następne strzały. Pozostali biegli za nim, żeby go dogonić.

- To wyjaśnia, dlaczego jego ludzie stanęli na baczność - zasugerował Paul. - Myśleli, że wraca.

- Więc gdzie oni się podziali? - spytała Leilani.

- Przychodzi mi do głowy tylko jedno miejsce - odpowiedział Kurt.

Jinn stał w sterowni Aqua-Terry, zaszokowany tym, co się stało. Zarrina, Otero i Matson otaczali go wraz z operatorem radaru i jeszcze jednym z jego ludzi. Reszta, teraz może dziesięciu lub mniej, była rozproszona i walczyła z załogą Marchettiego i desantem amerykańskich marines, jak sądziła.

- Jak? Jak to możliwe? - zapytał Jinn. - Dookoła nie ma żadnych łodzi patrolowych ani helikopterów. Skąd oni się wzięli?

- Mamy nagranie wideo z poziomu aresztu - odezwał się Otero, studiując ekran laptopa. - Mówię to bardzo niechętnie, ale widzę Austina.

- To niemożliwe - zapewnił Jinn. - On nie żyje. Zabiłem go dwa razy!

- Więc zmartwychwstał - odparł Otero i obrócił laptop w stronę Jinna. - Sam zobacz.

To był Austin. Jinn nie potrafił sobie wyobrazić, jakim cudem, ale Austin zjawił się jak duch. Trafne skojarzenie, bo Jinn był pewien, że wysłał go w zaświaty.

Strzelanina się zbliżała. Jinn zobaczył z tarasu obserwacyjnego, jak kilku jego ludzi ucieka do „Central Parku” Marchettiego. Nie zdążyli.

- Musimy się stąd wynieść - stwierdziła Zarrina. - Ta bitwa jest przegrana.

Jinn przyjrzał się rozkładowi wyspy. Nie zdołają dotrzeć do suchego doku, gdzie stała latająca łódź. A jeśli nawet, to wystą-

wiali się na pociski z dobrze wycelowanych karabinów i własne rakiety.

- Nie uda nam się - osądził.

- Nie wygramy też tego starcia - odrzekł ostro Zarrina. - Jest nas tylko pięcioro, a ci dwaj są do niczego.

- Cicho - warknął Jinn.

Starł się rozpaczliwie znaleźć sposób na odwrócenie sytuacji. Spojrzał na Otera.

- Połącz się z chmurą.

Otero zaczął pisać na klawiaturze laptopa, potem podsunął go przez stół Jinnowi.

- Ty masz dostęp.

- Co zamierzasz zrobić? - zapytał Matson.

Jinn go zignorował. Zaczął pisać. Najpierw wolno, upewniając się, że jest we właściwym obszarze systemu, potem szybciej.

Strzały na korytarzu zmobilizowały go.

Wybrał polecenie z menu i nacisnął enter.

Drzwi otworzyły się gwałtownie. Doszło do wymiany ognia, pociski rykoszetowały w całym pomieszczeniu.

Jinn się ukrył, Matson i operator radaru upadli. Kilka sekund później drugi ochroniarz Jinna zginął, kiedy próbował oddać strzał.

- Poddaj się! - zabrzmiał głos Austina.

Jinn przykucnął za wyspą pośrodku sterowni z wieloma ważnymi przyrządami sterowniczymi. Otero i Zarrina stłoczyli się przy nim.

- A jeśli to zrobimy?

- Aresztuję was i dostarczę odpowiednim władzom.

- Mam uwierzyć, że nas nie zabijesz?

- Mimo że bardzo bym chciał - oznajmił Austin. - Ale nie lic na to, że wrócisz do Jemenu. Staniesz przed Międzynarodowym Trybunałem Sprawiedliwości albo trafisz do jakiejś amerykańskiej bazy wojskowej.

- Nie zgodzę się na to! - krzyknął Jinn.

- To się pokaż i załatwmy to między sobą.

Jinn widział odbicie Austina. Ukrywał się za rogiem stalowej przegrody. Gdyby Jinn wstał, Austin położyłby go trupem. Gdyby został, Austin i jego ludzie wkrótce oskrzydliby jego pozycję.

- Mam lepszy pomysł! - zawołał Jinn. - Nauczę cię teraz, co to władza i jak ją właściwie wykorzystać.

Zerknął na laptop. Błyskające zielone pole na ekranie sygnalizowało, że instrukcje zostały wysłane i przyjęte. Mógł działać.

Wyciągnął pistolet z kabury, odbezpieczył go kciukiem i przycisnął do piersi.

- Czas się kończy - poinformował go Austin.

Jinn doskonale o tym wiedział.

Przystawił lufę pistoletu do potylicy Otera i nacisnął spust. Przytłumiona eksplozja rozerwała głowę programisty i rozrzuciła szczątki po podłodze. Drugi pocisk Jinna roztrzaskał laptop; kawałki plastiku, procesor i podzespoły rozprysły się na wszystkie strony. Strzelił jeszcze raz na dokładkę i zniszczył ekran.

Cisnął broń na bok.

- Poddaję się - oznajmił i podniósł ręce do góry.

Ukryty za przegrodą Kurt widział odbicie Jinna, tak jak Jinn dostrzegł jego. Coś się nie zgadzało. Szaleniec wyciągnął broń, ale zamiast zaatakować, wpakował Oterowi kulę w głowę i odrzucił pistolet. Było to co najmniej podejrzane.

Zarrina też rzuciła broń i podniosła ręce do góry. Ona i Jinn wstali wolno i Kurt wycelował karabin M1 w pierś Jinna.

- Jeden ruch i nie żyjesz.

Kurt wszedł do sterowni. Paul i Tautog za nim. Zajęli pozycje.

Kurt wyczuwał podstęp. Z karabinem wciąż wycelowanym w Jinna, przyjrzał się martwym mężczyznom - ochroniarzowi Jinna, Matsonowi, Oterowi i operatorowi radaru.

Nie zobaczył nic niezwykłego, ale wyraz zadowolenia z siebie nie schodził z twarzy Jinna. Jakby właśnie dostał dobrą kartę lub coś mu uszło na sucho.

- Co wykombinowałeś? - szepnął Kurt. Oczekiwał, że zadziała jakaś pułapka lub nastąpi eksplozja. - Co ty wykombinowałeś?

Jinn milczał. Kurt zauważył roztrzaskany laptop. Uświadomił sobie, że Jinn właśnie zlikwidował Otera, swojego programistę. Te dwie rzeczy musiały się łączyć.

Krzyki doleciały z dołu przez otwarte drzwi. Kurt rozpoznał głosy ludzi Tautoga za pokładzie zerowym.

- Coś się dzieje! - krzyknął jeden z nich. - Morze ożyło!

Kurt wyszedł na zewnątrz. Przez nocną mgłę zobaczył, jak woda się burzy.

- Marchetti, niech pan włączy światła!

Marchetti podbiegł do panela elektrycznego i zaczął przestawiać baterię przełączników. Ocean wokół wyspy rozbrzmiał, kiedy zapaliły się reflektory nad i pod wodą. Kurt zobaczył, co się dzieje.

Woda jakby wrzała. Otaczająca ich chmara wynurzyła się i zbliżała do wyspy.

- Wezwał je - wyszeptał Marchetti z przerażeniem. - Wezwał je do domu.

Jinn wybuchnął złowieszczym, sadystycznym śmiechem, w którym brzmiała duma egocentryka.

- Teraz zrozumiecie, co miałem na myśli, mówiąc o władzy - powiedział. - Albo mnie uwolnicie, albo chmara pochłonie was wszystkich.

ROZDZIAŁ 55

Kurt Austin wiedział, że są w takich tarapatkach jak jeszcze nigdy dotąd, gdy tylko usłyszał śmiech szaleńca. Wpadł z powrotem do sterowni i wbił lufę karabinu w twarz Jinna dokładnie między oczami. - Odwołaj je!

- Wypuść nas - odrzekł Jinn - to zrobię, co sobie życzysz.
- Odwołaj je, bo inaczej twój mózg rozprysnie się po całej ścianie.

- I co ci to da, Austin?

Kurt się cofnął.

- Marchetti, niech pan znajdzie jakiś komputer. Musi pan złamać kod.

Marchetti podbiegł do laptopa na głównej konsoli.

- Nigdy go nie złamie - stwierdził Jinn. - Nawet nie wejdzie do tego sektora co trzeba.

Marchetti podniósł wzrok.

- On ma rację. Udało mi się odkręcić ostatnią sztukę Otera, bo zdołałem uzyskać dostęp do plików, ale teraz jesteśmy odcięci od wszystkiego.

- Nie może się pan włamać?

- To jest dziewięciocyfrowy kod z zabezpieczeniem na najwyższym poziomie. Superkomputer potrzebowałby około miesiąca na złamanie go.

- Musi pan coś zrobić.

- Nie mogę się nawet zalogować.

Teraz Kurt zrozumiał, dlaczego Jinn zlikwidował Otera i zniszczył laptop. Otero znał kod. Nie było szans na to, żeby go zdradził, skoro leżał martwy na podłodze, ani na to, żeby Marchetti mógł sprawdzić, czy w laptopie jest jakikolwiek rodzaj pamięci klawiatury lub tymczasowy plik.

Leilani przysunęła się do Kurta.

- Co się dzieje?

- To coś, co na nas błyszczało, jest wszędzie dookoła wyspy, tylko o wiele gęściejsze niż wtedy, kiedy to widzieliśmy. Jinn doprowadził chmurę do szału. Nanoboty dostaną się na pokład i jak szarańcza pożrą wszystko na swojej drodze, łącznie z nami.

- Co zrobimy? - zapytała Leilani.

- Jest jakiś sposób na zatrzymanie ich? - zwrócił się Kurt do Marchettiego.

Marchetti pokręcił głową.

- Jest ich za dużo, pięćdziesiąt mil morskich w każdym kierunku.

- Więc musimy opuścić wyspę. Gdzie są pańskie statki powietrzne?

- W hangarze przy lądowisku dla helikopterów.

- Niech pan weźmie laptop i wezwie tam wszystkich - poleciał Kurt i spojrzał na Tautoga. - Odlatujemy. Zbierz tu swoich ludzi.

- Nie przy łodziach? - zapytał Tautog.

- Łodzie do niczego nam się już nie przydadzą.

Tautog wyszedł na balkon, żeby przywołać swoich żołnierzy na górę. Marchetti chwycił mikrofon i zaczął nadawać komunikat przez radiowęzeł.

Kurt zauważył dwie małe krótkofalówki na konsoli sterowniczej. Wziął je i popchnął Jinna w stronę windy.

- Idziemy.

Chwilę później Kurt i jego rosnąca świta stali na oświetlonym lądowisku dla helikopterów zawieszonym między dwoma budynkami w kształcie piramid. Z tego miejsca morze wokół Aqua-Terry wyglądało jak stały ląd pokryty milionami żuków. Odbijały blask reflektorów na wyspie, nadając mu przydymiony ciemnografitowy kolor. Szeregi nanobotów wpełzały na pokład niczym badające grunt długie palce.

- Jest ich tyle, że można by po nich przejść - odezwał się Paul.

- Nie próbowałbym - ostrzegł Kurt.

Z boku prawej piramidy otworzyły się drzwi hangaru i ludzie Marchettiego zaczęli wytaczać na zewnątrz jeden ze statków powietrznych. Dwa następne czekały z tyłu.

- Ile osób zmieści się w każdym? - zapytał Kurt.

- Osiem. Najwyżej dziewięć - odpowiedział Marchetti.

- Trzeba wyrzucić wszystko, co niepotrzebne - zarządził Kurt. - Niech pan zobaczy, czy da się je odciążyć.

Marchetti poszedł wykonać polecenie, a Paul i Gamay dołączyli do niego. Leilani podeszła do Zarriny, która stała przy krawędzi lądowiska z Jinnem i operatorem radaru.

- Więc udawałaś, że jesteś mną? - zagadnęła.
- Nie podchodziłbym za blisko - wtrącił się Kurt.
- Jesteś małą słabą kobietą - odparła Zarrina. - To było najtrudniej zagrać.

Kurt złapał Leilani, kiedy się zamachnęła, żeby spoliczkować Zarrinę, i odciągnął ją na bezpieczną odległość.

- Ona cię prowokuje - zauważył. - Idź pomóc innym.

Leilani nadała się, ale posłuchała.

- Szkoda, że nie próbowałeś mnie bardziej pocieszyć - zwróciła się Zarrina do Kurta. - Mogłoby ci się to spodobać.

- Nie pochlebiaj sobie - odrzekł.

Obok niej Jinn zakipiał z gniewu.

Zjawili się ostatni ludzie Tautoga. Kurt skierował ich do hangaru.

- A co z więźniami? - spytał jeden z nich.

Kurt spojrział na sadystycznego przywódcę.

- Jak będzie, Jinn? Zostawisz swoich ludzi na pożarcie żywcem?

- Nie obchodzi mnie, czy przeżyją, czy zginą. Ale może ty ich zabierzesz, skoro tak się o nich troszczysz.

- Nie - zaprzeczył Kurt. - Nie wyślę po nich nikogo.

- To jesteś tak samo bezlitosny jak ja - stwierdził Jinn.

Kurt zgromił go wzrokiem. Czuł wstręt do tego szaleńca. Ale nie zaryzykowałby życia porządnego człowieka, żeby uratować tamtych na dole.

- Będzie tak - oznajmił. - My wsiądziemy do statków po wietrznych i odlecimy, a ty zostaniesz i zginiesz w taki sposób, na jaki zasługujesz. Twoja gra o władzę zakończy się uśmierceniem własnych ludzi i powolnym samobójstwem was obojga.

Wziął laptop, postawił go na szorstkiej powierzchni lądowiska dla helikopterów i podsunął Jinnowi.

Jinn tylko popatrzył na komputer, nie zrobił nic więcej.

Zarrina zaczęła się robić nerwowa. Przygryzła wargę, zawała się.

- Wpisz kod - poprosiła.

Za nimi dwa pierwsze statki powietrzne były gotowe do startu, komory powietrzne miały w pełni napompowane, wentylatory kanałowe nabierały obrotów. Trzeci stał tuż za nimi.

- I co? - zapytał Marchettiego Kurt, nie odwracając się do właściciela wyspy.

- Jeśli wypuścimy kotwice powietrzne i nabierzemy prędkości przed krawędzią, to chyba damy radę się wznieść w jedenaście osób - ocenił Marchetti. - Tak myślę.

- W dwanaście.

- Nie wiem, czy...

Kurt uciszył go wzrokiem i spojrzał mu w oczy.

- Będę potrzebował pańskiej pomocy - powiedział i wręczył mu jedną z krótkofalówek. - No więc?

- W dwanaście - zgodził się Marchetti. - Mam nadzieję, że się uda.

- To w sumie tylko trzydzieści sześć - obliczyła szybko Gama. - A nas jest trzydzieścioro siedmioro.

Jinn się uśmiechnął, słysząc te liczby.

- Chyba ktoś zostaje, żeby umrzeć.

- Ja - odparł Kurt bez mrugnięcia okiem.

ROZDZIAŁ 56

Joe wszedł do wody w Jeziorze Namera w stroju nurka starego typu. Nie miał może na sobie skafandra ratowniczego Mark V z mosiężnym hełmem, jakich Amerykanie przestali używać krótko po II wojnie światowej, ale podobny.

Prawie czternastokilogramowy hełm z nierdzewnej stali sięgał mu do ramion. W ponaddwudziestodwuipółkilogramowym

pasie balastowym i ciężkich butach stawiał kroki jak monstrum stworzone przez Frankenstein.

Wąż powietrzny, stalowa lina i wysokociśnieniowy przewód do pompowania ultrasetu tkwiły w uchwytach na ramieniu. Joe czuł się z nimi jak marionetka, ale gdy znalazł się w wodzie, zaczął doceniać każdy gram swojego obciążenia i bezpieczeństwo, jakie zapewniała mu lina.

Ciężar umożliwiał mu utrzymanie równowagi w silnym prądzie. Lina połączona z łodzią nad nim była jedynym sposobem na wyciągnięcie go z takim obciążeniem. Gdyby pękła, poszedłby na dno jak kamień i zapewne został odkopany za jakieś tysiąc lat ku zdumieniu żyjących w przyszłości archeologów.

Joe nie miał ochoty stać się częścią Doliny Królów. Chciał tylko uratować tamę.

Jeśli on i kierownik się nie mylili, sytuacja wciąż była do opanowania, i choć bardzo niebezpieczna, zwłaszcza dla ludzi w pobliżu tamy, jeszcze nie katastrofalna. Przewidywali, że wyłom się powiększy, być może na całą szerokość tamy, ale gliniany rdzeń i łagodna pochyłość budowli powstrzymają jej dalszą erozję.

Wreszcie, jak woda wylewająca się z przepelnionej wanny, jezioro opadnie do poziomu głębokości wyrwy i powódź stopniowo się skończy.

Ale jeśli nanoboty w tunelu drążą gliniany rdzeń, ogromne ciśnienie wody w końcu go osłabi i konstrukcja nie wytrzyma. Powstanie większy, głębszy, bardziej nierówny wyłom i nic już nie zapobiegnie całkowitemu zawaleniu się tamy.

Kiedy Joe dotknął stopami pochyłości poniżej, głośnik w jego hełmie zatrzeszczał.

- Nurek, słyszysz mnie? - zapytał kierownik. Był na górze w łodzi, ryzykował życie wraz z majorem i drugim technikiem.

- Ledwo - odrzekł Joe.

- Jesteśmy trzydzieści metrów od wyrwy - poinformował kierownik. - Nadal się poszerza w tempie metra na minutę. Ma

pan niecałe pół godziny na znalezienie otworu tunelu, bo potem woda nas przeniesie przez szczyt tamy.

Joe oceniał to inaczej. Za dwadzieścia minut wyłom będzie zbyt blisko, żeby on i załoga łodzi zdołali stawić opór prądowi.

- Nigdy nie chciałem spaść z wodospadu w beczce - powie dziań - i nadal nie chcę. Miejmy to za sobą. Zaczniemy pompować farbę.

Pompa w łodzi na górze zaczęła dudnić i dodatkowy przewód przyłączony do węża ultrasetu naprężył się pod ciśnieniem.

W dole silny strumień fluorescencyjnych pomarańczowych cząstek wytrysnął z węża. Joe włączył lampę ultrafioletową przymocowaną do hełmu. Cząstki świeciły jak robaczki świętojańskie, gdy wirowały w mętnej wodzie i przepływały wolno na lewo od Joego.

Na granicy widoczności Joe zobaczył, jak przyspieszają i pędzą ku powierzchni i wyrwie w tamie. Wiedział, że to strefa śmierci. Kiedy wartki prąd dotrze do niego, nie będzie ucieczki.

Joe ruszył w poprzek ściany, przeskakując z boku na bok niczym astronauta na Księżycu. Rozpyła farbę tam i z powrotem w rejonie, gdzie przypuszczalnie była druga wyrwa w tamie. Farba rozpyływała się dziwnie po nierównej powierzchni z kamieni i głazów.

Dziesięć minut i dwadzieścia sektorów później wciąż jeszcze im się nie poszczęściło.

- Muszę wejść głębiej - zawiadomił Joe. - Odpłyńcie od tamy.

- Im dalej od niej, tym silniejszy ciąg z wyrwy - odparł kierownik.

- Albo to, albo kończymy - oświadczył Joe.

- Niech pan zaczeka.

Chwilę później Joe poczuł, jak stalowa lina podnosi go z pochylności. Został pociągnięty do tyłu jakieś dziesięć czy dwanaście metrów i opuszczony z powrotem.

Kiedy wylądował, poczuł na stopach boczny ciąg prądu. Otworzył zawór węża i zobaczył, jak fluorescencyjny strumień

rozlewa się gdzieś po lewej. Najpierw nie wyglądało to inaczej niż poprzednie próby zlokalizowania tunelu, ale szybko Joe zauważył wir.

- Trzy metry w lewo - poleciał.
- Bliżej wyłomu?
- Tak.

Joe zaczął iść. Wysoko powyżej łódź płynęła równo z nim. Znów otworzył zawór węża i wycelował odbłaskowy strumień cząstek w sam środek wiru.

Żarzące się cząstki zawirowały, większość z nich została wessana w lukę między dwoma betonowymi belkami wielkości podkładów kolejowych i zniknęła w mgnieniu oka jak ryba wśród koralowców na widok drapieżnika. Stało się to tak szybko, że Joe musiał wypuścić drugi strumień, żeby się upewnić.

- Znalazłem tunel - oznajmił. - Otwór jest między dwoma betonowymi elementami w narzucie kamiennym. Czuję ssanie stamtąd.

Kiedy podszedł bliżej, poczuł, że jest wciągany w lukę. Zobaczył, że ubywa piasku i żwiru wokół krawędzi belek. Dziura pod nimi się powiększała, miała średnicę około pół metra.

Oparł stopę na jednej z betonowych belek, żeby nie zostać wessanym do środka. Mimo że bardzo chciał zatkać otwór, nie uśmiechała mu się rola korka.

- Jestem gotowy, pompujcie błoto.
- Błoto?
- Ultraset - uściślił Joe, zatrzymując się niezgrabnie.
- Zaczynamy pompować - potwierdził kierownik.

Uważając, żeby nie stracić równowagi, Joe zdołał wpechnąć wylot węża do dziury. Kiedy spęczniał, otworzył zawór.

Ultraset wytrysnął z węża, część pociekła do wody. Polimer wyglądał jak karmazynowa bita śmietana, kiedy się rozszerzał i twardniał. Większość trafiała do tunelu dzięki panującemu w nim podciśnieniu.

- Jak bardzo to coś się rozszerza? - zapytał Joe.

- Zwiększa swoją objętość dwudziestokrotnie w stosunku do początkowej, a potem twardnieje - odrzekł kierownik.

Joe miał nadzieję, że tak będzie. I że jeśli jakieś nanoboty są jeszcze w rdzeniu i próbują powiększyć tunel, to zostaną tam uwięzione i zastygną jak owady w bursztynie.

Prąd pociągnął go w lewo i Joe usłyszał dudnienie wodospadu przez hałas pompy i silnika łodzi nad nim.

- I co? - spytał po jakichś trzydziestu sekundach.

- Dostaliśmy meldunek o wyrzucaniu pomarańczowej farby przez dolny gejzer - odparł kierownik. - Przepływ wody się nie zmienia.

- Ile mamy tego środka?

- W zbiorniku jest prawie tysiąc dziewięćset litrów - odpowiedział kierownik. - Tempo pompowania to ponad siedemset pięćdziesiąt litrów na minutę.

Joe miał nadzieję, że to wystarczy. Trzymał wylot węża i przedstawiał stopy, żeby pokonać siłę prądu. Major odezwał się przez radio.

- Panie Zavalu, jesteśmy bardzo blisko wylotu. Wyciskamy z silnika pełną moc, żeby się utrzymać przed wyrwą. Gdyby mógł się pan pospieszyć...

Joe spojrzął w górę przez szybę na wierzchu wielkiego hełmu. Zobaczył światła na spodzie łodzi i kipiel za rufą, gdzie śruba wirowała z maksymalną prędkością.

- Nie robię sobie tutaj przerwy na lunch - zauważył.

Zamknął na chwilę zawór, wspiął się na głazy, zaparł nogami i zepchnął jeden kamień z pochyłości do dziury. Zatkaną ją jako tako, pozostała dużo mniejsza szczelina.

Wbił wylot węża z powrotem na miejsce i znów otworzył zawór.

- Dajcie pełne ciśnienie - nakazał. - Albo to uszczelnimy, albo nie.

Trzymał zawór otwarty i czekał. Kiedy nastąpił wytrysk ultrasonu, poczuł zmianę prądu wokół siebie. Ssanie z wnętrza

dziury przed nim słabło, ale siła ciągnąca go w bok ku wyrwie się zwiększała.

- Mamy meldunek, że przepływ się zmniejsza. Ultraset jest widoczny w gejzerze!

Lewa stopa Joego ześliznęła się z belki i nagle otoczyła go czerwona piana. Tunel został wypełniony i teraz ultraset wydostawał się z otworu jak napój gazowany ze wstrząśniętej przed otwarciem butelki.

Joe złapał się czegoś i znów potknął. Zamknął zawór.

- Wyciągnijcie mnie! - wrzasnął.

Stalowa lina poderwała go z pochyłości, a potem znów opuściła. Nie unoszono go, tylko wleczono poziomo i ledwo mógł się utrzymać na nogach. Na moment stracił orientację. Dlaczego jest ciągnięty w bok?

Wiadomość z góry szybko to wyjaśniła.

- Prąd nas porwał! - krzyknął major. - Wciąga nas do wyłomu!

ROZDZIAŁ 57

Gamay Trout wpatrywała się w Kurta Austina stojącego na ciemnym, zimnym lądowisku dla helikopterów. Nic nie mogłoby przejąć jej większym chłodem niż jego ostatnie słowa.

- Nie zostaniesz tu!

- Statki powietrzne są przeciążone z dwunastoma osobami na pokładzie - odrzekł Kurt. - Dodatkowe osiemdziesiąt sześć kilogramów spowoduje, że któryś spadnie do morza.

W dole lampy zaczynały eksplodować, gdy zbita masa metalowego piasku wpełzała i je pokrywała. Na całym pokładzie zerowym zapadła ciemność, park bez wątpienia był ogołacany ze wszystkiego.

Dziwny odgłos, jakby betonowe bloki wleczono po metalu, zdawał się dochodzić ze wszystkich stron, kiedy biliony nanobotów prześlizgiwały się jedne po drugich, wypełniały każdy zakamarek wyspy i pięły w górę.

- Zginiesz! - zawołała Leilani.

- Nie zamierzam - odparł Kurt.

Gamay zauważyła, że Kurt nie odrywa wzroku od Jinna.

- On poda nam kod i wyłączy te maszynki, zanim pożrą nas żywcem.

- Nie liczyłbym na to - oznajmił Jinn.

Na lewo od nich pierwszy statek powietrzny ruszył naprzód, nabrał prędkości, stoczył się z krawędzi platformy i... zaczął opadać ku pokładowi zerowemu. Wraz ze wzrostem jego szybkości tempo opadania malało i w końcu, na wysokości około dziesięciu metrów, zaczął się wznosić.

- Wsiadajcie obie do statków powietrznych i wynoście się stąd - polecił Kurt.

Leilani popatrzyła na niego z otwartymi ustami. Gamay rozumiała go lepiej. Kurt zwał się z Jinnem w walce charakterów. Wydawało się to typowym męskim sposobem na rozwiązanie problemu, ale może innego nie było. Tak czy inaczej, nie zamierzała się spierać z Kurtem.

- Chodźmy - zwróciła się do Leilani. Poszły wzdłuż krawędzi platformy, gdy drugi statek powietrzny wystartował. Marchetti czekał w ostatnim.

- Co on wymyślił? - zapytała Leilani.

- Uważa, że potrafi złamać Jinna i zmusić go do unieszkodliwienia nanobotów.

- To szaleństwo - stwierdziła Leilani.

- Być może - przyznała Gamay. - Ale jeśli Jinn powiedział nam wczoraj prawdę, to przez niego zginie mnóstwo ludzi i wydarzy się wiele nieszczęść na całym świecie. Jeśli on straci życie, nie uda się temu zapobiec, ale gdybyśmy go zabrali ze sobą, dwie czy trzy osoby musiałyby zostać i zginąć. Kurt nigdy by do

tego nie dopuścił. I nie dziwię mu się. Możemy mu pomóc tylko w ten sposób, że opuścimy wyspę. Będzie miał jedno zmartwienie mniej.

Marchetti przynaglił je do wejścia na pokład, wentylatory kanałowe osiągnęły maksymalne obroty. Gamay zauważyła, że niektórzy z mężczyzn o większej masie ciała są stłoczeni razem z nimi w małym przedziale pasażerskim. To miało sens, bo ona i Leilani ważyły najmniej.

- Gotowe - oznajmiła.

Kilka par butów i karabinów, a nawet grubych kurtek wyrzucano z latającej maszyny, żeby ją odciążyć. Gamay też pozbyła się obuwia, kiedy statek powietrzny ruszył naprzód.

Paul ścisnął mocno jej rękę, gdy nabierali prędkości.

Gamay wstrzymała oddech, kiedy się znaleźli poza krawędzią. Miała wrażenie, że pokonują wzniesienie kolejką górską. Poczula słabość w kolanach i żołądek podszedł jej do gardła na kilka sekund, gdy statek powietrzny znurkował i przyspieszył.

Pikowali ku płaskiej części parku, gdzie roilo się od nanobotów Tempo opadania nie wydawało się maleć wystarczająco prędko.

- Marchetti?

- Trzymajcie się - nakazał.

Wciąż opadali za szybko. Marchetti przyciągał do siebie stery i przerażający dźwięk wydawany przez niezliczoną liczbę pożywiających się metalowych maszyn wypełnił jej uszy. Tempo opadania zaczęło maleć, statek wypoziomował i przemknął nad parkiem, o mało nie zawadzając o drzewo pokryte od dołu do góry atakującą chmarą.

W końcu zaczęli się wolno wznosić, przelecieli nad brzegiem wyspy i znaleźli nad oceanem.

- Pilotuj - zwrócił się Marchetti do swojego głównego mechanika. - Leć z obecną prędkością. Trzymaj się na tyle blisko, żebym miał sygnał Wi-Fi.

- Co pan chce zrobić? - zapytała Gamay.

- Muszę ustawić komputer - odrzekł.
 - Komputer?
- Przytaknął.
- Na wypadek gdyby się okazało, że ten szaleniec rzeczywiście wiedział, co robi.

ROZDZIAŁ 58

Joe Zavała miał przerażające uczucie bezsilności. Prąd niósł łódź nad nim w kierunku wyłomu, za chwilę łódka spadnie do wodospadu. A ponieważ Joe był z nią połączony stalową liną i węzem powietrznym, w kilka sekund pójdzie w jej ślady.

Przecięcie liny i węża niczego nie da. Nie zdoła sam wypłynąć na powierzchnię. Nawet gdyby zrzucił pas balastowy, miałby jeszcze dwadzieścia trzy kilogramy sprzętu na barkach i stopach.

Sięgnął nogami w dół i spróbował stanąć, ale znów został uniesiony i powleczony w bok.

- Dajcie mi więcej liny! - krzyknął. - Szybko!

Wysoko w górze widział łódź i jej fosforyzujący kilwater. Walczyła z prądem, skręcając to w jedną, to w drugą stronę, gdy sternik starał się utrzymać dziób wycelowany w górę rzeki. Obrót oznaczałby ich koniec, bo zostaliby porwani przez nurt w ciągu kilku sekund.

Joe poczuł wreszcie, że lina się poluzowała. Opadł na pochyłość i zaczął się po niej gramolić. Natrafił na gałąź wielkości połowy volkswagena.

Okrażył go i owinał stalową liną.

- Naprężcie linę! - polecił.

Lina się napięła, zacisnęła wokół gałęzi i prawie zadzwięczała, gdy została wybrana. Łódź w górze się zatrzymała.

- Stoimy - poinformował major. - Co się stało?

- Zrobiłem wam kotwicę - odparł Joe. - Czy ktoś tam na górze wie, co to jest siła dośrodkowa?

Joe trzymał się mocno. Lina była owinięta wokół głazu, ale w każdej chwili mogła się zerwać.

- Tak - odpowiedział major. - Kierownik wie.

- Wycelujcie dziób w stronę skał, ustawcie się pod kątem czterdziestu pięciu stopni i módlcie się, żeby lina nie puściła. Potem powinniście zostać wystrzeleni jak z procy w bezpieczne miejsce. Wciągnijcie łódź na brzeg i nie zapomnijcie zrobić tego samego ze mną.

- Okej - potwierdził major. - Spróbujemy.

Joe trzymał linę mocno, zapierając się stalowymi butami o głaz.

Łódź w górze zmieniła kurs i zaczęła sunąć w bok. Tak jak przyciąganie ziemskie oddziałuje na Księżyc, stalowa lina spowodowała zakrzywienie toru ruchu łodzi i jej przyspieszenie. Łódź przecięła prąd i pomknęła naprzód.

Rozległ się brzdęk i Joe poleciał do tyłu.

Lina pękła.

Najpierw prąd pociągnął go w kierunku wyrwy na górze, ale potem przewody i węże łączące go z łodzią powlokły go w drugą stronę.

Kiedy łódź wypływała na płyciznę i zatrzymywała się na skałach, Joe był holowany przez pole głazów w dole. Każde uderzenie odczuwał jak wypadek samochodowy i nagle zaczął być wdzięczny za twardy hełm z nierdzewnej stali.

Gdy łódź się zatrzymała, Joe znajdował się dziesięć metrów pod powierzchnią. Jego skafander napełniał się wodą, wąż powietrzny został przecięty albo się zagiął, bo Joe nie dostawał tlenu. Wiedział, że nie zdoła wypłynąć, ale może się wspiąć. Zaczął się wdrapywać na górę po betonowych elementach i głazach niczym szop pracz na wysypisku śmieci.

Pozbył się pasa balastowego i szło mu łatwiej. Kiedy wspiął się wyżej, światło stało się jaśniejsze. Mając resztkę powietrza,

podciągnął się na powierzchnię i wynurzył jak Potwór z Czarnej Laguny.

Osunął się między dwa głazy, niezdolny udźwignąć hełmu i uprząży bez pomocy wody. Spróbował zdjąć z siebie ekwipunek, ale udało mu się to dopiero, gdy dwie pary innych rąk zaczęły mu pomagać.

- Zrobiliśmy to? - zapytał.

- Pan to zrobił - odparł major, objął go i podniósł. - Pan to zrobił.

ROZDZIAŁ 59

Wysoko na lądowisku dla helikopterów upiorny, wszechobecny odgłos wydawany przez nanoboty wciąż przybierał na sile. Docierał wszędzie jednocześnie jak brzmienie miliardów obłąkanych elektromechanicznych cykad i zbliżał się z każdą mijającą chwilą.

Hałas drażnił Kurta, ale na Zarrinę i Jinna działał o wiele silniej.

Zarrina wyjrzała poza krawędź pokładu i powiodła wzrokiem po ścianach budynków po obu stronach lądowiska. Chmara była już w trzech czwartych drogi na szczyty piramid, białe konstrukcje przybierały ciemnoszarą i czarną barwę.

- Podaj mu kod - przynagliła.

- Nigdy - odparł Jinn.

- Powinieneś jej posłuchać, Jinn - stwierdził Kurt. - Może nie jest dobrą kobietą, ale nie jest też idiotką.

- Mamy ludzi, pieniądze, prawników - przypomniała Jinnowi. - Nie musimy umierać.

- Zamknij się! - rozkazał Jinn.

Chwyciła go.

- Proszę, Jinn.

Jinn odtrącił jej rękę, złapał ją za kołnierz koszuli i przeszył wściekłym spojrzeniem.

- Osłabiasz mnie, kobieto!

Zanim zdążyła odpowiedzieć, popchnął ją do tyłu, poza krawędź.

Zarrina spadła z wrzaskiem. Uderzyła w piętnastocentymetrową już warstwę nanobotów dziesięć piętér niżej, wzbijając tuman metalicznego kurzu. Leżała widoczna przez kilka sekund, potem przykryła ją chmara.

Jinn obserwował to przez chwilę. Na jego twarzy malowało się nie współczucie, ale gniew. Kurtowi wydało się, że dostrzegł też na niej cień strachu. Szybkość, z jaką nanoboty pożerały wszystko, była przerażająca. Jinn wiedział to lepiej niż ktokolwiek inny.

- Przyjrzyj się dobrze, Jinn. Tak właśnie skończysz - ostrzegł Kurt. - Jesteś na to gotowy?

Ciemniało wokół nich coraz bardziej. Nanoboty były już tylko piętro niżej i zasłaniały całe światło w dole. Pozostał tylko blask kilku reflektorów halogenowych z boku hangaru i czerwonych lamp na krawędziach lądowiska.

Jinn tracił pewność siebie.

- Zginiesz ze mną - przypomniał Kurtowi.

- Za moich przyjaciół. Za mój kraj. Za ludzi na całym świecie, którzy będą cierpieć, jeśli zwyciężysz. To dla mnie nie problem. A za co ty umrzesz?

Jinn popatrzył na Kurta zmrużonymi oczami, poczerwieniały ze złości, z wykrzywionymi ustami. Został zmuszony do pokazania kart. Śmierć niczego mu nie dawała. Ani bogactwa, ani władzy, ani dziedzictwa. Jego całym światem był on sam, jego własna arogancja i poczucie wielkości. Gdyby zginął, nawet nadejście sądnego dnia na skutek działalności nanobotów nie przyniosłoby mu satysfakcji.

W tym momencie nienawidził Austina tak bardzo, że całkowicie stracił panowanie nad sobą.

Rzucił się na Kurta jak nacierający wrestler.

Zamiast strzelić, Kurt odwrócił karabin bokiem, przyjął na siebie impet Jinna i wykorzystał go przeciwko niemu. Upadając, kopnął napastnika w splot słoneczny i posłał go w powietrze.

Zerwał się w samą porę, by zobaczyć, jak tamten upada na plecy.

Jinn podniósł się wolno, bardziej ogłuszony niż poturbowany.

- Nie masz wielkiej wprawy w walce, co? - prowokował go Kurt.

Jinn chwycił jakąś rurę i ruszył na Kurta, wymachując nią jak mieczem. Nadal trzymając karabin oburącz, Kurt zablokował cios i zdzielił Jinna kolbą w twarz. Krew obficie popłynęła z rany.

Jinn się zatoczył do tyłu, upuścił rurę i przyłożył ręce do zakrwawionej twarzy. Kurt dał krok naprzód i kopnął rurę poza platformę.

Spadła w ciemność z dziwnym świstem z obu pustych końców.

Wspinająca się chmara dotarła już do krawędzi lądowiska, pierwsze nanoboty wpełzały na płaską powierzchnię ze wszystkich stron i kierowały ku środkowi.

Czas uciekał.

- Gdybyś nie miał tego karabinu - krzyknął Jinn przez spływającą mu po twarzy krew - zabiłbym cię gołymi rękami!

Kurt wycelował w niego broń, a potem cisnął ją poza lądowisko.

- Nie pokonasz mnie! - odkrzyknął. - Jestem lepszy od ciebie. Walczę o coś, co się liczy, a ty tylko przeciągasz grę. Nie chcesz umrzeć. Boisz się śmierci. Widzę to w twoich oczach.

Jinn znów zaatakował, grymas wściekłości wykrzywił mu twarz. Tym razem Kurt rozstawił nogi, opuścił bark i walnął nim Jinna w brzuch. Opasał go ramionami, dźwignął do góry i powalił na platformę.

Nie wiadomo skąd, Jinn wyciągnął nóż. Ostrze dosięgło ramienia Kurta, zanim zdążył złapać Jinna za nadgarstek. Popłynęła krew, ale siła i determinacja Kurta przeważały. Uderzył ręką Jinna w platformę trzy razy, zanim ten wypuścił nóż.

Kurt rzucił nóż w nadciągającą chmurę.

Teraz albo nigdy. Jinn spróbował wstać, ale Kurt trzasnął go łokciem w twarz, a potem rąbnął jego głowę w platformę. Chwytał Beduina za włosy, obrócił mu głowę i zmusił go do spojrzenia na zbliżające się nanoboty.

- Patrz na nie! - zawołał, przyciskając mu policzek do płaskości. - Patrz na nie!

Jinn już zrezygnował z walki. Gapił się na nadciągającą chmurę. Była coraz bliżej, zacieśniała krąg wokół nich.

Nanoboty dotarły do śladu krwi i pokryły go jak mrówki, włączając jeden na drugi. Lśniły w blasku świateł w górze, potworny hałas towarzyszący ich ruchom przypominał jednocześnie bzyczenie ogromnego roju pszczół i odgłos paznokci przeciąganych po tablicy szkolnej.

- Podaj kod! - zażądał Kurt.

Laptop stał blisko nich, chmara już go otoczyła. Komputer dosłownie się unosił na morzu nanobotów.

- A co on ci teraz da?

- Podaj mi go!

Kurt trzymał mocno napastnika, Jinn próbował uciec i napięrał na niego, żeby odsunąć twarz od zbliżającej się chmury. Usta mu drżały, gdy nanoboty wpełzały na niego i wnikały do rany na policzku. Wypluł je z ust, ale niektóre dostały mu się do oczu, powodując pieczenie, jakby polewano go kwasem.

- Już, Jinn! Zanim będzie za późno!

- Dwa dwa jeden siedem dziewięć osiem sześć jeden pięć! - krzyknął Jinn.

Kurt postawił go na nogi.

- Marchetti, słyszał pan?

Błaszany głos doszedł z kieszeni Kurta.

- Już wprowadzam!

Zgrzyt nie ustawał. Kurt odciągnął Jinna do tyłu, ale bezpieczny krąg zmalał do średnicy kuchennego stołu, a potem pokrywy studzienki kanalizacyjnej.

- Marchetti?!

Nagle chmara znieruchomiała. Odgłos, który wydawała przy pełzaniu i przeżuwaniu, zamierał we wszystkich kierunkach, począwszy od skrawka platformy, gdzie stali Kurt i Jinn, niczym przewracające się na ogromnej przestrzeni domino.

Nanoboty odpadały od ścian budynków wielkimi rozwiewającymi się płatami i tworzyły podobne do wydm szare i czarne sterty. Powstały z części chmary obłok sunął nad pokładem zerowym jak tuman kurzu.

Gdy potworny hałas ucichł, powróciły normalne odgłosy, skrzypienie wielkiej metalowej wyspy i cichy warkot wentylatorów kanałowych statków powietrznych.

- Dobra robota, Marchetti - pochwalił Kurt. - A teraz wyładujcie tu z powrotem i pomóżcie mi posprzątać ten bałagan.

ROZDZIAŁ 60

Kurt Austin czekał w ciemności, kiedy statki powietrzne zataczały łuk i w końcu zaczęły się zbliżać. Stał przy krawędzi lądowiska dla helikopterów i obserwował, jak pierwszy statek nadlatuje i schodzi wolno ku platformie. Wentylatory kanałowe miał ustawione pionowo, żeby spowalniały opadanie niczym rakiety hamujące ładownika księżycowego. Wiatr z wentylatorów rozdmuchiwał nanoboty wokół niczym popiół z wulkanu. Wirowały w powietrzu i tworzyły tuman metalowego kurzu, który odpływał i opadał na pokład zerowy.

Kawałek dalej, na kolanach, Jinn przyglądał się temu bez ruchu. Był przegrany, załamany człowiekiem.

Wygląda inaczej, pomyślał Kurt.

- Poślesz mnie do więzienia - wymamrotał Jinn.

Kurt przytaknął.

- Na dziesięciokrotne dożywocie.
Jinn podniósł wzrok.
- Wyobrażasz sobie, że ktoś taki jak ja wytrzyma w zamknięciu?
- Tylko tak długo, żeby dostać obłędu - odparł Kurt.
- Puść mnie. - Jinn spojrział w stronę krawędzi. Ciemność wabiła.
Kurt wiedział, o co mu chodzi.
- Dlaczego miałbym to zrobić?
- Żeby okazać dobroć pokonanemu wrogowi - mruknął Jinn.
Kurt popatrzył na niego przeciągle i cofnął się bez słowa.
Jinn wstał z kolan i zerknął na Kurta.
- Dziękuję - powiedział i odwrócił się.
Zrobił trzy kroki i zniknął.

ROZDZIAŁ 61

Do południa w Egipcie niebezpieczeństwo grożące Wysokiej Tamie Asuańskiej prawie minęło. Poziom wody w Jeziorze Nasera obniżył się o sześć metrów. Niemal dwumetrowa fala nadal przelewała się przez szczyt tamy i przepływała przez wyrwę o szerokości ponad stu dwudziestu metrów, ale już łagodniej i spokojniej. Upusty, wyloty turbin i kanał obejściowy pozostawiono szeroko otwarte w nadziei na osiągnięcie stanu równowagi do połowy następnego dnia.

Ale nie udało się całkowicie zapobiec tragedii.

Kiedy Joe patrzył w dół rzeki, widział zupełnie co innego niż ostatniej nocy. Budynki zniknęły - nie były zatopione ani zniszczone, tylko zniknęły. Podobnie jak nabrzeża i statki, a nawet niektóre klify z piaskowca. Nil wystąpił z brzegów i nie wyglądał już jak wąska rzeka. Teraz przypominał jezioro.

Nad rozlewiskiem, niczym ważki nad stawem, krążyły tuziny helikopterów. Małe łodzie kursowały tam i z powrotem. Hydroelektrownia przy tamie wytwarzała prąd, ale nie miała dokąd go przesyłać, bo wszystkie linie wysokiego napięcia zostały zniszczone.

Joe odwrócił się i klapnął obok wojskowej przyczepy. Na polecenie majora Edo zajęła się nim pielęgniarka. Mógłby się zgodzić na kroplówkę, ale odmówił, bo domyślał się, że zapasy środków medycznych wyczerpią się dość szybko, a inni potrzebowali ich bardziej niż on.

Dziewczyna wręczyła mu butelkę wody, narzuciła mu koc na ramiona i odeszła.

Major Edo usiadł i poczęstował go papierosem. Joe odmówił i major schował paczkę z powrotem.

- Paskudny nałóg - stwierdził, próbując się uśmiechnąć.

- Ile ofiar? - zapytał Joe.

- Co najmniej dziesięć tysięcy - odrzekł major. - Może się okazać, że dwa razy więcej, kiedy zakończymy poszukiwania.

Joe poczuł się tak, jakby po dwunastu ciężkich rundach na ringu myślał, że zwyciężył, i dowiedział się, że sędziowie zdecydowali inaczej.

- To mogły być miliony - powiedział z naciskiem major i położył dłoń na ramieniu Joego. - Rozumie pan?

Joe podniósł wzrok i skinął głową.

Helikopter wylądował w pobliżu i jakiś szeregowiec podbiegł do majora.

- Mamy pełną maszynę rannych - zameldował.

- Dokąd ich zabieracie? - spytał major.

- Do Luksoru. Tam jest najbliższy szpital, który ma prąd.

- Weźcie go ze sobą - rozkazał major.

- Kto to jest? - zapytał szeregowiec.

- Nazywa się Joseph Zavalá. To egipski bohater narodowy.

ROZDZIAŁ 62

Tydzień później Paul i Gamay Troutowie siedzieli przy dużym okrągłym stole w luksusowej waszyngtońskiej restauracji Citronelle. Dołączyli do nich Rudi Gunn i Elwood Marchetti. Zamówili koktajle i zaczęli rozmawiać w oczekiwaniu na pozostałych gości.

- Co się stanie z pańską wyspą? - zapytał Paul.

Marchetti wzruszył ramionami.

- Jest tak zniszczona, że nie nadaje się do naprawy. I nikt nie może wejść na pokład, dopóki się nie upewnimy, że wszystkie nanoboty zostały usunięte. To może zająć lata. Przez ten czas Ocean Indyjski będzie atakował Aqua-Terre, aż pójdzie na dno.

- To straszne - stwierdziła Gamay. - Tyle lat wysiłku na nic.

Marchetti uśmiechnął się chytrze.

- To samo usłyszę w firmie ubezpieczeniowej, kiedy wystąpię o odszkodowanie.

- Gdzie są nasi szanowni przyjaciele? - Paul zerknął na puste krzesła.

- Nie wspominając o fundatorach kolacji - dodał Rudi Gunn.

Zakład Kurta i Joego zakończył się remisem. Uzgodnili, że zapłacą rachunek razem. Cieszyli się, że żyją i mogą być gospodarzami przyjęcia. Choć nikt nie miał od nich jeszcze żadnej wiadomości tego wieczoru.

- Jakie są najnowsze wieści na temat Wytwarzacza Bólu z Wyspy Picketta? - spytała Gamay.

- Nasz dział komputerowy odnalazł dawno zaginione akta tej sprawy - odrzekł Gunn. - Urządzenie zostało opisane jako tajny projekt z okresu II wojny światowej. Skonstruowano je do powstrzymywania japońskich szarż banzai. W tamtych czasach Japończycy uważali, że śmierć za cesarza jest chwalebna. Kiedy nie mogli przeprowadzić normalnego natarcia oskrzydłającego, przystępowali do samobójczego ataku z okrzykami „Banzai!” lub „Tenno Heika Banzai!”, co znaczyło „Tysiąc lat rządów cesarza!”

Wytwarzacz Bólu był przeznaczony do obezwładniania atakujących sił, żeby Amerykanie mogli brać do niewoli i przesłuchiwać wartościowych nieprzyjaciół i jednocześnie zapobiegać masowym rzeziom, na które szli Japończycy.

- Dlaczego tej maszyny nie wykorzystywano podczas wojny? - zapytał Paul.

- Wkrótce po zaginięciu „Johna Bury'ego” Departament Wojny uznał, że urządzenie będzie zbyt łatwe do skopiowania, jeśli wpadnie w ręce wroga, i może zostać użyte przeciwko naszym siłom szturmującym wyspy na Pacyfiku.

- I teraz maszyny z Wyspy Picketta stoją w jakimś ciemnym magazynie wojskowym i obrastają kurzem - dokończyła Gamay.

- Tak to wygląda - zgodził się Gunn.

W tym momencie ich uwagę przykuła wysoka ciemnowłosa postać o wyrazistych rysach twarzy i bystrych zielonych oczach, która weszła do zarezerwowanej sali.

- Nie wstawajcie - poprosił Dirk Pitt z szerokim uśmiechem i uniósł do góry mały plastikowy prostokąt. - Jedna z kart kredytowych Agencji. Wuj Sam stawia.

Gamay się roześmiała.

- Kurt i Joe będą zadowoleni.

- Gdzie oni są? - spytał Paul.

- Tuż za mną - odrzekł Dirk i wskazał łukowe wejście.

Wszyscy odwrócili się w tamtą stronę, gdy Kurt i Joe przestąpili próg, a Leilani krok za nimi. Kobiety się objęły, mężczyźni podali sobie ręce, uściskali się i pocałowali panie w policzek.

- Mamy nad wami przewagę - powiedział Paul i przywołał kelnera. - Co zamawiacie?

Dirk zamówił tequilę Don Julio Blanco z lodem, limonką i solą. Joe wziął whisky Jack Daniel's z lodem, Leilani wybrała drinka Kettle One Cosmopolitan, a Kurt poprosił o koktajl Bombay Sapphire Gin Gibson - martini z cebulkami zamiast oliwek.

- A teraz - zwrócił się Dirk do Joego - nasz bohaterze z odznaczeniem na koncie, pokaż nam swój egipski medal.

Joe się zaczerwienił z zakłopotania.

- Pochwaliłem się nim ostatni raz.
- Co z nim zrobiłeś?
- Leży u mnie w szufladzie ze skarpetkami.

Gamay się roześmiała.

- To dopiero skromny człowiek.

Paul wziął gazetę, różowy egzemplarz „The Financial Times” wydrukowany w Wielkiej Brytanii.

Przeczytał listę możliwych konsekwencji, gdyby nie udało się zapobiec tragedii: milion ofiar śmiertelnych, głód, anarchia, a nawet wojna na całym Bliskim Wschodzie, gdyby niesłusznie winą obarczono Izrael, zamiast przypisać ją Jinnowi i jego grupie z Jemenu.

W tym momencie zrobił prawie zawiedzioną minę.

- Ale Joemu nie spodoba się ten kawałek. „Temu wszystkiemu udało się zapobiec dzięki heroicznym wysiłkom obsługi technicznej tamy i wojska, w tym majora Edo, oraz anonimowego Amerykanina, który został okrzyknięty egipskim bohaterem narodowym i będzie odznaczony Orderem Nilu”.

Gamay pokręciła głową.

- To nie fair.

Dirk uśmiechnął się szeroko.

- Przynajmniej dostał za to medal.
- To wszystko, na co rząd mógł się zdobyć za to, że Joe uratował milion ludzi?

- Poznałam już Joego wystarczająco dobrze - wtrąciła się Leilani - by wiedzieć, że nie lubi być w centrum zainteresowania, chyba że w otoczeniu pięknych kobiet.

Joe się roześmiał.

- Właśnie podsunęłaś mi powód powrotu do Egiptu.

Dirk spoważniał.

- Żarty na bok. Gdyby Joe nie zaryzykował życia, żeby nie dopuścić do przerwania Wysokiej Tamy Asuańskiej, milion osób żyjących wzdłuż Nilu poniosłoby śmierć.

- Znają już liczbę ofiar? - zapytał Rudi Gunn.
- Co najmniej dziesięć tysięcy - odrzekł wolno Pitt.

Joe wyglądał na zażenowanego.

- Poproszę jeszcze jednego Jacka Daniela z lodem. Podwójnego tym razem.

Przez chwilę popijali drinki w milczeniu, które w końcu przerwał Paul.

- A co z podziemną fabryką Jinna?

Dirk spojrzał na swój zegarek nurkowy Doxa z pomarańczową tarczą.

- Została zniszczona czterdzieści minut temu, uwzględniając różnicę czasu.

- Jak? - zainteresowała się Gamay. - Z powietrza? Bomby lotnicze zdołałyby przeniknąć wystarczająco w głąb góry?

Pitt przytaknął.

- Dron wystrzelił dwa pociski. Niewidzialny z ziemi impuls nadał im prędkość czterystu osiemdziesięciu kilometrów na godzinę. Po włączeniu się pomocniczych silników rakietowych pociski przyspieszyły do ponad trzech tysięcy dwustu kilometrów na godzinę. Przy uderzeniu zrobiły sześciometrowy lej, ale nie dotarły do rozległego podziemnego kompleksu Jinna. Toteż pięć minut później użyto innej amunicji. Cztery bombowce B-2 przeleciały nad Jemenem i zrzuciły tak zwane MOP-y. To wojskowy skrót oznaczający bomby penetrujące GBU-57 o masie trzynastu tysięcy sześciuset kilogramów, najpotężniejszą konwencjonalną broń do niszczenia bunkrów na świecie. Te bomby przenoszą dwa tysiące dwieście sześćdziesiąt kilogramów materiałów wybuchowych w ważącej jedenaście tysięcy trzysta czterdzieści kilogramów skorupie. Uderzają z taką siłą, że są zdolne przebić studwudziestometrową warstwę ziemi i skały. Kiedy kurz opadł, cała góra zniknęła. Została tylko kupa piasku i kamieni. Sprzęt i materiał do produkcji nanobotów przestał istnieć.

- A co z prawą ręką Jinna, Sabahem? - spytał Kurt.

- Rozerwało go na cząstki wielkości nanobotów - odparł zjadliwie Pitt.

Podano wreszcie kolację przyrządzoną pod kierownictwem zastępcy szefa kuchni, na początek pikantnego łososia King Olaf z Morza Czarnego. Następnie zaserwowano wędzonego jesiotra, a potem pasztety z gęsich wątróbek, wieprzowiny i kaczki.

Głównym daniem były żeberka St. Louis z ravioli z homarem i duszonym porem z jajkami sadzonymi.

Na deser przyniesiono naleśniki z guawą i mascarpone.

Pili czerwone wino Purple Angel Carmenere i białe Duckhorn Sauvignon Blanc.

Syci po dobrym jedzeniu i doskonałym winie we wspaniałym towarzystwie, zaczęli się żegnać i wychodzić z restauracji, by wsiąść do długiej limuzyny, którą Dirk zamówił dla przyjaciół, żeby dotarli bezpiecznie do domów.

Leilani mieszkała w hotelu i Kurt obiecał ją odwiedzić.

Dirk przyjrzał mu się przeciągle.

- Nie widać po tobie, że piłeś, ale jak gliny cię zatrzymają, zorientują się, że prowadzisz po alkoholu. Radzę ci wziąć taksówkę.

- Tak zrobię - przyrzekł Kurt.

Kiedy reszta odjechała limuzyną, taksówka zatrzymała się przed restauracją. Kurt i Leilani wsiedli z tyłu i wyruszyli w drogę do hotelu.

- Zdecydowałeś się na pracę w dziale biologii morskiej NUMA, którą zaproponował ci Dirk? - zapytał Kurt.

Zasmuciła się.

- Waszyngton nie jest dla mnie. Wracam na Hawaje do instytutu biologii na Maui.

Kurt ścisnął jej dłoń.

- Będzie mi cię brakowało.

- Mnie cię też - odrzekła. - Mam nadzieję, że rozumiesz.

Kurt się uśmiechnął.

- Jak on się nazywa?

Wytrzeszczyła oczy, a potem odwzajemniła uśmiech.

- Kale Luka.

- Cieszę się, że nie będziesz samotna. - Kurt znów się uśmiechnął.

Taksówka dojechała do hotelu. Leilani otworzyła drzwi.

- Żegnaj, Leilani - powiedział cicho Kurt. - Będę często o tobie myślał.

- Ja o tobie też. - Przynęła się i pocałowała go lekko w usta. Potem drzwi się zamknęły i poszła.